

Cornell Woolrich

Grzeszna Miłość

Przekład: Konrad Krajewski

Postacie, które pojawiają się w tej opowieści

Louis Durand – mieszkaniec Nowego Orleanu

Tom – służący, który pracuje u niego

Ciotka Sara – siostra Toma

Julia Russell – kobieta, która przybyła z St. Louis, żeby poślubić Duranda

Allan Jardine – jego wspólnik Simms – dyrektor banku

Komisarz policji w Nowym Orleanie

Berta Russell – siostra kobiety, która przybyła, by poślubić Duranda

Walter Downs – prywatny detektyw z St. Louis

Pułkownik Harry Worth – były żołnierz armii Konfederacji Południa

Bonny – osoba, która w pewnym momencie była Julią

Postać, która nie pojawia się w tej opowieści

„**Billy**” – imię na spalonym fragmencie listu; niewidoczna osoba obserwująca okno, ukradkiem pukająca do drzwi

*Gdyby ktoś pokochał cię prawdziwie
(Za rzeczy przyczyną
Zdarza się, choć o tym nie wiedzieć
Zdajesz się, Faustyno...)*

SWINBURNE

*Zaczyna grać bezdźwięczna muzyka.
Zjawiają się tancerze, powoli zbliżając się do siebie.
Zaczyna się walc.*

Rozdział 1

Był maj. Jasne słońce świeciło na błękitnym niebie. W Nowym Orleanie żyło się jak w raju – raj z pewnością musiał być drugim Nowym Orleanem. Tam nie mogło być lepiej.

Louis Durand ubierał się w swojej garsonierze na ulicy Świętego Karola. Zresztą nie po raz pierwszy tego dnia, jako że słońce stało wysoko, a on sam krzątał się już od dłuższego czasu. Tym razem jednak przygotowania wiązały się z ważnym dla niego wydarzeniem. To nie był zwykły dzień, lecz ten najważniejszy ze wszystkich. Dzień, który zdarza się tylko raz w życiu mężczyzny, właśnie teraz nadszedł dla niego. Późno, ale jednak nadszedł. Właśnie teraz. Dzisiaj.

Nie był już młody. I choć inni nie mówili mu tego, sam o tym wiedział. Nie to, żeby był stary, ale jednak na taką rzecz jak ta, nie był już młody. Miał trzydzieści siedem lat.

Na ścianie pokoju wisiał kalendarz, którego pierwsze cztery strony odwrócono tak, aby odsłonić piątą. Na górze, na samym środku widniało słowo *Maj*. Po obu stronach tego napisu, pochylonym, pełnym zawijasów, cieniowanym drukiem, wypisano liczby, a rok (1880) zupełnie niepotrzebnie podano w nagłówku. Poniżej, pierwsze dziewiętnaście pól oznaczających kolejne dni przekreślono ołówkiem, natomiast dwudziesty dzień zaznaczony został czerwoną kredką, obrysowany kilkakrotnie dużym kółkiem, jakby to poprzednie nie było jeszcze dostatecznym podkreśleniem. Pozostałe pola pozostawiono czyste, na przyszłość.

Włożył koszulę ze sztywno krochmalonym żabotem, którą mamuśka Alfonzyna tak pięknie dla niego uprała – każda falbanka stanowiła dzieło sztuki. Mankiety spiał posrebrzanymi szpilami z granatu. Krawat, który swobodnie spływał od brody, przypiął tradycyjną szpilką, bez której elegancki mężczyzna nie mógł się obejść. Ozdobiona była półokrągłym diamentem zakończonym z każdej strony rubinem.

Z prawej kieszeni kamizelki zwisał ciężki złoty łańcuszek, który łączył ją z kieszenią po lewej stronie, wypchaną wielką cebulą zegarka. Złote ogniwa w połowie łańcuszka miały większe rozmiary, i tak powinno być. Bo czymże jest mężczyzna bez zegarka? A zegarek? Czyż nie jest wizytówką mężczyzny?

Marszczona, strojna koszula i odpowiednia kamizelka nadały mu wygląd garłacza. Na komodzie, obok której szczotkował włosy, leżał stos listów i dagerotyp.

Odłożył szczotkę, przerwał na chwilę swoje przygotowania. Brał po kolei każdy list i szybko go przeglądał. Pierwszy z nich, napisany pięknym, męskim charakterem pisma, opatrzone nagłówkiem: „Towarzystwo Przyjacielskiej Korespondencji w St. Louis, stan Missouri. Stowarzyszenie Szlachetnie Urodzonych Pań i Panów”. Zaczynał się od słów:

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na Pański list z przyjemnością przesyłamy Panu nazwisko i adres jednej z naszych członkiń. Jesteśmy przekonani, że jeśli pan zechce zwrócić się do niej osobiście, może to być początek wzajemnie satysfakcjonującej korespondencji.

Następny list napisany był jeszcze staranniej, ale tym razem kobiecą ręką: *Szanowny Panie Durand...* Podpisano go: *Z najwyższym szacunkiem, panna J. Russell.*

A następny: *Drogi Panie Durand... Z poważaniem, panna Julia Russell.*

I następny: *Drogi Louisie Durand... Szczerze oddana przyjaciółka, Julia Russell.*

A potem: *Drogi Louisie... Twoja oddana przyjaciółka, Julia.*

I następnie: *Drogi Louisie... Twoja szczerze oddana Julia.*

Później: *Mój drogi Louisie... Twoja Julia.*

Aż wreszcie: *Mój drogi Louisie... Twoja niecierpliwa Julia.*

Ostatni list zawierał postscriptum: *Czyż ta środa nigdy nie nadejdzie? Liczę godziny do wypłynięcia statku!*

Z czułością ułożył listy w symetryczny stosik i włożył je do wewnętrznej kieszeni surduta, do tej bliżej serca.

Następnie wziął do ręki mały dagerotyp. Osoba na nim przedstawiona nie była pierwszej młodości. W każdym razie nie można było o niej powiedzieć, że to dziewczyna. Twarz o dość ostrych rysach zdradzała pierwsze symptomy wieku dojrzałego. W jej ustach była jakaś zaciętość, która mogła zapowiadać gwałtowność charakteru. Przenikliwy wyraz twarzy zwiastował pojawienie się zmarszczek. Jeszcze nie teraz, co prawda, ale już wkrótce. Twarz była przygotowana. Krzywizna w linii nosa przypuszczalnie nada mu w najbliższym czasie haczykowany kształt. W podbródku widać było małą wypukłość, która, tylko patrzeć, jak uczyni go wystającym.

Nie była piękna. Jemu wszakże wydawała się atrakcyjna, jako że to przecież zależy od oczu patrzącego.

Ciemne włosy miała upięte w węzeł z tyłu głowy. Loki opadały na czoło tak, jak to już od dawna było w modzie. Prawdę mówiąc, ta fryzura zdążyła się już stać niemodna.

Dagerotyp przedstawiał kobietę w taki sposób, że jedynym widocznym elementem stroju była czarna, aksamitna wstążka zawiązana ciasno na szyi. Poniżej portret kończył się brązowymi obłokami fotograficznych mgiełek.

Więc to była ta okazja, którą zesłała mu miłość. Chwycił się jej w nagłym rozpaczliwym pośpiechu, obawiając się, że nic innego już mu się nie trafi. Czekał zbyt długo, całe piętnaście lat, uparcie odwracając się od miłości.

Tamto uczucie, pierwsze (wtedy zaklinał się, że ostatnie), stało się już tylko cieniem wspomnienia, jakimś zapomnianym imieniem z przeszłości. Marguerite – mógł już wymówić jej imię, nic dzisiaj dla niego nie znaczyło. Była wspomnieniem tak suchym jak liść przez lata wciśnięty pomiędzy stronicę książki.

Imię z przeszłości kogoś innego. Całkowicie zmieniamy się podobno co siedem lat i nie pozostaje w nas nic z osoby, którą byliśmy wcześniej. Od tamtego czasu już dwa razy stał się kimś innym.

Po dwakroć oddalił się od tamtego dwudziestodwuletniego chłopca, który z roziskrzonym

wzrokiem i bukietem kwiatów w dłoni, zapukał do drzwi swojej narzeczonej w przeddzień ślubu. Z początku nikt nie reagował na jego pukanie. Aż wreszcie drzwi otworzyły się powoli i zobaczył, jak dwóch mężczyzn wynosi na noszach zakryte zwłoki.

„Odsunąć się. Żółta febra. „

Jej palec z pierścionkiem dotykał ziemi.

Nie zapłakał. W ogóle nie wydał żadnego dźwięku. Pochylił się tylko i delikatnie położył kwiaty zalotnika na marach, które przenoszono obok niego. Potem odwrócił się i oddalił. Odszedł od miłości na piętnaście lat.

Imię Marguerite – to wszystko, co pozostało. Bo on też umarł, chociaż dużo wolniej niż ona. Chłopak, który miał dwadzieścia dwa lata, umarł po to, żeby narodził się młody, dwudziestodwuletni mężczyzna. Mężczyzna ten nadal był wierny imieniu, któremu był oddany jego poprzednik, póki nie umarł. Z kolei młody dwudziestodwuletni mężczyzna przerodził się w mężczyznę starszego, trzydziestosześcioletniego.

Aż nagle, pewnego dnia, samotność, którą gromadził w sobie przez piętnaście lat, przytłoczyła go. W jednej chwili prawie złamała. Wpadł w panikę i zaczął rozpaczliwie szukać ratunku. Jakiegokolwiek miłości, skądkolwiek, na każdych warunkach. Byle szybko, zanim nie będzie za późno. Byleby tylko dłużej nie być samemu.

Gdyby wtedy poznał kogoś w restauracji... nawet na ulicy...

Ale nic takiego się nie zdarzyło.

Zamiast tego natknął się na ogłoszenie w gazecie. Ogłoszenie z St. Louis w nowoorleańskiej gazecie.

Me możesz uciec przed miłością.

Odgłos kół zatrzymującej się gdzieś dorożki przerwał jego rozmyślenia. Włożył dagerotyp do portfela i schował do kieszeni. Wszedł na piętrową werandę i spojrzał w dół. Gdy przechylił się przez balustradę, przyciskając pnące się poniżej kwiaty, jego plecy w słońcu wyglądały jak posypane mąką.

Kolorowy mężczyzna wchodził właśnie na wewnętrzne podwórze, czy też patio.

– Czemu tak długo?! – zawołał Durand z góry. – Przyniosłeś moje kwiaty? – Było to pytanie retoryczne, gdyż widział stożkowaty pakunek, z którego wychylała się mgiełka rózu.

– Pewno, że tak!

– A sprowadziłeś dorożkę?!

– Czeka na pana.

– Już myślałem, że nigdy nie wrócisz. Nie było cię całe...

Murzyn filozoficznie pokiwał głową: – Zakochany człowiek zawsze się spieszy.

– No już, Tom, chodź na górę! – Durand ponaglał go niecierpliwie. – Nie będziesz chyba stał tam cały dzień!

Tom z niewzruszonym uśmiechem zniknął sprzed fasady.

Chwilę później otworzyły się drzwi do mieszkania. Tom wszedł do środka stając przed

właścicielem. Ten obrócił się, podszedł, chwycił bukiet i nerwowo, w pośpiechu, zdarł z niego opakowanie.

– Ma pan zamiar dać go jej, czy połamać kwiaty? – dopytywał się spokojnie Murzyn.

– Przecież muszę zobaczyć, prawda? Tom, myślisz, że spodobają się jej różowe róże i pachnący groszek? – Żałosna bezradność zabrzmiała w pytaniu, jakby nie widział już żadnego ratunku.

– Chyba wszystkie panie je lubią?

– Nie wiem. Jedyna dziewczyna, którą... – nie dokończył.

– Na pewno – miłosiernie powiedział Tom. – Sprzedawca twierdził, że lubią. Mówił, że wszystkie o takie proszą. – Wyglądził starannie papierową koronkę wokół kwiatów, przywracając jej pierwotny kształt.

Tymczasem Durand zbierał pospiesznie swoje drobiazgi, przygotowując się do wyjścia.

– Najpierw chcę pojechać do nowego domu – rzucił prawie bez tchu.

– Dopiero co wczoraj pan tam był – zauważył Tom. – Pan to się chyba obawia, że jak chociaż raz pan tam nie pojedzie, to on odleci.

– Wiem, ale to ostatnia szansa, żeby się upewnić, czy wszystko jest... Powiedziałaś swojej siostrze? Chcę, żeby tam była, kiedy przyjedziemy.

– Będzie.

Durand zatrzymał się z ręką na gałce u drzwi, rozejrzał się wokół zamyślonym wzrokiem. Nagle zaczął się ociągać z wyjściem.

– Tom, to ostatni raz w tym miejscu.

– Było tu cicho i miło, panie Lou – przyznał służący. – W każdym razie przez te ostatnie kilka lat, kiedy zaczął się pan starzeć.

Znowu zaczęło mu się spieszyć, jakby to ostrzeżenie o mijającym czasie go poruszyło.

– Skończysz pakować i dopilnujesz, żeby moje rzeczy dotarły na miejsce. Nie zapomnij przed wyjściem oddać kluczy pani Tellier.

Zatrzymał się znowu. Tym razem przekreślił gałkę do końca, ale nie otworzył drzwi.

– O co chodzi, panie Lou?

– Boję się. Obawiam się, że... – Poprawił sztywny, wysoki kołnierzyk, przeciągnął ręką po czole, ścierając niewidoczne kropelki potu. – ... że nie spodobam się jej.

– Jak dla mnie, wygląda pan dobrze.

– Do dziś były tylko listy. W listach wszystko jest proste.

– Wysłał jej pan swoje zdjęcie. Wie, jak pan wygląda – Tom próbował mu dodać odwagi.

– Zdjęcie to zdjęcie, a człowiek to człowiek.

Tom podszedł do drzwi, gdzie stał jego przygnębiony pan. Strzepnął pyłek z ramion jego surduta.

– Nie jest pan najprzystojniejszym mężczyzną w Nowym Orleanie, ale nie jest też pan najbrzydszy.

- Ależ nie mam na myśli wyglądu! Nasze przyzwyczajenia...
- Pasujecie do siebie wiekiem. Przecież napisał jej pan, ile ma lat.
- Odjąłem sobie rok. Podałem, że mam trzydzieści sześć, żeby lepiej wyglądało.
- Będzie jej z panem dobrze, panie Lou.

Durand ochoczo skinął głową, jakby po raz pierwszy poczuł, że stoi na pewnym gruncie. – Nie zazna biedy.

– No, to ja bym się tak bardzo nie martwił. Kiedy mężczyzna jest zakochany, patrzy na wygląd. Kiedy zakochana jest kobieta, to, za przeproszeniem, panie Lou, ona patrzy, jak będzie bogata.

Twarz Duranda rozjaśniła się. – Nie będzie musiała sobie skąpić. – Uniósł nagle głowę poruszony nowym odkryciem. – Nawet jeśli nie jestem taki, jak sobie wyobraża, przyzwyczai się do mnie.

– Chce pan... mieć całkowitą pewność? – Tom poszperał w swoim ubraniu, szarpnął za ukryty na piersi sznurek i wyciągnął zniszczoną króliczą łapkę, zakończoną uchwytem z pozłacanej wstążki. Podał mu ją.

– Och, nie wierzę w te... – nieśmiało zaprotestował Durand.

– Żaden biały nie przyzna się, że wierzy – zachichotał Tom. – I nie ma żadnego, który by nie wierzył. Niech pan ją włoży do kieszeni. Nie zaszkodzi.

Durand schował ją z miną winowajcy. Spojrzał na zegarek i zamknął go z głośnym trzaskiem.

– Jestem spóźniony! Chcę zdążyć na statek! – Tym razem symbolicznie szeroko otworzył drzwi i raz na zawsze przekroczył próg swojego kawalerskiego stanu.

– Ależ ma pan jeszcze z godzinę, nim zobaczy pan komin statku na rzece...

Ale Louis Durand, przyszły pan młody, nie czekał już dłużej. Biegł, głośno stukając butami o wykładane kaflami schody w domu pani Tellier. Chwilę później niecierpliwy okrzyk doszedł przez okna od strony podwórza. Tom wolno ruszył na werandę.

– Mój kapelusz! Rzuć go! – Durand podskakiwał niecierpliwie.

Tom rzucił kapelusz i zastygł, jakby na coś czekając.

Sekundę później rozległ się kolejny krzyk, jeszcze bardziej natarczywy.

– Laska! Rzuć mi laskę!

Zręcznie złapał ją w locie. Mały obłok zabarwionego przez światło słoneczne kurzu wzniosł się z niezbyt czystego chodnika pani Tellier. Tom odwrócił się, z rezygnacją kręcił głową.

– Tak to jest. Zakochany zawsze się spieszy.

Rozdział 2

Dorożka jechała żwawo ulicą Świętego Ludwika. Durand siedział spięty, na samym brzegu ławki, obie dłonie opierał na uchwycie laski. Nagle pochylił się jeszcze bardziej do przodu.

– To ten! – wykrzyknął, wskazując coś niecierpliwie. – Ten po prawej stronie.

– Ten nowy, proszę pana? – W głosie dorożkarza zabrzmiał podziw.

– Sam go buduję – pochwalił się Durand, a w jego głosie dało się słyszeć ślad prawdziwie chłopięcej dumy, spóźnionej o szesnaście lat. Po chwili dodał: – To znaczy budują go według moich planów. Wytłumaczyłem im, o co chodzi.

Dorożkarz podrapał się po głowie. Nie był to bynajmniej gest zakłopotania, lecz wyraźny szacunek dla takiego splendoru.

– Jest naprawdę piękny – przyznał.

Dom był piętrowy, z płowożółtej cegły, z białymi wykończeniami wokół drzwi i okien. Nieduży, ale ulokowany w niebywale dogodnym miejscu. Zajmował narożną działkę, tak więc miało się z niego doskonały widok na obie ulice. W dodatku za domem rozciągał się teren, może niezbyt wielki, ale na tyle obszerny, aby oddzielić ten dom od innych. Z przodu zostało miejsce na trawnik, z tyłu miał być ogród.

Oczywiście dom nie był jeszcze całkowicie wykończony. Wokoło wałały się stopy potłuczonych cegieł, trawnik nie został jeszcze ułożony, a w oknach widniały smugi farby. Niemniej oczy mężczyzny patrzącego na ten dom pełne były czci. Usta rozchyliły się, wzrok złagodniał. Nie zdawał sobie sprawy, że dom może być taki piękny. To najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widział. Jego dom.

Trzaśnięcie batem wyrwało go z zadumy.

– Proszę na mnie poczekać. Później pojedziemy na przystań.

– Taa... Nie ma po co się spieszyć. – Dorożkarz uśmiechnął się wyrozumiale. – Mężczyzna powinien popatrzeć na swój dom.

Durand nie od razu wszedł do środka. Przespacerował się najpierw powoli wokół dwóch najbardziej zewnętrznych ścian budynku, co dostarczyło mu kolejnych uniesień. Laską sprawdził kamienny fundament. Wyciągnął rękę i otworzył jedną z okiennic, po czym zamknął ją z powrotem. Z grymasem niezadowolenia na twarzy nadział na laskę małą kępę trawy i usunął ją z drogi, zostawiając na ścieżce rozwleczone źdźbła, co wyglądało gorzej niż poprzednio. Wreszcie z dumnie uniesioną głową wrócił do drzwi. Na białych, sosnowych drzwiach, w miejscu, gdzie miała być umieszczona wykuta z żelaza kołatka, widniały ślady ołówka. Specjalnie pojechał do odlewni, aby osobiście wybrać kołatkę. Ten dom wart był każdego wysiłku, nawet najmniejsze detale miały znaczenie.

Przekonany, że mężczyźni nie wypada pukać do drzwi własnego domu, chwycił za gałkę. Drzwi były otwarte, wszedł do środka. Wewnątrz czuć było raczej przyjemny, a w tym przypadku wręcz cudowny zapach nowego domu. Zapach świeżo heblowanych desek, nutka

terpentyny w farbie, aromat kitu w oknach i kilka innych, trudnych do określenia woni.

Dziewicze schody, które prowadziły z holu na piętro, wyłożono brązowym papierem do pakowania, by chronić nowo położony lakier na klonowym drewnie. Pokój obok miał być w przyszłości salonem. Przez okno wychodzące na zachodnią stronę padały na podłogę plamy złotego światła. Gdy tak stał i przyglądał się, pokój nagle jakby się zmienił.

Gruby, kwiecisty dywan rozciągnął się na surowych deskach podłogi. Czerwony odbłask płonącego drewna dochodził od pustego jeszcze kominka. Okrągłe lustro wiszące nad kominkiem upiornie błyszczało. Pluszowa sofa, pluszowy fotel oraz stolik pojawiły się tam, gdzie jeszcze nic nie stało. Lampa z okrągłym, mlecznobiałym kloszem, stojąca na stoliku, zaczęła świecić. Najpierw delikatnie, a potem coraz mocniej i mocniej. W jej świetle dojrzał ciemnowłosa głowę opierającą się o przykryty pokrowcem fotel. A na stoliku, pod lampą, stał koszyczek z robótką. Koszyczek z szyciem. Lecz ten szczegół był mniej wyraźny od innych...

Nagle, gdzieś na górze, zabrzączało wiadro. Fala, która przeszła przez pokój, usunęła wszystko, co sobie wyobraził. Ogień w kominku zgasł, ciemnowłosa głowa bez twarzy znikła wraz ze światłem lampy. Pokój znów był tak ponury jak przedtem. Rolki zwiniętej tapety, wiadro na drewnianym koźle i goła podłoga.

– Kto jest tam na dole?! – Kobięcy głos zabrzmiał głucho wśród pustych przestrzeni.

Wyszedł do holu i stanął u stóp schodów.

– Ach, to pan, panie Lou. Wszystko już prawie gotowe.

Ponad barierką u szczytu schodów ukazała się wykrzywiona twarz starszej, czarnej kobiety w kolorowej chuście na głowie.

– Gdzie poszedł ten, co miał pracować tu na dole? – dopytywał się rozdrażniony. – Powinien kończyć.

– Chyba poszedł po klej. Zaraz wróci.

– A jak tam u góry?

– Niech pan przyjdzie.

Żwawym krokiem podążył schodami na górę.

– Przede wszystkim chcę zobaczyć sypialnię – oświadczył, mijając kobietę.

– No, a jakże. Pan młody i jeszcze by nie chciał – zachichotała.

Zatrzymał się w drzwiach i rzucił jej karcące spojrzenie, lecz próbował to wyjaśnić. – Muszę zobaczyć, czy tapety pasują.

– Nie musi się pan przede mną tłumaczyć, panie Lou. Dłużej niż pan chodzę po tym świecie.

Podszedł do ściany i dotknął jej tak delikatnie, jakby kwiaty były żywe, a nie namalowane.

– Na ścianie wygląda nawet lepiej, nie sądzisz?

– No pewnie – zgodziła się.

– Ta była najbardziej podobna do tej, jaką chciałem kupić. Musieli sprowadzić ją aż z Nowego Jorku. Widzisz, spytałem ją, jaką tapetę lubi najbardziej, nie mówiąc, do czego jest mi to potrzebne.

Poszperał chwilę w kieszeni, wyjął list i przeczytał go szybko. Aż odnalazł właściwy fragment i zaznaczył go palcem ... *a w sypialni podoba mi się różowa, ale nie jaskraworóżowa; z takimi małymi niebieskimi kwiatkami jak niezapominajki.* Triumfalnie rozłożył list i dumny jak paw spojrzął na ściany.

Ciotka Sara słuchała go niezbyt uważnie.

– Mam jeszcze mnóstwo roboty. Przepraszam, panie Lou, ale wolałabym, żeby się pan tu nie kręcił. Pójdę najpierw posłać łóżko. – Znów zachichotała.

– Czemu śmiejesz się cały czas? – zaprotestował. – Nie waż się tak zachowywać, kiedy ona tu przyjdzie.

– Jak rany, nie. Przecież dobrze wiem, jak się zachować. Niech pana o to głowa nie boli.

Wyszedł, lecz po chwili znów stał w progu.

– Myślisz, że zdążysz powiesić firany na dole, zanim ona przyjedzie? Okna wyglądają teraz trochę goło.

– Niech pan po nią jedzie, a ja przygotuję dom – obiecała krzątająca się kobieta, podrzucając białe prześcieradło tak, że wyglądało jak żagiel na wietrze.

Ponownie wyszedł. I wrócił, tym razem od połowy schodów.

– I byłoby dobrze, gdybyś gdzieś powstawiała kwiaty. Może w salonie, żeby były na powitanie.

Wymamrotała pod nosem coś, co brzmiało jak: – Przecież nie jedzie tu, żeby wachać kwiatki...

– Że co? – przerwał jej przerażony.

Roztropnie powstrzymała się od powtórzenia.

Jeszcze raz opuścił pokój. I jeszcze raz wrócił. Tym razem z samego dołu schodów.

– Pamiętaj, żeby zostawić wszystkie lampy włączone, kiedy będziesz wychodzić. Chcę, by to miejsce było jasne i radosne, gdy zobaczy je po raz pierwszy.

– Jak będzie mnie pan co chwilę pouczał, to niczego nie zrobię – besztala go, ale bez zbytniego oburzenia. – No, niech pan już idzie, szybko – wypędzała go, machając przed nim fartuchem, jakby miał lat siedem albo siedemnaście, a nie trzydzieści siedem. – Nie ma większej zawalidrogi niż mężczyzna, któremu wydaje się, że pomaga przygotować dom na przyjęcie gości.

Spojrzął na nią urażony, ale wyszedł. Na szczęście tym razem nie wrócił.

Jednak gdy parę minut później zeszła na dół, nadal tam był.

Stał odwrócony do niej plecami. Zatrzymał się przy stole, jakby ten po prostu stanął mu na drodze. Ręce oparł płasko o blat i pochylił się nad nim. Wyglądało, jakby wpatrywał się wnikliwie w przyszłość, której nikt prócz niego nie mógł dostrzec. Jakby w tej kontemplacji dojrzał małe figury zbliżające się do niego, coraz bliżej i bliżej, otaczające go, rosnące do naturalnych rozmiarów.

Nie słyszał, jak ciotka Sara schodziła na dół. Dopiero jej głos oderwał go od nierealnych widoków.

– Jeszcze pan tu jest?! Mogłam się tego spodziewać! – Wziąwszy ręce pod boki, popatrzyła na niego pobłaźliwie. – Patrzcie tylko! Szczęśliwy, co? Jeszcze u nikogo nie widziałam tak szczęśliwej twarzy.

Wstydliwie przesunął ręką po dolnej części twarzy, jakby tam wypisana była radość, o której mówiła kobieta.

– Aż tak to widać? – Niepewnie rozejrzał się wokół, jakby nadal nie mógł uwierzyć, że to wszystko dookoła naprawdę istnieje. – Mój własny dom... – wymamrotał prawie niesłyszalnie. – Moja własna żona...

– Mężczyzna bez żony nie jest pełnym mężczyzną. To tylko cień wałęsający się wkoło, bez nikogo, kto by go przygarnął.

Jego ręka dotknęła żabotu i opadła.

– Słyszę muzykę. Czy to jakaś orkiestra gra na ulicy?

– Tak, to orkiestra – potwierdziła poważnie Murzynka. – To specjalna orkiestra, którą może usłyszeć tylko jedna osoba. Tylko przez jeden dzień. Też ją kiedyś słyszałam. A dzisiaj pana kolej.

– Czas na mnie!

Pospieszył do drzwi, otworzył je szeroko, szybko pobiegł ścieżką i wskoczył do dorożki, aż się resory ugięły.

– Na przystań przy ulicy Kanałowej, na statek z St. Louis – westchnął z błogim oczekiwaniem.

Rozdział 3

Pusta rzeka i czyste niebo odbijały się w jego niespokojnych, pełnych oczekiwania oczach. Nagle na horyzoncie pojawiła się plamka, nie większa niż palec na tle boskiego bezmiaru nieba. Ukazała się tam, gdzie zdawało się, że nie ma już rzeki. Wydawała się unosić nad łodem, jako że w tym miejscu rzeka zakręcała, by dalej prosto płynąć do Nowego Orleanu i przystani. I do wszystkich tam zgromadzonych.

Stał, czekając wraz z innymi. Niektórzy byli tak blisko, że ocierali się o niego łokciami. Nieznajomi, ludzie, których nie znał, których nigdy wcześniej nie widział i nigdy więcej nie zobaczy, zgromadzili się na przybycie statku.

Na miejsce oczekiwania wybrał polar wystający ponad pokładem mola. Był to jego punkt orientacyjny, więc stał blisko niego, nie pozwalając innym wysunąć się przed siebie. Wiedział, jak ważne będzie to miejsce podczas cumowania statku. Przez chwilę stał zjedną nogą podniesioną; stopę płasko oparł o niego. Potem pochylił się wyczekująco i położył na nim obie ręce. Na chwilę nawet usiadł na nim, ale podniósł się szybko, jakby stojąc mógł przyspieszyć przybycie statku.

Dym wzbił się już wysoko w niebo. Wyglądał jak obskurne czarne strusie pióra zebrane razem i usiłujące się rozłączyć. Pod nim zaczynał wznosić się czarny wysmukły stożek – komin. A potem następny.

– Jest! – krzyknął jeden z dokerów, a tę zupełnie niepotrzebną, spóźnioną zapowiedź natychmiast podchwyciło dwóch czy trzech stojących najbliżej niego.

– Tak, proszę pana, jest – powtórzyli za nim kilkakrotnie. – Naprawdę jest.

– Jest – miękko podpowiedziało serce Duranda. Ale nie miało na myśli statku.

Komin statku, jak tępy nóż wcinający się w ziemię, minął nadbrzeże i pojawił się na otwartej wodzie. Pod nim ukazała się brązowa nadbudówka pocięta dwiema liniami maleńkich nisz. Jeszcze niżej stał się widoczny niezgrabny, czarny kadłub statku, który z dużej odległości wyglądał jak cienka linia. Koła obracały się, łopatki odwracały, gdy docierały do szczytu i spadały, strącając kropelki do spienionej brązowej wody, nieustannie ją rozbryzgując. Statek zmienił kierunek, stawał się coraz większy. Po chwili był już naturalnych rozmiarów. Zbliżał się do nadbrzeża, jakby chciał je staranować. Ostre zawodzenie falsetu, nieskończenie żałobne, podobne do ostatniego krzyku umęczonej duszy popłynęło od statku, a biały pióropusz otoczył komin i zniknął w oddali. *Nowy Orlean*, opuściwszy St. Louis trzy dni wcześniej, powrócił do macierzystego portu, na łono matki.

Koła łopatkowe zatrzymały się. Statek zaczął błyszczeć jak lódeczka z papieru, jak duch nad wodą. Zwrócił się burtą do nadbrzeża. Wydawało się, że teraz płynie szybciej niż wtedy, gdy nadchodził dziobem, choć w rzeczywistości było na odwrót. Karbowane nacięcia kadłuba przemknęły niczym drewniany płot. Statek poruszał się coraz wolniej, w końcu zatrzymał się, a nawet nieco cofnął. Wydawało się, że zaczyna się zanurzać. Woda uwieczona między kadłubem a

nadbrzeżem oszalała z udreki; wiała się, skręcała i dławiła, próbując znaleźć ujście. W końcu cienkim strumieniem wpłynęła do kanału podobnego do szczeliny.

Nie było już ani rzeki, ani nieba. Zniknęły zasłonięte przez olbrzymią nadbudówkę. Ktoś leniwie oparty o reling górnego pokładu pomachał odruchowo. Nie do Duranda, gdyż był to mężczyzna. Ani też do nikogo innego. Ot, takie przyjacielskie machnięcie na powitanie. Jeden ze stojących na nadbrzeżu uznał, że powinien w imieniu pozostałych odpowiedzieć mu w ten sam sposób.

Rzucono cumę i kilka osób z niewielkiego tłumu odsunęło się, by uniknąć uderzenia. Nadszedł teraz krótki moment chwały dla dokerów, którzy wysunęli się do przodu, pochwycili cumę i zręcznie uwiązali ją wokół polara tuż przed Durandem. Po przeciwnej stronie zrobiono to samo. Wreszcie statek dobił do przystani i został przycumowany.

Spuszczono trap, a mała część relingu dolnego pokładu została usunięta – statek połączył się z nadbrzeżem. Jeden z oficerów zszedł na dół, jeszcze zanim trap został umocowany, i stanąwszy blisko niego, nadzorował schodzenie pasażerów ze statku. Pasażerowie ciągnęli strumieniami ze wszystkich stron w kierunku jedyne go wyjścia.

Durand przysunął się do trapu tak blisko, że aż oparł na nim rękę w niemym żądaniu. Niecierpliwie wpatrywał się w każdą zbliżającą się twarz, mijającą go szybko w odległości nie większej niż kilkanaście centymetrów.

Jako pierwszy zszedł mężczyzna.

Kroczył szybko z walizkami pełnymi próbek – komiwojażer, wyraźnie spieszący się do wyjścia. Następna była kobieta. Szła wolniej, z uwagą wybierała drogę. Siwowłosa i w okularach. A więc to nie ona. I kolejna kobieta. Znowu nie ona. Jej mąż kroczył tuż za nią, pomagał jej przy zejściu, trzymając za łokieć. Następnie schodziła cała rodzina według określonej hierarchii ważności.

A jeszcze potem dwóch lub trzech mężczyzn. Wszystkie te twarze, które były dla niego niczym czyste kartki papieru, szybko przepłynęły przed nim. Kolejna kobieta, i przez chwilę... Nie, to nie ona; inne oczy, inny nos, inna twarz. Nieznajoma rzuciła mu krótkie, przelotne spojrzenie, po czym szybko odwróciła wzrok. Następny mężczyzna, następna kobieta. Rudowłosa, o brązowych brwiach – nie ona. Potem przerwa, pauza, czekanie.

Serce ścisnęło mu się ze strachu, lecz po chwili uspokoiło. Stukot na drewnianych deskach pokładu, jakby jakiś maruder spieszył się, by przegonić pozostałych pasażerów. Kobieta, sądząc po odgłosie szybkich kroków. Falbana sukni, twarz... Nie ona. Powiew wody toaletowej o zapachu bzu, odrzucające spojrzenie – takie samo jak jego – w którym nie było oczekiwania, nadziei na spotkanie. Nie ona.

I nikogo więcej. Pusty trap. Cisza taka jak wtedy, gdy coś się kończy.

Wpatrywał się w górę, jego twarz zamarła.

Obiema rękami wczepił się w barierkę trapu. W końcu puścił ją i przeszedł na drugą stronę. Zaczepił spacerującego tam oficera, chwytając go z niecierpliwością za rękaw.

– Nie ma nikogo więcej?

Oficer odwrócił się i przyłożywszy do ust zwinięte dłonie, przekazał pytanie na górny pokład: – Jeszcze ktoś?!

Ktoś z załogi, chyba kapitan, podszedł do relingu i spojrzał w dół.

– Wszyscy zeszli na ląd! – zawołał.

Zabrzmiało to jak podzwonne. Durandowi zdawało się, że nagle znalazł się sam w środku martwej ciszy, a przecież hałas wokół niego wcale nie ucichł. Oszalamiająca nieodwołalność.

– Ale przecież powinna być... Musi być...

– Nikogusieńko – orzekł kapitan żartobliwie. – Proszę przyjść i samemu zobaczyć.

Odwrócił się i odszedł od relingu. Zaczęto znosić bagaż.

Czekał wbrew sobie, wciąż jeszcze miał nadzieję. Nikogo. Tylko bagaż – martwe resztki ładunku. Ale on też wkrótce znikł.

W końcu odwrócił się i ruszył wolno z powrotem wzdłuż mola, a potem ścieżką za nim. Z twarzą sztywno odwróconą, jakby na jednej stronie ból był bardziej widoczny niż na drugiej, co oczywiście nie było prawdą – wszędzie był jednakowy.

Nawet nie zauważył, kiedy się zatrzymał. Nie wiedział też, dlaczego to zrobił w tym momencie ani dlaczego w ogóle tak długo ociągał się z odejściem. Ani statek, ani rzeka nie miały nic dla niego. Nic tutaj dla niego nie było. Ani tutaj, ani nigdzie indziej.

Oczy wypełniły mu się łzami i chociaż w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć, wolno opuścił głowę, by je ukryć.

Stał tak zatem z pochyloną głową, podobny do żałobnika stojącego przy trumnie. Przy trumnie, której nikt prócz niego nie mógł dostrzec.

Niewidzącymi oczami patrzył na zamazaną ziemię. Oświetlona jaskrawym słońcem miała barwę herbatnika. Tak bezbarwna, jak bezbarwne będzie teraz jego życie.

Nagle pojawił się za nim okrągły cień głowy, a potem szyja i ramiona. I pełne wdzięku wcięcie talii. Po chwili cień zatrzymał się i znieruchomiał.

Jego przytępiony wzrok nie zauważył tego zjawiska. Nie widział też ziemi przed sobą ani żadnych śladów odcisniętych na niej. Przed oczami stanął mu dom na ulicy Świętego Ludwika. Żegnał się z nim. Już nigdy nie wejdzie do niego, już nigdy tam nie wróci. Zleci agencji jego sprzedaż...

W tym momencie poczuł delikatny dotyk dłoni na swoim ramieniu. Było to bardzo lekkie i niewymuszone dotknięcie; aksamitne i nieśmiałe jak muśnięcie motyla. Cień na ziemi wznosił swoją rękę do drugiego cienia – jego – i na chwilę połączył oba, aby prawie natychmiast się odłączyć.

Jego głowa uniosła się z wolna. A potem, równie wolno, on sam się odwrócił w stronę, z której pochodził dotyk.

Tuż przed nim zakreśliła się jakaś postać, wirując niczym na obrotowym krześle tak długo, aż znalazła się w centrum jego spojrzenia. Chociaż to on, a nie otoczenie, zmienił pozycję.

Nie była wysoka, lecz doskonałość proporcji tych drobnych kształtów sprawiała, że wzrost nie miał tu żadnego znaczenia – posiadała wspaniałość klasycznego pomnika i filigranowość kosztownej lalki.

Jej czyste, brązowe oczy znajdowały się na wysokości ramienia Duranda. Jeszcze nigdy przedtem nie widział twarzy tak pięknej. Piękność porcelany, ale bez jej zimnego bezruchu, i usta przypominające zgniecione płatki róży.

Miała nie więcej niż dwadzieścia lat i chociaż wzrost czynił ją jeszcze młodszą, wrażenie to niewiele odbiegało od rzeczywistości. Jej skóra była skórą młodej dziewczyny, a oczy – niewinnymi, ufnymi oczami dziecka.

Jej złociste, mocno kręcone włosy, wyglądające jak pęk stokrotek, buntowały się przeciw konwencjonalnej fryzurze, którą próbowała im narzucić. Co prawda, za pomocą szpilek zdołała zebrać je wszystkie w węzeł z tyłu głowy, ale loczki z przodu, niczym nie skrępowane, tańczyły swobodnie, przypominając mgiełkę nad topazowym morzem.

Skłoniła się lekko w afektowanym ukłonie. Jej suknia uszyta była według mody obowiązującej już od jakiegoś czasu. Przylegała ciasno jak futerał do składanego parasola, pośrodku miała wstawkę, która przechodząc w tył, wyglądała jak fartuszek lub ślimak wystający ponad resztę. Z tyłu zebrana była w napuszony kłęb wstążek i falbanek sprytnie powstrzymywanych konstrukcją z drutu. Była to szykowna ozdoba, bez której kobiecy tył wyglądałby nieprzyzwoicie gładko. Choć wkrótce pokazanie łuku stopy, lub – o nierozważna myśli! – kostek w czasie siedzenia nie będzie gorszyło.

Mały słomkowy kapelusz, płaski i nie większy niż męska dłoń, przycupnął na czuprynie złotych loczków, starając się w szelmowski sposób dosięgnąć lewej brwi. Nie był jednak wystarczająco duży, by tego dokonać, pozostał więc na swoim posterunku.

Okruchy ametystu migotały w maleńkich dziurkach przekłutych w płatkach jej miniaturowych i całkowicie odkrytych uszu, a cieniutka, aksamitna wstążka w kolorze purpury okalała jej szyję. Parasolka z organdy w tym samym kolorze, o średnicy nie większej niż talerz i konsystencji mgiełki, kręciła się na końcu cienkiej rączki niczym fioletowa aureola. Na ziemi stała pozłacana ptasia klatka. Dolna jej część zakryta była flanelą, a odsłonięta kopuła ukazywała jego żwawego, jasnożółtego mieszkańca.

Spojrzał na jej dłoń, spojrzał na swoje ramię, wciąż niepewny, czy był to jej dotyk, wciąż niepewny przyczyny. Powoli zdjął kapelusz i zatrzymał go w pytającym geście ponad głową.

Ściśnięte usta rozciągnęły się w ujmującym uśmiechu. – Nie zna mnie pan, panie Durand, prawda?

Lekko skinął głową.

Uśmiech dotarł do dołeczków w policzkach, rozjaśnił oczy. – Louis, jestem Julia. Mogę zwracać się do ciebie Louis?

Kapelusz wypadł mu z ręki i zatoczył na ziemi koło. Pochylił się i podniósł go, ale nie spuścił z niej wzroku, jakby został przykuty do jej twarzy niemożliwym do pokonania

magnetycznym polem.

– Przecież nie... Jak...

– Jestem Julia Russell – potwierdziła z uśmiechem.

– Ależ... Nie, ty nie możesz być... – Wciąż z trudem wymawiał słowa.

Uniosła brwi. Uśmiechnęła się współczująco. – Było to nieuprzejme z mojej strony, nieprawdą?

– Ale... zdjęcie... ciemne włosy.

– Wysłałam zdjęcie ciotki, zamiast mojego. – Potrząsnęła głową w spóźnionej skruszce. Opuściła parasol i zamknęła go z cichym trzaskiem. Jego końcem zaczęła kreślić kabalistyczne znaki w pyłe. Spuściła oczy i smutno przyglądała się tej czynności. – Och, nie powinnam była. Wiem to teraz. Ale wtedy, kiedy jeszcze nie było między nami nic poważnego, nie wydawało się to tak istotne. Myślałam, że to zwykła korespondencja. Wiele razy od tamtej chwili chciałam wysłać prawdziwe zdjęcie i napisać... ale im dłużej zwlekałam, tym mniej miałam odwagi. Bałam się, że... że w ten sposób stracę cię całkowicie. Dręczyło to mnie coraz bardziej, im mniej czasu zostawało... a w ostatnim momencie, gdy byłam już na statku, chciałam zawrócić i uciec. Berta przekonała mnie, żebym się nie cofała. Wiesz, moja siostra.

– Wiem – pokiwał głową, ciągle jeszcze oszołomiony.

– Ostatnią rzeczą, jaką mi powiedziała tuż przed moim odjazdem, było: „Wybacz ci. Zrozumie, że nie chciałaś go zranić”. Ale w czasie całej podróży tutaj gorzko żałowałam mej... mej lekkomyślności. – Zwiesiła nisko głowę, zacisnęła usta i przygryzła wargi małymi, białymi ząbkami.

– Nie mogę w to uwierzyć... nie mogę uwierzyć – to wszystko, co był w stanie wyjąkać.

Gdy tak stała, rysując parasolem ślady na ziemi, nieśmiało oczekując przebaczenia, była cudownym obrazem skruchy.

– Ale żeby o tyle młodsza – dziwił się. – O tyle ładniejsza od...

– To też miało znaczenie – wymamrotała. – Ładna twarz zwiódła już niejednego mężczyznę. Chciałam, żeby nasze uczucie było głębsze. Żeby trwało dłużej. Żeby było bezpieczniejsze. Chciałam, żeby raczej zależało ci na mnie, jeśli w ogóle miało ci na czymś zależeć... no wiesz, żebyś polubił mnie poprzez rzeczy, które pisałam, moje myśli, mój charakter. Pomyślałam, że może jeśli na początku przedstawię się z gorszej strony, wydam ci się starsza, brzydsza i tak dalej, to ryzyko, że to tylko zauroczenie, będzie o wiele mniejsze. Innymi słowy, wolałam postawić przeszkody na początku, żeby uniknąć ich później.

Jaka wrażliwa – pomyślał. Jaka rozsądna przy całej swej atrakcyjności. Być może są w niej zadatki na ideał?

– Nie masz pojęcia, ile razy próbowałam napisać ci prawdę – ciągnęła skruszona. – I za każdym razem brakowało mi odwagi. Bałam się, że całkowicie zrażę cię do siebie, jeżeli sama przyznam się do popełnienia oszustwa. Nie mogłam powierzyć takiej rzeczy chłodnemu papierowi. – Ręka zrobiła czarujący gest. – A teraz widzisz mnie i już wiesz. Kamień spadł mi z

serca, że najgorsze mam za sobą.

– Najgorsze?! – zaprotestował żywo. – Ale... – ciągnął dalej wciąż zdumiony – ... ty cały czas wiedząc to, czego ja nie wiedziałem aż do teraz: że jestem dużo starszy... no znacznie starszy od ciebie, jednak...

Spuściła oczy i wyznawała dalej:

– Kto wie, może to właśnie było twoją główną zaletą. Odkąd pamiętam, skłonna byłam żywić... jakby to powiedzieć, romantyczne uczucia, zarówno emocji jak i podziwu... tylko w stosunku do mężczyzn starszych od siebie. Chłopcy w moim wieku nigdy mnie nie interesowali. Nie wiem dlaczego. Wszystkie kobiety w mojej rodzinie były takie. Moja matka wyszła za męża, mając piętnaście lat, a ojciec miał wtedy sporo ponad czterdzieści. Fakt, że masz trzydzieści sześć lat, był pierwszą... – Dziewczęca skromność nie pozwoliła jej dokończyć zdania.

Cały czas pożerał ją oczami, nie mogąc wciąż uwierzyć w to, co widzi.

– Jesteś zawiedziony? – spytała nieśmiało.

– Jak możesz tak myśleć? – odrzekł szybko.

– Czy mi wybaczasz? – padło następne pełne obawy pytanie.

– Był to cudowny podstęp – powiedział ciepło. – Sądzę, że nigdy wcześniej nie użyto wspanialszego.

Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu lekko speszonym uśmiechem.

– Będę tylko musiał się do ciebie od nowa przyzwyczaić. Poznać cię na nowo. To był nie najlepszy początek – dodał wesoło.

Odwrociła głowę i prawie skryła ją w ramionach. Ale nawet ten gest, który u innej mógł się wydać kliwy lub zbyt przesłodzony, udało się jej wykonać jako zabawną parodię, lecz był on jednocześnie skromny.

Uśmiechnął się szeroko.

Zwróciła twarz w jego stronę. – Czy twoje plany, twoje zamiary zmieniły się?

– A twoje?

– Jestem tutaj – powiedziała poważnie z najwyższą prostotą.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, chłonał jej czar. Potem nagle, z odzyskaną na powrót śmiałością, podjął decyzję.

– Czy poczułabyś się lepiej, czy uspokoiłoby cię – wyrzucił z siebie – gdybym teraz ja ci coś wyznał?

– Ty? – spytała zdziwiona.

– Ja... też nie powiedziałem ci całej prawdy o sobie.

– Ale... ależ widzę, że jesteś taki, jak to opisałeś, zupełnie taki jak na zdjęciu.

– Nie na tym polega problem. Chodzi o coś innego. Chyba tak jak ty, chciałem, żebyś polubiła mnie, żebyś przyjęła moje oświadczenia wyłącznie ze względu na moje zalety jako człowieka. Innymi słowy, żebyś to zrobiła dla mnie samego.

– Ależ ja to widzę i naprawdę cię lubię – powiedziała obojętnie. – Nie rozumiem.

– Za chwilę zrozumiesz – zapewnił ją skwapliwie. – Muszę ci wyznać, że nie jestem urzędnikiem w firmie importującej kawę.

Jej twarz nie wyrażała nic więcej poza uprzejmym zainteresowaniem.

– Że nie mam odłożonych tysiąca dolarów na... na nasz wspólny początek.

Żadnej reakcji. Żadnego śladu strapienia czy też zawodu. Obserwował ją uważnie. Lekki uśmiech pobłażliwości, gwarantujący rozgrzeszenie, pojawił się na jej twarzy, zanim się znów odezwał. Nie spieszył się.

– Ja jestem właścicielem tej firmy.

Najmniejszej reakcji. Tylko lekko wymuszony uśmiech, uprzejmość, z jaką kobiety zwykle reagują, słuchając szczegółów dotyczących interesów mężczyzn, gdy tak naprawdę ich to nie interesuje.

– No i mam blisko sto tysięcy dolarów.

Czekał, żeby coś powiedziała. Ale ona nie odezwała się ani słowem. Przeciwnie, czekała na coś więcej. Przedmiot rozmowy był widać dla niej tak pusty, tak mało ważny, że nie zdała sobie sprawy, iż punkt kulminacyjny już nastąpił.

– Oto moja spowiedź – powiedział trochę niepewnie.

– Och – westchnęła wyrwana z zamyślenia. – Och, to wszystko? To znaczy... – Zrobiła niezdecydowany ruch ręką. – Twoje interesy i sprawy finansowe. – Dwa palce położyła na ustach, tłumiąc w ten sposób ziewnięcie. Gdyby nie ten tuszujący gest, z pewnością nie dostrzegłby go. – Są dwie rzeczy, do których zupełnie nie mam głowy – przyznała. – Pierwsza to polityka, a druga – interesy i sprawy finansowe.

– Ale wybaczasz mi? – nalegał. W tym samym czasie zdał sobie sprawę ze wzrastającej w nim wewnętrznej radości, podobnej do tej, której doświadcza ktoś, kto spotyka się z przychylnym nastawieniem tam, gdzie się tego w ogóle nie spodziewał.

Tym razem zaśmiała się całkowicie otwarcie, z figlarnym błyskiem w oczach, jakby nie zasługiwała na zaufanie, jakim ją obdarzał.

– Jeśli potrzebujesz przebaczenia, to je masz – ustąpiła w końcu. – Ale skoro nie zwróciłam uwagi na żaden fragment twojego listu, w którym o tym wspomniałeś, to dlaczego prosisz o wybaczenie za przewinienie, którego aż do teraz nie byłam świadoma. Przyjmij je więc, choć nie wiem, co mam ci wybaczyć.

Przyglądał się jej z jeszcze większą uwagą, jakby ta nieświadomość dodawała jej tylko uroku.

Ich cienie wydłużyły się; na przystani prócz nich nie było już nikogo. Rozejrzał się wokół, niechętnie budził się z zamyślenia.

– Robi się późno, a ja tu cię trzymam – rzekł bardziej z obowiązku niż rzeczywistej chęci. Obawiał się bowiem, że może to oznaczać rozstanie.

– Sprawiasz, że zapominam o czasie – przyznała, nie spuszczać z niego wzroku. – Czy to zła wróżba, czy dobra? Sprawiasz nawet, że zapominam o moim przykrym położeniu. Jedną nogą

na lądzie, a drugą na statku. Wkrótce muszę postanowić, co dalej.

– Zajmę się tym – powiedział, pochylając się ku niej gwałtownie – jeśli mam twoją zgodę.

– A twoja zgoda nie jest tu potrzebna? – spytała łobuzersko.

– Ależ masz ją, masz ją! – zapewnił ją pospiesznie, prawie bez tchu.

Teraz, gdy jemu się śpieszyło, ona nagle zaczęła się ociągać.

– Nie wiem – rzekła, podnosząc czubek parasola, opuszczając go i znowu podnosząc. Jej wahanie wydało mu się prawdziwą udręką. – Jeśli nie jesteś zadowolony, jeśli nie przypadła ci do gustu oszustka, którą się okazałam, wrócę na statek i zostanę na pokładzie do chwili wypłynięcia w drogę powrotną do St. Louis. Nie sądzisz, że tak będzie rozsądniej?

– Nie, nie mów tak! – wykrzyknął przestraszony. – Zadowolony? Jestem dzisiaj najszczęśliwszym mężczyzną w Nowym Orleanie... Jestem największym szczęściarzem w mieście.

Wydawało się, że niełatwo ją przekonać.

– Jeszcze jest czas. Lepiej teraz niż później. Czy jesteś całkowicie przekonany, że chcesz, żebym tego nie zrobiła? Nie powiem ani słowa, nie będę się skarżyła. Dobrze zrozumieję twoje uczucia...

Obawa, że może ją utracić, ścisnęła mu serce. Osobę, której zaledwie pół godziny temu wcale nie miał przy sobie.

– Ale ja wcale tak nie myślę! Błagam cię, żebyś mi uwierzyła! Moje uczucia są zupełnie inne. Jak mam cię przekonać? Może potrzebujesz więcej czasu? Czy tak? Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć? – dopytywał się z rosnącym niepokojem.

Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy. W jej spojrzeniu była łaskawość, szczerłość, a nawet pewna czułość. Potem pokręciła przecząco głową, co prawda bardzo delikatnie, ale – o ile go dobrze zrozumiał – był to gest całkowitej pewności, bardziej przypominający stanowczego mężczyznę niż niepewną siebie i uległą dziewczynę.

– Decyzję podjęłam w chwili, gdy weszłam na statek w St. Louis – rzekła wolno i z prostotą. – Właściwie wtedy, kiedy nadszedł twój list z oświadczeniami, a ja na niego odpowiedziałam. I ani odrobinę nie zmienię swojej decyzji, skoro już ją podjęłam. Przekonasz się o tym, gdy mnie lepiej poznasz. – Po chwili dodała: – Jeśli zechcesz.

Uwaga ta sprawiła, że poczuł niespodziewanie lekkie, niepożądane ukłucie.

– Wobec tego niech to będzie moją odpowiedzią – wykrztusił, drżąc z niepewności.

Otworzył portfel i wyjął dagerotyp tej innej kobiety... jej ciotki. Gwałtownie porwał go na strzępy i rozrzucił dookoła lekceważącym ruchem. Potem pokazał jej puste dłonie.

– Ja też podjąłem już decyzję.

Uśmiechnęła się przyzwalająco. – Więc...

– Więc ruszajmy. W kościele oczekują nas od dobrych trzech kwadransów. Zmarnowaliśmy już i tak dużo czasu.

Z uśmiechem i galanterią zaoferował jej ramię, i choć ten gest z pozoru wydać się mógł

zartobliwy, w istocie był bardzo szczery.

– Panno Julio – poprosił.

Było to apogeum romansu, jego kwintesencja. Były to zaręczyny.

Przełożyła parasol do drugiej ręki. Jej wolna ręka owinęła się wokół jego ramienia niczym przyjazny bluszcz. Zebrała dół sukni i podniosła go do przyzwoitej wysokości.

– Panie Durand – odrzekła, zwracając się do niego po nazwisku, tak jak to wypadało niezamężnej, młodej kobiecie. Jednocześnie jednak rzuciła mu ponętne spojrzenie.

Rozdział 4

Witrażowe okna we wnętrzu kościoła metodystów o zachodzie słońca wydawały się bezkształtne w pomarańczowej mgiełce. Łukowata apsyda ginęła w niebieskiej pajęczynie zmierzchu. Podniosły nastrój, spokój i pustka – tylko pięć osób.

Pięć osób zgromadziło się wokół kazalnicy. Cztery zwróciły się w jej stronę, piąta była w środku. Cztery milczały, piąta mówiła cicho. Dwie pierwsze, ramię przy ramieniu, dwie następne, z boku. Z zewnątrz dobiegały odgłosy miasta. Prawie niesłyszalne, jak przepuszczone przez grubą filtr, stłumione, senne, oddalone. Przypadkowy stukot końskich podków na bruku, skrzypiący protest gwałtownie skręcających kół, nawoływanie domokrażcy zachwalającego swoje towary, szczekanie psa.

Wewnątrz kościoła majestatyczne słowa ceremonii odbijały się wyraźnie w przestronnej ciszy. Wielebny Edward A. Clay – celebrant, Louis Durand i Julia Russell – narzeczeni, Allan Jardine i Sophie Tadoussac, gosposia wielebnego Claya – świadkowie.

– Julio Russell, czy bierzesz tego mężczyznę, Louisa Duranda, za swego prawnie zaślubionego małżonka...

– By trwać przy nim...

– By kochać go, szanować i być posłuszną...

– Na dobre i na złe...

– W bogactwie i biedzie...

– W chorobie i zdrowiu...

– Póki was śmierć nie rozłączy?

Cisza.

Potem rozległ się odgłos dzwonka, który wprawdzie szybko ginął w ogromnym kościele, lecz brzmiał czystym srebrem...

– Tak.

– Poproszę więc o obrączkę. Włóż ją na palec panny młodej.

Durand sięga ręką w tył. Jardine wyciąga obrączkę i kładzie na ślepo szukającej jej dłoni Duranda, który po chwili wsuwa obrączkę na palec Julii.

Chwila zakłopotania. Rozmiar jej palca wzięty został za pomocą kawałka sznurka związanego w odpowiednim miejscu i przesłany listownie. Jednak musiała zająć jakąś pomyłka albo w sznurkowej mierze, albo też u jubilera. Obrączka nie chce wsunąć się na palec.

Mocniej ściskając jej dłoń, Durand próbuje po raz drugi. I trzeci. Nadal nic. Wreszcie Julia szybko podnosi palec do ust, zwilża go i podsuwa znowu Louisowi. Obrączka wsuwa się do samej nasady palca.

– Ogłaszam was mężem i żoną.

Wreszcie zawodowy uśmiech, dodający odwagi staromodnej nieśmiałości kochanków w obecności ludzi.

– Możesz pocałować pannę młodą.

Ich twarze wolno zwracają się ku sobie, spojrzenia krzyżują, głowy zbliżają się. Usta Louisa Duranda łączą się z ustami Julii, jego żony, pieczętując w ten sposób sakrament.

Rozdział 5

U Antoine'a, jak zwykle przed północą, gorączkowa biesiada. Cała sala błyszczy, jarzy się i odbija w pozawieszanych wszędzie lustrach; pełno tu uczujących ludzi, śmiejących się, śpiewających. Trzaskają korki otwieranych szampanów, a jakieś pół tysiąca gazowych lamp wiszących na ścianach i suficie w zdobnych kryształowych lampionach migocze olśniewającym blaskiem w najweselszej i najmodniejszej restauracji po tej stronie oceanu. Serce Paryża w zaczarowany sposób bijące wśród bagnisk Delty.

Weselny stół rozciągał się na całą długość jednej z sal restauracji. Goście weselni zajmowali jego jedną stronę. Stronę zewnętrzną pozostawiono wolną, umożliwiając siedzącym swobodną obserwację sali, a z sali można było przyglądać się gościom przy stole.

Było już dobrze po jedenastej. Wokół walały się stosy zmieciowanych, poskręcanych serwetek i zwiędłych kwiatów. Ostro brzęczały kieliszki napełniane to białym, to czerwonym winem; podawano szampana, wiśniówkę i mocną benedyktynekę dla pań. Każdy trunek inny, odpowiedni do serwowanych dań. Na środku stołu dominował wspaniały tort. Śnieżnobiałe, cukrowe, wznoszące się warstwa po warstwie. Jedna jego strona już zniknęła zjedzona przez biesiadników. Na samym jego szczycie stały nietknięte małe laleczki przedstawiające parę nowożeńców. On w czarnym fraku wielkości kciuka; ona ze wstęgą tiulu spływającą z czubka głowy.

A naprzeciw figurek – oryginały wielkości naturalnej, siedzące ramię przy ramieniu, z dłońmi ukradkiem złączonymi pod stołem, słuchające jakiejś przydługiej mowy pochwalnej. On wciąż trzymał głowę prosto, udawał uprzejme zainteresowanie, ona wygodnie oparła swoją o jego ramię. Patrzyła rozmarzonymi oczyma.

Durand przebrał się w odpowiednie na taką okazję ubranie, a szybka wizyta w sklepie z sukniami (do której doszło tylko dzięki jego uporowi, choć to ona pierwsza poddała ten pomysł) przed przybyciem do restauracji pozwoliła zmienić jej podróżny kostium na olśniewającą kreację z białej satyny. Strój dopełniały kwiaty gardenii we włosach i na szyi. Na trzecim palcu lewej ręki miała ślubną obrączkę, na czwartym – piękny diament – ślubny podarunek męża dla żony, który był raczej dowodem jego radości z powodu wypełnienia kontraktu niż zaplanowanym prezentem.

Jej oczy, jak oczy każdego nowego posiadacza, powracały ciągle do tej ozdoby. Lecz kto odgadnie, kto stwierdzi, czy częściej zerkają na trzeci, czy na czwarty palec?

Kwiaty, wino, przyjaźnie uśmiechnięte twarze, toasty, życzenia wszystkiego dobrego. Początek wspólnego życia dwóch istnień. Lub też koniec dwóch, a początek jednego życia.

– Wymkniemy się teraz? – szepnął do niej. – Zbliża się północ.

– Tak, ale jeszcze raz zatańczymy. Poproś, żeby znów zagrali, a potem wyjdziemy i nie wrócimy już do stolika.

– Zaraz, jak tylko Allan skończy mówić – zgodził się. – O ile w ogóle ma zamiar skończyć.

Allan Jardine, jego partner w interesach, tak się zaplątał w labiryntach mowy gratulacyjnej, że nie mógł znaleźć sposobu na skończenie jej. Mówił już od dziesięciu minut, które wydawały się wiecznością.

Żona Jardine'a, która znalazła się na przyjęciu dopiero po zaciętej awanturze domowej, siedziała przy nim z surowym i niezadowolonym wyrazem twarzy. Choć była naburmuszona, robiła, co mogła, by wyglądać uprzejmie, w imię podtrzymywania dobrych stosunków w interesach męża. Złościł ją urok panny młodej, jej młodość i może ów niekonwencjonalny sposób, w jaki doszło do skutku to małżeństwo. Być może także powodem był fakt, że Durand w ogóle się ożenił. Jakby zwlekając tyle lat, nie mógł poczekać jeszcze kilku, aż ich córka dorosnie do wieku odpowiedniego do zamażpójścia. Jej marzenie, o którym nawet mąż nie miał pojęcia. Teraz już nigdy się nie dowie.

Durand wyjął małą kartkę i napisał na niej: „Zagrajcie kolejnego walca”. Potem zawiązał ją w banknot, dał znak kelnerowi i poprosił o podanie jej muzykom.

Żona Jardine'a ukradkiem ciągnęła męża za brzeg fraka. Dawała znaki, żeby zakończył swoją orację.

– Allan – wysyczała. – Dość tego. To jest przyjęcie weselne, a nie zebranie.

– Już kończę.

– Już skończyłeś – zapadł wyrok, poparty energicznym jak gilotyna uderzeniem ręki.

– I tak oto oddaję dwóch nowych praktykantów do tego wspaniałego i szczęśliwego zawodu, jakim jest małżeństwo. Julię („Czy wolno mi?” – z ukłonem w jej stronę) i Louisa.

Wzniesiono kieliszki. Jardine wreszcie usiadł, otarł pot z czoła. Jego żona wachlowała – się ręką. Miała otwarte usta, jakby chciała się pozbyć nieprzyjemnego posmaku.

Zabrzmiała muzyka.

Durand i Julia wstali. Ich skwapliwość, chociaż zrozumiała, wydać się mogła bardzo nieuprzejma.

– Przepraszamy, ale chcemy zatańczyć to razem.

Durand mrugnął do Jardine'a, dając mu do zrozumienia, żeby nie spodziewali się ich z powrotem.

Jardine przekazał wiadomość żonie, zasłaniając usta ręką, gdy państwo młodzi odeszli od stolika. Wydawało się, że to przepełniło czarę goryczy. Jakby na potwierdzenie swojej postawy, ściągniętymi ustami pociągnęła łyk wina.

Smyczki skrzypiec uniosły się i opadły, zaczynając grać walca z „Romea i Julii”.

Przez chwilę stali zwróceni do siebie twarzami, on i ona, w zwykłym wstępie. Potem ona schyliła się, by ująć w rękę rąbek swojej falbaniastej sukni, a on rozchylił ramiona. Po chwili była już w jego objęciach.

Rozpoczął się walc, najszybszy ze wszystkich tańców towarzyskich. Wkoło i wkoło, i wkoło, potem zwrot i znów wkoło, i wkoło, i wkoło, w drugą stronę. Stoły i twarze przemykały przed ich oczami, jakby stali nieruchomo w samym centrum wiru; światła lamp na ścianach zmieniły się w

smugi komet.

Głowę odchyliła nieco do tyłu, patrząc mu przy tym prosto w oczy, jakby chciała powiedzieć: „Jestem twoja. Zrób ze mną, co chcesz. Gdzie ty pójdziesz, tam i ja. Pójdę z tobą wszędzie”.

– Jesteś szczęśliwa, Julio?

– Czyż nie widać tego na mojej twarzy?

– Nie żałujesz, że przyjechałaś do Nowego Orleanu?

– Czy na świecie są jakieś inne miejsca prócz Nowego Orleanu? – zapytała z czarującą mocą.

Wkoło i wkoło, i wkoło. Byli sami, tylko we dwoje, choć dookoła wirowało mnóstwo innych sukien.

– Nasze wspólne życie będzie jak ten walc, Julio. Takie płynne i harmonijne. Żadnego zwrotu, żadnej fałszywej nuty. Zawsze razem i tak blisko jak teraz. Jedna myśl, jedno serce, jedno ciało.

– Walc przez całe życie – szepnęła zachwycona. – Skrzydlaty walc. Nigdy niekończący się walc. Walc w blasku słońca, walc w błękicie, w złocie... w najczystszej bieli.

Zamknęła oczy w ekstazie.

– Tu jest boczne wyjście. Nikt nie patrzy.

Zatrzymali się zrećźnie na czubkach palców, podobni do łyżwiarzy. Rozłączyli się i rzucili szybkie spojrzenia na nieświadomy niczego, na wpół przysłonięty przez tańczące pary weselny stół. Poprowadził ją przed sobą, mijając palmy, brązowy posąg nimfy, rzeźbioną kolumnę. Minęli główną jadalnię i przeszli przez hol obok zmywalni, pachnący gotowanym jedzeniem i rozbrzmiewający głosami ludzi, których nie widzieli. Mijali wszystko i wszystkich, a ona chichotała jak psotny kociak.

Ujął ją za łokieć. Teraz szedł pierwszy, ciągnąc ją za sobą. Szybko, po niewielkich schodkach, wybiegli na zewnętrzną alejkę otaczającą budynek. Stamtąd wreszcie na ulicę. Ręką przywołał dorożkę. Chwilę później siedział obok niej, czule obejmował ją ramieniem.

– Na ulicę Świętego Ludwika – rzucił dumnie. – Powiem, gdzie się zatrzymać.

Gdy dzwony w pobliskiej katedrze Świętego Ludwika zaczęły wydzwaniać północ, Louis Durand i jego świeżo poślubiona żona mknęli szybko do swojego nowego domu.

Rozdział 6

Dom był pusty, czekał. Czekał, żeby zacząć swoją historię, która dla domu jest historią jego mieszkańców. W każdym pokoju stały zapalone lampy naftowe pozostawione najwidoczniej przez ciotkę Sarę. Ich maleńkie jak paciorki płomienie, bezpieczne pod szklanymi kominami, płonęły wystarczająco wysoko, by rozproszyć ciemności i jarzyć się bursztynową poświatą. Nadal było czuć w powietrzu tę samą mieszaną trocin, farby i kitu, doprawioną domieszką pokostu, ale zapach nie był już tak silny, bo na podłodze leżały dywany, a w oknach wisiały zasłony.

Ktoś przyniósł kwiaty do salonu. Były to niedrogie kwiaty polne, wesole i kolorowe, niemniej jednak wspanialsze od jakichkolwiek innych, kupionych w kwiaciarni. Bukiet, ozdobiony gałązkami bazi, przypominał kolce jeża, a jego cudowny aromat dochodził z szerokiej misy ustawionej na głównym stole salonu.

Nawet zegar już nakręcony rozpoczął swoją wędrówkę. Był to nowy kominkowy zegar importowany z Francji. Tarcza wykonana została z zielonego onyksu, a obie jej strony ozdobiły łańcuchy róż odlanych z brązu, po których wspinał się mały kupidyn z motylimi skrzydłami. Pracowite tykanie zegara dodało odrobinę pewności, domowego spokoju, gdyż inaczej panowałaby tu kamienna cisza.

Wszystko było gotowe, brakowało tylko mieszkańców.

Dom czekał na mężczyznę i jego żonę, aby przyszli i objęli go w posiadanie.

Dźwięczny stukot końskich kopyt zbliżył się wśród ciszy panującej na zewnątrz, a po chwili zatrzymał się z podwójnym klapnięciem. Osie zaskrzypiały przy zmianie ciężaru, potem uspokoiły się. Profesjonalne cmoknięcie woźnicy i kopyta rozpoczęły na nowo swoją wędrówkę w ciszę.

Delikatne szuranie skórzanych podeszew po kamiennej drodze, niczym figlarny szept, sekret zdradzony jednej stopie przez drugą.

Chwilę potem w wejściowych drzwiach przekręcono klucz.

Stali w otwartych drzwiach. Durand i ona. W bursztynowym blasku światła wylewającego się z domu, na tle nieba usianego gwiazdami. Stali nieruchomo, nieświadomi tego, co było przed nimi, ani tego, co było za nimi. Twarzą w twarz, jego ramiona wokół niej, jej dłonie na jego piersi.

Nic się nie poruszało, ani oni, ani gwiazdy nad ich głowami, ani też otwarty dom zapraszający do środka. Był to jeden z tych zaczarowanych, niepowtarzalnych momentów. Pocałunek na progu małżeństwa.

Czar prysł. Chwila nie może trwać w nieskończoność. W końcu zmieszali się, odsunęli się od siebie, a Durand powiedział czule:

– Witam panią, w pani nowym domu, pani Durand. Niech pani znajdzie w nim tyle szczęścia, ile pani do niego wnosi.

– Dziękuję – wymruczała, spuszczać na chwilę oczy. – I wzajemnie.

Pochwycił ją na rękę. Dół sukni zaszeleścił, gdy uniósł ją w górę. Wysuniętym ramieniem otworzył wahające się drzwi i przeniósł ją przez próg. Potem pochylił się i postawił ją na ziemi. Koronkowy dół jej sukni zafalował ponownie.

Wszedł do środka, zamknął drzwi i zaryglował je.

Stała w miejscu i rozglądała się wokół z zainteresowaniem.

– Podoba ci się? – zapytał.

Podszedł do lampy i przekręcił małe kółko, zwiększając płomień. Potem podszedł do następnej, i następnej, wszędzie tam, gdzie zostały umieszczone. Ściany rozjaśniły się. Nie były już koloru przyciemnionej kości słoniowej, lecz najczystszej bieli. Świeżość wszystkich przedmiotów była teraz wyraźnie widoczna.

– Podoba ci się? – Rozpromienił się, jakby nagrodą za to wszystko miało być jej zdanie.

Złożone ręce trzymała na wysokości twarzy. Wyglądało, jakby wykonywała jakąś pieśń pochwalną.

– Och, Louis – westchnęła. – Jest idealny. Jest śliczny.

– Jest twój – powiedział, a sposób, w jaki obniżył głos, świadczył, jak bardzo ceni sobie jej uznanie.

Ciągle złożone ręce przyłożyła do jednego policzka i lekko przechyliła głowę. Potem do drugiego.

– Och, Louis – to wszystko, co była w stanie powiedzieć. – Och, Louis...

Poszli potem na krótką wycieczkę, zwiedzając kolejne pokoje. Pokazał jej salon, jadalnię i wszystkie pozostałe pomieszczenia. W każdym pokoju coraz ciszej wzdychała „Och, Louis”, a w ostatnim, całkiem bez tchu, szepnęła tylko „Och”.

Wreszcie znaleźli się z powrotem w holu, a on, trochę nieśmiało, powiedział, że pozamyka wszystkie drzwi.

– Trafisz sama do naszego pokoju? – zapytał, gdy zwróciła się w stronę schodów. – Czy mam iść z tobą na górę?

Spuściła skromnie wzrok i odparła: – Myślę, że sobie poradzę. Jedną z mniejszych lamp włożył jej do ręki.

– Na wszelki wypadek weź to ze sobą. Najprawdopodobniej masz już zapalone światło na górze, ale kto wie.

Kiedy tak trzymała lampę blisko siebie, a światło oświetlało ją swoimi promieniami dokładnie na wysokości serca, jej twarz wydała mu się obliczem madonny. Przypomniała mu niewypowiedziane piękny obraz ze starej europejskiej katedry, który ożył przed oczami oddanego wielbiciela, nagradzając jego wiarę. Cud miłości.

Zrobiła krok w górę. I następny. Anioł opuszczający z żalem ziemski padół.

Wyciągnął lekko rękę, tak jakby chciał dotknąć powietrza i zatrzymać ją jeszcze przez chwilę.

– Do zobaczenia wkrótce – rzekł czule półgłosem.

– Wkrótce – szepnęła.

Odwróciła się i czar prysł. Była zwyczajną kobietą w wieczorowej sukni, idącą po schodach.

Urocze draperie z tyłu sukni falowały lekko podczas wchodzenia. Wolną ręką trzymała się poręczy.

– Zwróć uwagę na tapetę – rzucił za nią. – Ona ci podpowie.

Odwróciła się i spojrzała badawczo, jakby nie rozumiejąc.

– Jak to?

– Kiedy wejdiesz do pokoju, po tapecie poznasz, że to ten.

– Ach – mruknęła posłusznie, ale chyba w dalszym ciągu nie rozumiała go do końca.

Kiedy dotarła do szczytu schodów i minęła ostatni stopień, jej postać zaczęła maleć, aż jej ramiona, a później głowa całkowicie zniknęły. Światło lampy odbijające się na suficie było coraz mniejsze i również się ulotniło.

Poszedł najpierw do salonu, a potem do następnych pokoi na parterze. Zamknął wszystkie okna, które nie były jeszcze zamknięte, i sprawdził już pozamykane. Następnie zaciągnął wszystkie zasłony tak, by dokładnie zachodziły jedna na drugą. Nocne powietrze jest niezdrowe, wiadomo to wszystkim, lepiej więc nie wpuszczać go do śpiącego domu. W końcu zgasił we wszystkich pokojach lampy zapalone na ich powitanie.

W kuchni ciotka Sara zostawiła kiść pięknych zielonych winogron, które ułożone na tacy, były jeszcze jednym dowodem miłego powitania ich dwojga. Oderwał jedno i włożył do ust, uśmiechając się lekko na wspomnienie jej zapobiegliwości, po czym i tu zgasił światło.

Ostatnia lampa została zgaszona i szedł teraz wolno po ciemnych schodach, ale ta ciemność nie była mu obca, chociaż był w tym domu nie dłużej niż pół godziny. Ciemność we własnym domu nigdy nie jest obca ani straszna.

Równie ciemno było na górze, ale zdołał odnaleźć drogę do ich wspólnego pokoju, prowadzony smugą światła widoczną na suficie.

Zatrzymał się i stał przez chwilę.

Potem zapukał; udawał, że jest oficjalny.

Po sposobie, w jaki to zrobił, z pewnością wyczuła jego nastrój, bowiem odpowiedziała mu w zbliżony sposób.

– Kto tam się dobija? – rzuciła z udawaną powagą.

– Twój mąż.

– O! I cóż on mówi?

– Czy wolno mu wejść?

– Niech wie, że tak. Może wejść.

– A kto mnie zaprasza?

Odpowiedź była prawie niedosłyszalna, ale nawet tak cichą usłyszało jego serce.

– Twoja żona.

Rozdział 7

Wracając z biura do domu, jakiś tydzień, a może dziesięć dni później, gdy nie zastał jej w żadnym z pokoi na dole, popędził po schodach, by powitać ją na górze. Uspokajał swoje obawy, chciał ją zaskoczyć, podejść niespodziewanie od tyłu, zasłonić oczy i kazać jej odgadnąć kto to, jakby mogła nie wiedzieć, jakby mógł być to ktoś inny. Ale cóż, powroty do domu ciągle jeszcze były najprzyjemniejszą częścią tego rytuału – chociaż powtarzane każdego dnia, za każdym razem były cudownym oczekiwaniem tego, co niesie ze sobą pierwsze spotkanie.

Drzwi do ich pokoju były otwarte, a ona siedziała swobodnie, odwrócona tyłem do wejścia, na wygodnym, wysokim krześle. Widać było tylko czubek jej głowy. Stał tak chwilę na progu, niedostrzeżony, pieścił ją wzrokiem. Widział, jak jej ręka leniwie przewraca kartki książki, którą czyta.

Ruszył w jej stronę, zamierzając pochylić się nagle nad oparciem krzesła i przycisnąć usta do czubka jej głowy, która w blasku zachodzącego słońca była miedzianoruda. Ale gdy zbliżył się nieco i gdy jej zasłonięta do tej pory postać pojawiła się przed nim, zobaczył coś, co sprawiło, że zatrzymał się zdumiony, niedowierzający. To sprawiło, że zmienił swoje zamiary. Podeszedł teraz otwarcie, szerokim łukiem obszedł krzesło i zatrzymał się przed nim z bolesnym zdumieniem na twarzy.

Zauważyła go, spojrzała w górę. Zamknęła książkę, wydając przy tym pomruk zadowolenia.

– Jesteś, kochanie? Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Julio – w jego głosie zabrzmiało czyste niedowierzanie.

– O co chodzi?

Gestem ręki próbował jej wskazać przyczynę, ale dalej nie rozumiała. Musiał wyrazić ją słowami.

– Chodzi o to, jak siedzisz...

Nogi miała skrzyżowane po męsku. Jedno kolano bezwstydnie wystawało ponad drugie; łydka śmiało wysunięta do przodu, jedna ze stóp bujała się niedbale, choć teraz już zastygła.

Nie tylko brzeg jej sukni odkrywał śmiałość tej pozycji, ale i wyraźne wcięcia zbytnio ją podkreślały. Naprawdę siedziała skandalicznie ordynarnie, nie tylko według ówczesnych standardów dobrego zachowania, ale według jakichkolwiek zasad. Siedzenie w ten sposób oznaczało dla kobiety nie tylko gapienie się na nią, lecz nawet ostracyzm i żądanie bezzwłocznego opuszczenia pomieszczenia. Żadna kobieta, nawet największa flirciarka, nie siedziała inaczej niż z kolanami złączonymi razem i stopami płasko opartymi o podłogę. Co najwyżej jedna z nich, dla większego wdzięku, mogła być lekko cofnięta. Niemoralność leży nie w naturze samego uczynku, ale w lekceważeniu ogólnie przyjętych norm. Tak więc błaha niedbałość w postawie może być bardziej szokująca w dobie surowych zasad dotyczących zachowania niż prawdziwe wykroczenie przeciw tym zasadom w czasach bardziej swobodnych. Jedno nie jest w stanie zrozumieć drugiego i uważają się wzajemnie za prawdziwie śmieszne.

Lecz nie tak było tym razem.

Durand nie był bardziej pruderyjny niż inni, ale zobaczył właśnie coś, czego nigdy wcześniej nie widział u żadnej innej kobiety. Nawet gdy za kawalerskich czasów odwiedzał „akademię” madame Rachel, nie zauważył, by któraś z jej „młodych dam” zachowywała się podobnie. A to była jego własna żona w jego własnym domu.

– Czy zdarza ci się siadać w ten sposób przy innych okazjach? – dopytywał z zakłopotaniem.

Subtelnie, prawie ukradkiem, obraźliwie złączone kolana rozłączyły się, a wystająca noga postawiona została obok drugiej. Zmieniwszy pozycję w prawie niezauważalny sposób, siedziała znowu tak, jak inne damy czyniły to nawet w samotności, nawet w obecności swoich mężów.

– Nie – zaprotestowała cnotliwie, zaciskając w przerażeniu dłoń. – Oczywiście, że nie. Jakże mogłabym? Ja... ja byłam sama w pokoju i musiałam to zrobić zupełnie bez zastanowienia.

– Ale pomyśl, co by było, gdyby ci się to zdarzyło tak samo bez zastanowienia w obecności innych.

– Nie zdarzy się – przyrzekła, zaciskając w przerażeniu dłoń na samą myśl o tym. – Nigdy wcześniej się nie zdarzyło i nigdy więcej się nie zdarzy.

Zakończyła temat, wyciągając oczekująco twarz w jego kierunku.

– Jeszcze mnie nie pocałowałeś.

I w chwili, gdy jego usta odnalazły jej, cały incydent przestał istnieć.

Rozdział 8

Z zaróżowionymi policzkami, zamglonym wzrokiem wyglądała uroczo w świetle poranka. Ciepła żółć jej porannej toalety współgrała z promykami słońca padającymi na nią. Szybko ubiegła ciotkę Sarę i wzięła dzbanek z jej ręki. Jak codziennie upierała się, żeby sama nalać sobie kawy. Uśmiechnął się zmieszany, jak to robił zawsze, kiedy obserwował tę sytuację.

Następnie wzięła małe srebrne szczypczyki i zacisnęła je na błyszczącej kostce cukru. Ostrożnie przeniosła ją nad brzegiem filiżanki i wypuściła bezpośrednio nad kawą, żeby nie opryskać stołu.

Rozpromienił się.

– Będzie słodka – mruknął.

Otarła szybko o siebie opuszki palców, chociaż właściwie ich nie zabrudziła. Pocałowała go w skroń i wokół stołu pospieszyła na swoje miejsce. Usiadła z lekkim szelestem.

Nie mógł opędzić się od myśli, że oto ona jest małą dziewczynką, która nakłania małego chłopca do zabawy w dom. Ty będziesz tatusiem, a ja będę mamusią.

Uniosła filiżankę. Jej oczy wciąż uśmiechały się do niego, aż w końcu musiała je spuścić, by sprawdzić, czy dokładnie umieściła brzeg filiżanki między wciąż niewiarygodnymi, zawsze niewiarygodnymi, małymi ustami.

– Naprawdę wspaniała kawa – zauważyła, gdy wypła mały łyk.

– To jedna z naszych kaw. Jeden z najlepszych gatunków z magazynu. Od czasu do czasu każę przesłać mały worek kawy na użytek domowy.

– Nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Jest taka orzeźwiająca w chłodny poranek. Nie ma nic lepszego.

– Mówisz tak, bo zaczęłaś naśladować ciotkę Sarę?

– Nie. Ja zawsze, całe życie...

Przerwała, gdy spostrzegła, że patrzy na nią bardzo wnikliwie. Ożywiona rozmowa nagle zamarła.

Jakieś nieprzyjazne, trudne do nazwania fluidy przepłynęły między nimi. Wydawało się, że przejęła od niego cały chłód. Jej twarz stała się napięta, czujna. Było to zażenowanie, chłodny dotyk pewności. Było to przykre doznanie, poczucie straty, takie jak wtedy, gdy wśród złotych monet odkrywamy nagle bezwartościowy stalowy krążek.

– Ale... – zaczął i nie skończył.

– Tak? – spytała z wysiłkiem. – Miałeś zamiar coś powiedzieć? – Zacisnęła jedną dłoń nad krawędzią stołu, usiłując zebrać się w sobie.

– Nie, ja... – Przełamał się, mimo wszystko zaczął mówić. – Ale kiedyś w liście pisałeś zupełnie co innego. Opowiadałeś, jak rano schodzisz na herbatę. Wyłącznie herbata cię orzeźwia. Nie znosisz kawy. „Ciężki, smolisty napój”. Wciąż pamiętam nawet najdrobniejsze twoje słowo...

Uniosła filiżankę, wypła łyk. Nie była więc w stanie nic powiedzieć, dopóki nie usunęła „tego” na bok.

– To prawda – szybko wyrzuciła z siebie, kiedy odzyskała pewność siebie. – Ale to z powodu mojej siostry.

– Przecież to co lubisz, jest twoje! Jak siostra mogła na to wpływać?

– Mieszkałam w jej domu – wyjaśniła. – Ona lubiła herbatę, ja kawę. Przez wzgląd na nią, żeby nie nakłaniać jej do picia tego, czego nie lubi, udawałam, że ja też lubię herbatę. Napisałam o herbacie w liście, bo czasami przed wysłaniem pokazywałam jej listy, i nie chciałam, żeby odkryła moje małe kłamstwo.

– Och. – Uśmiechnął się. Omal nie westchnął z ulgi.

Wybuchnęła śmiechem. Zbyt głośnym jak na tak błahą przyczynę.

Jakby chciała pozbyć się zdenerwowania.

– Szkoda, że nie mogłeś zobaczyć swojej twarzy – powiedziała. – Przez chwilę nie wiedziałam, co cię gryzie.

Wciąż się śmiała. On też zaczął się śmiać. Oboje opanowała głupkowata wesołość.

Ciotka Sara, która weszła do pokoju, dołączyła do ich śmiechu. Tak samo jak oni nie bardzo wiedziała, jaka jest jego przyczyna.

Rozdział 9

Jej cera zdumiewała go. Była zdolna do szybkich i niespodziewanych zmian, niemal w mgnieniu oka. Wprawdzie te wypieki i bladeści nie pojawiały się na jego oczach, ale zachodziło to w tak krótkim czasie, że można użyć takiego określenia.

To nie były zwykłe rumieńce, gdyż nie zanikały wkrótce po swoim pojawieniu się, jak powinny. Gdy jej cera zmieniała się, gdy kolory się uwydatniły, pozostawały godzinami.

Szczególnie rano było to widoczne. Kiedy odsłaniał okna i odwracał się, by na nią popatrzeć, jej cera była jak kwiat kamelii. Jednak kilka chwil później, gdy schodziła po schodach, by dołączyć do niego przy stole, jej policzki pokrywał świeży róż pierwiosnków. Ten odcień podkreślał błękit jej oczu i złocistość włosów. Czynił ją tak piękną, że patrzeć na nią stawało się niemal cierpieniem.

Pewnego wieczoru w teatrze (siedzieli w łoży) w przerwie między aktami sztuki nastąpiło takie samo przeobrażenie, ale wtedy przypisał je chorobie, choć gdyby tak było, nie przyznałaby się do tego. Spóźnili się i musieli poruszać się w mroku rozpraszającym tylko światłami sceny. Kiedy jednak w antrakcie lampy gazowe zajaśniały pełnym blaskiem, odkryła, że łoża obita jest zielonkawym adamaszkiem. Z nieznanym mu powodów zaniepokoiło to ją. Kolor obicia i jaskrawe światło lamp gazowych nadały jej twarzy żółtozielony odcień.

Wiele par oczu (zresztą jak zawsze, gdy się z nią gdziekolwiek pojawił) spojrzało na nią z parteru. Patrzyli zarówno mężczyźni jak i kobiety. Niejedna lornetka skierowała się w ich stronę, jakby nie było to wbrew dobremu wychowaniu.

Poruszyła się nerwowo w fotelu, potem nagle wstała, dotknęła jego nadgarstka i przeprosiła.

– Źle się czujesz? – zapytał i uniósł się, by za nią podążyć, ale już wyszła.

Wróciła, zanim światła zdażyły przygasnąć, i była zupełnie inną osobą. Makabryczny odcień znikł z jej oblicza; policzki płonęły teraz morelowym blaskiem, który tłumiał barwy rzucane przez światło gazowe i obicie łoży, i pozwolił jej urodzie wyłonić się w pełnym blasku.

Liczba lornetek, które ją śledziły, natychmiast się podwoiła. Niektórzy samotni mężczyźni nawet unieśli się z foteli. Czuło się raczej niż słyszało dochodzący z parteru syczący szept podziwu.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem. – Źle się poczułaś? Może kolacja...

– Nigdy lepiej się nie czułam! – stwierdziła pewnie. Siedziała teraz spokojna, rozluźniona. Zanim zgasły światła przed następnym aktem, obróciła się ku niemu z uśmiechem i strzepnęła z jego ramienia nieistniejący pyłek, jakby chciała pokazać, że jest on całym jej światem, światem, do którego sama należy.

Jednak pewnego ranka jego niepokój stał się zbyt silny, żeby mógł go opanować. Wstał od stołu, przy którym jedli śniadanie, podszedł do niej i dotknął jej czoła dłonią.

– Dlaczego to robisz? – spytała z niezmaconym spokojem, ale uniosła wzrok, by spojrzeć na jego rękę.

– Chciałem sprawdzić, czy nie masz gorączki.

Jej skóra w dotyku była chłodna, normalna. Wrócił na swoje miejsce.

– Julio, trochę się o ciebie niepokoję. Zastanawiam się, czy nie powinienem kazać lekarzowi cię zbadać, tylko po to, żeby się uspokoić. Słyszałem o pewnych... – Zawahał się. Nie chciał jej bez powodu zatrwożyć. – ... o pewnych dolegliwościach płuc, które w początkowym stadium nie dają żadnych objawów, tylko... aa... od czasu do czasu wywołują intensywne rumieńce na policzkach...

Myślał, że jej usta zaczną drżeć nerwowo, ale ułożyły się w lekki uśmiech, który rozpraszał wątpliwości.

– Ależ nie. Jestem zupełnie zdrowa.

– Czasami jesteś blada jak duch. Kiedy indziej z kolei... Przed chwilą, w naszym pokoju, byłaś nienaturalnie blada, a teraz twoje policzki są jak jabłka.

Odwróciła widelec, a potem położyła go tak, jak leżał poprzednio.

– To chyba zimna woda – powiedziała. – Mocno wklepuję ją w twarz, a to powoduje pojawienie się kolorów. Nie musisz więc dłużej się niepokoić. Naprawdę nie ma żadnego powodu do obaw.

– Ach! – wykrzyknął z ogromną ulgą. – To tylko *to* jest przyczyną? Kto by uwierzył!

Nagle obrócił głowę. Ciotka Sara stała w bezruchu, talerz, który zapomniała przynieść, trzymała w ręku. Patrzyła badawczo na twarz Julii.

Obserwując jej sondujące spojrzenie pełne ukrytej oceny, domyślił się, że ona – tak samo jak i on – niepokoi się o stan zdrowia swojej młodej pani.

Rozdział 10

Lektura gazety całkowicie go pochłonęła. Z trudem zdawał sobie sprawę, że gdzieś za nim ciotka Sara zajmuje się czynnością domową zwaną ścieraniem kurzu. Polegała ona na przetarciu szmatką powierzchni, które znajdowały się nie wyżej niż jej wzrok i pomachaniu nad tymi, których nie widziała. Niebawem usłyszał, że się zatrzymała. Ponętnie cmoknęła językiem. Domyślił się, że w końcu doszła do miejsca, gdzie kanarek Julii, Ptasio, siedział w pozłacanej klatce zawieszanej na pręcie wystającym obok okna.

– No i jak, mój śliczny? – przymilała się. – Co? Odpowiedz ciotce Sarze. Jak, mój śliczny ptaszku? – Z klatki doszedł cichy, składający się z jednego dźwięku trel ptaszka, nic więcej. – Możesz znacznie lepiej. No, postaraj się. Niech posłucham twojego śpiewu.

Kanarek wydał z siebie kolejny drżący dźwięk, tylko trochę różniący się od pisku. Starsza kobieta włożyła gwałtownie palec do klatki, widocznie z myślą, że pogłaszcze go po małych piórkach.

Jakby tylko to delikatne dotknięcie było potrzebne, mały, żółty mieszkaniec klatki natychmiast spadł na dno. Skulił się w bezruchu, opuścił głowę, wyraźnie nie był w stanie wrócić na poprzeczkę, z której spadł. Mrugał oczami, a poza tym nie dawał żadnych innych znaków życia. Ciotka Sara wszczęła alarm.

– Panie Lou! – wrzasnęła. – Niech pan tu przyjdzie! Coś się stało małemu, kochanemu ptaszкови pani Julii. Nie wiem, co mu się przytrafiło.

Durand, który od kilku minut obserwował ją przez ramię, szybko odłożył gazetę, wstał i ruszył w jej kierunku.

Zanim do niej doszedł, ciotka już otworzyła klatkę, słoniowatym ruchem włożyła rękę i wyciągnęła kanarka. Nie zrobił żadnego wysiłku, by zatrzepotać skrzydłami. Leżał jak martwy.

Oboje pochylili się nad nim z przejęciem, które mimowolnie miało domieszkę śmieszności.

– Ależ on jest zagłodzony. Wydaje się, że nic nie jadł od wielu dni. Pod piórami prawie nic z niego nie zostało. Niech pan dotknie. Niech pan tu spojrzy. Miseczka z nasionami zupełnie pusta. Nie ma też wody.

Nie przestawał mrugać do nich oczami, kurczowo trzymał się życia.

– Gdy się zastanowię, to od dwóch, trzech dni nie słyszałam, żeby śpiewał. W każdym razie nie śpiewał tak jak poprzednio.

Teraz także Durand uświadomił sobie to samo.

– Pani Julia gotowa się zapłakać – obwieściła starsza kobieta, złowieszco potrząsając głową.

– Ale kto go karmił, ty czy ona?

Spojrzała na niego zakłopotana.

– Hm! Ja... ja myślałam, że ona. Nic mi nie mówiła. Nigdy nie powiedziała, żeby to robiła. Był jej, więc myślałam, że nie chce, żeby ktoś inny go karmił.

– Musiała myśleć, że ty to robisz. – Zmarszczył brwi, zastanawiał się. – Ale dziwne, że nie

zapytała. Zajmę się tym. Idź i przynieś trochę wody.

Lekko ożywionego kanarka z powrotem włożyli do klatki. Wciąż uważnie go obserwowali, kiedy Julia weszła do pokoju. W końcu zrobiła toaletę.

Podeszła do Duranda, uniosła głowę i czule go pocałowała.

– Lou, kochanie, jadę na zakupy. Czy obejdiesz się beze mnie przez godzinę albo dłużej? – Potem, nie czekając na zgodę, podeszła do przeciwległych drzwi.

– Aha! Julio... – Musiał zawołać, żeby ją zatrzymać.

Stała i odwróciła się. Była rozkosznie cierpliwa.

– Tak, kochanie?

– Z ciotką Sarą zauważyliśmy, że Ptasio jest prawie martwy.

Myślał, że przynajmniej podejdzie na chwilę do klatki, by spojrzeć na kanarka. Nie ruszyła się. Wyraźnie spieszyła się, ale dla niego zniosła zwłokę.

– Nic mu nie będzie, kochana – szybko wtrąciła ciotka Sara. – Nie ma człowieka, zwierzaka ani ptaka, którego by ciotka Sara nie przywróciła do zdrowia. Tylko patrzeć, kiedy dojdzie do siebie.

– Naprawdę? – spytała nieco lakonicznie.

Sposób, w jaki zadała pytanie, sugerował, że jest poirytowana. Oczywiście to tylko moje przywidzenie – wmówił sobie.

Zacząła w pośpiechu wkładać rękawiczkę. Niedostrzegalnie zmienił się temat rozmowy: – Mam nadzieję, że nie będę miała problemu ze znalezieniem dorożki. Zawsze, kiedy chcę gdzieś pojechać, nie ma żadnej...

Ciotka Sara wśród wielu innych nieszkodliwych nawyków miała zwyczaj spóźniania się ze zmianą tematu rozmowy. Wciąż powracała do poprzedniego, chociaż wszyscy już o nim zapomnieli.

– Kochanie, za dzień lub dwa będzie śpiewał tak samo pięknie jak zawsze.

Julia rzuciła niecierpliwe spojrzenie.

– Czasami za dużo było tego pięknego śpiewania – odezwała się opryskliwie. – To była upragniona ulga... – Zwilżyła wargi, by za dużo nie powiedzieć. Znów zwróciła się do Duranda: – W oknie u Ottleya widziałam kapelusz, który po prostu muszę mieć. Mam nadzieję, że do tej pory nikt go jeszcze nie kupił. Mogę?

Rozpromieniał. Schlebiał mu respekt, który kazał jej pytać się o pozwolenie. – Oczywiście! Na Boga, zdobądź go za wszelką cenę. Weszło podbiegła do drzwi, otworzyła je gwałtownie.

– Dzięki, mój kochany. – Od drzwi przesłała mu pocałunek nad ręką.

Zamknęły się drzwi, w pokoju znów zrobiło się nieco mroczno. Ciotka Sara wciąż stała przy klatce.

– Byłam pewna, że podejdzie i spojrzy na niego – powiedziała z zakłopotaniem. – Myślę, że już go tak nie lubi.

– Musi. Wiozła go przecież z St. Louis – odparł obojętnie. Jeszcze raz zatopił się w gazecie.

Zresztą ten monolog kierowała do siebie, nie do pracodawcy. Jemu po prostu zdarzyło się go słyszeć.

Minęła chwila; kilka chwil w rzeczywistości. Uwaga Duranda skupiła się na zadrukowanej kartce znajdującej się przed nim.

Nagle jego wzrok oderwał się od kartki. Spojrzał nad nią.

Bez szczególnego powodu, po prostu się zamyślił.

Rozdział 11

Pewnego dnia przypomniał sobie ojej kufrze, kiedy akurat przysiadł na nim. Na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać, że to kufer, gdyż został zasłonięty narzutą w wesołe wzorki. Stał pod ścianą.

Była niedziela. Chociaż nie poszli do kościoła, nie zapomnieli o włożeniu świątecznych, najbardziej eleganckich ubrań. Nie zapomnieli także wyjść na spacer, by wymienić ukłony i być może kilka uprzejmych słów z przypadkowo spotkanymi znajomymi. Spacer w niedzielny poranek był ugruntowanym zwyczajem we wszystkich miastach w kraju.

Czekając, aż skończy toaletę, usiadł na jakimś meblu. Nie patrzył, co to jest, wystarczyło mu jedynie, że jest to płaskie i dostatecznie mocne, by na tym spocząć.

Tymczasem ona zaczęła nagle grymasić.

– Miałam to na sobie w ubiegłym tygodniu. Pamiętasz? Znow mnie w tym zobaczą. – I odłożyła suknię. – A to... nie wiem... – Lekko wydeła wargi. – Nie wyglądam w tym dobrze.

Ten strój też odrzuciła.

– To wygląda atrakcyjnie – zauważył ochoczo, przypadkowo wskazując jakąś kreację.

Skrzywiła się, słysząc, jakim jest ignorantem.

– Ale to strój codzienny, a nie *niedzielny*.

Śmiejąc się w duchu, zastanawiał się po cichu, po czym można to poznać, ale powstrzymał się od zadania pytania.

Wreszcie usiadła, coraz bardziej opóźniając ich wyjście.

– Nie wiem, co zrobić. Nie mam w czym się pokazać.

To stwierdzenie w połączeniu z faktem, że cały pokój zarzucony był już sukniami, wydało mu się tak zabawne, że nie mógł już dłużej się powstrzymać. Wybuchnął śmiechem. Jednocześnie z wesołości uderzył rękami w mebel, na którym siedział. Pod nakryciem wyczuł łatwy do rozpoznania gruszkowaty kształt zamknięcia kufra. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że siedzi na kufrze. Tym samym, który przywiozła ze sobą z St. Louis. Uświadomił sobie nagle, że od dnia swojego przyjazdu nigdy go jeszcze nie otworzyła.

– A co z tym? – zapytał. Wstał i ściągnął narzutę. Krwistoczerwone inicjały „J. R. „ umieszczone bezpośrednio pod zamknięciem rzuciły się w oczy. – Tutaj nic nie masz? Taki duży kufer. Może tu coś znajdziesz?

Tylko po to, żeby skierować na niego jej uwagę, przejechał ręką po wieku.

W tej samej chwili niemal z komiczną przesadą wbiła wzrok w suknię, którą trzymała przed sobą. Patrzyła na nią z tak bliskiej odległości, jakby była krótkowidzem lub szukała mikroskopijnych skaz w materiale.

– Ależ nie – mruknęła. – Tam nic nie ma, tylko łańchmany.

– Dlaczego nigdy nie widziałem, jak go otwierałaś? Bo nie otwierałaś go jeszcze, prawda?

Nie przestawała wpatrywać się w suknię. – Nie, nigdy – odparła.

– Sądzę, że powinnaś go rozpakować. Chyba zamierzasz tu pozostać? – Usiłował być dowcipny, nic ponadto.

Tym razem nie odpowiedziała. Zamrugnęła oczami przy pytaniu, ale mógł być to tylko przypadek.

– Dlaczego? – naciskał. – Dlaczego go nie otwierałaś? – Nie zmuszał jej do tego, chciał tylko znać odpowiedź.

Teraz zwróciła uwagę na pytanie.

– Nie... nie mogę – powiedziała cokolwiek niepewnie.

Wyglądało, że bez nagabywania nie ma zamiaru udzielić dalszych wyjaśnień, więc zapytał: – Dlaczego?

Zwlekała chwilę. – To... przez klucz... zginał. Nie mam go. Zgubiłam go na statku.

Gdy mówiła, podeszła do kufra i usiłowała pośpiesznie nakryć go narzutą, jakby była oburzona, że ją zdjął. Chociaż mogło to być tylko złudzenie wywołane szybkimi, nerwowymi ruchami jej rąk.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – protestował szczerze, myśląc po prostu o tym, by jej pomóc. – Każę wezwać ślusarza, żeby dorobił nowy. To nie zajmie dużo czasu. Poczekaj, niech zerknę...

Znów częściowo odsłonił kufer, podczas gdy ona, zdawało się, starała się go nakryć. Ponownie ukazały się wyraźne inicjały „J. R. „, ale tylko na chwilę.

Stuknął palcem w metalową płytkę. – Powinno być łatwe. To nieskomplikowany zamek.

Po chwili narzuta, którą trzymała w rękach, opadła niczym kurtyna, zasłaniając zarówno zamek, jak i inicjały.

– Pójdę i sprowadzę jakiegoś ślusarza – zaproponował i ruszył w stronę drzwi. – Może wzięć odcisk i skończyć pracę, zanim wrócimy z naszego...

– Nie możesz! – zawołała z niespodziewaną szorstkością, co mogło być spowodowane tym, że chciała, żeby ją usłyszał.

– Dlaczego nie? – zapytał i zatrzymał się.

Głośno wypuściła powietrze.

– Jest niedziela.

Obrócił się w drzwiach i zawiedziony wrócił.

– To prawda – przyznał. – Zapomniałem.

– Przez chwilę ja też – powiedziała. Znów głośno odetchnęła. Przypuszczalnie wyraziła tylko w ten sposób irytację z powodu opóźnienia, chociaż mylnie można było to wziąć za wyraz niewysłowionej ulgi. W każdym razie tak to zabrzmiało.

Rozdział 12

Rytuał kąpieli rozwijał się albo przynajmniej był przygotowywany gdzieś w głębi domu. Mógł tak powiedzieć na podstawie dźwięków, które do niego docierały, chociaż tego nie widział, bo znajdował się dwa pokoje dalej, w salonie przy ich sypialni. Zagłębił się w lekturze gazety. Mógł słyszeć, jak ciotka Sara wnosi z kuchni na dole ceberki z gorącą wodą, którą ogrzała na piecu, i opróżnia je, wlewając z głuchym odgłosem wodę do balii. Potem wielkie poruszenie – to zimna woda z kranu mieszała się z gorącą w balii. Następnie sprawdzanie, które Julia wykonywała, ostrożnie wkładając stopę do balii, po czym zwykle następowały ruchy i piski typu: „Za gorąca!” lub „Za zimna!”, jak i głośne zaprzeczenia ze strony pomocnicy, ciotki Sary: „Nie, nie jest. Niech pani nie będzie takim dzieckiem! Mąż siedzi na zewnątrz. Nie jest pani wstyd, że dowie się, jakim jest pani pieszczochem?”

– On nie musi o tym wiedzieć – dobiegła żalсна odpowiedź.

Poprzez ten zgłęk wywołany przygotowaniem kąpieli przebijały się trele Ptasia, który beztrósko śpiewał w pokoju znajdującym się pośrodku, w sypialni.

Ciotka Sara przeszła przez pokój, w którym siedział Durand. W obu rękach trzymała puste cebry.

– Na pewno jest małą śliczną istotą – skomentowała. – Biała jak mleko i delikatna jak jedwab. Ma budowę, że ho! ho!

Nagle rumieniec oblał jego twarz. Uplýnęło trochę czasu, zanim znikł. Udawał, że uwaga nie była skierowana do niego, starał się ją zignorować.

Zeszła po schodach.

Brawurowe wysiłki kanarka wzniosły się do triumfalnego, nieprzerwanego, niemal ogłuszającego trełu. Nagle śpiew gwałtownie się urwał.

To było – musiał teraz przyznać – naprawdę dużo hałasu jak na tak małego ptaszka.

Zapadła dziwna, niemal całkowita cisza.

Potem dudniący, falujący odgłos, taki jak zwykle powstaje, gdy ciało zupełnie zanurza się w wodzie.

Następnie tylko sporadyczne pluskanie.

Wróciła ciotka Sara. Zatrzymała się po drodze, by wytrząsnąć i sprawdzić puszysty ręcznik, który niosła ze sobą, nagrząny dzięki uprzejmości pieca w kuchni. Weszła do sypialni.

– Halo – usłyszał jej głos stamtąd. – Jak tam, mój ptaszku? Jak tam, mój żółty maluszkę? – Nagle jej głos obniżył się, pojawiła się w nim przeraźliwa prośba. – Panie Lou! Panie Lou!

Wbiegł do sypialni.

– On nie żyje.

– Niemożliwe. Śpiewał zaledwie przed minutą.

– Nie żyje, mówię panu! Niech pan spojrzy, sam zobaczy... – Wyciągnęła go z klatki, położyła na dłoni.

– Może potrzebuje wody i nasion jak ostatnio. – Ale dwa naczynia były pełne; od tego czasu ciotka Sara wzięła za to odpowiedzialność na siebie.

– To nie to.

Lekko przechyliła rękę.

Coś zsunęło się z brzegu dłoni, zawisło w powietrzu, podczas gdy ciało kanarka pozostało nieruchome.

– Jego szyja została złamana.

– Może spadł z poprzeczki... – usiłował niemądrze zasugerować, gdyż żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło mu do głowy.

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

– *One* nie spadają. Po co mają skrzydła?

Powtórzył: – Ale on śpiewał zaledwie kilka minut temu.

– To co było kilka minut temu, a co jest teraz, to dwie zupełnie różne rzeczy!

– ... i nikogo tutaj nie było. Nikogo, tylko ty i Julia...

Nie do wiary, ale w tej ciszy z przyległej łazienki można było usłyszeć, że Julia cicho zagwizdała jeden lub dwa takty.

Potem, jakby poniewczasie zdała sobie sprawę, jak nieprzystojnie jest grzeszną istotą, powstrzymała się, a woda cicho i wesoło zapluskiała na finał.

Rozdział 13

Zupełnie przypadkowo zdarzyło się, że przechodził ulicą, przy której znajdowało się jego poprzednie mieszkanie. Nie interesowało go; przeszedłby obok, rzucając jedynie czułe spojrzenie. Cel jego wyprawy znajdował się zupełnie gdzie indziej i tylko zdarzyło się, że tędy prowadziła najkrótsza droga.

Tak samo przypadkowo pani Tellier, właścicielka domu, wyszła na chwilę i stanęła w drzwiach, akurat wtedy, kiedy przechodził obok.

Powitała go wylewnie, okrzykami radości, które można było usłyszeć we wszystkich okolicznych domach. Objęła go ramionami niczym druga matka, zapytała o zdrowie, szczęście, o przyjemność, jaką znajduje w małżeństwie.

– Ale nam ciebie brakuje, Louisie! Wynajęłam twoje stare pokoje parze chłodnych mieszkańców północy (pobieram od nich podwójny czynsz), ale to nie to samo. – Potarła swój raczej duży nos ze wstrętem. Nagle znów się cała rozpromieniła. Coś sobie przypominając, strzeliła palcami. – A właśnie! Mam list, który czeka na ciebie. Przyszedł kilka dni temu, ale ja od tego czasu nie widziałam Toma, żeby zapytać o twój nowy adres i przesłać tam list. Wiesz, Tom przychodzi od czasu do czasu, by dla mnie pracować. Poczekaj tutaj, przyniosę list.

Klepnęła go szybko trzy razy po piersi, jakby chciała go nakłonić, żeby czekał cierpliwie, co do tej pory robił. Odwróciła się i wbiegła do domu.

W tej chwili uświadomił sobie ze smutkiem, że zupełnie zapomniał o zmianie adresu, gdy przeprowadził się do nowego domu na ulicy Świętego Ludwika. Nie było to szczególnie ważne, bo poczta handlowa cały czas przychodziła do biura, a osobista korespondencja, którą prowadził, nigdy nie była istotna, z wyjątkiem umizgów do Julii, ale te dobiegły do szczęśliwego końca. Wejdzie do urzędu pocztowego, gdy będzie wracał do domu, i poda swój nowy adres tylko po to, żeby nie przeoczyć takich sporadycznych przesyłek jak ta.

Tymczasem wróciła pani Tellier: – Proszę. Czy to nie szczęście, że przypadkiem przechodziłeś tędy?

Aby się po prostu upewnić, rzucił krótko wzrokiem na nazwisko adresata, gdy wziął list z jej rąk. „Pan Durand” – napisano maczkiem; jedynie duże litery P i D były wyraźne, pozostałe zlewały się. Jednak bez wątpienia na liście było jego nazwisko, więc nie przyglądał się uważniej kopercie. Włożył ostrożnie list do bocznej kieszeni płaszcza, by go później przeczytać, i szybko zapomniał o nim.

Ich pożegnanie było równie entuzjastyczne i serdeczne jak powitanie. Pocałowała go w czoło, co było rodzajem matczynego błogosławieństwa, potem wytrwale machała mu ręką, kiedy mijał kolejne domy na ulicy, a w końcu dotknęła nawet fartuchem kącika oka, zanim odwróciła się i weszła do środka. Ta pani Tellier płakała z byle powodu; płakała po jednym kieliszku wina albo na widok kogoś, kogo wcześniej znała. Mogły być to nawet osoby, które kiedyś brutalnie wyrzuciła z domu za niepłacenie czynszu.

Załatwił sprawę i wrócił do biura. Ponownie pochłonęła go rutyna codziennej pracy.

Po raz drugi natknął się na list dopiero w przeciągu ostatniego kwadransa przed wyjściem do domu. Tak samo jak za pierwszym razem był to przypadek: włożył akurat rękę do kieszeni, by znaleźć chusteczkę.

Gdy przypomniał sobie o liście, przerwał pracę, wyciągnął go i otworzył. Odchylił się do tyłu, żeby go przeczytać. Ledwie jego wzrok padł na pierwsze słowa, zakłopotany przerwał czytanie.

Moja najdroższa Julio!

Ten list był do niej, nie do niego.

Znów spojrzął na kopertę, przyjrzał się jej uważniej, niż to zrobił na ulicy w obecności pani Tellier. Spostrzegł, co go wprowadziło w błąd. Mały zawijas po wyrazie „Pan”, tak mały, że prawie niezauważalny, był literą i.

Jeszcze raz wrócił do listu. Odwrócił go i spojrzął na dół drugiej strony.

Twoja zawsze kochająca i strapiona Berta.

Strapiona. Wydawało się, że to słowo wbiło się w niego niczym haczyk do wędki, przyciągnęło i napięło jego uwagę. Nie mógł się od niego oderwać.

Nie miał zamiaru dalej czytać. Ostatecznie był to list do niej.

W jakiś niewytłumaczony sposób początkowe słowa schwytały go w pułapkę, nie mógł przestać czytać, gdy ich znaczenie zawładnęło jego wzrokiem.

Moja najdroższa Julio!

Nie mogę zrozumieć, dlaczego traktujesz mnie w ten sposób. Z pewnością zasługuję na coś lepszego z twojej strony. Minęły już trzy tygodnie, jak mnie opuściłaś, i przez ten cały czas nie miałam ani jednego słowa od ciebie. Nawet najkrótszej linijki, w której byś napisała, czy szczęśliwie dotarłaś, czy spotkałaś się z panem Durandem, czy wyszłaś za mąż, czy nie. Julio, nigdy przedtem taka nie byłaś. Co ja mam myśleć? Czy możesz sobie wyobrazić, jak szaleję z niepokoju...

Rozdział 14

Czekał, aż zjedzą kolację, by o tym porozmawiać. Ponadto chciał to zrobić w najłagodniejszy sposób, unikać wyrzutów. Wyjął list i dał go jej, gdy poszli z jadalni do salonu i usiedli. Siedziała naprzeciw niego, przy oświetlonym przez lampę stoliku.

– Przyszedł do ciebie dzisiaj. Otworzyłem go przez pomyłkę, nie zauważyłem. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Wzięła kopertę i zaczęła oglądać ją ze wszystkich stron.

– Od kogo jest ten list? – spytała.

– Nie rozpoznałaś od razu?

Właśnie gdy miał zamiar zastanowić się, dlaczego sam charakter pisma nie powiedział jej tego, już wyjęła list, otworzyła go i mruknęła „Och”, tak więc pytanie nie miało szans, by się utworzyć w jego umyśle. Ale czy to „Och” oznaczało, że rozpoznała nadawcę, czy jedynie charakter listu albo też zupełnie coś innego, nie był w stanie stwierdzić.

Czytała go dość szybko, nawet pośpiesznie. Jej głowa, nieprzerwanie i nieznacznie, poruszała się wzdłuż każdej linijki, potem z powrotem. Dotarła do końca, przeczytała list.

Wydawało mu się, że na jej twarzy zauważył skruchę, która ujawniła się w nagłym roztargnieniu i po chwili znikła.

– Ona pisze... – częściowo zwróciła się do niego. – Czytałeś go?

– Tak, czytałem – odparł lekko skrepowany.

Włożyła list do koperty i dwukrotnie przyklepała ją tam, gdzie była rozerwana.

Spojrzał na nią czule, aby złagodzić swoje żądanie.

– Julio, napisz do niej – nalegał. – Ani trochę to ciebie nie przypomina.

– Napiszę – obiecała pełna skruchy. – Och, Louis, na pewno napiszę. – Splotła dłonie i spojrzała na nie, kiedy to zrobiła.

– Ale dlaczego nie zrobiłaś tego wcześniej? – ciągnął delikatnie. – Nigdy ciebie o to nie pytałem, bo byłem pewny, że napisałaś.

– Och, tyle się wydarzyło... Chciałam, niejednokrotnie chciałam, ale za każdym razem coś mi przeszkodziło. Zrozum, Louisie, ostatnich kilka tygodni było dla mnie początkiem zupełnie innego życia. Wydaje się, że wszystko nastąpiło w tym samym czasie...

– Rozumiem – powiedział. – Ale czy teraz już napiszesz? – Wziął gazetę. Pogrzyżył się w lekturze.

– To będzie pierwsza rzecz, którą zrobię – obiecała.

Minęło pół godziny. Odwracała teraz kartki grubego, zdobionego albumu. Cieszyła oczy miedziorytami, lekceważyła tekst.

Obserwował ją, ukradkiem rzucając spojrzenia spod przymkniętych powiek. Po niedługim czasie chrząknął, przypominając o sobie.

Nie zwróciła na to uwagi. Z dziecięcą gorliwością dalej przeglądała album.

– Powiedziałaś, że napiszesz do swojej siostry.

Spojrzała lekko zmieszana.

– Wiem, ale czy to musi być dziś wieczorem? Dlaczego nie mogę zrobić tego jutro?

– Ale chyba chcesz do niej napisać?

– Oczywiście, że chcę. Jak możesz o to pytać? Czy coś się stanie, jeśli zrobię to jutro?

Odłożył gazetę.

– Obawiam się, że ma duże znaczenie, kiedy list zostanie dostarczony. Jeśli napiszesz go teraz, może zostać zabrany z poranną pocztą. Jeśli poczekaś do jutra, będzie leżał cały dzień dłużej. Dalej będzie gnębił ją niepokój.

Wstał, zamknął za nią album, gdyż ona nie wykazywała ochoty, by sama to zrobić. Potem znieruchomiał na chwilę, przyjrzał się jej badawczo i zapytał:

– Nie żywiłyście do siebie urazy, prawda? Była jakaś kłótnia bezpośrednio przed twoim wyjazdem, o której mi nie powiedziałaś? – Zanim mogła się odezwać, jeśli miała taki zamiar, sam udzielił odpowiedzi: – Nie napisałyby, gdyby tak było.

Napięte przez chwilę mięśnie gardła rozluźniły się, jakby zrezygnowała z tego, co chciała powiedzieć.

– Jak ci mówiłam – mruknęła – jesteśmy przywiązane do siebie.

– No to napisz. Dlaczego jesteś taka uparta? Teraz jest najodpowiedniejsza chwila. Jak widzę, nie masz też innego zajęcia.

Objął ją obiema rękami i postawił na nogi. Chociaż nie stawiała oporu, czuł, że ciężar jej ciała przeciwstawia się jego wysiłkowi.

Musiał podejść do sekretarzyka i opuścić deskę do pisania. Musiał sam wyjąć czystą kartkę papieru i położyć ją lekko przekrzywioną.

Musiał wrócić i przyprowadzić ją za rękę z miejsca, w którym stała. Nawet potem, kiedy usiadła, musiał włożyć pióro między jej palce i zacisnąć je. Pogłaskał ją po głowie.

– Jesteś jak uparte dziecko, które nie chce odrobić lekcji – powiedział żartobliwie.

Próbowała się uśmiechnąć, ale efekt był co najmniej wątpliwy.

– Niech popatrzę na jej list – odezwała się w końcu.

Wrócił do stołu i przyniósł go jej. Wydawało się jednak, że spojrzała tylko na górny wiersz, jakby chciała przyjrzeć się nagłówkowi, by go skopiować. Chociaż – pomyślał – jest to na pewno jego czysta fantazja. Wielu ludzi musi zobaczyć list, zanim w należyty sposób na niego odpowie. Ona mogła być jedną z takich osób.

Szybko oderwała wzrok od listu i napisała na czystej kartce: *Moja droga Berto!* Mógł to zobaczyć, spoglądając nad jej ramieniem. Poza tym uznała chyba, że list od siostry nie będzie jej potrzebny. Odsunęła go nieznacznie na bok i nie zajmowała się nim więcej.

Pozwolił jej swobodnie pisać. Wrócił na swoje krzesło, ponownie wziął gazetę. Jednak zdawało się, że jej myśli nie spływają łatwo. Mógł słyszeć, że skrzypiąc piórem po papierze, napisała kilka słów, potem odgłos zamarł – nastąpiła dłuższa przerwa. Szybko dorzuciła kilka

następnych słów i znów zapadła cisza. Spojrzał na nią akurat w tym momencie, gdy mocno uderzyła się dłonią w czoło i przez chwilę ją przytrzymała.

W końcu usłyszał, że głęboko westchnęła, ale nawet po skończeniu zadania w powietrzu unosiła się nieprzewyciężona niechęć, nie ulga. Skrobanie piórem ucichło na dobre. Znudzona odłożyła je.

– Napisałam. Chcesz go przeczytać?

– Nie – odparł. – To jest między siostrami, mąż nie powinien tego czytać.

– Niech będzie – powiedziała nonszalancko. Różowym językiem zwilżyła brzeg koperty, zakleiła ją. Postawiła ją w biurku i miała zamiar zamknąć deskę do pisania. – Każę ciotce Sarze wysłać go jutro rano.

Wyciągnął rękę i wziął go, zanim jej ręce zdążyły go uprzedzić. Wyciągnęła obie, jednak trochę za późno. Nie sądziła, że stoi za nią. Wsunął list do wewnętrznej kieszeni na piersi i zapiął surdut.

– Sam zrobię to dla ciebie – powiedział. – Wychodzę z domu wcześniej. Tak będzie znacznie szybciej.

Zauważył, że zaskoczenie, niemal przerażenie, spowodowało, że jej oczy rozbiegły się, ale natychmiast wróciły do poprzedniego położenia. Pomyślał więc, że to musiała być pomyłka, że tego w ogóle nie widział.

Kiedy znów spojrzął na nią, wycierała opuszki palców w irchową wycieraczkę do piór, aby usunąć raczej domniemane, a nie rzeczywiste plamy. W tym momencie było to chyba jedyne jej zmartwienie, chociaż ściągnęła w zamyśleniu brwi, skupiając się na tym zajęciu.

Rozdział 15

Następnego ranka uznał, że nigdy do tej pory nie wyglądała bardziej uroczo i nigdy bardziej jej nie kochał. Cały jej dawny urok był teraz niczym lód wobec ognia.

Włożyła liliowe morowe jedwabie, mieniające się faliście, niezależnie, z której strony się spojrzało. Gdy szła, szeleściły, jakby były przesiąknięte miłością. Nie pozostała przy stole jak zwykle, ale towarzyszyła mu do drzwi, odprowadzała go. Objęła go w pasie, on otoczył ją ramieniem. Kiedy ukośnie padające światło słoneczne złowiło ją w swój blask, potem wypuściło i znów schwytało krok dalej, gdy przez cały korytarz bawiło się w mieniającą się barwami grę, pomyślał, że nigdy nie widział tak anielskiego piękna. Nieomal bał się myśleć, że należy do niego, idzie przy nim w jego własnym domu. Gdyby go poprosiła, żeby zginął dla niej, ucieszyłby się, że może to zrobić. Tak samo byłby zadowolony, że go o to poprosiła.

Zatrzymali się. Podniosła głowę znad jego ramienia. Sięgnęła po jego kapelusz, otrzepała go z kurzu i podała.

Pocałowali się.

Przygotowała surdut, rozpięła i pomogła mu go włożyć.

Pocałowali się.

Otworzył drzwi, żeby wyjść.

Pocałowali się.

Westchnęła. – Nienawidzę, gdy wychodzisz. Teraz będę zupełnie sama przez cały długi dzień.

– Co będziesz sama robiła? – zapytał skruszony, uświadamiając sobie nagle, i tylko na chwilę, że ona musi jakoś spędzić dzień, że będzie istniała podczas jego nieobecności. – Przypuszczam, że pójdziesz na zakupy – zaproponował pobłaźliwie.

Jakby odczytał jej myśli, jej twarz się rozjaśniła.

– Tak! – Znów spochmurniała. – Nie... – powiedziała smutno.

Natychmiast skupił swoją uwagę. – Dlaczego nie? Co się stało?

– Och, nic... – Odwróciła głowę; nie chciała mu powiedzieć.

Chwycił ją za podbródek i odwrócił głowę z powrotem. – Julio, chcę wiedzieć. Powiedz mi. O co chodzi? – Dotknął jej ramienia.

Usiłowała się uśmiechnąć. Bezskutecznie. Wyglądała przez drzwi. Musiał w końcu zgadywać.

– Chodzi o pieniądze?

Dobrze zgadł.

Nie zamrugała nawet powiekami, ale w jakiś sposób mu odpowiedziała. W każdym razie nie ustami.

Odetchnął z ulgą, prawie się roześmiał. – Moja mała, biedna i głupiutka Julia! – Natychmiast rozpiął surdut, sięgnął ręką do kieszeni. – Jakżeż! Musisz tylko poprosić. Nie wiesz o tym?

Tym razem odpowiedź nie mogła być błędnie zrozumiana.

– Nie! Nie! *Nie!* – O mało nie wybuchła, chociaż dąsała się i była rozdrażniona na dziecięcy sposób. Nawet tupnęła. – Nie lubię o to *prosić*. To nie jest przyjemne. Nie ma znaczenia, że męża. To też nie jest przyjemne. Zostałam w ten sposób wychowana i tego nie mogę zmienić.

Uśmiechnął się do niej. Stwierdził, że jest cudowna. Jednak wciąż nie rozumiał jej, co wcale nie stało w sprzeczności z poprzednim wrażeniem.

– Zatem czego chcesz?

– Nie wiem – udzieliła mu typowo kobiecej odpowiedzi i uniosła w zamyśleniu wzrok, jakby usiłowała rozważyć problem, znaleźć rozwiązanie.

– Ale chcesz iść na zakupy, prawda? Widzę to na twojej twarzy. A mimo to nie chcesz, bym dawał ci pieniądze.

– Czy jest inna możliwość? – zwróciła się do niego bezradnie, jakby chciała pozbyć się skrupułów.

– Mogę wkładać je nie proszony pod twój talerz, żebyś znajdowała je przy śniadaniu. – Uśmiechnął się z przymusem.

Nie dogodził jej ten pomysł. Pokręciła zamyślona głową, ciągle rozważała problem. Palcem dotykała zębów. – Czy nie mogłabym mieć swojego małego konta? Tak jak ty masz, tylko... Och, tylko *małego*... małego...

Zanim mógł z radością zgodzić się na to, co zamierzał zrobić, postanowiła inaczej.

– Nie, to sprawiłoby zbyt dużo kłopotu. Te wszystkie formalności i tak dalej... – Już była bliska, żeby znów wpaść w przygnębienie, ale odzyskała dobry nastrój, jeszcze raz rozpromieniła się, gdy nowa możliwość przyszła jej do głowy. – A może lepiej, gdybym korzystała z twojego? – Odkrywszy to rozwiązanie, w triumfie rozłożyła ręce. – To by było jeszcze prostsze. Zażądaj po prostu, żeby konto było nasze. Ono przecież już istnieje.

Opuścił nisko ręce, poklepał się po udach. – Świetnie! To ci sprawi radość? Tylko tęga pragniesz? Niech Bóg błogosławi twoje małe ufne serce. Zrobimy to!

Wpadła w jego ramiona niczym strzała, piskiem sygnalizując swoją radość. – Och, Louisie. Będę się czuła ważna, bardzo ważna. Naprawdę mogę? I będę mogła wypisywać swoje czek jak ty?

Kochać kogoś, to dawać, a jeśli chcesz dawać więcej, nie pytaj. Gdy się zastanawiasz, to nie jest już miłość.

– Własną ręką, swoje czek, które będziesz trzymała w swojej portmonetce. Spotkamy się w banku o jedenastej. Czy ta godzina ci odpowiada?

Jedynie dotknęła jego policzka swoim.

– Będziesz wiedziała, jak znaleźć ten bank?

Jedynie dotknęła jego policzka swoim, tym razem drugim.

Pozwoliła, żeby był w banku wcześniej – to był jej kobiecego przywileju. Jednak kazała mu czekać kilkanaście sekund. W rzeczywistości tak szybko weszła za nim na swoich bardzo

wysokich obcasach, że można było pomyśleć, iż czekała na niego gdzieś za rogiem, tylko po to, by wpuścić go pierwszego.

Zagadnęła go, zanim zdążył zrobić pierwszy krok na korytarzu.

– Louisie – odezwała się, łapiąc go za nadgarstek, aby zatrzymać na chwilę. Odciągnęła go na bok. – Myślałam o tym od czasu, gdy wyszłam z domu. Nie jestem pewna, czy... czy mimo wszystko chcę, żebyś to zrobił. Możesz pomyśleć, że jestem jedną z tych bezczelnych żon, które... Nie lepiej, gdyby zostało tak jak do tej pory?

Poklepał ją po dłoni, którą objęła jego nadgarstek. – Julio, ani słowa więcej – powiedział, okazując męski autorytet. – Ja tak chcę.

Teraz miał pewność, że od samego początku był to jego pomysł.

Uległa jego nakazowi – co było jej obowiązkiem jako żony – z lekkim ukłonem. Ujęła go pod ramię. Towarzyszyła mu, idąc powoli, eleganckim krokiem w drugi koniec banku, gdzie pojawił się dyrektor. Czekał, by ich przywitać z wytwornym szacunkiem. Stał za niską drewnianą balustradą przed swoim pokojem. Był dżentelmenem o twarzy jak księżyc w pełni. Okrągłość jego oblicza podkreślały okalające je, pieczołowicie podkrecone, stalowosiwe bokobrody. Nad górną wargą i na policzkach był starannie wygolony. Złoty łańcuszek, który przecinał jego kraciatą kamizelkę, wykonany został chyba z najgrubszych ogniw, jakie można znaleźć w Nowym Orleanie. Była to prawdziwa kotwica.

Nawet on, czołowy przedstawiciel establishmentu, nadał się niczym garłacz, gdy zobaczył Julię idącą w jego kierunku. Duma, jaką odczuwał Durand, towarzysząc jej, sama w sobie warta była uwagi, nawet gdyby nie było innych powodów.

Na to niezwykle spotkanie z blichtrzem pieniędzy włożyła błękitną suknię, która wypełniła jałowe powietrze szmerem. Dwa symetryczne rzędy mikroskopijnych różowych guzików z welwetu ozdabiały jej kaftan. Różowa kreza wyrastała na jej szyi i nadgarstkach. Zmarszczony kapelusz z błękitnego welwetu, opuszczony nisko nad jednym okiem, przypominał kompres leczący ból głowy. Zawiązany był pod podbródkiem różowymi wstążkami. Mała woalka upstrzona różowymi cętkami niczym confetti, sięgała tylko do rzęs. Jej kroki były tak lekkie i dyskretne, jakby szła na szczydłach. Kręgosłup wygięła w łuk w afektowanym ukłonie, niemal zaprzeczając planowi Natury, który zakłada, że korpus człowieka powinien opierać się na biodrach. Nie upadła jednak, tak bardzo odchyliwszy się od pionu.

Nigdy do tej pory w banku krzątania nie stała się tak ociężała, ospała. Jej przejście wywołało sensację za przypominającymi klatki okienkami kasjerów, które znajdowały się po obu stronach. Kolejne pary oczu pod zielonymi daszkami odrywały się od suchych, nudnych liczb i rachunków, by przypatrywać się jej marzycielsko. W tych czasach personel banku był wyłącznie męski, klientela prawie tak samo. Chociaż dyskretnie oddzielony zasłoną mały kąt z napisem u góry „Okienko dla pań” zarezerwowano dla sporadycznie pojawiających się w banku kobiet (wdów i im podobnych), które zmuszone zostały, by same załatwiać swoje sprawy finansowe. Zrobiono to po to, żeby nikt inny nie mógł towarzyszyć przy tych niegodnych transakcjach.

Przynajmniej oszczędzono im hańby ocierania się o mężczyzn w kolejce i nie były wystawione na widok publiczny, gdy pobierały pieniądze. Mogły się skryć za zasłoną. Obsługiwał je specjalnie wyznaczony kasjer, zawsze znacznie bardziej uprzejmy i starszy niż pozostali.

Przychodzenie kobiet do banku nie wiązało się z określonym piętnem, inaczej niż w przypadku saloonów, pewnego rodzaju przedstawień teatralnych, w których aktorzy grają w trykotach, oraz niemal wszystkich zawodów sportowych jak na przykład pojedynków bokserskich i meczów piłkarskich. Było tak po prostu dlatego, że chciano im oszczędzić zbrukania się pieniędzmi, które wciąż przeważnie były męską sprawą. Uważano je za niestosowne dla kobiet.

Durand i jego zapierająca oddech w piersiach żona (jednak w odpowiednim towarzystwie) zatrzymali się przed dyrektorem banku. Ten otworzył na oścież małą barierkę w balustradzie, żeby przeszli.

– Moja droga, pozwolisz, że ci przedstawię pana Simmsa – rzekł Durand. – To mój dobry przyjaciel.

– Chyba zacznę w to wątpić, skoro zwlekał pan z tym tak długo – odparł szarmancko pan Simms.

Spojrzała na niego ponętym wzrokiem. Oczywiście nie kokietowała go, ponieważ byłoby to podłe w stosunku do Duranda, ale okazała przynajmniej czarującą filuterność.

– Jestem zaskoczona – rzekła i pozwoliła, żeby to stwierdzenie zawisło w powietrzu. Chciała w ten sposób podkreślić to, co miała zamiar powiedzieć.

– Jak to? – zapytał niepewnie Simms.

Nie powiedziała komplementu bezpośrednio jemu, zwróciła się do Duranda: – Aż do teraz myślałam, że wszyscy dyrektorzy są starzy i raczej odpychający.

Nigdy guziki w kamizelce pana Simmsa nie napięły się tak bardzo, nawet po niedzielnym obiedzie.

Rozejrzała się wokół siebie z niekłamany zainteresowaniem.

– Nigdy przedtem nie byłam w banku. Co za wspaniała marmurowa podłoga...

– I my jesteśmy z tego dumni – przyznał pan Simms.

Weszli do biura. Usiedli, pan Simms osobiście dopilnował, żeby było jej wygodnie.

Gawędzili dłuższą chwilę na tematy ogólne. Interesy wciąż musiały ustępować miejsca pogawędce towarzyskiej, nawet gdy spotykali się sami mężczyźni. (Zawsze ją prowadzono, kiedy rozmówcy byli na tym samym poziomie społecznym). Zbyt szybkie przejście do sedna sprawy, bez miłych ozdobników, oceniano jako prostackie. Jednak z roku na rok tych ozdobników było coraz mniej.

W końcu Durand zauważył: – No cóż, nie powinniśmy zabierać panu Simmsowi zbyt wiele czasu. Wiem, że jest zajęta osobą.

Dotarli do sedna sprawy.

– W czym mógłbym państwu pomóc? – zapytał Simms.

– Chciałbym, żeby moja żona wspólnie ze mną mogła korzystać z mojego konta w tym banku – powiedział Durand.

– No właśnie – mruknęła z rezygnacją, unosząc rękę. – Bo mąż się uparł i...

– To bardzo proste – stwierdził Simms. – Wystarczy, że zmienimy osobiste konto, jakim jest teraz, na wspólne, żebyście oboje państwo mogli z niego korzystać. – Odszukał jakieś dokumenty na swoim biurku, wybrał dwa. – Żeby to zrobić, muszę poprosić, abyście złożyli podpisy, tylko po jednym. Pan na tym upoważnieniu, a pani, moja droga, na tym czystym blankiecie. Musimy mieć wzór pani podpisu, aby go znać i honorować.

Durand już podpisywał, pochyliwszy głowę.

Simms niepewnie wysunął kolejną kartkę. – Czy pan sobie życzy dokonać zmian na obu kontach, czekowym i oszczędnościowym, czy tylko na jednym?

– Możemy to zrobić z oboma kontami, skoro się tym zajmujemy – odpowiedział bez wahania Durand. Nie był z tych, którzy skąpią prezentów i każda inna odpowiedź wydawała mu się niegrzeczna.

– Lou – zaprotestowała, ale uciszył ją ruchem dłoni.

Simms już podał jej umoczone w atramencie pióro. Zawahała się, co przynajmniej stłumiło nadmierny pośpiech. – Jak powinnam podpisać? Mam użyć swojego pełnego imienia chrzestnego?

– Najlepiej pełnego imienia i nazwiska małżeńskiego: „Julia Durand”. I proszę pamiętać, żeby powtarzać ten podpis za każdym razem, gdy będzie pani wypisywała czek.

– Spróbuję – powiedziała posłusznie.

Starannie osuszył za nią podpis.

– Tb wszystko? – zapytała z szeroko otwartymi oczami.

– To zupełnie wszystko, co powinniśmy zrobić, moja droga.

– Och, to nie było takie nieprzyjemne, prawda? – Rozejrzała się wokół siebie z radosną ulgą, niemal jak dziecko, które lękało się wizyty u dentysty, a stwierdziło, że nic przykrego je nie spotkało.

Dwóch mężczyzn wymieniło protekcyjne spojrzenia pełne męskiej wyższości, spotykając się z takim niedoświadczeniem.

Simms odprowadził ich od drzwi swojego biura z takim samym ceremoniałem, z jakim ich przywitał.

Znów szmer wypełnił powietrze z elegancką lekkością jak nigdy do tej pory. Był taki sam jak wtedy, gdy wchodziła. Znów sentymentalne cielece oczy zamkniętych w klatkach urzędników, kasjerów, księgowych oderwały się od papierów, by śledzić ją z pragnieniem porzucenia pracy. Zdawało się, że wszyscy bezgłośnie westchnęli w romantycznej depresji. Jakby blask tęczy przesunął się nad ponurym bagniskiem, by zaraz zniknąć. Ale kiedy zjawisko trwało, było pięknie.

– Był miły, prawda? – zwierzyła się Durandowi.

– Tak, dość uprzejmy – zgodził się z bardziej męską powściągliwością.

– Czy mogę zaprosić go na obiad? – zaproponowała z pełnym szacunkiem.

Odwrócił się i zawołał: – Pani Durand chce, żeby wkrótce zjadł pan z nami obiad. Przyślę panu zaproszenie.

Simms uklonił się głęboko z nieukrywaną satysfakcją.

Gdy wyszli na ulicę, stał w miejscu dłuższy czas, w zadumie gładził bokobrody i zazdrościł Durandowi, że ma tak wspaniałą żonę.

Rozdział 16

List leżał na jego biurku, kiedy wrócił do biura z południowego posiłku. Musiał nadejść później, w każdym razie dostarczono go ze zwłoką, bo reszta jego korespondencji czekała na niego z samego rana, gdy przyszedł do biura o dziewiątej.

Teraz zbliżała się trzecia po południu. W owym czasie południowy posiłek przeciętnego nowoorleańskiego biznesmena nie był szybką przekąską w biegu. Było to długotrwałe przedsięwzięcie z właściwymi przyjemnościami. Durand chodził do swojej ulubionej restauracji. Zasiadał do stołu uroczyście. Starannie wybierał z menu dania. Przyjaciele i znajomi pozdrawiali go, często przyłączali się do niego. Rozmawiano o interesach, czasami zawierano transakcje. Zasiadywał się przy kawie, cygarach, brandy. W końcu, w odpowiednim dla siebie czasie, wypoczęty, odświeżony, gotowy do popołudniowego wysiłku, wracał do pracy. Był to ceremoniał, który zajmował od dwóch do trzech godzin.

Zatem było już dobrze po południu, gdy wrócił do swojego biurka i znalazł list leżący na księdze transakcji.

Dwa razy zabierał się, by go otworzyć, i dwa razy rezygnował. W końcu wziął go i przygotował się, aby poświęcić mu chwilę całkowitej uwagi.

Stempel pocztowy znów był z St. Louis. Niezależnie, czy zaalarmowany tym, czy nie, rozpoznał pismo. Ponownie list od jej siostry.

Jednak tym razem nie mogło być pomyłki. Został zaadresowany bezpośrednio do niego: „W. P. Louis Durand”. Celowo tak zrobiła, chciała, by został dostarczony tutaj, do biura.

Rozciął go nożem do papieru. Zaintrygowany wyłuskał list z koperty. Obrócił się w bok na krześle i skupił na liście swoją uwagę.

Jeśli można tak powiedzieć, to atrament na papierze krzyczał do niego.

Panie Durand!

Nie jestem w stanie znieść tego dłużej! Domagam się, żeby udzielił mi pan wyjaśnień! Żądam, by bez zwłoki poinformował mnie pan o mojej siostrze!

Piszę do pana bezpośrednio, ponieważ jest to moja ostatnia możliwość. Jeśli natychmiast nie poinformuje mnie pan o miejscu pobytu mojej siostry, nie przekona mnie, że jest bezpieczna i zdrowa, nie każe jej bezzwłocznie skontaktować się ze mną, by to potwierdziła, i nie wyjaśni mi pan jej dziwnego milczenia, pójdę na policję, żeby oni szukali sprawiedliwości.

Mam przed sobą list, którym odpowiedziała na mój ostatnio wysłany. Rzekomo jest od niej, został podpisany jej imieniem. Napisał go ktoś inny. To jest pismo kogoś obcego... nieznanym osobie...

Rozdział 17

Nie wiedział, jak długo siedzi i wpatruje się w list. Czas stracił swoje znaczenie. Wciąż czytał te same słowa. *Pismo nieznanajomej osoby. Nieznanajomej osoby. Nieznanajomej osoby.* Aż stały się zgrzytem mechanicznej piły rozcinającej mózg na dwie części.

Potem nagle hipnoza ustała; wpadł w panikę. Zerwał się z obrotowego krzesła, które upadło z głośnym łoskotem. Wcisnął list do kieszeni w gorączkowym pośpiechu, jakby papier był żywym ogniem i parzył go w palce przy dotyku.

Pośpieszył do drzwi, zapominając kapelusza. Szybko wrócił po niego i po raz drugi podbiegł do drzwi. Zderzył się w nich ze swoim chłopcem biurowym, który przybiegł, jak tylko usłyszał odgłos upadającego krzesła. Odepchnął go na bok, ale zaraz jednak złapał go za oba ramiona, postawił na nogi i krzyknął:

– Powiedz Jardine’owi, żeby mnie zastąpił. Pojechałem do domu!

Na ulicy wymachiwał uniesioną ręką we wszystkich kierunkach, do tyłu, do przodu, w bok, jak człowiek odganiający niewidzialne komary. Miał nadzieję, że wywabi dorożkę z otaczającej go pustki. Kiedy to w końcu zrobił, po chwili, która wydawała się godziną dręczącego czekania, zaczął biec obok niej i wszedł, zanim się zatrzymała. Stał w niej niczym współczesny woźnica rydwanu i pochylił się nad ramieniem dorożkarza. Szaleńczym krzykiem podał mu adres:

– Ulica Świętego Ludwika, szybko! Muszę tam być natychmiast!

Szprychy kół zamazały się w pełne tarcze. Domy przy ulicach przepływały obok niego, drgały niczym obrazy rzucane na płynącą wodę.

Klepał się po bokach, jakby sam był koniem. – Szybciej, dorożkarzu! Kiedy pan dojedzie na miejsce?

– Właściwie to już fruniemy, sir. Zaraz kogoś przejedziemy.

– To przejedź i bądź przeklęty, ale zawieź mnie na miejsce!

Wyskoczył z dorożki równie szybko, jak do niej wszedł. Wyciągnął do góry rękę i cisnął monety w wysuniętą do przodu dłoń dorożkarza. Ruszył w kierunku drzwi wejściowych, jakby chciał wyważyć je swoim ciałem.

Ciotka Sara otworzyła mu te drzwi zaskakująco szybko. Musiała stać na korytarzu, po drugiej ich stronie.

– Jest w środku? – rzucił jej w twarz. – Czy ona jest w domu?

– Kto? – Cofnęła się, przerażona gwałtownością pytania. Jednak odpowiedziała na nie, gdyż mogło się odnosić tylko do jednej osoby: – Pani Julia? Nie było jej całe popołudnie. Powiedziała, że idzie na zakupy i zaraz wróci. Chyba była pierwsza. Nie przyszła od tego czasu.

– Mój Boże! – westchnął ponuro. – Tego się obawiałem. Dlaczego ten cholerny list nie przyszedł godzinę wcześniej.

Potem spostrzegł młodą dziewczynę, która skulona czekała na taborecie stojącym przy ścianie. Skromnie ubrana, trzymała dużą paczkę na kolanach. Skurczyła się bojaźliwie, jej błada

twarz zarumieniła się, gdy z przykrością usłyszała przekleństwo, którego użył.

– Kto to? – zapytał, ściszywszy głos.

– Młoda dama od krawca, przysłana, żeby pani Julia przymierzyła suknię, którą dla niej szyją. Mówi, że kazała jej być o trzeciej. Czeka tutaj już od jakiegoś czasu.

Zatem nie miała zamiaru pozostać dzisiaj dłużej poza domem, gdyby wszystko było normalnie – przebiegło mu przez myśl. To, że tak postąpiła, dowodzi...

– Kiedy umówiono ten termin? – zapytał napastliwie dziewczynę, powodując, że skuliła się jeszcze bardziej.

– Kilka... kilka dni temu – wyjąkała. – Myślę, że w ubiegłym tygodniu, sir.

Lekceważąc zasady dobrego wychowania, wbiegł na oślep po schodach. Usłyszał za sobą taktowny szept ciotki Sary: – Kochanie, lepiej jak teraz pójdziesz. Szykują się jakieś kłopoty. Przyjdź innego dnia.

Stał w ich sypialni. Ciężko oddychał po gwałtownym wysiłku. Zamarł na chwilę w bezruchu, rozglądał się wokół w milczącej bezradności. Jego wzrok zatrzymał się na kufrze. Kufrze, który nigdy nie był otwierany. Ukryto go pod materiałem, ale teraz wiedział, od tamtej niedzieli, co to jest. Szarpnięciem ściągnął narzutę i inicjały „J. R.” w kolorze świeżej krwi ponownie ukazały się jego oczom.

Odwrócił się, wybiegł z sypialni i znów zaczął biec po schodach. Zatrzymał się w połowie.

Młoda praktykantka była przy drzwiach, wychodziła. Dała ciotce Sarze pudełko: – Proszę przeprosić panią Durand, że... że źle zrozumiałam. Jeżeli to odpowiada, przyjdę jutro po południu o tej samej porze.

– Biegnij i przyprowadź ślusarza! – zawołał z połowy schodów, ucinając ostro ich ściszoną rozmowę przy wyjściu.

Nieśmiała wysłanniczka ulotniła się. Ciotka Sara usiłowała jedną ręką zamknąć drzwi; wychodziła, żeby spełnić jego polecenie.

Zmienił swoją decyzję, zanim wyszła: – Nie, poczekaj! To zajmie za dużo czasu. Przynies mi młotek i dłuto. Mamy je?

– Chyba tak. – Szybko się cofnęła.

Kiedy mu je dała, znów popędził na górę po schodach. Padł na kolana i z ziejącą złością energią zajął się kufrem. Jego usta były białą blizną. Włożył dłuto w szparę przy zamku i zaczął niemiłosiernie walić młotkiem. Po chwili zamek puścił; zwisał teraz, częściowo wyrwany z uchwytu.

W ciszy pokoju głuchy łoskot upadającego młotka i dłuta zabrzmiał niczym odgłos dzwonu pogrzebowego.

Opuścił klamry i rozpiął stary rzemień, który opasywał kufer pośrodku. Uniósł się; ciężko westchnął przy tym. Lekko wypukłe wieko poszło do góry i z trzaskiem opadło do tyłu.

Jego nozdrza podrażnił duszący zapach naftaliny.

Był to kufer osoby schludnej, akuratelnej, przesadnie pedantycznej. Symetryczne stosy rzeczy,

które nie wysuwały się w bok ani o włos, pomysłowo oddzielono od siebie chusteczkami i innymi szmatkami, by nie przemieściły się w czasie podróży.

Na górze znajdowała się tylko bielizna, zarówno dzienna, jak i nocna, raczej wygodna niż ładna. Żółte flanelowe koszule nocne, flanelowe halki, grube wełniane części garderoby ze sznurowadłami, których charakteru nie próbował określać.

Przez chwilę jego ręce plądrowały w bieliźnie, nie znajdując znaku poznania.

Przesunął na bok bieliznę i znalazł pod nią starannie ułożone warstwy sukien. Były bardziej stonowane niż jakakolwiek z tych, które kupiła po przyjeździe tutaj – brązowe i szare, z wymuskanyimi, małymi, białymi kołnierzykami; z czarnej alpaki i niektóre w delikatną, ciemnoniebieską lub ciemnozieloną kratkę. Żadnych jaskrawszych kolorów.

Wziął przypadkowo jedną z nich, potem następną.

Trzymając je w wyciągniętych rękach, stanął między nimi; bezradnie spoglądał to na jedną, to na drugą.

Nagle zatrzymał wzrok na swoim odbiciu w wysokim lustrze wprawionym w drzwi jej szafy. Wszedł bardziej zza kufra, spojrział ponownie. Coś mu się nie zgadzało. Nie był w stanie powiedzieć co.

Cofnął się o krok z dwoma trofeami, żeby mieć lepszą perspektywę. Przesuwając się, nagle zrozumiał: sukienki były za duże. Trzymał je w rękach na wysokości barków. Sięgały do podłogi, dotykały jej, nawet zawijały się.

W myślach widział, jak znów stoi obok niego. Na chwilę pojawiła się w lustrze, w krótkotrwałym odbiciu. Czubek jej głowy z upiętymi do góry włosami minimalnie wystawał ponad jego ramię.

Niemal z przerażeniem wypuścił z rąk obie suknie. Podeszedł do szafy, jednocześnie otworzył oboje drzwi. Była pusta; niczego nie dźwigał goły drewniany drążek umieszczony w górnej części. Tylko upiornie ostry zapach perfum, to wszystko.

To odkrycie w jakiś niewytłumaczony sposób nie było tak przykre jak poprzednie. Jego przerażenie wiązało się z sukniami, które znajdowały się w pokoju, a nie z tymi, które znikły.

Znów wybiegł na schody. Wychylił się, by być widziany z dołu, i zaczął krzyczeć do ciotki Sary, aż przybiegła, ponownie wystraszona. – Tak, proszę pana! Tak, proszę pana!

– Ta dziewczyna. Co ona tutaj zostawiła? Czy coś pani Durand?

– Nową suknię, którą dla niej szyją.

– Przynieś ją tutaj. Podaj mi ją, szybko!

Wbiegł z nią do pokoju. Rozerwał pudło i wytrząsnął suknię. Jaskrawa, wesola, z fioletowymi wstążkami w pasie. Nie zwrócił na to uwagi.

Podniósł jedną z sukni z kufra, które rzucił na podłogę. Rozłożył ją na łóżku, wygładził jak papierowy wykrój, rozpostarł rękawy, wyciągnął spódnicę do pełnej długości.

Położył na nią nową, tę, którą właśnie dostarczono. Cofnął się i spojrział; już rozumiał.

Pod żadnym względem suknie nie pasowały do siebie. Rękawy tej z kufra były dłuższe o całe

mankiety. Gors – pełniejszy; tworzył dwa duże łuki po obu stronach, kiedy patrzyło się na niego w dwóch płaszczyznach. Talia była prawie o połowę większa. Ale najbardziej rzucało się w oczy, że była znacznie dłuższa. Gdzie tamta się kończyła, ta miała szeroki dół.

Nawet on wiedział, że jest tylko jedna długość spódnic: do podłogi. Nie istniało coś takiego jak inna długość niż taka. Różne długości spódnic nie były związane z modą, ale z różnym wzrostem ich właścicielek.

W mniejszej sukni, leżącej na wierzchu, wciąż błyszczały szpilki określające wymiary jej ciała. Były takie, jakimi je znał. Miarę wzięto z niej bezpośrednio, niecały tydzień temu. Suknia czekała na końcową przymiarkę.

Ubrania z St. Louis...

Rumieniec powoli znikł z jego twarzy. W jego sercu pojawił się dziwny rodzaj przerażenia, którego wcześniej nie znał. Kiedy przybył do domu, pewien czas temu, już to wiedział, ale teraz, w tym momencie, upewnił się. Nie można już było uciec od prawdy.

Ubrania z St. Louis były ubraniami kogoś innego.

Rozdział 18

Było ciemno, noc zapadła nad miastem. Miasto, świat, jego umysł zawisły w bezdennej nocy. Było ciemno na ulicach i tutaj, w pokoju, w którym stał.

Żaden wzrok nie mógł przeniknąć ciemności wokół niego. Stał prawie nieruchomo w czarnej klatce. Jeśli oddychał, była to tajemnica między nim a Bogiem. Tylko to, i ból, który odczuwał, gdy oddychał, i jeszcze parę innych rzeczy.

Potem wreszcie zaczęło się zbliżać blade światło, wznosiło się od dołu po schodach. Kiedy się wznosiło, wzmagalo się, aż w końcu można było zobaczyć jego źródło: świecącą lampę, która tańczyła niespokojnie na drucianym pierścieniu, trzymaną przez ciotkę Sarę wspinającą się na piętro. Blade światło czyniło jej postać podobną do ducha. Ducha z ciemną twarzą, ale z białymi obwódkami otaczającymi jego kontury.

W końcu dotarła do piętra i zwróciła się w stronę jego pokoju. Lampa rozbłysła oślepiającym blaskiem, który wypełnił drzwi, wdarł się do środka i odkrył go.

Zatrzymała się i spojrzała na niego.

Stał w całkowitym, niszczącym bezruchu. Światło padło na stertę sukien rozrzuconych na łóżku, opadających na podłogę. Niczym strzykawka napełniona barwnikiem nadało im kolorów, gdy je odkryło. Stały się niebieskie, zielone, brązowe, różowe. Jego też zabarwiło. Miał kolor woskowej figury, ubranej do ostatniego szczegółu jak żywy człowiek. Można było się pomylić – tak właśnie oszukują w gabinetach figur woskowych. Pozory rzeczywistości w bezruchu.

Był jak umarły. Na nogach, ale umarły. Mógł widzieć, bo skierował oczy na jej twarz. Ciężko przypatrywał się jej twarzy, tej części ciała, której zwykle szuka wzrok, kiedy na kogoś spoglądamy. Mógł ją słyszeć, gdyż kiedy wyszeptwała przestraszona: „Panie Lou, co się dzieje? Co się dzieje, panie Lou?”, odpowiedział jej, mówił, wydobył z siebie głos.

– Nie wróci – wyszeptał w odpowiedzi.

– Cały czas tkwił pan tak tutaj, bez światła?

– Nie wróci.

– Jak długo mam jeszcze czekać z kolacją? Nie mogę już dłużej trzymać tego kurczaka.

– Nie wróci.

– Panie Lou, pan mnie nie słucha, nie zwraca na mnie uwagi.

„Nie wróci” – tylko tyle był w stanie powiedzieć. Zapomniał tysięcy słów, tysięcy słów, których nauczenie się zabrało mu paręnaście lat. Tylko dwa pozostały z jego ojczystego języka: „Nie wróci”.

Ośmieliła się wejść do pokoju, niosąc ze sobą lampę. Światło wirowało, falowało, zanim się uspokoiło. Postawiła lampę na stole. Załamała ręce, ściskając między nimi sukienkę, jakby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

Wreszcie kawałkiem swojej spódnicy wytarła brzeg stołu, z nawyku, jak gdyby myślała, że ściera kurze. To była jedyna pomoc, jakiej mogła mu udzielić, jedyna ulga, którą mogła mu

przynieść: wytrzeć kurze z brzegu stołu w jego pokoju. Ale współczucie ma wiele form i nie potrzebuje słów.

Zdawało się, że przyniosła ciepło do pokoju, przynajmniej tyle ciepła, żeby go odmrozić, stopić lodową skorupę, która utrzymywała go w bezruchu. Wystarczyła jedynie obecność przy nim drugiej osoby.

Potem wolno zaczął wracać do życia. Nie było przyjemnie patrzeć. Ponowne narodziny po śmierci. Śmierci serca.

Odwrócona w czasie agonii. Powrót po ostatecznym ciosie, nie przed. Kiedy serce umiera, powinno się zatrzymać. Powinno się je dobić, zatrzymać jednym uderzeniem, nie pozwolić, żeby konało.

Przełamał sztywność i padł przy łóżku na kolana. Wyciągnął na nim dłonie, zaciskał je w udęce.

Jedna z sukien poruszyła się, jakby pod wpływem wewnętrznego impulsu. Zmarszczyła się gwałtownym, wężykowatym ruchem i została wessana przez wir jego smutku. Jego głowa opadła na nią. Wtulił twarz w upiornej parodii pocałunków kiedyś składanych, pocałunków, których nie mógł powtórzyć, gdyż nie było nikogo, by je złożyć. Teraz błagał tylko pusty kokon.

– Julio, Julio, bądź litościwa.

Starsza kobieta wyciągnęła rękę w kierunku jego sparaliżowanego ramienia, by go pocieszyć. Powstrzymała się przed dotknięciem. Ręka zawisła w powietrzu.

– Proszę się uspokoić, panie Lou – powiedziała intensywnym gardłowym głosem. – Proszę się uspokoić, biedny człowieku.

Uniosła wyciągniętą dłoń. Zawisła teraz trochę wyżej, nad jego pograżoną w zapomnieniu, udęczoną głową.

– Oby Bóg zlitował się nad panem. Oby Bóg okazał miłosierdzie. Rozpacza pan, ale nie ma powodu do rozpacz. Opłakuje pan, ale opłakuje coś, czego nigdy nie miał.

Obrócił głowę w bok i spojrzał na nią z nagłym, pełnym przerażenia napięciem.

Wydawało się, że jego bezbrzeżny smutek rozpalil w niej gniew; wyrzuty sumienia z powodu ukrywanego odkrycia odezwały się w niej ze zwielokrotnioną siłą.

Podeszła do biurka Julii. Otworzyła szufladę z tak niepohamowaną wściekłością, że cały sekretarzyk zatrzęsł się i zadrzał.

Zanurzyła w niej rękę, nieomylnie sięgnęła do miejsca, które znała z jakiegoś poprzedniego odkrycia. Potem w milczeniu wyciągnęła ją w jego kierunku. Trzymała w niej pokryte kurzem ciastko, pastylkę, róż do policzków.

Z odrazą rzuciła je na podłogę.

Ponownie jej ręka zagłębiła się w sekretne zakamarki szuflady. Tym razem wyciągnęła z niej garść cienkich, wrzecionowatych cygar.

Pokazała je jemu, potem cisnęła.

Uniosła ręce ponad głowę. Drżały w górze, dygotały, przeklinając i zlorzecząc; wzywały

moce piekielne na świadka.

Mrożącym krew w żyłach głosem starotestamentowych proroków, którzy przywoływali apokaliptyczne wyroki, zaintonowała: – Zła kobieta mieszkała w Twoim domu! Obcy człowiek spał w Twoim łóżku!

Rozdział 19

Zaraz po tym, jak dokonano tego odkrycia, biegł jak obłąkany cichymi, oświetlonymi latarniami ulicami; bez kapelusza, płaszcz, z rozwianymi włosami. Nie mógł znaleźć dorożki i był zbyt oszalały, by zatrzymać się i poczekać na jakąś. Naprzód, cały czas naprzód, w kierunku adresu, który przypominał mu się przypadkowo, kiedy potrzebował go najbardziej. W kierunku domu bankiera Simmsa, przez pół Nowego Orleanu. Mógłby przebiec całą odległość, gdyby było to konieczne.

Na szczęście, kiedy dobiegł do skrzyżowania i zawieszona nad nim gazowa lampa oświetliła je żółtozielonym światłem, bezpośrednio przed sobą wypatrywał dorożkę, która wracała wolna z ostatniego kursu. Przywołał ją wrzaskliwym głosem i nie czekając, aż zawróci i go zabierze, na oślepe popędził za nią ulicą. Wgramolił się do niej i wykrztusił adres Simmsa.

Dzwonił do drzwi domu bankiera jak wściekły.

Kolorowa służąca wpuściła go do środka. Z obrażoną miną przyjęła jego porywczosć.

– Proszę pana, on je kolację – powiedziała z naganą w głosie. – Gdyby pan był na tyle cierpliwy, żeby usiąść i poczekać kilka minut, aż skończy...

– Wszystko jedno, co robi – wysapał. – To nie może czekać! Poproś, żeby wyszedł tutaj...

Bankier wyszedł na korytarz, zmarszczył czoło zirytowany. Wciąż przeżuwał jedzenie, za kołnierzyk miał wetkniętą serwetkę. Kiedy zobaczył, kto przyszedł, jego twarz rozpogodziła się.

– Pan Durand! – zawołał serdecznie. – Co sprowadza pana o tej porze? Zechce pan wejść i przyłączyć się do nas przy stole? – Zauważył jego oszalały wygląd, kiedy podszedł bliżej. – Jest pan bardzo zdenerwowany... Co się stało, mój drogi? Becky, przynieś brandy. Krzesło...

Durand machnął zdecydowanie ręką, żeby odmówić.

– Moje pieniądze... – wysapał.

– Co się stało, panie Durand? O co chodzi z pańskimi pieniędzmi?

– Czy są... ? Były ruszane... ? Kiedy pan zamykał o trzeciej, jaki był mój bilans w pana rejestrze... ?

– Nie rozumiem, panie Durand. Nikt nie może ruszać pańskich pieniędzy. Są strzeżone. Nikt, tylko pan i pańska żona...

Czegoś się domyślił, gdy zauważył bolesny grymas na twarzy Duranda.

– Przypuszcza pan... ? – zaniepokoił się.

– Muszę wiedzieć... Teraz, tego wieczoru... Na miłość boską, panie Simms, proszę coś dla mnie zrobić, pomóc mi... Proszę nie kazać mi czekać...

Bankier gwałtownym ruchem wyciągnął zza kołnierzyka chusteczkę i odrzucił ją, dając do zrozumienia, że skończył wieczorny posiłek.

– Mój główny kasjer... – powiedział, podejmując szybko decyzję. – Mój główny kasjer powinien wiedzieć. Tak będzie szybciej, niż gdybyśmy pojechali do banku. Musielibyśmy sprawdzić wszystkie transakcje przeprowadzone tego dnia...

– Gdzie mogę go znaleźć? – Durand już szedł w stronę drzwi; zamierzał wyjść.

– Nie, nie. Pojadę z panem. Proszę na mnie chwilę poczekać. – Simms pośpiesznie chwycił kapelusz i jedwabny szalik. – O co chodzi, co się stało, panie Durand?

– Boję się mówić, dopóki nie sprawdzę – odparł Durand strapiionym głosem. – Boję się nawet myśleć...

Simms musiał się zatrzymać, by wziąć adres kasjera. Potem szybko wyszli, wsiedli do tej samej dorożki, która przywiozła Duranda, i pojechali do skromnego, małego domku na ulicy Dumaine.

Simms wysiadł, powstrzymał Duranda uprzejmym gestem. Wyraźnie starał się obejść bez niego tak długo, jak to tylko możliwe.

– Niech pan tu poczeka. Wejdę i porozmawiam z nim.

Wszedł do środka i zniknął na co najwyżej dziesięć minut. Durandowi wydawało się, że nie było go cały wieczór.

W końcu otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Simms. Durand podskoczył do niego jak na sprężynie, usiłował odczytać z twarzy Simmsa informacje, gdy ten podchodził do niego. Nie wydawały się optymistyczne.

– Co się stało? Na miły Bóg, proszę mi powiedzieć!

– Spokojnie, panie Durand, spokojnie. – Simms podtrzymał go za ramię. – Miał pan trzydzieści tysięcy pięćdziesiąt jeden dolarów na koncie czekowym i dwadzieścia tysięcy dziesięć na koncie oszczędnościowym dziś rano, kiedy rozpoczynaliśmy pracę...

– To wiem! To wcześniej wiedziałem! Nie to chciałem wiedzieć...

Kasjer wyszedł z domu. Simms dał mu ukradkowy znak ręką, przekazał mu przykry obowiązek odpowiedzi na pytanie.

– Pana żona zjawiła się za pięć trzecia, aby w ostatniej chwili podjąć pieniądze z rachunków – powiedział kasjer. – W momencie zamykania banku miał pan na jednym rachunku pięćdziesiąt jeden dolarów i czterdzieści centów, a na drugim dziesięć dolarów. Aby całkowicie zamknąć oba konta, potrzebny był pana podpis.

Rozdział 20

Pokój był martwą naturą. Mógł być obrazem namalowanym na płótnie, który postawiono, żeby wysechł. Przedmioty na nim miały naturalne rozmiary, przypominały rzeczywistość w każdym odcieniu, w każdym najdrobniejszym szczególe, jednak była to pomysłowa mistyfikacja, a nie prawda.

Zachodzące słońce otoczyło aureolą okno, jakby ogień rozniecił się bezpośrednio za nim. Rozpaliło swoim blaskiem sufit i przeciwległą ścianę.

Dywan na podłodze był pofałdowany i przesunięty, jakby ktoś przeszedł po nim chwiejnym krokiem, albo nawet upadł raz lub dwa razy, i tak pozostawił. Ciemna plama w kształcie kraba szpeciła go w jednym miejscu. Wydawało się, że wylano na niego dużą ilość gęstej cieczy.

Ponure łóżko, na myśl o którym rumienił się kiedyś pan młody, mogło teraz wywołać rumieniec na twarzy osoby wybrednej. Odnosiło się wrażenie, że nie ślano go od wielu dni. Poszarzała pościel zwisała z jednej strony, dotykała podłogi. Jeden but, but męczyzny, leżał obok łóżka. Można było sądzić, że jego właściciel chciał go włożyć, ale zanim to zrobił, jego pierwotny zamiar wygasł.

Niezapominajki na różowej tapecie, tapecie, którą sprowadzono z Nowego Jorku, tapecie, o którą proszono go w liście, „nie jaskraworóżowej”. W jednym miejscu okropne szramy na niej ukazywały tynk. Wyglądało, jakby ktoś wziął nożyce i w szale usiłował zedrzeć jak najwięcej tapety.

W centrum martwej natury stał stół. Przy stole trzy nieruchome przedmioty. Cuchnąca szklaneczka, oblepiona po wielokrotnym napełnianiu, butelka brandy i bezwładna głowa leżąca na nim, z której sterczały zmierzwione włosy. Ciało bez życia spoczywało na przechylonym krześle, jedna ręka ścisnęła szyjkę butelki w nieustępliwej żądzy posiadania.

Pukanie do drzwi, ale nie poprzedził go odgłos kroków. Ktoś musiał tu stać od dłuższego czasu; nasłuchiwał, usiłował zdobyć się na odwagę.

Brak odpowiedzi, nic się nie poruszyło.

Znów pukanie do drzwi. Tym razem towarzyszył mu głos.

– Panie Lou! Panie Lou, niech pan przekręci klucz w drzwiach!

Brak odpowiedzi. Głowa nieznacznie się obróciła, ujawniając zarys szczęki pokrytej ciemną szczecinią. Jeszcze raz pukanie.

– Panie Lou, niech pan przekręci klucz. Minęły już dwa dni.

Głowa oderwała się od blatu stołu, uniosła się trochę, oczy wciąż były zamknięte. – Co to są dni? A... to takie coś, co jest między nocami. Coś bez znaczenia.

Gałka w drzwiach obróciła się jałowo. – Niech mnie pan wypuści. Pościelę tylko pana łóżko.

– Teraz jest wyłącznie moje. Niech tak zostanie.

– Nie chce pan przynajmniej światła? Robi się ciemno. Niech pan pozwoli, żebym wymieniła lampę.

– Co ona może mi ukazać? Co jest tutaj do oglądania? Tylko ja tu jestem. Ja i ...

Przechylił butelkę brandy nad szklanką. Nic się nie nalało. Obrócił ją do góry dnem. Wciąż nic.

Wstał z krzesła. Zamachnął się, by rzucić butelką o ścianę. Zatrzymał rękę, opuścił ją i, szurając jednym butem, podszedł do drzwi. W końcu przekręcił klucz.

Szturchnął ją butelką.

– Przynieś mi następną – warknął. – Tylko tego chcę. To jest najlepsze, co może mi dać świat. Nie chcę twojej lampy, twoich rosółów, twojego ślania łóżek.

Jednak nie zważała na trudności, gdy chodziło o utrzymanie porządku w domu – ta stara, szczupła, kolorowa kobieta. Chyłkiem przemknęła obok niego, zanim zdążył ją zatrzymać. Postawiła nową lampę obok tej, w której skończyła się nafta. Po chwili układała i wygładzała pościel, od czasu do czasu spoglądała na niego, by sprawdzić, czy nie zamierza jej powstrzymać.

Skończyła i pośpieszyła w kierunku drzwi. Żeby nie zbliżyć się do niego, szła przy ścianie. Gdy bezpieczna, znów znalazła się w drzwiach, odwróciła się i spojrzała na niego. Stał, dłoń zaciskał na szyjce butelki.

A on spojrzał na nią.

Wydawało się, że nagle niewysłowiona tęsknota wstrząsnęła jego ciałem. Jego chrapliwy, ostry głos stał się teraz łagodny. Wyciągnął ręce w jej kierunku, jakby błagał ją, żeby pozostała, posłuchała, jak mówi o *niej*, nieobecnej. Żeby porozmawiała z nim o *niej*.

– Czy pamiętasz, jak siadywała tutaj i czyściła swoje paznokcie patyczkami z bawełną? Mogę ją teraz widzieć – powiedział załamującym się głosem. – A potem unosiła palce, rozpościerała je, w ten sposób, i szybko poruszała głową, przyglądając się, czy są w porządku.

Ciotka Sara nie odpowiedziała.

– Czy pamiętasz ją w niebieskiej sukni w lawendowe prążki? Mogę ją teraz widzieć. Stoi przy doku na ulicy Kanałowej. Promienie słoneczne oświetlają ją od tyłu, wiatr porusza jej suknię. Nad sobą otworzyła mały parasol.

Ciotka Sara nie odpowiedziała.

– Czy pamiętasz, jak wychodziła? Zawsze obracała się w drzwiach, zaginała palce, jakby cię przywoływała i wołała „Pa, pa!”?

W końcu w starszej kobiecie pękły tamy milczenia. Nie była w stanie dalej tego słuchać. Białka jej oczu zapłonęły prawością, zwiędłe usta cofnęły się, odsłaniając zęby.

– Bóg musiał być rozgniewany na pana, kiedy po raz pierwszy pozwolił panu spojrzeć w twarz tej kobiecie!

Potykając się, podszedł do ściany. Przycisnął do niej twarz, ręce wyciągnął ponad głowę i wbił palce w ścianę, jakby chciał wspiąć się na sufit.

Zdawało się, że jego głos dochodzi z żołądka, przedziera się przez rytmiczny odgłos tłumionych spazmów, które były płaczem dojrzałego mężczyzny.

– Chcę, żeby była tu z powrotem. Chcę, żeby wróciła. Nie spocznę, dopóki jej nie znajdę.

– Dlaczego pan chce, żeby wróciła? – zapytała stanowczo.

– Żeby ją zabić – odparł przez zaciśnięte zęby.

Oderwał się od ściany i chwiejnym krokiem podszedł do łóżka. Uniósł brzeg materaca i coś wyciągnął spod niego. Potem powoli uniósł to, trzymał to w zaciśniętej dłoni, by jej pokazać – rewolwer z kościaną rękojeścią i stalowym bębniem.

– Tym – wyszeptał.

Rozdział 21

Widzowie wychodzili nieprzerwanym potokiem z teatru Tivoli na ulicę Królewską. Gazowe płomienie w lampach na ścianach foyer i na suficie migotały kapryśnie nad kłębiącym się tłumem. Wszyscy ubawili się znakomicie. Potwierdzały to ożywione rozmowy. Wystawiono adaptację francuskiej sztuki „Mała psotnisia”.

Na chodniku zwarty tłum ludzi zaczął się rozpyływać. Publiczność z balkonów rozchodziła się w różnych kierunkach, widzowie z łóż i parteru przed wejściem do teatru wsiadali dwójkami, czasem czwórkami, do kolejnych dorożek, które przywoływał kolorowy odźwierny.

Mężczyzna, który ukrył się pod ocienioną ścianą, gdzie nie docierało światło, pozostał niezauważony, chociaż wiele przechodzących osób niemal ocierało się o niego.

W końcu tłum rozplynął się. Blask niknął, gdy dozorca zaczął po kolei gasić lampy. Długa tyczką zakręcał zawory.

Zostało tylko kilku opieszalców, którzy wciąż czekali w kolejce na dorożki. Nikt się nie spieszył. Grzeczność i szacunek były regułą.

– Państwa kolej.

– Nie, państwa. Wasza jest następna.

Wreszcie pozostaje tylko jedna para, która ma zamiar zaraz wejść do dorożki. Kobieta jest niska, na głowie ma koronkowy szal, który skutecznie chroni jej głowę, usta, podbródek przed niezdrowym wieczornym powietrzem.

Jej towarzysz opuszczają na chwilę, żeby sprawdzić, dlaczego opóźnia się ich dorożka. Nagle, znikąd, obok niej pojawia się mężczyzna. Bacznie się jej przygląda z bliskiej odległości. Kobieta odwraca głowę, jeszcze bardziej naciąga szal. Drżąc, odchodzi krok lub dwa.

Mężczyzna pochyla się teraz i wyciąga szyję tak, że prawie kuca pod jej ukrytą za koronką twarzą. Uważnie wpatruje się w nią.

Kobieta krzyczy w trwodze i kuli się.

– Julia? – pyta szeptem mężczyzna.

Przestraszona, odwraca się do niego plecami.

Znów zjawia się przed nią.

– Proszę pani, czy może pani opuścić szal?

– Niech mnie pan zostawi, bo zacznę wzywać pomocy.

On wyciąga rękę i odrzuca na bok szal.

Przerażone, niebieskie oczy obcej osoby patrzą na niego wrogo. Jej towarzysz wraca biegiem, groźnie unosi laskę.

– Odejdź, człowieku!

Uderza raz lub dwa razy laską, potem odrzuca ją jako niezadowolającą broń. Biję teraz bezlitośnie gołą ręką.

Durand zatacza się do tyłu, upada na chodnik.

Nie robi żadnego ruchu, by się bronić lub by wstać i oddać wet za wet. Leży na łokciu jak długi. Jest bierny, wygasły, zniechęcony. Dziki wyraz gaśnie na jego twarzy.

– Proszę mi wybaczyć – wzdycha. – Myślałem, że pani jest... kimś innym.

– Chodźmy, Dan. Ten człowiek musi być trochę obłąkany.

– Nie, nie jestem obłąkany, proszę pani – odpowiada jej z godnością. – Jestem zupełnie normalny. Zbyt normalny.

Rozdział 22

W salonie domu madame Jessiki na ulicy Tuluskiej odbywało się ożywione przyjęcie wieczorowe. Salon madame Jessiki był obszerny i wystawnie umeblowany. Empirowe meble w kolorze kości słoniowej ozdobiono złotem. Obicia wykonano ze szkarłatnego adamaszku. Dywan brukselski pokrywał parkiet. Nad nim w kryształowych gniazdkach migotały gazowe języki. Wyglądały jak zorze polarne.

Przy fortepianie z palisandrowego drewna siedział młody mężczyzna. Niefrasobliwie, ale ze znajomością rzeczy grał *Walca minutowego* Chopina. Jedna para powoli obracała się na środku pokoju, jednak bardziej zajęta była rozmową niż tańcem. Dwie inne osoby siedziały na sofie, piły szampana i prowadziły wesołą pogawędkę. Jeszcze trzecia para, stojąca przy drzwiach, też skupiona na sobie. Tylko pary. Wszystkie młode damy były w wieczorowych sukniach. Mężczyźni nie mieli na sobie wieczorowych strojów, ale ubrani byli co najmniej starannie i zachowywali się z ogładą.

Panowały dobre obyczaje. Wszystko było wytworne i stosowne. Madame była surowa pod tym względem. Żadnych hałasów, głośnych śmiechów. Nikt nie wyszedł z pokoju, jeśli nie przeprosił reszty towarzystwa.

Kolorowa służąca, której obowiązkiem było zapowiadanie nowo przybyłych gości, otworzyła jedne z przeciwległych drzwi i oznajmiła:

– Pan Smith.

Nikt się nie uśmiechnął ani nawet nie zwrócił najmniejszej uwagi. Wszedł Durand i madame Jessica przeszła przez pokój, by przywitać go serdecznie. Wyciągnęła rękę. Cekiny na jej sukni migotały.

– Dobry wieczór. Jak miło, że nas pan odwiedził. Czy mogę komuś pana przedstawić?

– Tak – odparł spokojnie Durand.

Madame poruszyła wachlarzem i przyłożyła palec do kącika ust. Uważnie lustrowała pokój niczym dobra gospodyni, która stara się dobrać w pary tych gości, których łączy największe pokrewieństwo dusz.

– Panna Margot przez chwilę będzie zajęta... – powiedziała, zerkając w tym czasie na sofę. – Może panna Fleurette? Jest bez towarzystwa.

Pokazała na drzwi, dyskretnie uchylone, prowadzące w głąb. Niby przypadkiem stała w nich wysoka brunetka.

– Nie.

Madame poruszyła wachlarzem, brunetka znikła. Mniej ociążała, rudowłosa młoda kobieta zajęła jej miejsce.

– Zatem panna Roseanne? – zasugerowała madame ponętym głosem.

Pokręcił głową.

Madame poruszyła wachlarzem i w drzwiach zrobiło się pusto.

- Trudno pana zadowolić – rzekła z niepewnym uśmiechem.
- To... wszystko? Nie ma nikogo... poza tym?
- Niezupełnie. Jest jeszcze nasza panna Juliette. Wydaje mi się, że ma teraz małe tete-a-tete.

Gdyby mógł pan poczekać kilka minut...

Usiadł w ogromnym fotelu w rogu.

– Może coś z bufetu? – Madame pochyliła się nad nim z troską.

Otworzył portfel, dał jej pieniądze.

– Szampan dla wszystkich. Proszę nie oddawać reszty.

Kolorowa służąca przemknęła między gośćmi, napełniła kieliszki. Pozostali młodzi mężczyźni po kolei obrócili się w jego stronę, wzniesli toasty i ukłonami podziękowali. Ponuro odkłonił się im w odpowiedzi.

Madame musiała być mile zaskoczona, bo postanowiła przyspieszyć przybycie panny Juliette, oderwać ją od jakichś zajęć poza pokojem.

– Niebawem zejdzie – obiecała teraz. – Powiem jej, że młody mężczyzna pyta o nią.

Opuściła go, a po chwili wróciła i rzekła:

– Oto i ona. Czy nie jest *boska*? Zapewniam pana, że wszyscy za nią szaleją.

Zobaczył ją w drzwiach. Stała w nich przez moment, rozglądała się, usiłowała go rozpoznać.

Była blondynką.

Była piękna.

Miała około siedemnastu lat.

I była kimś innym.

Madame zakręciła się obok niej i wprowadziła ją do pokoju. Troskliwie objęła ją w pasie.

– Tutaj, kochanie. Chcę ci przedstawić...

Dziewczyna straciła oddech. Oczy pięknego stworzenia otworzyły się szeroko, gdy po raz pierwszy w swoim krótkim, lecz burzliwym życiu została odtrącona. Nagle pełna zakłopotania cisza zapadła w ożywionym do tej pory pokoju.

Jego fotel był pusty. Znajdujące się obok drzwi właśnie się zamykały.

Rozdział 23

Tłusty wtorek. *Mardi gras*. Miasto oszalało. Była to gorączka, która powtarzała się każdego roku. Tak w kółko, od pięćdziesięciu trzech lat, od 1827 roku, kiedy po raz pierwszy, nie wiadomo dlaczego, zorganizowano takie obchody. Ostatnia huczna zabawa przed Wielkim Postem, jakby czas ludzkich słabości nie miał się nigdy powtórzyć. Bachanalie przed umartwianiem się, by dać podstawy do pokuty.

Nie było nocy ani dnia. Trupi blask pochodni i latarni wzdłuż Kanałowej, Królewskiej i innych ulic w śródmieściu był czerwonym światłem słonecznym o północy. Sklepy w dzień zostały zamknięte, niczego nie kupowano i nie sprzedawano. Nic, tylko niczym nieskrępowana radość. Od ośmiu lat dzień ten był oficjalnym świętem i od tego samego roku, 1872, władze zaaprobowwały zakładanie w tym jednym dniu masek na ulicach.

Zawsze skądś rozlegała się muzyka, z bliska i z daleka. Gdy dźwięki jednej orkiestry ulicznej zanikały w jakimś kierunku, gdzie indziej rozlegały się inne. Bez przerwy dało się słyszeć krzyki i śmiech, chociaż czasami nie widziało się ludzi. Dochodziły wtedy zza rogów domów i z otwartych okien. Mimo że w pewnych momentach na niektórych ulicach panował spokój, to z pewnością gdzie indziej hucznie obchodzono tłusty wtorek. Nie było żadnych przerw.

W czasie takiej chwili ciszy na ulicy Kanałowej, w drzwiach ukrytych pod balkonem, stała nieruchoma postać. Powietrze wciąż było zasnute ostrym, gryzącym dymem. Ulicę zaśmiecały confetti, papierowe serpentyny, przekłute baloniki, które wyglądały jak dziwnie zabarwione skórki owoców, jeden lub dwa zniszczone rożki, nawet kobiecy pantofel z urwanym obcasem. Stopy jakiegoś pijaka wystawały prostopadle z drzwi, reszta ciała ukryta była za nimi. Ktoś dołożył wieniec kwiatów niczym dowód szacunku na marach. Założył go na uniesione palce nogi.

Jednak ta druga osoba była trzeźwa, wyprostowana. Założyła papierową maskę, robiąc ustępstwo na rzecz karnawału, poza tym miała na sobie zwykłe ubranie. Fałszywa twarz była groteskowa – zamrożony uśmiech bezbożnej radości. Podwójnie groteskowa w zestawieniu ze znużoną, smutną, zgaszoną sylwetką poniżej.

Odległa wrzawa, która zapowiadała się od kilku chwil, nagle wybuchła z pełną siłą, gdy długi łańcuch, wijący się korowód taneczny wychynął zza rogu i ukazał się oczom. Każdy trzymał za pas lub ramiona osobę przed sobą. Tłusty wtorek wrócił; przerwa, chwila wytchnienia, skończyła się.

Z tłumem zjawiły się pochodnie, kotły i czynele. Ulica znów się rozjaśniła, jakby wybuchł na niej pożar. Falujące gigantyczne cienie ślizgały się po pomarańczowych fasadach budynków. W oknach po obu stronach ulicy ponownie pojawili się ludzie. Jeszcze raz zaczęły sypać się confetti. Przybierały wszystkie kolory tęczy, gdy unosiły się w różnokolorowym świetle. Stawały się różowe, lawendowe, jasnozielone.

Centrum pochodu tancerzy, jego kręgosłup, otoczone było z obu stron przez luźne posiłki:

pojedynczych ludzi, zgrupowanych w dwójki, trójki, czwórki. Ludzi, którzy szli obok, ale nie włączyli się do korowodu. Bez przerwy łańcuch się wydłużał, zabierał wszystkich zablakanych, chociaż nikt nie był w stanie powiedzieć, dokąd on zmierza; ale nikogo to nie interesowało. Jego czoło już skręciło za drugi róg i zniknęło z oczu, zanim ogon zdążył wyjść z pierwszej przecznicy. Rytmiczny krok, z którym wyruszył pochód, ze względu na długość łańcucha już dawno się pomieszał. Zapanował teraz chaos. Niektórzy tańczyli tańce murzyńskie, wysoko unosząc kolana; inni tylko szurali nogami, ledwo odrywając je od ziemi; jeszcze inni podskakiwali, wymachując wysoko stopami niczym figurki na sprężynce.

Fałszywa twarz obracała się gorączkowo tam i z powrotem, do tyłu i do przodu, podczas gdy ciało pozostawało nieruchome. Spoglądała uważnie na każdą mniejszą postać, która przechodziła, śledziła ją przez chwilę, a potem wybierała wzrokiem następną, zawsze tylko jedną. Przypatrywała się wyłącznie kobietom, tańczącym między klaunami, piratami, hiszpańskimi przemytnikami, porzrzucanym między nimi.

Przenikliwe, wyłupiaste oczy z dużymi białkami obiecywały błazeństwa, niewybredne żarty, nedorzeczny flirt i komiczną namiętność. Wszystko, tylko nie utajoną śmierć.

Wielu zauważyło maskę, niektórzy pomachali do niego, inni radośnie zapraszali go do wspólnej zabawy. Jedna lub dwie osoby rzuciły kwiaty, które trafiły go w nos. Rzymskie cesarzowe, piękności z haremu, Cyganki, damy krzyżowców z oślimi uszami na głowie. I niańka w wykrochmalonym fartuszkach, pchająca przed sobą wózek dziecinniej z dorosłym mężczyzną. Jego owłosione nogi wystawały z boków i od czasu do czasu mężczyzna sam odpychał się od ziemi.

Nagle zabawne, wybałuszone oczy znieruchomiały. Cała fałszywa twarz i dźwigająca ją szyja wyciągnęły się do przodu, nieznośnie szyderczo i zdecydowanie.

Dziewczyna miała na sobie strój maskaradowy. Bezkształtny, dwudzielny ubiór zawiązany był tylko na nadgarstkach, kostkach i szyi. Kaptur przykrywał jej głowę. Oczy zasłaniała maska z jasnoblękitnego jedwabiu, jednak pod nią można było zobaczyć usta, które przypominały nierozwinięty pęk kwiatu.

Nie miała więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jej krok był delikatny, pełen gracji. Nie szła w kawalkadzie, tylko w luźnej grupce obok niej. Znajdowała się po drugiej stronie pochodu. Przechodziła od jednego mężczyzny do drugiego, tańczyła z każdym kilka kroków, potem trafiała w ramiona innego. W ten sposób poruszała się do przodu – krokiem tanecznym, z obrotami, zawsze z kimś. Była uosobieniem niczym niezmaconej wesołości.

W tym momencie jej kaptur na chwilę zsunął się do tyłu i zanim go pospiesznie nie założyła z powrotem, ujrzał w przelocie złociste włosy nad błękitną maską.

Wyrzucił w górę ramiona i krzyknął: – Julia!

Wybiegł z ukrycia i trzykrotnie natarł na łańcuch ludzi, by dostać się na drugą stronę ulicy. Trzykrotnie został odrzucony przez niespodziewaną sprężystość korowodu.

– Nikt się przez nas nie przedrze – powiedziano mu drwiąco. – Idź do samego końca

łańcucha, jeśli chcesz przejść na drugą stronę.

Nagle zauważyła go. Zatrzymała się na chwilę i spojrzała wprost na niego. Albo tak się wydawało. W tym całym zgiełku usłyszała wysokie tony jej śmiechu, gdy zobaczyła jego komiczną maskę. Wesoło uniosła do niego rękę. Potem odwróciła się i znów ruszyła naprzód.

Zanurzył się w wir ludzi. Niczym tonący człowiek, porwany przez prąd, usiłował trzymać wysoko głowę. Posuwał się we wszystkich kierunkach, tylko nie w tym, w którym chciał iść.

W końcu jakiś wiking z łańcucha, w hełmie z rogami, zlitował się nad nim.

– Zobaczył kogoś, kogo lubi! – krzyknął żartobliwie. – Przecież jest tłusty wtorek. Przepuśćmy go. – Uniósł w górę muskularne ramiona i pozwolił mu precyzyjnie się na drugą stronę.

Z przerwami wciąż mógł ją widzieć, ale tym razem była znacznie dalej. Wyglądała jak jasnoblękitny korek podskakujący na zaśmieconej wodzie.

– Julia!

Tym razem odwróciła się całkowicie, ale czy na dźwięk swojego imienia, czy też usłyszawszy głośny krzyk, nie można było określić.

Zobaczył, że lekko się skuliła, jakby naigrywała się z jego pozornego pościgu. Pościgu, który nie wiązał się z przerażeniem, ale ze swawolą, kokieterią, umyślną zachętą do pogoni. Chwilę później zręcznie umknęła. Ze względu na swój niewielki wzrost łatwo przeciskała się między ludźmi. Jednak bez przerwy oglądała się za siebie.

Było oczywiste, że nie wie, kim on jest. Myślała po prostu, że jest anonimowym prześladowcą spoza korowodu. Kimś, kto chce się zabawić. Kiedy wydawało się, że zupełnie stracił ją z oczu, celowo zatrzymała się z boku, w drzwiach. Czekala, żeby jeszcze raz ją odszukał. Gdy to zrobił, i nie mogło być mowy o pomyłce, rozciągnęła szeroko na boki swój strój klauna, dygnęła szyderczo i znów pomknęła.

Wreszcie, po kolejnym spojrzeniu do tyłu, które zdawało się mówić: „Dosyć tego. Wyznaczyłam dostatecznie wysoką cenę za zbliżenie się do mnie. Teraz zrób ze mną, co ci się żywnie podoba, cokolwiek ma to być”, opuściła główny strumień birbantów i popędziła w słabo oświetloną aleję.

Doszedł do wylotu alei chwilę później. Wciąż mógł widzieć jej jasno-błękitny strój, znikający w ciemnościach. Skręcił w aleję. Nie natrafił tutaj na więcej przeszkód, nic go nie zatrzymało. Po minucie lub dwóch dopędził ją i przyparł do ściany, na której oparł ręce, uniemożliwiając jej ucieczkę.

Nie mogła mówić. Była zbyt przestraszona. Oparła się plecami o ścianę w oczekiwaniu na umizgi, owoce pogoni, z których z równą przyjemnością skorzystają. Mógł teraz ściągnąć jasnoblękitną maskę, która lśniła przed nim w ciemnościach. Wylot tej bocznej alejki wciąż jaśniał czerwonym i żółtym blaskiem pochodni, ale światło nie docierało tu, gdzie stali. Panował półmrok. Było to bardzo dobre miejsce na...

Usiłował unieść maskę na jej twarz. Broniła się, obróciła głowę w bok. Zachichotała i lekko

poruszyła ręką przed twarzą. Chciała orzeźwić się świeżym powietrzem.

– Julia – wysapał wprost w jej twarz. – Julia.

Znów zachichotała.

– Teraz mam cię.

Spojrzał tam, skąd dochodziło światło, gdzie ciągle przepływał tłum, jakby chciał ocenić sytuację.

Potem pogmerał w swoim ubraniu i wyciągnął rewolwer z kościaną rękojeścią, który nosił przez cały tłusty wtorek. Przez moment nie widziała rewolweru, gdyż trzymał go nisko, poniżej jej wzroku.

Potem szarpnięciem ściągnął swoją maskę. Upadła na ziemię.

– Teraz mnie, Julio, poznajesz? Wiesz, kim jestem?

Cofnął łokieć, by znaleźć miejsce. Oderwał od niej lufę rewolweru. Rozległ się trzask, gdy odciągał kurek.

Znów go przystawił. Znalazł puste miejsce, w którym inni mają serce.

Brutalnym ruchem zerwał z jej twarzy maskę. Wraz z nią ściągnął kaptur. Odsłoniły się jasne włosy. Spostrzegła rewolwer w tym samym czasie, gdy on zobaczył w pełni jej twarz.

– Nie, niech pan tego nie robi – zakwiliła. – Nie chciałam nic złego. Ja się tylko wygłupiałam, no wygłupiałam... – Usiłowała paść na ziemię, ale jego naprężone ramiona przytrzymały ją.

– Ależ ty nie jesteś... nie jesteś...

– Proszę. Nic nie poradzę, że pan się zawiódł...

Rozległ się głuchy odgłos, gdy rewolwer upadł na ziemię obok niego.

Rozdział 24

Pokój był martwą naturą. W tle niezapominajki na różowej tapecie. Na przednim planie – stół. Na stole – cuchnąca szklanka, przewrócona, osuszona do dna butelka i leżąca twarzą w dół głowa. Nic się nie poruszało. Wszystko było bez czucia i świadomości. Martwa natura zatytułowana „Rozpacz”.

Rozdział 25

Komisarz nowoorleańskiej policji był pod każdym względem w swoim , zawodzie człowiekiem przeciętnym. Pięćdziesiąt siedem lat, dziewięćdziesiąt jeden kilogramów, sto siedemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, srebrzyste włosy, powiększająca się łysina, kręcona broda z przedziałem, skromne ubranie. Człowiek twardych zasad, ale nie przekraczający granic normalności, pracowity, żonaty, zmuszony do używania okularów, lecz tylko do czytania, oraz cierpiący na łagodną chorobę nerek. Nie błyskotliwy, ale też nie tępy. Pierwsza cecha bez wątplenia bardziej dyskwalifikuje urzędnika służb publicznych niż druga.

Jego biuro w głównej komendzie policji nie było szczególnie przytulne, ale ponieważ przeznaczone było do pracy, a nie do spotkań towarzyskich, nie miało to większego znaczenia. Panowała w nim napuszona atmosfera, której prawdopodobnie nie da się uniknąć w biurach tego typu. Tapeta koloru kości słoniowej szybko i niejednolicie zbrązowiała. Pełno było na niej wyrzuseń i wgłębień. Wyklejono ją przynajmniej w czasach, gdy administrował tu Van Buren. Zielony dywan wypłowiwał; był teraz żółtawy. Żyrandol z czterema gazowymi palnikami umieszczonymi w przyjemnie mieniących się szklanych oprawach zwiisał z sufitu. Zarzucone papierami biurko stało tak, żeby komisarz siedział tyłem do okna. Tym, z którymi rozmawiał, słońce świeciło prosto w twarz.

Jego sekretarz uchylił drzwi, wszedł i zamknął je za sobą. Oznajmił:

– Sir, jakiś dżentelmen chce się z panem widzieć.

Komisarz tylko na chwilę oderwał wzrok o raportu, który studiował.

– W jakim celu? Powiedz, żeby tobie przedstawił swoją sprawę – zagrzmiał głębokim barytonem.

Sekretarz wyszedł, ale szybko wrócił.

– Sir, to jest sprawa osobista, tylko do pana wiadomości. Zaproponowałem, żeby złożył pismo, ale twierdzi, że tego też nie może zrobić. Prosi, żeby poświęcił mu pan tylko chwilę czasu.

Komisarz westchnął z niechęcią. – Dobrze. Przerwij nam za pięć minut. Nie później!

Sekretarz przytrzymał drzwi. Kiwnął ręką na interesanta. Wszedł stary mężczyzna. Zmizerowany, przygnębiony, przybity stary mężczyzna w wieku trzydziestu siedmiu lat.

Sekretarz wyszedł z pokoju, zaczął odliczać pięć minut.

Komisarz odłożył raport, który studiował. Skinął z bezosobową uprzejmością. – Dzień dobry. Czy może pan mówić tak zwięźle, jak to tylko możliwe? Mam dużo spraw... – Zamaszystym, dość nieokreślonym ruchem wskazał na blat biurka.

– Spróbuję, sir. Wysoko sobie cenię, że zgodził się pan poświęcić mi trochę czasu.

Komisarz lubił to. Jak dotąd był przyjemnie zaskoczony.

– Usiądzie pan?

Poświęci mu przynajmniej wyznaczone pięć minut, jeśli nie więcej. Wyglądało, że

mężczyzna bardzo cierpiał, lecz pod powłoką rozpaczony przetrwała odrobina wrodzonego dostojeństwa, które skłaniało raczej do szacunku niż cikliwego współczucia.

– Zatem, sir... – ponaglił. Nie chciał, by rozmowa się przeciągnęła.

– Nazywam się Louis Durand. Ożeniłem się dwudziestego maja z kobietą, która przybyła z St. Louis i przedstawiła się jako Julia Russell. Nigdy jej wcześniej nie widziałem. Mam akt ślubu ze sobą. Piętnastego czerwca podjęła z mojego konta bankowego pięćdziesiąt tysięcy dolarów i zniknęła. Nie widziałem jej od tej pory. Chcę, żeby wydano nakaz aresztowania tej kobiety. Chcę, żeby ją zatrzymano, postawiono przed sądem i odzyskano moje pieniądze.

Przez dłuższy czas komisarz milczał. Było oczywiste, że nie spowodował tego brak uwagi lub zainteresowania. Wręcz przeciwnie, nagle bardzo się skupił. W tym samym stopniu było jasne, że przetwarza historię w swoim umyśle, dostosowuje do swoich pojęć, oswaja się z nią, aby nad nią zapanować.

– Mogę zobaczyć akt ślubu? – zapytał wreszcie.

Durand wydobył go, podał mu.

Przeczytał uważnie, nic nie powiedział przez wzgląd na respekt. A potem zadał dwa pytania, oddzielone długą chwilą milczenia. Oba bardzo istotne.

Jedno brzmiało: – Powiedział pan, że nigdy przedtem pan jej nie widział. Jak to?

Durand wyjaśnił charakter zalotów i ponadto dodał, że wierzy, iż nie jest to kobieta, której się oświadczył, ale oszustka. Przedstawił podstawy do swojego przekonania, lecz przyznał, że nie ma dowodów.

Drugie i zarazem ostatnie pytanie komisarza, zadane przez złączone palce, było następujące:

– Czy sfalszowała pana podpis, żeby wypłacić pieniądze?

Durand pokręcił głową. – Złożyła swój podpis. Dałem jej upoważnienie w banku, by mogła to robić. Umożliwiłem jej korzystanie z konta.

Upłynęło pięć minut przeznaczonych dla niego. Otworzyły się drzwi. Młody sekretarz wsunął przez nie głowę i jedno ramię i rzekł: – Przepraszam, panie komisarzu, ale miałem poinformować...

Odwołując swój wcześniejszy nakaz, komisarz uciszył go ruchem dłoni.

Zwrócił się do Duranda po chwili namysłu. Pokazał w ten sposób, że rozmowa nie skończyła się z tego powodu, ale ze względu na skomplikowany charakter problemu.

– Najpierw chciałbym omówić tę sprawę z moimi współpracownikami – przyznał – zanim podejmę jakieś działania. To bardzo dziwna sprawa, całkowicie inna niż te, z którymi się do tej pory zetknąłem. Jeśli pan pozwoli, to zatrzymam akt ślubu. Potem dopilnuję, żeby dostał pan go z powrotem. Panie Durand, czy mógłby pan przyjść jutro o tej samej porze?

Odwróciwszy się, nakazał sekretarzowi z wyraźnym naciskiem:

– Harris, chcę spotkać się z panem Durandem jutro rano o tej samej porze. Sprawdź, czy moje umówione spotkania pozwalają na to.

– Dziękuję, panie komisarzu – powiedział Durand, wstając.

– Proszę mi jeszcze nie dziękować. Musimy najpierw przyrzeć się sprawie.

Rozdział 26

Proszę usiąść, panie Durand – powiedział komisarz po podaniu mu ręki.

Durand usiadł, czekał.

Komisarz gromadził słowa, układał je w głowie i w końcu wypowiedział: – Bardzo mi przykro, ale stwierdziłem, że my w najmniejszym stopniu nie możemy panu pomóc. Przez słowo *my* rozumiem wydział policji w tym mieście.

– Co? – Durand był oszołomiony. Jego głowa opadła na gąbczaste oparcie fotela z czarnej skóry. Kapelusz, który trzymał na kolanach, spadł na podłogę. To komisarz musiał go podnieść. Przez chwilę mówił z trudem – Chce pan... pan powiedzieć, że obca, przypadkowa kobieta może zjawić się, zawrzeć pozorny, szalbierczy ślub, potem umknąć z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów... i... i nic pan nie może zrobić... ?

– Spokojnie – odezwał się komisarz. Mówił z cierpliwą życzliwością.

– Rozumiem, jak pan się czuje, ale proszę dać mi chwilę czasu. – Oddał mu akt ślubu, który zatrzymał poprzedniego dnia.

Durand zgniół go w rękę i wyrzucił zamaszystym, pełnym wściekłości ruchem. – To... to bezwartościowe fałszerstwo... !

– Po pierwsze musimy coś wyjaśnić, zanim przejdziemy dalej – komisarz zwrócił się do niego. – To nie jest fałszerstwo. To małżeństwo nie jest pozorne. – Podkreślał swoje słowa. – *Ta kobieta jest prawnie pana żoną.*

Durand osłupiał jeszcze bardziej niż poprzednio. Był zdumiony.

– Ona nie jest Julią Russell! To nie jest jej nazwisko! Jeśli w ogóle się ożeniłem, to ożeniłem się z Julią Russell, kimkolwiek i gdziekolwiek ona była... To jest małżeństwo przez zastępstwo, jeżeli można to tak nazwać... *Ale ta kobieta była kimś innym!*

– Tutaj pan jest w błędzie. – Komisarz podkreślał każde słowo, mocno uderzając palcem w stół. – Naradzałem się z księżmi z kościoła, w którym małżeństwo zostało zawarte. Rozmawiałem też z naszymi znawcami prawa cywilnego. Kobieta, która stała obok pana w kościele, poślubiła pana *osobiście*, a nie w czyimś imieniu. Nie ma znaczenia, jakie nazwisko podała, prawdziwe, czy fałszywe. Nie miałyby to znaczenia, nawet gdyby, niech Bóg broni, powiedziała, że jest córką prezydenta Stanów Zjednoczonych. Według prawa cywilnego i kanonicznego jest ona pana prawnie poślubioną żoną. Ona i tylko ona. Nie można jej inaczej traktować. Oczywiście można unieważnić małżeństwo, ze względu na fałszywe przedstawienie faktów, ale to już inny problem...

– Mój Boże! – jęknął Durand.

Komisarz wstał, podszedł do naczynia z zimną wodą i nalał mu do kubka. Durand nie skorzystał.

– A pieniądze? – wykrztusił w końcu. – Kobieta może obrabować mężczyznę przed waszym nosem, a wy nie jesteście w stanie mu pomóc, nie możecie nic dla niego zrobić? Co to za prawo,

które karze ludzi uczciwych, a chroni złoczyńców. Jakaś kobieta może wejść do domu mężczyzny i...

– Nie. Niech się pan powstrzyma. To znów prowadzi nas do punktu, w którym byliśmy. Jakaś kobieta nie może zrobić tego i pozostać bezkarna. Ale w pana przypadku nie zrobiła tego *jakaś* kobieta.

– Lecz...

– *Pana żona* to zrobiła i prawo nie może jej za to ścigać. Dał jej pan pisemne upoważnienie, żeby mogła robić to, co zrobiła. Pan Simms w banku pokazał mi to upoważnienie. W tej sytuacji, jeżeli konto jest wspólne, żona nie może okraść swojego męża, a mąż żony.

Odwrócił głowę i ze smutkiem spojrzął przez okno.

– Gdyby teraz przechodziła ulicą obok tego budynku, nie moglibyśmy jej zatrzymać, aresztować.

Durand, zdruzgotany, opuścił ramiona.

– Zatem pan mi nie wierzy – tylko tyle był w stanie wymyślić. – Nie wierzy pan, że odegrano jakąś podłą grę za kulisami tego małżeństwa, że pewna kobieta wyruszyła z St. Louis, by zostać moją żoną, i nagle inna pojawiła się zamiast niej...

– Wierzmy panu, panie Durand. Całkowicie panu wierzymy. Proszę pozwolić mi wyjaśnić. Teoretycznie całkowicie się z panem zgadzamy; w praktyce, nie możemy nawet ruszyć palcem, żeby panu pomóc, i nie wynika to z naszej niechęci. Gdybyśmy mieli ją aresztować, to przecież nie możemy jej zatrzymać, a co dopiero zmusić do oddania pieniędzy. Cała sprawa jest efektem zbiegu okoliczności. Jak dotąd nie zostało udowodnione, że popełniono przestępstwo. Poszedł pan na nadbrzeże, żeby spotkać się z pewną kobietą, ale na jej miejsce zjawiła się inna. Taka zamiana sama w sobie nie jest przestępstwem. Mogła to być, że tak powiem, osobista pułapka, podstęp, ale prawo nie uznaje tego za przestępstwo. Moja rada dla pana brzmi...

Durand uśmiechnął się ponuro.

– Zapomnieć o tym wszystkim, tak?

– Nie, nie. Wcale nie. Popłynąć do St. Louis, zacząć od tego miasta. Znaleźć dowód, że popełniono przestępstwo: porwano prawdziwą Julię Russell lub uczyniono nawet coś gorszego. Teraz proszę słuchać mnie uważnie. Powiedziałem: *znaleźć dowód*. List napisany inną ręką dowodzi jedynie, że jest to list napisany inną ręką. Zbyt duże suknie są jedynie zbyt dużymi sukniemi. Powiedziałem: *znaleźć dowód*, że popełniono przestępstwo. Potem przekazać go... – Poruszał z namaszczeniem palcem wskazującym do przodu i do tyłu niczym wahadłem. – ... nie nam, ale odpowiednim władzom sądowym na obszarze, na którym znajdzie pan dowód. To znaczy, jeśli na rzece, to trzeba zwrócić się do władz miasta leżącego najbliżej.

Durand jak drewnianym młotkiem uderzył rozpaczliwie w blat biurka.

– Aż do tej pory nie zdawałem sobie sprawy – rzekł wściekle – że złoczyńca ma tyle możliwości popełnienia przestępstwa i bezkarnej ucieczki! Wydaje się mnie, że jest to szyderstwo z prawa! Po co zawracać sobie głowę jego przestrzeganiem...

– Prawo, które stosujemy w naszym kraju – uprzedził go komisarz – stara się chronić osoby niewinne. W bardzo rzadkich, pojedynczych przypadkach, takich jak pana, zasada może być niesprawiedliwa wobec uczciwych oskarżycieli. Jednak setki razy uchroniła niewinnych ludzi przed niesprawiedliwym oskarżeniem, bezpodstawnym aresztowaniem, krzywdzącym procesem i być może nawet przed karą śmierci, której nie można cofnąć po jej wykonaniu. Prawo rzymskie, które obowiązuje w wielu krajach, mówi, że podejrzany jest winny, dopóki nie wykaże swojej niewinności. Anglosaskie prawo zwyczajowe, którym my się kierujemy, zakłada, że podejrzany jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy.

Westchnął ciężko i dodał po chwili:

– Niech pan to przemyśli, panie Durand.

– Rozumiem – rzekł w końcu Durand, unosząc opuszczoną w przygnębieniu głowę. – Przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą.

– Gdyby moje małżeństwo okazało się pułapką i gdyby wyludzono ode mnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów, zdenerwowałbym się znacznie bardziej niż pan to przed chwilą zrobił. Jednak nie zmienia to ani trochę tego, co przed chwilą powiedziałem. Wciąż obowiązują moje wyjaśnienia.

Durand wstał ze znużoną powściągliwością. Dwoma palcami rozprostował kanty spodni.

– Udam się do St. Louis. Tam zacznę poszukiwania – powiedział, z zawziętością zaciskając usta. – Do widzenia – dodał.

– Do widzenia – powtórzył jak echo komisarz.

Durand podszedł do drzwi i otworzył je, by wyjść.

– Panie Durand! – zawołał komisarz, jakby o czymś sobie przypomniał.

Durand odwrócił się do niego.

– Niech pan sam nie wymierza sprawiedliwości.

Durand zatrzymał się w drzwiach. Przez chwilę nie odzywał się, jakby go nie usłyszał.

– Spróbuję tego nie robić – wreszcie powiedział i wyszedł.

Rozdział 27

Jakiś czas później statek Baton Rouge przybił o szóstej po południu do nadbrzeża w St. Louis. Była środa, jedenasty dzień miesiąca.

Durand nigdy wcześniej nie był w St. Louis. Gdzieś rok temu oceniałby różnice, rozkoszowałby się innością miasta: bardziej rześką, ożywioną atmosferą niż w ociążalym Nowym Orleanie; słabo zaznaczonym niemieckim charakterem, przejawiającym się w każdym szczególe, prawie niewyczuwalnym, ale oczywistym dla kogoś, kto przybył z nasyconego francuskością miasta u ujścia rzeki. Teraz zbyt wiele leżało mu na sercu, żeby się tym zajmował, zwracał na to uwagę. Myślał tylko o tym, że skończyła się podróż, znalazł się na miejscu, gdzie zacznie rozwiązywać zagadkę, rozstrzygać problem, borykać się z losem.

Był pochmurny dzień, ale mimo to w powietrzu było coś czystego i przejrzystego; inaczej niż w zachmurzonym Nowym Orleanie. Unosiła się jakaś energia. Powietrze oddychało mniejszą dozą wyrafinowania, znacznie większą brzydoty.

Pod każdym względem była to dla niego Północ, najdalej wysunięte na północ miejsce, które kiedykolwiek odwiedził.

Oczywiście miał przy sobie adres Bertę Russell, ale ze względu na późną porę, oraz, być może, z powodu ukrywanego tchórzostwa, które skłaniało go do odsunięcia możliwie jak najdalej w czasie trudnej próby, postanowił najpierw znaleźć pokój w hotelu, zanim wyruszy, aby odszukać i porozmawiać z tą nieznaną kobietą, od której teraz wszystko zależało.

Gdy wyszedł z przystani, natychmiast został otoczony przez małą grupkę dorożkarzy, którzy trzymali w uniesionych rękach baty. Czekali z nadzieją. Wsiadł do przypadkowo wybranej dorożki.

– Znajdź mi jakiś hotel – rzucił posepnie. – Blisko przystani. Nie musi być luksusowy.

– Tak, sir. Myślę, że „Komiwojażer” będzie odpowiedni. Znajduje się stąd o rzut kamieniem.

Nawet kolorowi mówią tu szybciej niż w Nowym Orleanie, zauważył z ponurą obojętnością.

Hotel był obskurnym, pachnącym knajpą miejscem nad wodą, ale na tyle spełniał jego wymagania, że mógł go zaakceptować. Dostał klucz, poinstruowano go i pozwolono, żeby sam znalazł ponury pokój z prawie całkowicie przesłoniętym przez trzy filary z cegły oknem. Warstwa kurzu pokrywała szyby. Oczka w firance już dawno zarosły brudem. Jednak pokój zaczął już tonąć w mroku, a on nie zamierzał wyglądać przez okno. Nie przyjechał tu po to, żeby podziwiać widoki.

Postawił swoją torbę i opadł przygnębiony na krzesło, by oddać się rozmyślaniom.

Znów wyobraził sobie sytuację, która nastąpi, jak to robił cały dzień i noc wcześniej na statku. Ponownie słyszał uspokajający głos, który miał nadzieję naprawdę usłyszeć. „Panie Durand, ona zawsze była szalona. Nasza Julia taka właśnie była. To nie pierwszy raz, kiedy uciekła. Proszę się nie obawiać, ona wróci do pana. Kiedy będzie się pan najmniej tego spodziewał, ona się pojawi i będzie prosiła o wybaczenie. „

Rozumiał, że widocznie chce, by to się tak odbyło; zawsze wyobrażał sobie w ten sposób tę sytuację. Chciał, żeby ona była prawdziwą Julią. Oszustką, złodziejką, uciekinierką, ale mimo to osobą, jako która się przedstawiła. Dlaczego, zastanawiał się, dlaczego?

Bo anonimowość oznaczała, że utraciłby ją jeszcze bardziej, nieodwołalnie. Anonimowość oznaczała, że zniknęłaby na zawsze. Nie pozostawała wtedy nawet nadzieja, że ją kiedyś odnajdzie. Nic mu nie pozostawało.

Albo dlatego, że przeciwstawna możliwość, która zakładała, że to nie jest prawdziwa Julia, była mroczna, przerażająca. Sama myśl o niej przyprawiała go o dreszcze.

A potem przypomniał sobie list, który zdaniem Bertę został napisany przez obcą osobę i... cała nadzieja znikła.

Wkrótce wyszedł z pokoju i zszedł na dół. Chciał coś zjeść w wyjątkowo nieprzyjemnej restauracji, która znajdowała się przy hotelu. Była to typowa jadalnia dla komiwojażerów: zadymiona, wypełniona chełpliwymi krzykami, bez kobiet. Zjadł bez zwykłego ceremoniału, nawet nie wiedział co. Potem, gdy siedział przy kawie, lepkiej, zupełnie zimnej, której nie tknął, zauważył na ogromnej poźółkłej tarczy zegara wiszącego wysoko na ścianie, że zbliża się godzina dziewiąta. Nagle postanowił od razu wykonać swoje zadanie, nie czekać do rana. Próby zaśnięcia byłyby udręką przekraczającą granice wytrzymałości. Chciał mieć to za sobą, niezależnie od wyniku. Chciał wiedzieć natychmiast, nie był w stanie znieść kolejnej półgodziny niepewności.

Wrócił na chwilę do swojego pokoju, wziął dwa listy jej siostry, akt ślubu i wszystkie inne istotne notatki. Włożył wszystko do zewnętrznej kieszeni, zszedł na dół, znalazł dorożkę i podał adres.

Ze względu na panujące ciemności nie mógł zbyt wiele powiedzieć o domu. Wydawał się duży. Górna część jego sylwetki załamywała się z tyłu. Znaczyło to, że miał dach mansardowy. Była to część miasta, w której panował ład i porządek. Wzdłuż ulic rosły drzewa, a same ulice były wymarłe. Wszyscy przebywali w domach, tam, gdzie prawomyślni obywatele i ci, którzy się tutaj zatrzymali, powinni o tej porze się znajdować. Rzadko rozstawione lampy gazowe migotały światłem wapiennym wśród szpaleru drzew jak robaczki świętojańskie. Wieża kościoła, niczym czarny, krótki i szeroki nóż, rozcinała niebo koloru pyłu ceglanego. Było jaśniejsze niż ziemia, gdyż nisko zawieszony, gęste chmury błyszczały światłem odbitym.

W samym domu dwa podwójne okna na parterze płonęły pomarańczowym blaskiem lamp. W pozostałych oknach panowały ciemności. Ktoś był w domu.

Wysiadł z dorożki i wyszperał pieniądze.

– Poczekać na pana? – zapytał mężczyzna.

– Nie – odparł po chwili wahania. – Nie. Nie wiem, jak długo będę musiał tu pozostać.

Niemal z przykrością patrzył, jak dorożka zakręca i odjeżdża, zostawiając go samego, pozbawiając w ostatniej chwili możliwości odwrotu, na co miał ogromną ochotę.

Podszedł do drzwi, odnalazł mały kościany przycisk i mocno nacisnął.

Oczekiwanie przedłużało się, ale powstrzymał się, by zadzwonić ponownie.

Potem, stopniowo, jakby rozjarzone zbliżającym się światłem, półkoliste okno nad drzwiami, którego do tej pory nie widział, zaczęło powoli mienić się ciemnoczerwonymi i bezbarwnymi pasami.

Zza drzwi rozległ się kobiecy głos: – Kto tam?

Charakterystyczne środki ostrożności wskazywały, że mieszka sama.

– Chciałbym rozmawiać z panną Bertą Russell – zawołał w odpowiedzi. – To ważne.

– Proszę chwilę poczekać.

Mógł słyszeć, jak odsuwa rygiel, a potem przekręca zapadkę w zamku. Drzwi się otworzyły. Przyjrzała mu się uważnie. Naftową lampę trzymała lekko uniesioną, żeby padające promienie mogły go oświetlić ku jej zadowoleniu.

Miała około pięćdziesięciu lat. Była wysoka, dobrze zbudowana, ale nie otyła. Dość kanciasta. Miała niezdrową woskowożółtą cerę. Wyglądała jak osoba, która przez wiele dni zamartwiała się i nie wychodziła z domu. Jej niedelikatne, połyskujące włosy zaczynały siwieć. Z tyłu były ciemne, to nad czołem pojawiły się pierwsze siwe pasemka. Sposób, w jaki czesała włosy, wskazywał, że nie chce tego ukryć, wręcz przeciwnie, podkreślić. Mocno ściągnęła je do tyłu, jakby chciała jej wyrwać, i niedbale upięła. Nadawało to jej surowy wygląd, który może nie w pełni był uzasadniony, chociaż, mówiąc szczerze, niewiele czułości lub poczucia humoru można było odczytać z jej rysów.

Miała na sobie suknię z czarniej, sztywnej alpaki. Szydełkowy biały kołnierz opinał jej szyję. Spinała go brosza z czerwonego chalcedonu.

– Tak – powiedziała wznoszącym się głosem. – Jestem Berta Russell. Czy ja pana znam?

– Nazywam się Louis Durand – odparł ponuro. – Właśnie przybyłem z Nowego Orleanu.

Usłyszał, że gwałtownie wciągnęła powietrze. Długo mierzyła go wzrokiem, oswajała się z nim. Potem nagłym ruchem szerzej otworzyła drzwi. – Proszę wejść, panie Durand – rzekła. – Proszę wejść do środka.

Zamknęła drzwi wejściowe za nim. Czekał, potem pozwolił znów się poprowadzić.

– Tędy – powiedziała. – Tam jest salon.

Poszedł za nią korytarzem, po ciemnej, pokrytej chodniczkami podłodze. Chyba czytała, gdy zadzwonił, bo kiedy postawiła lampę na stole, oczom ukazała się gruba księga ze złożonymi brzegami i okulary ze srebrnymi oprawkami. Rozpoznał Biblię. Wystawała z niej zakładka ze szkarłatnego welwetu.

– Proszę poczekać, zapalę więcej świateł.

Zapaliła drugą lampę. Zmniejszyła jednak od razu jej płomień. Bynajmniej nie zrobiło się jaśniej.

– Proszę usiąść, panie Durand.

Usiadł przy stole naprzeciw miejsca, gdzie siedziała, zanim przyszedł. Włożyła zakładkę w nowe miejsce w Biblii i zamknęła grubą, sześcienną księgę. Trocheja odsunęła. Mógł dostrzec, że

mocno zadrżała z niepewności i oczekiwania. Jeszcze mocniej starała się zdusić odruch.

Zacisnęła dłonie i położyła je na stole, tam, gdzie przed chwilą leżała Biblia.

Zwilżyła bladą linię swoich ust.

– Zatem co może mi pan powiedzieć? Bo przybył pan, żeby co mi powiedzieć, tak?

– Nie chodzi o to, że ja mogę coś powiedzieć – odparł. – Ważne jest to, co pani ma do powiedzenia.

Szttywno skinęła głową, jakby nie zgadzała się z takim wyzwaniem, niemniej zaakceptowała je, by przyspieszyć sprawę.

– No dobrze. Mogę powiedzieć panu to, że moja siostra Julia dostała listownie od pana propozycję małżeństwa około piętnastego kwietnia tego roku. Czy pan temu zaprzecza?

Powstrzymał się od odpowiedzi. Milczał, pozwolił jej mówić dalej.

– Moja siostra Julia wyjechała stąd osiemnastego maja, żeby się z panem spotkać w Nowym Orleanie. – Przeszyła go wzrokiem. – To wtedy po raz ostatni ją widziałam. *Od tego czasu nie otrzymałam od niej żadnej wiadomości.* – Głęboko, ze świstem, wciągnęła powietrze. – Otrzymałam odpowiedź na jeden z moich listów, napisany przez kogoś obcego. A teraz pojawia się pan sam.

– Nie ma nikogo, z kim mógłbym przyjechać.

Zauważył, że szeroko otworzyła oczy, ale czekała.

– Jedną chwilkę – powiedział. – Myślę, że oboje oszczędzimy czas, jeśli coś ustalimy, zanim...

Nagle przerwał. Nie musiał kończyć zdania. Sam znalazł odpowiedź, spoglądając nad jej ramieniem na ścianę. To niewiarygodne, że do tej pory tego nie zauważył, ale całą swoją uwagę skupił na Bercie, a nie na otoczeniu. Poza tym znajdowało się to w cieniu, nie oświetlały go lampy.

Był to duży fotograficzny portret, oprawiony w welurową ramkę w kolorze wiśniowym. Głowa na nim miała prawie naturalną wielkość. Osoba nie była młoda, nie była dziewczyną. W jej ustach była jakaś zaciętość, która zwiastowała gwałtowność. Przenikliwy wyraz twarzy zapowiadał pojawienie się zmarszczek. Nie była piękna. Ciemne włosy zostały upięte w węzeł z tyłu głowy...

Berta wstała i stanęła obok portretu. Uniosła i przysunęła do ściany lampę. Portret został nagle oświetlony pełnym blaskiem.

– *To jest Julia. To jest moja siostra. Tutaj. Przed panem. To jest powiększenie, które zrobiono zaledwie dwa lub trzy lata temu.*

Jego głos był szeptem, który z trudem do niej docierał: – Zatem ona... nie była osobą, którą poślubiłem.

Pospiesznie postawiła lampę, gdy zobaczyła, co się stało.

– Panie Durand! – Ruszyła w jego kierunku, jakby chciała go podtrzymać. – Czy coś panu przynieść?

Powstrzymał ją nieokreślonym ruchem ręki. Jego ciężki oddech brzmiał mu w uszach niczym miechy. Odszukał krzesło, z którego wcześniej wstał, i z wysiłkiem osunął się na nie. Obrócił się i chwycił oparcia. Kurczowo zaciskał na nim dłonie.

Wyciągnął rękę i wskazał palcem. Palec unosił się i opadał, czekając, aż usta znajdą słowa i dołączą do niego.

– To jest kobieta, której fotografię dostałem. *Ale nie jest to kobieta, z którą się ożeniłem dwudziestego maja.*

Wyrażająca przerażenie śmiertelna bladość jej twarzy była niczym, niknęła, gdy spojrzało się na niego.

– Przyniosę wina – zaproponowała pospiesznie.

Zaprotestował, unosząc rękę do góry. Szarpnął za kołnierzyk, żeby go rozluźnić. ^

– Przyniosę wina – powtórzyła bezradnie.

– Nie, nic mi nie jest. Proszę nie tracić czasu.

– Ma pan fotografię lub inną podobiznę tej drugiej osoby, żeby mi pokazać? – spytała po chwili.

– Nie mam nic, najmniejszego strzępu. W jakiś sposób udało się jej nawet odłożyć zrobienie naszego ślubnego zdjęcia. Teraz przyszło mi do głowy, że to przeoczenie mogło być celowe. – Uśmiechnął się smutno. – Mogę powiedzieć, jak wyglądała, jeśli to wystarczy. Nie muszę mieć fotografii, żeby sobie przypomnieć. Miała jasne włosy. Była niska. Była znacznie... chciałem powiedzieć trochę młodsza od pani siostry. – Zająknął się i przerwał. Widocznie uznał, że ten opis jest bezużyteczny.

– A Julia? – nalegała, jakby mógł udzielić jej odpowiedzi. – Zatem gdzie jest Julia? Co się z nią stało? Gdzie ona jest? – Położyła ręce na stole w bezbrzeżnej rozpacz. – Widziałam, jak odpływała tym statkiem.

– Czekałem na statek. Przyplłynął bez niej. Nie było jej na nim.

– Jest pan pewien? Jest pan pewien? – Jej oczy lśniły łzami.

– Patrzyłem, jak ludzie schodzą ze statku. Wszyscy zeszli. Nie było jej wśród nich. Nie było jej na statku.

Osunęła się na krzesło stojące za stołem. Brzeg dłoni przyłożyła do czoła. Przez chwilę podtrzymywała tak swoją głowę. Nie płakała, ale jej usta wykrzywiły się na krótko raz lub dwa razy.

Oboje musieli śmiało spojrzeć prawdzie w oczy. Teraz wisiała między nimi nieukryta. Nie można było jej uniknąć. Doszło do tego. Nasuwało się tylko pytanie, kto pierwszy ją wypowie.

Ona to zrobiła.

Pozwoliła opaść swojej ręce. – Została zabita! – wyszeptała ochryłym głosem. – Zakończyła życie na tym statku. – Zadrzała, jakby jakiś podstępny szatan dostał się do pokoju, nie otwierając drzwi ani okien. – Zginęła w jakiś sposób, z czyichś rąk. – Znow zadrzała, niemal tak, jakby miała malarię. – Między tym popołudniem w środę, kiedy pomachałam jej na

pożegnanie...

Powoli opuścił głowę. Ponurym gestem to potwierdził. W końcu był pewny, zrozumiał wszystko. Skończył za nią.

– ... a popołudniem w piątek, kiedy zjawiłem się na pomoście, by ją powitać.

Rozdział 28

Zastał Bertę Russell ubraną do wyjścia, w rękawiczkach i w kapeluszu. Upiorna postać w nieożywionym czarnym stroju żałobnym. Czekala na niego w otwartych drzwiach, kiedy podjechał pod jej dom przed dziewiątą następnego ranka, aby się z nią spotkać, tak jak umówił się wieczorem. Jakikolwiek żal lub smutek, które ją gnębiły w czasie nocy, znikły teraz. Stłumiła je. Pozostały tylko niewielkie ślady. Z hartem ducha zachowywała chłodny, kamienny wyraz twarzy. Jednak miała podkrążone oczy, a przezroczysta bladość uwydatniała się na jej rysach. Była to twarz kobiety szukającej zemsty, która nie okaże więcej litości niż sama doświadczyła, niezależnie od tego, ile to będzie ją kosztowało.

– Czy jadł pan śniadanie? – zapytała go, kiedy wysiadł i podszedł do niej.

– Nie mam ochoty – odpowiedział krótko.

Natychmiast zamknęła drzwi i podążyła obok niego do dorożki. Odnosiło się wrażenie, że gdyby musiała, zaprosiłaby go na śniadanie, ale uznałaby to za stratę czasu.

– Czy ma pani kogoś konkretnie na myśli? – zapytał, gdy ruszyli. Kiedy wsiadali do dorożki, podała adres, który Durandowi nic nie mówił, podobnie jak wszystkie inne adresy w tym mieście.

– Dowiadywałam się, gdy pan wyszedł wczoraj wieczorem. Kogoś mi polecono. Mówiono o nim dobrze.

Zostali zawiezieni do śródmieścia, do gwarnej dzielnicy handlowej. Tworzyli osobliwą parę. Oboje siedzieli z zaciśniętymi ustami, sztywni, wyprostowani. Nie odzywali się do siebie ani słowem. Wreszcie dorożka zatrzymała się przed wyjątkowo szkaradnym budynkiem z dużej, czerwonej cegły, z niezliczonymi, półokrągłymi oknami w czterech równoległych rzędach. Prawdziwy ul z małymi, oddzielnymi biurami. Wygląd budynku nie świadczył, że biura wynajmowali dobrze prosperujący przedsiębiorcy.

Durand zapłacił za dorożkę i wszedł z Bertą do środka. Od razu otoczyło ich dość chłodne, stęchłe powietrze, znacznie chłodniejsze niż na zewnątrz. Półmroku nie rozpraszały rzadko wiszące na ścianach, wzdłuż korytarzy, lampy gazowe.

Przyjrzała się obszernemu spisowi biur, który wisiał na ścianie. Jednak nie wodziła po nim palcem i odsunęła się, zanim zdołał się zorientować, jakiego nazwiska szukała.

Musieli wejść po schodach: w budynku nie było windy. Gdy szedł za nią najpierw na pierwsze piętro, potem na drugie, a w końcu na trzecie, odniósł wrażenie, że wspięłaby się na szczyt góry, na sam Mount Everest, żeby osiągnąć swój cel. Powiedziała mu, że miały holenderskich przodków. U nikogo do tej pory nie widział tak milczącego uporu, jak u niej. Widział go w każdym jej nieustępliwym kroku. Była znacznie bardziej nieugięta w swoim zamiarze, niż jakikolwiek zapalczywy, szybko gestykujący Kreol z Południa mógłby być. Nie mógł nic na to poradzić, ale podziwiał ją. Przez chwilę nie mógł się też powstrzymać, żeby się nie zastanowić, jaką żoną byłaby ta druga Julia.

Na trzecim piętrze skręcili w niekończący się główny korytarz, jeszcze słabiej oświetlony niż

na dole. W tej części budynku pełno już było schodów i schodków do biur.

– Nie sądzi pani, że nie świadczy to o kwitującym interesie – zauważył bezpodstawnie, bez zastanowienia.

– To świadczy o uczciwości – odparła krótko. – A tego szukam.

Żałował, że uczynił to spostrzeżenie.

Zatrzymała się przy ostatnich drzwiach.

Na ich górnej połowie umieszczono tabliczkę z dmuchanego szkła, na której okrągłym pismem, w równych rzędach, napisano:

Walter Downs Prywatny detektyw Durand zapukał do nich obu. Rozległ się głęboki, wibrujący baryton.

– Proszę wejść.

Otworzył drzwi, przepuścił Bertę Russell i wszedł za nią.

W środku było jaśniej ze względu na padające z zewnątrz światło. Był to pojedynczy pokój. Przedstawiał się jeszcze gorzej niż obiecywał wygląd budynku. Duże, ale wyjątkowo zniszczone biurko dzieliło go na dwie części: jedną dla użytkownika, drugą dla gości, wszystkich gości. W tej części stały dwa krzesła, nic więcej, z których jedno miało trzcinowe siedzenie. Po drugiej stronie pokoju znajdowała się mała stalowa kasa pancerna z rdzewiejącymi rogami. Drzwi do niej były uchylone. Nie przypadkowo, gdyż wystające z niej książki i leżąca na nich nieuporządkowana sterta papierów uniemożliwiały chyba jej zamknięcie.

Mężczyzna, który siedział na środku swojej raczej niesympatycznej enklawy miał około czterdziestu lat. Był starszy od Duranda nie więcej niż dwa-trzy lata. Miał piaskowe włosy, wciąż gęste, z wyjątkiem miejsc nad skrońmi, co uwydatniało czoło i nadawało twarzy cokolwiek lwi wygląd. Był gładko wygolony, nawet nad górną wargą. Paradoksalnie ten jego nawyk, zamiast dodawać mu młodości, czynił go bardziej dojrzałym, tak ostre były jego rysy twarzy, a w szczególności linia ust. Miał niebieskie oczy, na których powierzchni gościła życzliwość i litość. Jednak głębiej sporadycznie pojawiał się w nich błysk, jakaś błękitna iskra, która sugerowała żarliwość. Pod każdym względem były to najbardziej przenikliwe oczy, jakie Durand kiedykolwiek widział. Patrzyły pewnie i uważnie jak u sędziego.

– Czy rozmawiam z panem Downsem? – usłyszał głos Berty.

– Tak, proszę pani – burknął.

Nie było nic ujmującego w jego sposobie bycia. Celowo się tak zachowywał. Chyba powstrzymywał się od natychmiastowego zaangażowania, żeby zobaczyć, czy klienci zyskają jego aprobatę, a nie odwrotnie.

Tak samo Durand spojrzął po raz pierwszy na Waltera Downsa. Ze stu osób, które spotyka się na drodze swojego życia, dziewięćdziesiąt dziewięć nie pozostawia żadnego śladu. Natomiast setna może zmienić jej kierunek, odwrócić ją, odchylić niczym nurt poprzeczny. Życie po takim spotkaniu staje się już inne.

– Proszę pani, tam jest krzesło. – Nie wstał.

Usiadła. Durand stał. Od czasu do czasu opierał się ramieniem o ścianę, żeby się rozluźnić.

– Nazywam się Berta Russell, a to jest pan Louis Durand.

Lekko skinął głową Durandowi, nic ponadto.

– Przyszliśmy do pana w sprawie, która dotyczy nas obojga.

– A zatem kto z państwa będzie mówił?

– Panie Durand, niech pan mówi w naszym imieniu. Myślę, że tak będzie najprościej.

Durand spoglądał na podłogę, jakby tam chciał odczytać słowa. Upłynęło trochę czasu, nim zaczął mówić. Jednak Downs, który teraz obrócił głowę, żeby patrzeć wyłącznie na niego, nie okazywał zniecierpliwienia.

Historia wydała się już tak stara, tak często opowiadana. Durand mówił cicho, stłumił wszystkie emocje w głosie.

– Korespondowałem z siostrą tej pani, z Nowego Orleanu, gdzie mieszkam. Ona mieszkała tutaj. Zaproponowałem małżeństwo, zgodziła się. Osiemnastego maja wyjechała stąd, żeby się ze mną spotkać. Jej siostra odprowadziła ją na statek. Nigdy nie przybyła. Zupełnie inna osoba przyłączyła się do mnie po przyplłynięciu statku. Pomimo różnego wyglądu udało się jej mnie przekonać, że jest siostrą panny Russell. Wzięliśmy ślub. Ukradła mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów i następnie zniknęła. Policja w Nowym Orleanie poinformowała mnie, że nie może nic zrobić, bo brakuje dowodu, że osoba, której pierwotnie zaproponowałem małżeństwo, została zamordowana. Podawanie się za kogoś innego i wyłudzenia z tym związane nie są karane przez prawo.

Downs wypowiedział tylko trzy słowa: – I państwo chcecie... ?

– Chcemy, żeby pan znalazł dowód, że popełniono morderstwo. Chcemy, żeby pan znalazł dowód zbrodni, o której oboje wiemy, że została popełniona. Chcemy, żeby pan wytropił i zatrzymał tę kobietę, która była główną sprawczynią. – Głęboko i gniewnie wciągnął powietrze do płuc. – Chcemy, żeby została ukarana.

Downs chłodno skinął głową. Zastanawiał się.

Czekali. Downs milczał tak długo, że w końcu Durandowi zaczęło się wydawać, iż zapomniał o nich. Chrząknął, by o nich przypomnieć.

– Czy pan bierze tę sprawę?

– Już ją wziąłem – odparł Downs i wykonał nerwowy ruch ręką, jakby chciał powiedzieć: Proszę mi nie przerywać.

Durand i Berta popatrzyli po sobie.

– Podjąłem już decyzję wtedy, kiedy pan jeszcze mówił – dodał szybko. – To jest rodzaj sprawy, który lubię. Oboje jesteście uczciwymi ludźmi. Jeśli chodzi o pana... – Spojrzał nagle na Duranda. – Pan musi być porządnym człowiekiem. Tylko uczciwy człowiek może być takim głupcem, jakim pan się okazał.

Durand zaczerwienił się, ale nie skomentował tego.

– Ja też jestem głupcem. Dopóki państwo nie przyszli, nie miałem żadnego klienta już od

ponad tygodnia, ale niezależnie od tego, gdyby sprawa nie odpowiadała mi, nie zająłbym się nią.

Coś kazało Durandowi w to uwierzyć.

– Nie mogę obiecać, że wyjaśnię sprawę. Mogę obiecać jedno, tylko jedno: Nie zrezygnuję, dopóki nie rozwiążę tej zagadki.

Durand sięgnął po portfel. – Czy mógłby mi pan łaskawie powiedzieć, ile zwyczajowo...

– Proszę zapłacić, ile pan chce. Pieniądze przeznaczę na pokrycie wydatków – powiedział niemal obojętnie. – Kiedy wydatki przekroczą sumę, którą dostanę, dam znać.

– Proszę chwilę poczekać – Berta Russell odwróciła się do Duranda. Otworzyła swoją portmonetkę.

– Nie, proszę... błagam panią... to mój obowiązek – protestował.

– Tu nie ma miejsca na okazywanie salonowych manier! – Omal nie straciła panowania nad sobą. – Ona była moją siostrą. Mam prawo dzielić z panem wydatki. Domagam się tego. Nie może pan nie przyjąć pieniędzy ode mnie.

Downs spojrział na nich oboje.

– Widzę, że się nie pomyliłem – mruknął. – To jest odpowiednia dla mnie sprawa.

Wziął do ręki poranną gazetę. Najpierw ją rozłożył, a ponownie złożył na pojedynczej kolumnie. Przesuwał po niej palcem w dół. Kolumna zawierała płatne reklamy.

– Którym statkiem stąd wypłynęła? – spytał.

– Statkiem *Nowy Orlean* – Durand i Berta Russell odpowiedzieli jednocześnie.

– Dzięki zbiegowi okoliczności stoi akurat tutaj. Wykona następny rejs dla kompanii. Nadeszła jego kolej. Wypływa stąd jutro rano o godzinie dziewiątej.

Odłożył gazetę.

– Planuje pan tu pozostać, panie Durand?

– Natychmiast wracam do Nowego Orleanu, skoro przekazałem sprawę w pana ręce – odparł Durand. Potem dodał kwaśno: – Tam prowadzę interesy.

– Dobrze – rzekł Downs. Wstał i wziął kapelusz. – Zatem płyniemy razem, bo mam zamiar teraz wyjść i kupić bilet. Zaczniemy od odtworzenia jej kroków, odbędziemy taką samą podróż jak ona, na tym samym statku, z tym samym kapitanem i tą samą załogą. Ktoś mógł coś wiedzieć. Ktoś może coś pamiętać. Ktoś musi...

Rozdział 29

Kabiny na statku *Nowy Orlean* były małe, trochę większe niż skrzynie na buty, stojące jedna przy drugiej wzdłuż półek sklepowych. Kabina, którą zajmowali we dwójkę, wydawała się nawet jeszcze mniejsza niż pozostałe, przypuszczalnie dlatego, że przebywali w niej jednocześnie. Kiedy się w niej poruszali, wieszali swoje rzeczy, musieli bez przerwy przyciskać się do ścian, schodzić sobie z drogi, żeby się nie poszturchiwać, nie ocierać o siebie.

Na zewnątrz, w słabym świetle, można było zobaczyć dwie rozwinięte wstęgi – jedną szarą, drugą brązową – nurt Missisipi i jej brzeg.

– Mogę pomóc w jakiś sposób – zaproponował Durand. – Proszę mi powiedzieć tylko, w jaki sposób i jak to zrobić.

– Prawdopodobnie nie będzie pasażerów, którzy podróżowali wtedy – powiedział mu Downs. – To byłoby zbyt wiele szczęścia. Ale ta sama może być załoga. Rozdzielimy członków załogi między siebie, od kapitana po tragarzy. Jeśli niczego się nie dowiemy, nie pogorszy to naszej sytuacji. A jeśli jednak dowiemy się czegoś, będzie to sukces. Więc proszę się nie zniechęcać. To może zająć miesiące, lata, a my jesteśmy na samym początku.

– A czego pan... my... będziemy się chcieli na początek dowiedzieć?

– Będziemy starali się znaleźć świadka, który widział je obie: prawdziwą i fałszywą Julię. Nie chcę powiedzieć, że obie razem. Mam na myśli: obie żywe, podczas tego samego rejsu, w tym samym czasie. Siostra jest świadkiem, że prawdziwa Julia wsiadła na statek, pan – że fałszywa zeszła z niego. Droga eliminacji będę usiłował ustalić, kiedy prawdziwa była po raz ostatni widziana, a kiedy fałszywa po raz pierwszy. Określę to możliwie precyzyjnie... – Pokazał ręką w kierunku wstęg. – ... a to pozwoli mi w przybliżeniu powiedzieć, kiedy *to* miało miejsce, na terytorium jakiego stanu. Będę znał teren, na którym powinienem szukać dowodu, jeśli taki w ogóle istnieje.

Durand nie zapytał, co miał na myśli, tak kończąc zdanie. Być może dreszcz, który przeszedł mu po plecach, był wystarczającą odpowiedzią.

Kapitan nazywał się Fletcher. Mówił niespiesznie. Był typem człowieka, który długo zastanawia się, zanim coś powie, ale potem nie musi żałować swoich słów. Żeby odświeżyć pamięć, pogładził bujną, czarną brodę.

– Tak – powiedział po długim namyśle, gdy Downs przedstawił mu szczegółowy opis. – Tak, przypominam sobie taką małą damę. Wiatr uniósł jej spódnicę, kiedy szliśmy po pokładzie z przeciwnych kierunków. Szybko przycisnęła ją rękami do ziemi, ale przez chwilę... – Nie dokończył, na samo to wspomnienie jego oczy rozbłysły życzliwością. – Później, kiedy przechodziłem, uchyliłem czapki. Spuściła oczy, nie chciała na mnie spojrzeć... – Zaśmiał się po

cichu. – Jednak gdy mnie mijala, uśmiechnęła się. Wiem, że do mnie, bo w pobliżu nie było nikogo.

– A teraz ta osoba – powiedział Downs.

Pokazał mu małą fotografię Julii, którą dała im Berta – ujęcie było bardzo podobne do tego, które miał Durand.

Kapitan studiował ją bardzo dokładnie, ale bez szczególnej przyjemności. Potem przemyśliwał jeszcze dłużej.

– Nie – wreszcie się odezwał. – Nie, nigdy nie widziałem tej starej pan... tej kobiety. – Oddał fotografię. Wydawał się zadowolony, że się jej pozbył.

– Jest pan pewny?

Kapitan nie miał już ochoty, żeby sobie przypominać, nawet gdyby mógł.

– Wozimy wielu ludzi, rejs po rejsie. Nie dałbym rady zapamiętać wszystkich twarzy. Ostatecznie jestem tylko człowiekiem...

– Ludzie są dziwni – tłumaczył później Downs Durandowi. – Patrzą sercem. Osobę, którą opisałem tylko słowami, a informacje miałem z drugiej ręki, mógł sobie od razu przypomnieć i będzie ją przypuszczalnie pamiętał do końca życia. Natomiast osoby, której fotografię miał przed sobą, w ogóle nie był w stanie sobie przypomnieć!

Durand wcisnął przycisk w drzwiach do małej kabiny. Po pewnym czasie człapiącym krokiem wyszedł steward.

– Chodzi mi o kobiety – powiedział Durand. – Kto zajmuje się kabinami pań?

Bez pośpiechu pojawiła się stewardesa. Dał jej monetę.

– Chciałbym cię o coś zapytać. Mów, gdy sobie przypomnisz. Czy ci się zdarzyło, że weszłaś do którejś ze „swoich” kabin i nikogo nie zastałaś w środku, a łóżko było w nienaruszonym stanie?

Ochoczo skinęła głową. – No, wiele razy. Nie zawsze mamy komplet. Czasem więcej niż połowa moich kabin jest pusta.

– Nie to! Zapytam inaczej. Czy kiedyś weszłaś do kabiny, którą zajmowała jakaś dama, i zobaczyłaś nienaruszone łóżko?

Pytanie sprawiło jej trudność. – To znaczy nikt w niej nie spał, ale była zajęta?

– Tak, o to chodzi.

Nie była pewna. Intensywnie myślała, drapała się w głowę, ale nie była pewna.

Usiłował jej pomóc: – Być może były w niej ubrania, jakieś rzeczy osobiste, które mogłaś zauważyć, ale nikt nie spał w łóżku.

Wciąż nie była pewna.

Użył atutowej karty: – Może była w niej *ptasia klatka*?

Wspomnienie rozżarzyło się w niej niczym hubka, na którą padła iskra. – Tak właśnie, tak, była! Skąd pan wie? Kabina z ptasią klatką, i ja nie musiałam ścielić łóżka.

Posepnie skinął głową. – I nikt w nocy w nim nie spał... ?

Szybko mu przerwała: – Tego nie powiedziałam. Ta dama sama zasłała koję, zanim przyszłam. Lubiła porządek i robiła wszystko sama, nie czekała na nikogo.

– Kto ci to powiedział, skąd to... ?

– Była w środku, kiedy przyszłam. Najładniejsza młoda dama, jaką w ogóle widziałam. Blondynka jak anioł, usta jak czerwony pieprz.

W jadalni Durand zauważył, że Downs odstawił jeden z talerzy, zanim skończył jeść. Po posiłku, kiedy wszyscy poza nimi odeszli od długiego pojedynczego stołu, Downs przywołał kelnera i po prostu powiedział: Obserwuj. Obserwuj przez minutę, co ja robię.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i rozłożył ją na stole. Położył na niej kawałek sałaty ze swojego talerza i zwinął do środka rogi chusteczki niczym magik, który za chwilę ma pokazać zniknięcie jakiegoś przedmiotu.

– Czy widziałeś, jak to ktoś robił po posiłku? Widziałeś?

– To znaczy zawijał serwetkę jak... ?

– Nie, nie. – Downs musiał rozwinąć chusteczkę, pokazać kawałek sałaty i powtórzyć czynność od początku. – Położył liść sałaty, żeby go wynieść. To jest chusteczka. Wyobraź sobie, że jest znacznie mniejsza, taka maleńka szmatka...

Kelner skinął teraz głową. – Widziałem, jak podczas jakiegoś rejsu pewna dama to robiła. Zastanawiałem się, co... To nie było jedzenie ani nic takiego, tylko mały kawałek starej...

Downs unióśł palec do góry, zachęcając kelnera do skupienia uwagi.

– Teraz słuchaj uważnie. Dobrze pomyśl. Czy możesz sobie przypomnieć, ile razy widziałeś, że to robiła? Po ilu posiłkach?

– Jedynie raz. Tylko raz. Tylko po jednym posiłku. Wtedy tylko raz ją widziałem, przy tym posiłku.

– Nie jestem w stanie określić momentu, w którym obie były na statku – powiedział potem szeptem Downs. – Jeden trop urywa się, zanim drugi zaczyna. Jednak to musiało się wydarzyć pierwszej nocy. W czasie kolacji kelner widział, jak prawdziwa Julia zwędziła kawałek sałaty dla swojego ptaszka. O ósmej rano stewardesa w kabinie z ptasią klatką widziała blondynkę jak anioł”, która posłała swoje łóżko.

Podczas pierwszego postoju o ósmej następnego ranka Durand spostrzegł, że Downs

przygotowuje się już do opuszczenia statku.

– Wysiada pan? – zapytał zaskoczony. – Tak wcześnie? Już?

Downs przytaknął. – Poprzednio statek zatrzymał się też tutaj. Płynie według takiego samego rozkładu. Ona wtedy od kilku godzin już nie żyła i od kilku godzin znajdowała się w wodzie. Gdybym popłynął dalej, każde uderzenie łopatek w wodę oddalałoby mnie od miejsca zbrodni. Chodźmy, niech mnie pan odprowadzi na pomost.

A kiedy wyszli już na pokład tonący w porannej mgle, dodał, zniżając głos:

– Jeśli ona gdzieś jest, to na odcinku, który pokonaliśmy w nocy. Jeśli jej ciało wypłynie – albo już wypłynęło, nierozpoznane lub być może niedostrzeżone do tej pory – to na terenie, który minęliśmy. Będę się cofał wzdłuż brzegu, wioska po wiosce, jard po jardzie, cal po calu. Pieszko, jeśli zajdzie potrzeba. Najpierw sprawdzę po jednej stronie rzeki, potem po drugiej. Jeżeli ciała nie znajdę, poczekam, aż wypłynie. – Jego twarz wyrażała teraz ten rodzaj fanatyzmu, w którym nie było rozsądku. – Tam jest jej ciało, na dnie rzeki, w szerokim nurcie poniżej miasta Cape Girardeau. Tam będę na nie czekał.

Krew Durandowi zaczęła zastygać, gdy tego słuchał.

Downs wyciągnął rękę.

– Życzę więc panu powodzenia – rzekł Durand trochę teraz przerażony przez tego człowieka.

– Ja panu też – odparł Downs. – Pewnego dnia, wcześniej czy później, zobaczy mnie pan ponownie. Nie mogę powiedzieć kiedy, ale na pewno znów mnie pan zobaczy.

Zszedł na pomost. Durand obserwował, jak jego głowa znika w oddali. Odruchowo się wzdrygając, odwrócił się. Ostatnie słowa tego mężczyzny powracały osobliwie w jego umyśle: „Pewnego dnia zobaczy mnie pan ponownie... Na pewno znów mnie pan zobaczy...”

Rozdział 30

Obserwowanie śmierci człowieka jest dostatecznie bolesne, ale odchodzi on sam, niczego ze sobą nie zabiera. Przypatrywanie się śmierci domu zasmuca znacznie bardziej, gdyż z nim tak wiele ginie.

W ten ostatni dzień Durand powoli przechodził z pokoju do pokoju w domu na ulicy Świętego Ludwika. Dom umierał na jego oczach: meble wyniesiono, zdjęto dywany z podłogi i zasłony z okien, gabinet za uchylonymi drzwiami zionął pustką – nic w nim nie zostało. Oczom ukazywał się szkielet domu. Szkielet, który pozostaje po śmierci, tak samo jak w przypadku zgonu człowieka.

Durand zdał sobie sprawę, że nie tyle opuszcza dom, co opuszcza część swojej osoby, zostawia ją we wspólnym grobie z budynkiem. Część, której nigdy nie odzyska, nie wskrzesi. Nigdy nie będzie już żył nadzieją, jak to kiedyś tutaj czynił. Jakakolwiek nadzieja została mu odebrana. Nigdy nie będzie tak młody, jak był tutaj, chociaż była to młodość, która zjawiała się późno, w wieku trzydziestu siedmiu lat. Późno przyszła, szybko znikła.

Trwała tylko kilka krótkich tygodni. Nigdy znów nie pokocha – nie tylko tak, jak tu kiedyś kochał, ale w ogóle. To jest pewien rodzaj śmierci. Jego rozbite marzenia leżały wszędzie. Za każdym razem, gdy stawiał stopę na podłodze, mógł niemal słyszeć ich chrzęst niczym rozsypanego cukru.

Stał w drzwiach do pokoju, który kiedyś był ich sypialnią, i patrzył na tapetę. Tapetę sprowadzoną z Nowego Jorku – *różową, ale nie jaskrawo-różową; z takimi małymi niebieskimi kwiatkami jak niezapominajki* – którą wyklejono dla panny młodej. Panny młodej, która nie doczekała, żeby ją zobaczyć, ani nawet nie doczekała, by być panną młodą.

Zamknął drzwi. Zrobił to bez szczególnego powodu, gdyż już niczego tutaj nie trzeba było ukrywać. Może chciał jak najszybciej stracić pokój z oczu.

Gdy je zamknął, nagle w uszach usłyszał głos. Wydawał się rzeczywisty.

– *Kto tam się dobija?... Niech wie, że tak. Może wejść.*

Potem głos znikł, uciął na zawsze.

Durand powoli zszedł po schodach. Jego kolana zginały się niechętnie, jakby zardzewiały.

Drzwi wejściowe były otwarte. Stał przed nimi muł i dwukołowy wóz wyładowany po brzegi rzeczami, które dał ciotce Sarze. W pośpiechu kręciła się obok wózka. W jej jednej ręce kołysała się powyginana, pozłacana ptasia klatka, w drugiej – ścisnęła duży zegar kominkowy. Kiedy zobaczyła Duranda, wciąż nie dowierzając jego szczodrości, zatrzymała się nagle, żeby jeszcze dodatkowo się upewnić.

– To też? Ten pana zegar?

– Powiedziałem ci, wszystko – odparł zniecierpliwiony. – Wszystko, z wyjątkiem ciężkich rzeczy z czterema nogami. Zabierz to wszystko! Zabierz to z moich oczu!

– Na pewno będę miała najwspanialszą chałupę w Shrevenport, kiedy wrócę z tym do domu.

Przez chwilę patrzył na nią ponuro. Jednak jego wrogość nie była skierowana do niej.

– Zauważyłem, że ta orkiestra dzisiaj nie gra – mruknął z wyrzutem.

Zrozumiała aluzję, zaskakująco szybko sobie o tym przypomniawszy.

– Sza, panie Lou. Każdy może się pomylić. To była orkiestra rodem z piekła.

Podeszła do wózka, przy którym, wokół łupów, kręcił się wysoki, wychudzony młodzieniec.

Był to jej przyszywany bratanek.

– Wzięłaś wszystko, co chciałaś?! – zawołał za nią Durand. – Zaraz zamykam.

– Tak, proszę pana. *Wszystko*. Nie mogę prosić o nic więcej. – Najwyraźniej nie była pewna, czy Durand na koniec nie zmieni swojego postanowienia. Krzyknęła na boku: – Rusz się, chłopcze! Pogoń tego muła! Co się ociągasz?! – Wgramoliła się na wóz i usiadła obok niego. Wóz się odturlał. – Niech Bóg pana błogosławi, panie Lou! Niech Bóg ma pana w swojej opiece!

Trochę za późno – pomyślał smutno Durand.

Wrócił na chwilę na korytarz, żeby wziąć kapelusz z wieszaka, gdzie go zostawił. Gdy zdjął kapelusz, coś upadło na podłogę z cichym trzaskiem. Coś, co musiało być długo ukryte przed wzrokiem i zapomniane.

Uniósł do góry cienki kijek, a z nim kawałek czerwonego materiału. Zmiętego, zszarganego, ale mimo to rozjaśnił ogołocony korytarz.

Jej parasol.

Chwytał go za dwa końce, wysunął kolano i złamał go, nie raz, ale znów i znów, z gwałtownością, której nie usprawiedliwiała delikatność tego przedmiotu. Z całą siłą wyrzucił kawałki, które z niego zostały.

– Niech cię piekło pochłonie wraz z twoją właścicielką – wybełkotał szaleńczo. – Czeka tam na ciebie, żebyś ją osłonił!

Trzasnął drzwiami.

Dom był martwy. Miłość była martwa. Historia dobiegła końca.

Rozdział 31

Znów był maj. Maj, który zawsze nadchodzi. Maj, który nigdy nie staje się starszy, wciąż jest tak samo czysty. Ludzie starzeją się, tracą miłość i nie mają nadziei na nową, ale maj znów powraca. Zawsze są nowi, którzy na nią czekają, których kolej nadchodzi.

Był maj. Maj rok później. Rok po jego ślubie.

Pociąg z Nowego Orleanu przyjechał do Biloxi późno po południu. Niebo było niczym świeżo wypalona porcelana. Tu i ówdzie przemykały na nim obłoczki – pojedyncze chmury. Wierzchołki drzew lśniły delikatnymi, nowymi liśćmi. A w oddali niczym złoża szafirów błyszcząły wody zatoki. Było to piękne miejsce, godne odwiedzenia, z pięknymi widokami do podziwiania. A on był stary i rozgoryczony. Zbyt stary, żeby zwracać na to uwagę.

Jako ostatni wysiadł z wagonu. Schodził ciężko, niechętnie, jakby było mu wszystko jedno, czy wysiądzie tutaj, czy pojedzie do następnego miasta. Tak rzeczywiście było. Odpocząć, zapomnieć na chwilę – to wszystko, czego chciał. Pozwolić, żeby zdrowie się poprawiło, by rany zasklepiły się szkaradnymi skorupami.

Ludzie romantyczni ciężko przeżywają stratę, a on był człowiekiem romantycznym. Tylko romantyk mógłby grać tę rolę tak jak on, grać głupca tak doskonale. Był jednym z tych mężczyzn, którzy rodzą się po to, by stać się ofiarą kobiet. Zaczynał teraz zdawać sobie z tego sprawę. Gdyby nie była to ona, przypuszczalnie byłyby to inna kobieta. Gdyby nie była to zła kobieta, mogłaby to być tak zwana „dobra” kobieta. Nawet taka natychmiast by go sobie podporządkowała. Jeśli nawet efekty byłyby mniej katastrofalne, nie pocieszyłoby to jego ukrytej dumy.

Już koń został skradziony, a na drzwiach stajni wisiała kłódka. Kłódka została zamknięta, a klucz wyrzucony na dobre. Nie było niczego, czym można by było ją otworzyć.

Samotny, z boku, z torbą podróżną przy nodze stał wśród krzątającego się tłumu wczasowiczów z głębi kraju, którzy przyjechali tutaj na tydzień lub dwa. Tworzyły się małe, hałaśliwe i paplające grupki, gdy do turystów przyłączali się ich przyjaciele, którzy przyszli, by ich przywitać.

Oczy niejednej panny na wydaniu zerknęły w zamyśleniu na niego ponad ramionami swoich krewnych lub przyjaciół. Dziewczyny zastanawiały się chyba, czy będzie odpowiedni na najbliższą przyszłość, bowiem co to za wakacje bez dużej ilości adoratorów? Jednak ilekroć zdarzyło się, że wzrok którejś z nich spotkał się z jego, dziewczyna natychmiast odwracała oczy i to nie tylko dlatego, że było to niestosowne. Opuszczała wzrok z niepokojem, jakby spojrzała na coś, co wydawało się żywe, a ostatecznie okazało się nieożywione. Było to jak flirt ze słupem w płocie lub uliczną pompą, zanim nie spostrzegło się pomyłki.

Peron powoli się wyludnił. Pociąg z Nowego Orleanu znów ruszył. Durand częściowo się odwrócił, jakby chciał ponownie do niego wsiąść i pojechać do jakiegokolwiek następnej stacji. Jednak zaraz znów stanął twarzą do peronu, pozwolił, żeby wagony za jego plecami ze stukotem

kół wyruszyły w dalszą drogę.

Rozdział 32

Wkrótce przyzwyczał się zachodzić około siódmej wieczorem do baru w jednym z sąsiednich hoteli, w „Belwederze”, by powoli wypić jeden kieliszek ponczu z whisky. Albo najwyżej dwa, nigdy więcej, gdyż to nie trunek go tu przyciągał, ale brak jakiegokolwiek zajęcia aż do kolacji. Wybrał to szczególne miejsce, bo jego hotel nie miał takiego baru. Poza tym znajdował się najbliżej i był największy.

Było to wesołe, gwarne, pełne krzątający miejsce, w tamtych czasach typowe w swoim rodzaju. Miejsce, w którym dżentelmeni mogą coś wypić. Podobnie jak w innych tego typu, przeznaczonych wyłącznie dla mężczyzn, kobiety nigdzie indziej nie były bardziej obecne w myślach, duszy, domysłach, rozmowach niż tu, gdzie ich brakowało. Przenikały powietrze, pojawiały się w każdym dwuznaczniku, mrugnięciu okiem, toaście i chełpliwej insynuacji. Były takie, jakimi mężczyźni chcieli je widzieć i jakimi rzadko bywały poza tymi drzwiami: wyjątkowo uprzejme i niewymagające. Zawsze i w każdym wspomnieniu.

Nawet pojawiły się w alegorii. Na ścianie naprzeciw mahoniowego kontuaru w kształcie podkowy wesołe migoczące ze wszystkich stron światła – niczym dzwonekowane światełka na ołtarzu – ukazywały ogromny olejny obraz pólężącej kobiecej postaci, przypuszczalnie bogini. Towarzyszyły jej dwa skrzydlate amorki, które unosiły się nad jej głową. Obok stopy znajdował się róg obfitości, z którego wysypywały się owoce i kwiaty. Purpurowa draperia bardziej odsłaniała niż ukrywała. Jej jedna część spływała z ramienia, druga, wąska, rozciągała się pośrodku postaci. Tłem – co nigdy nie zostało zauważone przez żadnego widza, od kiedy ten obraz powieszono – było błękitne niebo z puszystymi barankami obłoków.

Obraz, który dominował w barze, co było bezsprzecznie zamierzone, stał się powodem zawarcia przez Duranda pierwszej znajomości, od kiedy przybył do Biloxi. Mężczyzna, który znajdował się najbliżej niego, tak samo samotny jak i on, z okazji swojej drugiej wizyty w lokalu stał ze wzrokiem wbitym w malowidło. Jego oczy były niemal wilgotne od nierozsądnej, nieprzytomnej łapczywości, kiedy Durandowi zdarzyło się leniwie spojrzeć na niego i zaobserwować wyraz jego twarzy.

Durand nie mógł powstrzymać się, żeby lekko się nie uśmiechnąć, ale do siebie, nie do zagorzałego entuzjasty obrazu. Jednak ten drugi mężczyzna zauważył nieznaczny uśmiech w momencie, gdy Durand odwracał głowę. Pomyłkowo uznał, że wyraża ezoteryczne pokrewieństwo myśli i natychmiast odwzajemnił go z towarzyską zachętą, której nie było w uśmiechu Duranda.

– Coś takiego! – zauważył płomiennie i uniósł swój kieliszek w kierunku kompozycji malarskiej, żeby Durand spojrział na nią.

Durand skinął głową, powściągliwie zgadzając się z nim.

Ośmielony tym, mężczyzna uniósł głos i zaprosił Duranda z odległości trzech czy czterech metrów, które ich dzieliły: – Przyłączy się pan do mnie?

Durand nie miał na to ochoty, ale odmowa byłaby nieuzasadnioną gburowatością, więc usłużnie podszedł do swego sąsiada, a ten zrobił mu miejsce obok siebie.

Powtórzyli zamówienie, wznieśli toast i wypili: w ten sposób zakończyli drobny, wstępny rytuał.

Durand ocenił, że mężczyzna ma około czterdziestu pięciu lat. Był przystojny, ale miał wodnistą, zmęczoną twarz. Zmarszczki, szczególnie widoczne na czole, wyrył raczej rozpustny tryb życia niż wiek. Miał wyjątkowo bladą cerę i czarne włosy, które czernił chyba tu i ówdzie, choć to musiało pozostać w sferze domysłów. Był niższy od Duranda, ale tęższy w pasie, gdzie rozpychały się miękkie poduszki tłuszczu.

– Jest pan sam? – zapytał.

– Zupełnie sam – odpowiedział Durand.

– Wstyd! – wybuchł. – Przypuszczam, że jest pan w tym mieście po raz pierwszy.

Durand przyznał zwięźle, że tak.

– Polubi pan to miejsce, gdy pozna pan stosunki tu panujące – obiecał. – Mnie to zajmuje tylko kilka dni, niezależnie, gdzie jestem.

Durand zgodził się z nim bez zapału.

– Zatrzymał się pan w tym hotelu? – Nieznajomy wskazał kciukiem na wewnętrzne drzwi prowadzące do westybulu. – Ja tak.

– Nie, zatrzymałem się u Rogersów.

– Powinien pan przenieść się do tego hotelu. Jest najlepszy w całym mieście. Ten, w którym pan mieszka, jest kiepski, prawda?

Durand odpowiedział, że nie zauważył tego. Poza tym nie sądzi, żeby długo tu pozostał.

– No cóż, może zmieni pan decyzję – zasugerował tamten jowialnie. – Może my skłonimy pana do zmiany zdania – dodał, jakby był współnikiem właściciela hotelu.

– Może – przyznał Durand bez zbytniego entuzjazmu. – A teraz napijmy się jeszcze – zachęcił go z towarzyskiego obowiązku, gdy zauważył, że jego towarzysz prawie skończył drinka.

– Z największą przyjemnością – odparł ochoczo, opróżniając do końca szklaneczkę.

Gdy Durand miał już zamiar zamówić kolejkę, szklanymi drzwiami prowadzącymi z hotelu wszedł goniec. Chwilę rozglądał się wokół, a kiedy dostrzegł ich, podszedł, przeprosił i powiedział tamtemu coś do ucha, czego Durandowi nie udało się usłyszeć. Ale nawet nie próbował.

– O, już? – rzekł mężczyzna. – Cieszę się, że mnie zawiadomiłeś. – Dał chłopakowi napiwek. – Zaraz będę.

Odwrócił się do Duranda:

– Muszę teraz iść – rzucił radośnie. – Ale któregoś wieczoru dokończymy chyba to, co zaczęliśmy... – Wyprężył się, przyglądził krawat i włosy, rozprostował rękawy surduta. – Rozumie pan, kobieta nie powinna czekać – dodał. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie

powiedzieć, dlaczego został wezwany.

- Stanowczo nie – przyznał Durand.
- Dobranoc panu.
- Dobranoc.

Obserwował, jak wychodzi. Jego twarz wyrażała wszystko, tylko nie opieszałość, mimo że wciąż był na widoku. W końcu bardzo gwałtownie otworzył drzwi. Tak się spieszył, by się nie spóźnić.

Durand uśmiechnął się do siebie, trochę pogardliwie, trochę z politowaniem, i w samotności skupił się na swoim drinku.

Rozdział 33

Następnego wieczoru znów się spotkali, on i ten drugi mężczyzna. Już był w środku, gdy Durand wszedł z ulicy, więc Durand bez wielkich ceremonii przyłączył się do niego, bo etykieta barowa nakazywała, żeby postawił mu drinka i unikanie go – co chętnie by uczynił – mogłoby sugerować, że nie chce dopełnić tego obowiązku.

– Widzę, że pan wciąż sam – przywitał Duranda.

– Wciąż – odezwał się tajemniczo Durand.

– No cóż, mój drogi, wygląda pan kiepsko – zauważył krytycznie. – Co pana gnębi? Myślę, że do tego czasu mógłby pan mieć dowolnie dużo... – Nie skończył zdania, pozwolił, żeby zrobiło to za niego lepkie mrugnięcie okiem.

Durand uśmiechnął się nieśmiało i złożył zamówienie. Wzniesli toast, wypili.

– A propos, pozwoli pan, że się przedstawię – rzekł wtedy mężczyzna. – Jestem pułkownik Harry Worth. Służyłem w armii. – Sposób, w jaki to powiedział, wskazywał, którą armię ma na myśli, albo raczej, że tylko jedną armię może mieć na myśli.

– Ja nazywam się Louis Durand.

Z inicjatywy pułkownika uścisnęli sobie dłonie.

– Skąd pan jest, panie Durand?

– Z Nowego Orleanu.

– No proszę! – pułkownik skinął z aprobatą. – Świetne miasto. Byłem w nim trochę.

Durand nie zapytał, skąd pochodzi. On zaś z własnej woli nie powiedział. Gdy pomyślał o tym, darował sobie.

Mówili o tym i o owym. O interesach (obaj). O miłej dziewczynie z Natchez (pułkownik). O obecnych rządach (obaj, z taką goryczą, jakby zostały narzucone przez obce państwo). O miłej dziewczynie z Louisville (pułkownik). O koniach, hodowli, wyścigach (obaj). O złotej dziewczynie z Memphis (pułkownik, głośno poklepując się po udzie).

Kiedy pułkownik miał zamiar zamówić drugą kolejkę, znów wszedł goniec, podszedł do niego i szepnął coś do ucha.

– Czas kończyć – zwrócił się Worth do Duranda. Podał mu rękę. – Miło było, panie Randall. Cieszę się na następne spotkanie.

– Durand – podkreślił Durand.

Pułkownik zmieszał się z dramatyczną przesadą, gorąco przeproszał.

– Oczywiście. Proszę mi wybaczyć. Znów się to zdarzyło. Mam najgorszą głowę do nazwisk.

– Nic złego się nie stało – oświadczył Durand obojętnym głosem. Miał wrażenie, że pomyłka będzie się powtarzać tak długo, jak długo będą się spotykać. Nazwisko, które się pomyli na początku, zwykle myli się też za czwartym lub dziesiątym razem. Jednak nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, czy mężczyzna poprawnie będzie go nazywał, czy nie, gdyż on sam znał dla niego nawet jeszcze mniej.

Worth ponowił uścisk dłoni, tym razem zrobił to wyjątkowo serdecznie. Potem, gdy wychodził, podszedł do kontuaru i zgryzł w ustach ząbek czosnku.

– Na wszelki wypadek – powiedział z szelmowskim uśmiechem.

Wyszedł z baru do hotelu.

Durand stał zwrócony twarzą do ulicy. Kilka minut później odwrócił przypadkowo głowę, w samą porę, żeby zobaczyć przechodzącego pułkownika. Zaobserwował go przez grubą, zielonkawą szybę ze szlifowanego szkła, wypukłą jak w oknie wykuszowym.

Grube szkło rozmazywało trochę jego sylwetkę, ale Durand mógł poznać, że to on. Po drugiej stronie mężczyzny wyrastały jakieś dodatkowe kształty. Wskazujące, że towarzyszy mu kobieta.

Na wysokości jego ramienia ukazywało się usztywnione gliceryną pióro, które sterczało z kapelusza ukrytej za nim kobiety. Wyglądało, jakby miał wbity lotkę lub błyszczącą strzałkę.

Następnie, na wysokości jego pasa, wystając znacznie poza jego skromne kontury, kołysała się suknia, zarówno zmysłowo, jak i w jakiś niewytłumaczony sposób dystyngowanie. Poruszała się przy każdym kroku schowanej za pułkownikiem jej właścicielki. W końcu, przy obcasach jego butów, niczym rozwiązane sznurowadło, kapryśnie powiewał nad ulicą mały, trójkątny rąbek wieczorowej sukni.

Jednak Durand nie pozwolił swojemu chłodnemu spojrzeniu zatrzymać się dłużej. Nie śledził ich wzrokiem do momentu, kiedy, w perspektywie, nałożone na siebie postacie rozdzieliły się.

Tak samo jak poprzedniego wieczoru uśmiechnął się smutno. Tym razem uniósł brwi, jak gdyby chciał powiedzieć: Każdy ma inne upodobania.

Rozdział 34

Tego wieczoru goniec pojawił się trochę później. Pułkownik przeto wypił jednego drinka więcej niż poprzednio. Ujawniło się to tylko w dodatkowej serdeczności i skłonności do poklepywania i ściskania ramienia Duranda w krótkich odstępach czasu, niemal przy każdej uwadze. Poza tym gadka Wortha była dość jasna, a potok myśli klarowny.

– Moja narzeczona jest uroczą dziewczyną, Randall, uroczą dziewczyną – powtarzał uroczystym głosem, jakby nie był w stanie wryć tego odpowiednio mocno w pamięć swojego słuchacza.

– Na pewno jest – odparł Durand, jak to już wcześniej dwukrotnie uczynił. – Na pewno. – Poprawiwszy raz błąd w nazwisku, więcej już się tym nie zajmował. Pozwolił Worthowi zwracać się do siebie, jak chce.

– Mówię panu, jestem najszczęśliwszym człowiekiem. Ale pan powinien ją zobaczyć. Nie musi mi pan wierzyć, powinien zobaczyć ją pan na własne oczy.

– Ależ wierzę panu – protestował poważnie Durand.

– Powinien mieć pan taką dziewczynę jak ta. – (Klepięcie). – Powinien pan znaleźć taką dziewczynę jak ta. – (Dwa klepięcia).

– Wszyscy nie możemy być tak szczęśliwi – mruknął Durand, przesuwając nerwowo stopę wzdłuż mosiężnej barowej barierki.

– Przykro patrzeć, gdy taki wspaniały mężczyzna jak pan spędza czas samotnie... – (Klepięcie).

– Ja się nie skarżę – odparł Durand. Z rezygnacją zaczął dnem kieliszka kreślić na blacie splątane koła, aż w końcu postawił go w miejscu, gdzie stał poprzednio.

– Ale, do diabła, niech pan spojrzy na mnie. Myślę, że jestem od pana starszy o dziesięć lat. Nie wyczekuję, żeby przyszły do mnie. W ten sposób nikogo się nie zdobędzie. Trzeba się ruszyć i znaleźć kogoś.

– Ma pan rację – zgodził się Durand z miną człowieka zarzekającego się w duchu, że dotrwa do końca rozmowy, mimo że go krępuje.

Nagle pułkownik zdał sobie sprawę, że może przekroczył granice przyzwoitości. Tym razem nie poklepał Duranda po ramieniu, ale chwycił z czułością za wyłogi surduta.

– Nie jestem zbyt niedyskretny, prawda? – spytał błagalnym głosem. – Jeśli tak, proszę powiedzieć, a przestanę. Nie chcę się narzucać.

– Nie czuję się wcale urażony – zapewnił go Durand, co było zgodne z prawdą. Jakby rozmawiał o astrologii lub na inny obojętny temat.

– Interesuję się tak panem, ponieważ pana lubię. Uważam, że pana towarzystwo jest bardzo przyjemne.

– Odwzajemniam pana odczucia – powiedział poważnym głosem Durand. Lekko skinął przy tym głową. Zdawało się, że tylko jej czubkiem.

– Chciałbym, żeby pan poznał moją narzeczoną. To jest dziewczyna!

– Będę zaszczycony – rzekł. Zaczął oczekiwać z utęsknieniem na przybycie gońca.

– Zejdzie za minutę lub dwie, żebym ją zabrał... – Nagle pułkownika naszła jakaś inspirująca myśl. Duma z posiadania jest bardzo często równoważna chęci do pysznienia się. – Dlaczego miałby się pan nie przyłączyć do nas dziś wieczorem? Byłbym wniebowzięty. Proszę pójść ze mną, przedstawię pana...

– Nie dzisiaj – odparł pospiesznie Durand. Szukając jakiegokolwiek wymówki, gładził się po policzku. – Nie sędzę... Obawiam się, że nie mogę się pokazać.

Pułkownik krytycznie przechylił głowę w bok. – Nonsens. Wygląda pan dobrze. Jest pan gładko ogolony.

Po chwili znalazł kompromisowe rozwiązanie:

– No to wyjdzie pan ze mną drzwiami i pozwoli się przedstawić, kiedy ona zejdzie na dół. Potem odejdziemy sami.

Nagle w Durandzie odezwały się skrupuły, które były mu na rękę.

– Nie sędzę, że będzie zadowolona, gdy pan mnie *stad* wyprowadzi wprost na nią, żeby mnie przedstawić. To nie wyglądałoby dobrze; wie pan, jakie są kobiety. Ostatecznie jest to bar.

– Przecież przychodzę tutaj każdego wieczoru – powiedział niepewnie pułkownik.

– Ale pan ją zna, ja dla niej jestem człowiekiem obcym. To nie jest to samo.

Zanim Worth mógł podjąć jakąś decyzję, która by uwzględniała ten punkt obyczajów towarzyskich, przyszedł ten co zwykle goniec hotelowy i przekazał informację.

– Pana dama jest na dole.

Pułkownik wsunął mu do ręki monetę, dokończył drinka.

– Coś panu powiem. Mam lepszy pomysł. Przypuśćmy, że spotkamy się w czwórkę. Każę mojej narzeczonej przyprowadzić kogoś dla pana. W końcu zna tu chyba jakieś niezwiązane z nikim panny. W takiej sytuacji będzie się pan czuł mniej skrępowany. Może jutro wieczorem? Nie jest pan zajęty?

– Jutro nie – odparł Durand, zadowolony, że przynajmniej o dzień udało mu się odroczyć spotkanie. Pomyślał, że w ciągu dnia prześle przeprosiny i będzie to najlepszy sposób na uniknięcie towarzyskiego obowiązku. Zdał sobie sprawę, że dalsze ociąganie się w tym momencie mogłoby urazić nawet tak gruboskórnego człowieka jak Worth, a on nie chciał niepotrzebnie sprawiać mu przykrości.

– Świetnie! – Worth rozpromieniał. – Zatem umówiliśmy się na spotkanie. Najlepszym miejscem na nie jest mała nocna restauracja, nazywa się *Grota*. Późno ją otwierają i długo jest czynna. To przyjemne i wesołe miejsce. Jest tam muzyka i serwują dobre wina. Często tam chodzimy, panna Castle i ja. Zamiast spotkać się w tym hotelu, gdzie jest pełno starych pierników gotowych plotkować, przyłączy się pan do nas w tym lokalu. Przyprowadzę ze sobą dwie młode damy.

– Wspaniale – rzucił Durand.

Pułkownik z radości zatarł ręce.

Uznał, że życie nie zgasło jeszcze zupełnie w Durandzie, o czym ten przypuszczalnie był przekonany.

– Zarezerwuję alkowę, taki mały kącik. Mają tam takie, osłonięte zasłonami przed ciekawskimi spojrzzeniami. Proszę nas szukać w jednej z nich. – Palcem wskazującym trącił Duranda w pierś. – I proszę nie zapomnieć, ja zapraszam.

– O to bym się sprzeczał – powiedział Durand.

– Będziemy się spierać, kiedy przyjdzie na to czas. Zatem jutro wieczorem. Zrozumiano?

– Jutro wieczorem. Zrozumiano.

Worth pospieszył w kierunku gońca, który czekał na niego w drzwiach. Widocznie dostał od osoby, która dobrze знаła pułkownika, wyraźne polecenie, żeby przyprowadził go ze sobą.

Nagle pułkownik odwrócił się i szybko znów podszedł do Duranda. Uniósł się na palcach i wyszeptał ochrypłym głosem do jego ucha:

– Zapomniałem zapytać. Blondynka czy brunetka?

Jej obraz przemknął Durandowi w myślach.

– Brunetka – powiedział krótko. Ból, który go przeszył, na chwilę zaćmił mu wzrok.

Pułkownik trącił go ramieniem w żebra w grubiańskim, koleżeńskim geście.

Rozdział 35

Następnego dnia z niejasnych powodów umówione spotkanie było mu tak obojętne, że nie przesłał na czas zrobionych dla pozorów przeprosin. Zanim się zorientował, był już wieczór. Przyjęcie zaproszenia zostało potwierdzone przez brak wymówki. Było za późno, żeby nie iść na spotkanie. Wycofanie się w ostatniej chwili byłoby wyjątkową nieuprzejmością. Inaczej sprawa by się przedstawiała, gdyby odwołał je kilka godzin wcześniej.

Późnym popołudniem położył się w ubraniu na łóżko, żeby się zdrzemnąć. Kiedy się obudził, słońce już zachodziło i nie pozostawało nic innego, tylko stawić się na spotkanie.

Westchnął i wykrzywił twarz do swojego lusterka, ale rozpoczął konieczne przygotowania. Energicznie poruszał pędzlem do golenia w grubej, glinianej mydelniczce, aż perlista piana nabrzmiała i zaczęła spływać po ściankach. Postanowił, że pozostanie tam pół godziny na dowód uczestnictwa, a później zostanie wywołany przez któregoś z kelnerów – co zaaranżuje wcześniej – do sprawy nie cierpiącej zwłoki i wyjdzie. Zapłaci za siebie na samym początku, żeby nie pomyśleli, że skapstwo jest przyczyną jego rejterady. Przypuszczał, że będą urażeni, ale mniej, niż gdyby nie pojawił się w ogóle.

Pokrzepiony tym postanowieniem, ogolony, w czystej koszuli, wzruszył ramionami i otworzył portfel, by sprawdzić, czy jest w nim odpowiednio dużo pieniędzy. Ponuro nastawiony wyruszył w drogę. Nigdy żaden gość nie był w gorszym nastroju, ani nie miał bardziej przygnębionej miny, idąc na spotkanie w miłym towarzystwie. Przeklinał łagodnie pod nosem, gdy zamknął za sobą drzwi do pokoju. Przeklinał wyjątkowo towarzyskiego pułkownika, który go w to wpłatał. Nieznajomą, której przypuszczalnie będzie musiał nadskakiwać po prostu dlatego, że jest kobietą – zostanie mu w ten sposób narzucona rola, w której chciano go widzieć. A przede wszystkim siebie, za to, że kategorycznie nie odmówił dzień wcześniej, kiedy dostał to zaproszenie.

Jakaś nieinteresująca, uśmiechająca się głupawo jałowica, powłoka po kimś. Sądząc po pułkowniku, mógł sobie wyobrazić jego gust, jeżeli chodzi o kobiety.

Dziesięciminutowy spacer w grobowym nastroju, którego nie złagodził błyszczący brokat rozgwieżdżonego nieba, doprowadził go do celu.

Grota była długim, wąskim, parterowym budynkiem, brzydkim i nieprzyjemnym z zewnątrz, jak wiele innych efemerycznych restauracji w miejscowościach wypoczynkowych. Światło lamp gazowych i olejowych promieniowało na zewnątrz przez każdą szczelinę. Po drodze zostało zabarwione na różowo i niebiesko przez kolorowe osłony. Wnętrze lokalu z powodu jakiegoś wgłębienia w gruncie znajdowało się na niższym poziomie niż chodniki obok budynku. Musiał więc zejść krótkimi schodami, kiedy skinieniem głowy został zaproszony do środka przez kolorowo ubranego portiera. Główna sala widziana z góry była chaosem przykrytych białymi obrusami stolików. Koliście otaczały je głowy. Zgodnie z nową modą zapożyczoną z Europy na stołach stały lampy z różowymi lub niebieskimi kloszami, które przyciemniały światło, jak

zwykle w takich miejscach, tworząc atmosferę zakazanej zabawy i skrytych romansów. Nadawały sali wygląd pola z robaczkami świętojańskimi.

Wystrojony kelner, z kręconymi, okazałymi bokobrodami, trzymający ukośnie w ręku kartę dań niczym malarz paletę, przywitał go na dole schodów.

– Jest pan sam? Mogę wskazać panu stolik?

– Nie. Mam dołączyć do towarzystwa – odparł Durand. – Do pułkownika Wortha i jego przyjaciół. W jednej z alków. W którą stronę powinienem pójść?

– Rozumiem, na tył sali. Czekają na pana. Są w pierwszej niszy po prawej stronie.

Ruszył długim przejściem pośrodku sali. Przedzierał się przez zgiełk i hałas. Przez strefy pochodzących od potraw zapachów, które pozostawały odizolowane, skupione w swoich zawiązkach, niez mieszane; teraz homar, teraz przypalony stek, teraz mokry obrus i rozlane wino. Przez urywki rozmów i strzępy śmiechu, które również były oddzielone – zamykały się w swoim ograniczonym kręgu.

– Kiedy jest ze mną, mówi mi jedno, a kiedy jest z następną, mówi co innego. Ale wszystko o tobie słyszałam, nie bój się!

– ... rządy rujnują ten kraj! Nie zważam na to, kto mnie słucha. Mam prawo wyrażać swoje opinie!

– ... a teraz doszedłem do najlepszej części opowieści. To się wam spodoba.

Z tyłu sala zwężała się w korytarz, który prowadził do kuchni. Jednak po jego obu stronach znajdowały się wejścia do alków lub też kąciaków, o których wspominał Worth. Wszystkie były dyskretnie oddzielone zasłonami, aczkolwiek nie było drzwi. Dwie najbliższe, na rogach po każdej stronie, nie stały w linii prostej do korytarza, ale pod kątem.

Kiedy skierował wzrok na tę po prawej, określając ją jako swój cel – choć znajdowała się jeszcze od niego w pewnej odległości, oddzielał ją ostatni rząd stolików – z jednej strony rozsunała się zasłona i z niszy wyszedł kelner. Zatrzymał się na moment w wejściu, pozwolił, żeby goście uzupełnili zamówienie. Przez chwilę przytrzymał zasłonę jedną ręką. Utworzył w ten sposób szczelinę w kształcie rombu.

Nogi Duranda wrosły w podłogę, nie zrobiły kroku naprzód, nie podprowadziły go bliżej.

Obraz, który ukazał się oczom Duranda, był jakby kameą o najczystszej rysunku, oślepiającej klarowności, prezentowaną na tle ciemnego welwetu.

Po jednej stronie rysowała się rozchwiana, bryłowata postać pułkownika, który wydawał polecenia kelnerowi. Po drugiej stronie patrzył na Wortha gładki profil nieznanym, ciemnowłosej, z ciemnymi oczami.

Pośrodku, na wprost, patrzyło popiersie. Białe jak alabaster, oślepiające jak marmur, – cesarskie jak Junona, piękne jak jasnowłosa Wenus lub Helena Trojańska.

Była to twarz i szyja, i odsłonięte ramiona, i wpółodsłonięte piersi, których nigdy nie zapomni, których nie może zapomnieć; wywołane magicznym sposobem z jego marzeń i znów przekształcone w rzeczywistość.

Julia.

Mógł nawet widzieć złocisty odblask na jej włosach, przelotny błysk jak kryształu, gdy poruszała oczami.

Julia, morderczyni. Osoba, która wypaliła mu serce.

To, że nie zauważyła go, było niewiarygodne. Jej źrenice niemal prosto patrzyły na niego. Musiała jednak nie dostrzegać go z tej odległości, skupiać się na którejś z pozostałych osób przy stoliku.

Kelner opuścił rękę, zasłona opadła na ścianę. Kamea ukryła się przed wzrokiem.

Stał tak oszołomiony, otumaniony, pozbawiony sił, jakby to przelotne spojrzenie było piorunem, który uderzył zbyt blisko i wtopił go w podłogę. Brakowało tylko, żeby go przewrócił na oczach wszystkich.

Wtedy kelner, wyraźnie się spiesząc, potracił go, czym wprawił go w ruch niczym jedna kula bilardowa drugą.

Wracał tym samym przejściem przez salę, którym szedł wcześniej. Jednak teraz poruszał się chwiejnym krokiem, potracał stoliki i krzesła, które stały wzdłuż jego drogi. Szedł obok obróconych na chwilę, badawczych twarzy, obok rozmytej linii światła z lamp stolikowych, które niczym bezużyteczne latarnie morskie wprowadzały go w błąd, nie kierowały w odpowiednią stronę.

Przeszedł na drugi koniec gwarnej sali. Ten sam kelner co przedtem, zatroskany podeszedł do niego.

– Nie udało się panu znaleźć swojego towarzystwa?

– Zmie... zmieniłem zdanie. – Wyjął portfel i wcisnął mu do ręki, rzecz nie do pomyślenia, banknot dziesięciodolarowy. – Nie pytałem się o nich. Pan mnie nie widział.

Wygramolił się po schodach na zewnątrz. Słaniał się na nogach, jakby w ciągu tych dziesięciu minut upił się winem. Winem nienawiści wytłoczonym z gron gniewu.

Rozdział 36

Na początek nie bardzo wiedział, co zamierza zrobić. Czarna mgła nienawiści, która wypełniła jego umysł, przesłoniła wszystkie plany i cele. Jedynie instynkt, a nie wyrachowanie, powstrzymywało go przed przedarciem się przez te zasłony.

Samą. Samą musi ją zastać, tam, gdzie nie będzie żadnych świadków, którzy mogliby ją ocalić. Nie chciał słyszeć jej żarliwych zaprzeczeń; mieć to za sobą. Bo czymże dla niej jest jeszcze jedno oszustwo? Cała jej dotychczasowa droga życia musi być nimi zasłana. Nie chciał żadnej publicznej awantury, podczas której jej opanowanie, zimna krew mogłyby nieuchronnie wpłynąć na niego. „Nigdy wcześniej nie widziałam tego człowieka. On musi być szalony!” Jednej i tylko jednej rzeczy pragnął: jej śmierci. Doprowadzi do tego. Chciał, żeby była to tylko sprawa między nimi.

Stał chwilę przed hotelem, w którym ona i Worth mieszkali. Był odwrócony plecami do niego, patrzył na morze. Gdy stał bez ruchu, nieodgadniony dla osoby postronnej, uderzał ręką w drewnianą poręcz. Systematycznie niczym tłuczkiem rozkruszał swoje zamiary, rozdrabniał je na pył.

Potem zwolnił, przestał. Był gotowy.

Odwrócił się nagle i wszedł do jasno oświetlonego korytarza. Rozmyślnie nie spieszył się. Podszedł prosto do recepcji i zaczął palcami bębnić w blat z czarnego marmuru w białe prążki, żeby ponaglić recepcjonistę.

Gdy ten zwrócił na niego uwagę, rzekł: – Jestem znajomym pułkownika Wortha. Właśnie opuściłem go i jego towarzystwo w *Grocie*.

– Tak, sir. Mogę w czymś pomóc?

– Jedna z młodych dam, która była z nami... jestem przekonany, że zatrzymała się tutaj... stwierdziła, że jest chłodniej, niż się spodziewała. Wysłała mnie po swój szal. Wyjaśniła mi, gdzie mogę go znaleźć. Mogę wejść na górę i go zabrać?

Recepcjonista był profesjonalnie ostrożny.

– Czy mógłby pan ją opisać?

– Jest blondynką. Dość niska, miła osoba.

Wątpliwości recepcjonisty znikły.

– Ach, to narzeczona pułkownika. Panna Castle. Zajmuje pokój dwadzieścia sześć. Każę gońcowi natychmiast pana zaprowadzić.

Durand został zawieszony na drugie piętro toporną windą o konstrukcji kratowej. Szyb prześwitywał ze wszystkich stron. Zauważył, że schody wiją się wokół windy, wznoszą się wraz z nią, a w końcu docierają do tego samego miejsca. Zapamiętał to dobrze.

Wyszli na korytarz. Nastąpiła krótka zwłoka, gdy goniec hotelowy dopasowywał klucz do zamka. Potem, kiedy drzwi się otworzyły, Duranda ogarnęły najbardziej niezwykle wrażenia, jakich kiedykolwiek doznał. Wydawało się jemu, że znów jest blisko niej. Jakby wyszła na

chwilę z pokoju w tym momencie, kiedy on do niego wchodził. Czuł jej obecność wszystkimi zmysłami, wszystkimi porami skóry. Nie widział jej tylko. Upiorny zapach jej perfum wciąż unosił się w powietrzu. Pozostawione na oparciu fotela części garderoby z tafty zaszeleściły, gdy w jego wyobraźni ona się poruszyła.

Wzmogło to jego nienawiść, umocniło w zamiarach. Nie zrobił żadnego fałszywego kroku, nie wykonał zbędnego ruchu. Krążył jak ktoś podchodzący wroga.

Goniec pozostał posłusznie przy otwartych drzwiach, pozwolił Durandowi samemu wejść do środka. Jednak stał w miejscu, z którego mógł widzieć, co on robi.

– Musiała się pomylić – stwierdził pewnie Durand. Zwracał się do gońca, ale wydawało się, że mówi do siebie. – Nie widzę go na fotelu. – Uniósł halkę z tafty, położył ją z powrotem. – Musi być w jednej z szuflad tej komody. – Otworzył jedną szufladę, zamknął ją. Potem następną.

Goniec obserwował go z niepokojem kury, w której gnieździe szuka się jajek.

– Kobiety nigdy nie wiedzą, gdzie zostawiły swoje rzeczy, co? – rzekł Durand w męskim zaufaniu.

Chłopak uśmiechnął się. Schlebiało mu, że został wtajemniczony w ten rodzaj doświadczenia, którego nie nabył jeszcze osobiście.

Durand, tłumiąc zdenerwowanie, znalazł coś w trzeciej szufladzie. Wyciągnął z niej cienki, długi woal w kolorze jasnopurpurowym. Z braku czegoś lepszego mógł uchodzić ostatecznie za szukany szal.

– Sądzę, że chodziło o to – powiedział. Szczęśliwy przypadek przyniósł mu ulgę. Uśmiechnął się skrycie.

Zamknął szufladę i wrócił do drzwi. Upchnął woal w bocznej kieszeni.

Wzrok chłopaka nieuchronnie zatrzymał się na jego ręce wciskającej szal do kieszeni. Oczy Duranda patrzyły na drzwi, które otwarte do środka, znajdowały się na wprost niego. W drzwiach, powyżej zamka, było małe wgłębienie – przycisk, który go uwalniał. Tak samo jak w jego pokoju w innym budynku. Liczył na to.

Zanim chłopak zdał sobie z tego sprawę, uwolnił go od obowiązku zamknięcia drzwi. Chwycił je za kant bezpośrednio nad przyciskiem, nie za gałkę, i zamknął.

Gdy to robił, wcisnął przycisk. W ten sposób drzwi pozostały otwarte niezależnie od tego, czy przekręciło się klucze w zamku, czy nie.

Potem pozwolił chłopakowi przekręcić klucze. Kiedy go wyjął, Durand odwrócił jego uwagę od drzwi, kazał zapomnieć o sprawdzeniu, czy są zamknięte, wyciągając w jego kierunku dłoń ze srebrną półdolarówką.

Zjechali razem. Goniec uśmiechał się szeroko i głupawo. Nie był w stanie żywić podejrzeń w stosunku do kogoś, kto dał tak suty napiwek. Durand też się uśmiechnął, słabo, bardzo słabo.

Gdy przechodził obok, podziękował skinieniem głowy recepcjonście i poklepał się po kieszeni, żeby pokazać, że wziął to, po co przyszedł.

Bez współczucia migotały gwiazdy, kiedy wyszedł na zewnątrz, i pełna noc ukryła tajemnicę

na jego twarzy. Nie było czułości w wilgotnym, słonym wietrze od zatoki. Zastanie ją samą i nikt jej nie ocali. Doprowadzi do jej śmierci, nie może być inaczej.

Rozdział 37

Wszedł do swojego pokoju, otworzył torbę podróżną i wyjął z niej rewolwer. Ten sam, o którym wspominał ciotce Sarze, tego wieczoru, kiedy mówił o zabiciu Julii. Wydawało się, że teraz ten moment jest blisko, bardzo blisko. Z trzaskiem wysunął bębenek, chociaż wiedział, że jest załadowany. Stwierdził, że tak jest w istocie. Potem schował rewolwer do wewnętrznej, głębokiej kieszeni surduta kolbą do góry.

Spojrzał w dół i zauważył zwisający z bocznej kieszeni jasnopurpurowy szal. W nagłym napadzie wściekłości wyciągnął go gwałtownym ruchem i cisnął na podłogę. Potem kopnął go jak coś niegodnego, czego nie powinno się dotykać. Twarz Duranda ziała nienawiścią do miłości, którą należało pogrzebać.

Wygasił lampę gazową i zielonkawożółty blask w pokoju stał się przyciemnionym przez sadzę światłem księżyca. Stał w nim przez chwilę – w połowie człowiek, w połowie cień – jakby utwierdzał się w zamiarze. Potem ruszył z miejsca.

Połowa niego, która była człowiekiem, stała się cieniem, a druga połowa przekształciła się z człowieka w cień, gdy promienie padające przez okno oświetliły jego przejście. Kiedy otworzył drzwi, cytrynowe światło zamigotało z oświetlonego korytarza. Zamknął je.

Wszedł po schodach na drugie piętro, nie natykając się na nikogo. Gwar dochodzący z kilku salonów na parterze stawał się coraz słabszy, gdy wchodził, aż w końcu ucichł zupełnie. Na drugim piętrze podążył korytarzem, którym przedtem prowadził go goniec hotelowy. Szedł po czerwonym dywanie z wijącymi się kwiatami, obok orzechowych drzwi. Tutaj po raz pierwszy miał pecha. Dama, która wyszła ze swojego pokoju, zauważyła go, gdy przechodził obok. Było zbyt późno, żeby mogła się odwrócić.

Jej wzrok tylko na chwilę zatrzymał się na nim, natychmiast dyskretnie spuściła oczy, jak to wypadało kobiecie. Szelest złożonej z wielu warstw sukni towarzyszył jej, gdy szła korytarzem. Durand dał jej czas, żeby mogła skrócić i zniknąć na końcu korytarza. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach naprzeciw, jakby ten pokój był celem jego wyprawy. Potem szybko ruszył w stronę drzwi, o których myślał. Z ostrożności rozejrzał się wokół, chwycił za gałkę i przekręcił ją szybkim ruchem. Był w środku. Zamknął za sobą drzwi.

Pokój oświetlały te same nocne światła co poprzednio. Jeszcze nie wróciła. Jednak odczuwał jej obecność w powietrzu, w zapachu perfum, w ciepłym zmysłowym oddechu zamkniętego od kilku godzin pokoju. Nie mógł bardziej zbliżyć się do niej niż teraz, chociaż ona sama była nieobecna. Towarzyszyła mu jej emanacja. Zdawało się, że z tyłu zaciska na jego szyi nierzeczywiste ręce. Rozprostował ramiona, jakby chciał się uwolnić. Wykręcił szyję.

Stanął na chwilę przy oknie, z boku, żeby nikt go nie zauważył. Obrzucił surowym

spojrzeniem światło księżyca. Cień koronkowej firany nadał jego twarzy ospowaty wygląd. Pod nim, niczym zaspą śnieżną, białiał się spadzisty dach werandy. Za dachem – gładka czerń hotelowych trawników, a w oddali jak rój robaczków świętojańskich skrzyły się wody małej zatoki. Księżyc nad jego głową był okrągły i twardy jak tabletki i dla niego równie przykry.

Wreszcie odwrócił się gwałtownie i wszedł w głąb pokoju. Wybrał na chybił trafił jeden z foteli i zagłębił się w nim, żeby poczekać. Cień, który na niego teraz padał, zasłonił górną część jego twarzy, biegł prostą linią jak maska. Tajemnicza, groźna, nie wyrażająca skrępowań.

Czekał bez ruchu, a noc wydawała się czekać razem z nim niczym współnik pobudzający do złego czynu, który czeka, żeby to zobaczyć.

Wreszcie wyjął zegarek i spojrzał na niego. Tarczę obrócił do światła księżyca. Prawie kwadrans po północy. Był tutaj już pełne trzy godziny. Cały wieczór spędzili bez niego w restauracji. Zatrzasnął zegarek. W ciszy pokoju odgłos odbił się szerokim echem.

Wtedy to, jakby w szyderczej odpowiedzi, gdzieś w oddali usłyszał jej śmiech. Przypuszczalnie jechała windą. Wiedziałby, że to jej, nawet gdyby nie widział jej w alkuwie wcześniej wieczorem. Był przekonany, że poznałby go, nawet gdyby nie wiedział, że ona w ogóle jest w Biloxi. Serce pamięta.

Rozdział 38

Zerwał się gwałtownie z fotela i rozejrzał wokół. Rzecz dziwna, ale przez ten cały czas nie zaplanował, gdzie się ukryje. Musiał więc teraz szybko podjąć decyzję. Spostrzegł parawan i wybrał go. Był to najszybszy i najbardziej oczywisty sposób na ukrycie się, a ona była już blisko drzwi. Mógł słyszeć jej wesoły głos na korytarzu.

Odsunął trochę skrzydła parawanu od ściany, tworząc występ, i tam się schował. Stwierdził, że nie musi się schylać – głowa nie wystawała ponad parawan. Mógł patrzeć przez prześwitujące jak koronka górne obramowanie z drewna. Tam podążył jego wzrok.

Otworzyły się drzwi, ona weszła.

Weszły dwie postacie, nie jedna. Zrobiły jeden lub dwa kroki i prawie natychmiast połączyły się w jedność. Zwały się w żarłocznym uścisku. Stały w półcieniu małego przedpokoju. Lekka woń z ust, szampana lub brandy, docierała do niego. Uzupełniał to zapach perfum. Jego serce zatopilo się w nim.

Nic się nie poruszało, słycać było tylko szelest ściskanego stroju.

Znów rozległ się jej śmiech, ale stłumiony, ukradkowy, teraz cichszy, gdy była blisko, niż wtedy, kiedy dochodził z oddali.

W grubym szepcie rozpoznał głos pułkownika: – Czekałem na to cały wieczór. Moja mała dziewczynka, moja dziewczynka.

Szelest stał się zdecydowanym oporem.

– Harry, już wystarczy. Muszę ubrać jeszcze tę suknię. Zostaw przynajmniej kawałek.

– Kupię ci inną. Kupię ci dziesięć.

W końcu oderwała się od niego. Światło z korytarza rozdzieliło ich postacie, jednak jego ramiona wciąż ją otaczały niczym obręcz beczkę. Durand mógł widzieć, jak z wysiłkiem zsuwa w dół ręce pułkownika, niezdolna do rozerwania uścisku w normalny sposób. Wreszcie się rozłączyli.

– Ale ja tę lubię. Nie bądź brutalny. Nigdy nie spotkałam takiego mężczyzny. Pozwól mi rozjaśnić światła. Nie powinniśmy stać tak tutaj.

– Wolę tak, jak jest.

– Nie wątpię! – odezwała się niegrzecznie.

Weszła teraz ‘do samego pokoju i podeszła do lampy, która po jej dotknięciu rozbłysła pełnym blaskiem. Gdy światło omyło ją, splukało wszystkie cienie z jej rysów, sylwetki. Stała przed nim w pełnym blasku, ponownie przywrócona do życia po roku, miesiącu i dniu. To nie kamea ujrzana za podniesioną zasłoną, bezosobowy śmiech na korytarzu, sylwetka na tle otwartych drzwi. Była realna, rzeczywista, to była ona. Rozkwitła teraz w pełni. W całej swojej wspaniałości i podłości, w całym swoim pięknie i perfidii, w całej swojej drogocności i pustce.

Stara rana w sercu Duranda otworzyła się i znów zaczęła krwawić.

Julia rzuciła wachlarz, zdjęła z ramion szal i też go rzuciła. Ściągnęła z ręki rękawiczkę,

dołączyła do tej, którą trzymała luźną, i obie cisnęła. Ubrana była w suknię z satyny koloru granatu, sztywną i szorstką jak krochmal, przyozdobioną migoczącymi dżetami. Wzięła mały tampon z pudrem i dotknęła czubka nosa raczej z nawyku niż rzeczywistej potrzeby. Jej adorator stał i obserwował każdy jej ruch, ubóstwiał ją, błagał zachłannymi, chciwymi oczami.

W końcu bezceremonialnie obróciła do niego głowę nad ramieniem.

– Czy to nie było zbyt przykre dla biednej Florrie? Co według ciebie stało się z tym młodym mężczyzną, którego umówiłeś na spotkanie z nią?

– A niech go diabli wezmą! – burknął zaczepnie Worth. – Może zapomniał. On nie jest dżentelmenem. Jak się znów na niego natknę, udam, że go nie widzę.

Zajęła się teraz swoimi włosami. Dotknęła ich lekko, nie burząc fryzury. Ruchem pełnym wdzięku przyglądziła je tak, żeby obejmowało je lustro.

– Jaki on jest? – zapytała leniwie. – Czy wydaje się zamożny? Czy my... czy Florrie, chciałam powiedzieć... polubiłaby go? Jak myślisz?

– Ja go prawie nie znam. Nazywa się Randall albo coś w tym rodzaju. Widziałem tylko, jak wydawał pięćdziesiąt centów na poncz z whisky.

– Ach – mruknęła opadającym głosem. Przeszła zajmować się włosami, jakby straciła zainteresowanie nimi. Odwróciła się i nagle podeszła do niego. Wyciągnęła rękę, żeby się pożegnać. – No cóż, dziękuję za sympatyczny wieczór, Harry. Jak wszystkie wieczory z tobą ten był przemiły.

Chwycił jej wyciągniętą rękę i przytrzymał między swoimi dłońmi.

– Czy mogę pozostać trochę dłużej? Będę się dobrze zachowywał. Będę tylko siedział i patrzył na ciebie.

– Patrzył na mnie?! – krzyknęła łobuzersko. – Na co patrzył? Nie na to, co chciałbyś widzieć, ostrzegam cię. – Lekko go odepchnęła, żeby utrzymać odległość między nimi.

Uśmiech zgasł na jej twarzy. Na chwilę stała się zamyślona, poważna.

– Ale czy to nie było zbyt przykre dla biednej Florrie? – powtórzyła, jakby odkryła dodatkowe, niewyjaśnione znaczenie w tym pytaniu.

– Tak, przypuszczam, że tak – zgodził się wymijająco.

– Zadała sobie tyle trudu, żeby dobrze wyglądać. Musiałam jej pożyczyć pieniądze na suknię.

Natychmiast ją wypuścił. – Ach, o to chodzi. Pozwól mi. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? – Wygrzebał z surduta portfel, otworzył go i zaczął w nim grzebać.

Rzuciła krótkie spojrzenie na portfel, a potem, zanim nie skończył, patrzyła sennie obok, w głąb pokoju.

Włożył jej coś do ręki.

– Aha, a skoro o tym mowa... – zaczął.

Dodatkowo pogrzebał w portfelu. Włożył coś więcej do jej niechętej, ale nie stawiającej oporu dłoni.

– Na rachunek hotelowy – powiedział. – I na wydatki związane z wyglądem. Lepiej będzie, jak sama się tym zajmiesz.

Obróciła się do niego plecami. Jednak nie dlatego, że poczuła się obrażona lub zlekceważona, gdyż powiedziała: – A teraz nie patrz. Przynajmniej nad moim lewym ramieniem.

Na jej boku fałdy satynowej sukni na chwilę uniosły się do góry. Błysnął długi, czarny jedwab. Worth, który stanął teraz na palcach, spoglądał głodnym wzrokiem nad jej prawym ramieniem. Na moment odwróciła twarz do niego, spojrzała figlarnie i mrugnęła jednym okiem. Fałdy sukni z lekkim szmerem kaskadą opadły na podłogę.

Worth wykonał gwałtowny, konwulsyjny ruch i znów stopili się w jedność. Tym razem w pełnym świetle, pośrodku pokoju, a nie w cieniu przedpokoju.

Durand poczuł w ręku coś ciężkiego. Spojrzał w dół i zauważył, że już wyjął rewolwer. „Zabiję ich oboje” – takie słowa rozbłysły mu w umyśle.

– A teraz... ? – odezwał się Worth. Usta przycisnął do jej szyi, ramion. – Czy będziesz miła...?

Durand mógł widzieć, że odwróciła głowę od Wortha. Uśmiechała się życzliwie, ale odwróciła głowę. Obróciła się twarzą w stronę drzwi. Zdołała też obrócić Wortha. Potem w jakiś sposób udało się jej poprowadzić go w tym kierunku. Jej twarz i ramiona wciąż obsypywane były niekończącymi się pocałunkami. – Nie... – odzywała się wstrzemięźliwie, z przerwami. – Nie... Nie... *Jestem* miła dla ciebie, Harry. Ani więcej niż zawsze, ani mniej... A teraz bądź dobrym chłopcem...

Durand westchnął z ulgą, odłożył rewolwer.

Stała teraz w drzwiach, nareszcie sama. Rękę wyciągnęła na zewnątrz. Worth musiał ją całować cały czas, gdy trzymała ją w ten sposób.

Durand mógł jedynie słyszeć stłumione pomruki niechętnego rozstania.

Widział jej oblicze wyraźnie, gdy znów stanęła w pełnym świetle. Cała wesołość, kokieteria została wytarta z jej twarzy jak gąbką. Wyrażała teraz przebiegłość, wyrachowanie; była ściągniętą maską lekceważenia.

– Wielki Boże! – usłyszał jej znużone westchnienie i zobaczył, że palcami poklepała się po skroni.

W końcu się poruszyła. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie, jak to on wcześniej zrobił. Przez pewien czas stała nieruchoma. Potem, kiedy ujrzała obrazy napełniły ją jakimiś myślami, odwróciła się gwałtownie, niemal z nagłym zniecierpliwieniem, powodując, że jej suknia zawirowała i zasyczała w ciszy pokoju. Podeszła do komody, otworzyła szufladę. Teraz nie pudrowała nosa, nie poprawiała fryzury. Nie traciła czasu, żeby spoglądać w lustro.

Wyciągnęła pieniądze zza podwiązki i wrzuciła je do szuflady pełnym pogardy ruchem. Przypuszczalnie nie dlatego, że były to pieniądze, lecz ze względu na źródło ich pochodzenia.

Sięgnęła do skrytki, którą tutaj też miała, i wyciągnęła z niej takie samo cienkie cygaro, jakie ciotka Sara pokazała mu w domu na ulicy Świętego Ludwika w Nowym Orleanie.

Dla niego było to odrażające, niemal plugawe, gdy pochylała się nad lampą, żeby zapalić cygaro. Trzymała je obgryzione, paliła jak mężczyzna, wypuszczając dym miniaturowym nosem.

W chorobliwym, krótkotrwałym złudzeniu wydała mu się buchającą dymem, rogatą diablicą, w swojej czerwonej sukni z długim ogonem.

Niebawem położyła cygaro na tackę do spinek i usiadła przed lustrem. Rozpuściła włosy, które powoli opadły kaskadą na plecy. Potem rozluźniła z boku suknię, wyjmując w haftkach haczyki z uszek, ale na tym poprzestała. Powstała w ten sposób szpara, w której jej ciasno zasznurowany bok unosił się i opadał przy każdym oddechu.

Wyjęła teraz pieniądze, które przed chwilą wrzuciła do szuflady, ale wyjęła ich znacznie więcej, niż wcześniej miała w ręku. Przeliczyła jej bardzo dokładnie, a potem włożyła do polakierowanej szkatułki służącej do przechowywania biżuterii. Zamknęła ją i zastukała palcami w wieczko zadowolona ze szczęśliwego finału.

Zamknęła szufladę, wstała i podeszła do biurka. Opuściła deskę do pisania i usiadła przy nim. Z półki wyciągnęła kartkę papieru. Wzięła pióro, umoczyła je, położyła drugą rękę nad kartką, gotowa do pisania. Zaczęła pisać.

Durand wyszedł zza parawanu i powoli ruszył po dywan w jej kierunku. Dywan tłumił całkowicie kroki, choć nie starał się zachowywać cicho. Szedł niezauważony, aż stanął za nią i mógł spojrzeć nad jej ramieniem.

„Drogi Billy!” – mówiło pismo. „Ja... „

Pióro zatrzymało się. Przez moment przygryzała jego koniec.

Wyciągnął rękę i pozwolił, żeby delikatnie spoczęła na jej ramieniu. Trzymał ją lekko, bardzo lekko, tak jak ona kiedyś położyła rękę na *jego* ramieniu: lekko, na nadbrzeżu w Nowym Orleanie. Lekko, ale zdruzgotała mu życie.

Jej przerażenie było przerażeniem osoby winnej, a nie niewinnej. Od razu mogła wiedzieć, kim on jest, gdyż nie odwróciła się, żeby spojrzeć, jak by to zrobił ktoś niewinny. Odwróconą w inną stronę głowę trzymała sztywno. Jej szyję napinała niepewność. *Obawiała się* spojrzeć. Jej życie musiało być pełne win, bo wiedziała, że nagły dotyk w ciszy nocy, w pustym pokoju nie wróży niczego dobrego.

Znieruchomiła ręka wypuściła pióro. Druga dłoń chwyciła kartkę papieru, zmięła ją, zgmiotła, a potem wyrzuciła przy biurku. Chciała ją zniszczyć, ukryć tajemnicę.

Wciąż się nie poruszyła. Jej głowa z błyszczącymi, jasnymi włosami pozostała nieruchoma, jakby za chwilę miało spaść na nią ostrze topora.

Jej oczy spostrzegły go w lusterku. Znajdowało się po jej lewej stronie i kiedy sam w nie popatrzył, mógł zobaczyć w odbiciu jej białej od talku twarzy, że źrenice zaciemniły całe oczy, nadając jej groźny, nienaturalny wygląd. Wydawało się, że całe gałki oczne ma czarne.

– Julio, nie obawiaj się obejrzeć – rzekł ironicznie. – To tylko ja. Nikt wielki. To jedynie ja.

Nagle odwróciła się. Zrobiła to tak szybko, że zastąpienie widoku jedwabistych włosów przez gipsową twarz było jak pojawienie się ducha.

– Zachowujesz się tak, jakbyś mnie nie pamiętała – powiedział cicho. – Julio, z pewnością mnie nie zapomniałaś. Zwłaszcza mnie.

– Skąd wiedziałaś, że jestem tutaj? – zapytała ostro.

– Nie wiedziałem. To ja byłem tym mężczyzną, który dziś wieczorem miał się przyłączyć do waszego towarzystwa.

– Jak się tu dostałeś?

– Przez drzwi.

Teraz wstała. Dla ochrony próbowała odwrócić trzcinowe krzesło i postawić je między nimi, ale nie było na to miejsca. Wziął je od niej i odstawił.

– Jak to jest, Julio, że nie wypędzasz mnie z pokoju? Dlaczego nie grozisz, że będziesz wzywać pomocy? Lub nie robisz zwykłych w takich sytuacji rzeczy?

Zdobyła się na desperacki spokój, który musiał podziwiać za to, że pojawił się tak szybko.

– To jest sprawa, która powinna być rozwiązana przez nas dwoje, bez krzyków lub wyrzucania cię z pokoju. – Przesunęła trzęsącą się dłoń wzdłuż drugiej ręki. – Skończmy z tym najszybciej jak to możliwe.

– To zabrało mi więcej niż rok – powiedział. – Mam nadzieję, że nie będziesz żałowała mi dodatkowych kilku minut?

Nie odpowiedziała.

– Julio, masz zamiar wyjść za pułkownika? To byłaby bigamia.

Gniewnie wzruszyła ramionami.

– Och, on jest po prostu głupcem. Nie odpowiadam za niego. Świat jest pełen głupców. – Przynajmniej to zdanie powiedziała szczerze.

– A największym z nich jest ten, na którego teraz patrzysz.

Kopnął lekko palcami stopy zmiętą kulkę papieru, przesunął ją trochę. Zrobił to delikatnie, jakby zawinięto w nią czyjeś nadzieje.

– Kim jest Billy?

– Och, nikim szczególnym. Przypadkowy znajomy. Jegomość, którego gdzieś spotkałam. – Wyciągnęła rękę, sztywną ze zdenerwowania, jakby chciała, żeby ten człowiek znikł z jej myśli.

– Świat dla ciebie musi być pełny Billów. Billów, Louisów i pułkowników Worthów.

– Doprawdy? – wyrzuciła z siebie. – Nie, był tylko jeden Lou. Może to trochę za późno, żeby o tym mówić. Nie wychodziłam za Billów czy pułkowników Worthów. Poślubiłam Louisa.

– Zagrałaś swoją rolę – zauważył zgryźliwie.

– No cóż, jest za późno – powiedziała. – Co teraz można zrobić?

– Przynajmniej tutaj się zgadzamy.

Podeszła do lampy i w zamyśleniu przyłożyła do niej rozpostartą dłoń, tak że przybrała ceglastoczerwony kolor od przeświecających mięśni. Przez chwilę obserwowała efekt. Potem odwróciła się do Duranda.

– O co chodzi, Lou? Co zamierzasz zrobić?

Jego ręka uniosła się powoli w kierunku tej części surduta, która ukrywała rewolwer. Zatrzymała się tu na chwilę. Potem wsunęła się i odnalazła rękojeść. Wyciągała rewolwer powoli, bardzo powoli. Wydawało się, że kościana rękojeść, niklowany bębenek, żłobiona lufa nie przestaną się wysuwać.

– Przyszedłem tutaj, żeby cię zabić, Julio.

Tylko raz spojrzała na rewolwer. Wystarczyło, żeby to rozpoznać, stwierdzić, że może spełnić swoją groźbę. Potem zaczęła patrzeć mu w oczy, nie odrywała od nich wzroku. Wiedziała, gdzie może znaleźć impuls: w oczach, nie w broni. Wiedziała, gdzie może się odwoływać: do jego oczu.

Patrzyła na niego długo, jakby oceniała jego zdolność do zrobienia tego, o czym mówił. Tylko ona mogła powiedzieć, co zobaczyła. Czy zdecydowany zamiar, którego nie można zmienić, czy chwiejne postanowienie, które czekało tylko, by się rozpaść.

Nie uniósł rewolweru, nie wymierzył z niego; po prostu go trzymał z lufą skierowaną w bok. Jednak jego twarz była blada od długotrwałego cierpienia, które mu zadała, i cokolwiek odczytała w jego spojrzeniu, wciąż potrzebne było tylko jedno: zmiana jego decyzji.

Być może była ryzykantką i instynktownie lubiła niepewność, która przyciągała ją, pobudzała. Nienawidziła stawiać na pewniaków. A może odwrotnie: nie była ryzykantką, pokładała nadzieje w rzeczach pewnych, nigdy innych, zarówno jeżeli chodziło o mężczyzn, jak i karty. A teraz miała do czynienia z sytuacją pewną, chociaż on sam tego jeszcze nie wiedział. Albo może to jedynie próżność, ambicja, pobudzały ją. Musiała spróbować zdobyć nad nim władzę, nawet gdyby porażka oznaczała dla niej utratę życia. Może, jeśliby przegrała, chciałaby umrzeć. Pycha byłaby tego przyczyną.

Uśmiechnęła się do niego. Jej uśmiech wyrażał tylko wyzwanie, nic ponadto.

Nagle szarpnęła za rękaw sukni, rozerwała go. Zaczęła ciągnąć suknię w dół, coraz bardziej i bardziej. Wygrzebała rękę z supła, w który się teraz splątała suknia, aż w końcu ukazała się biała skóra na boku, prawie do samej kibici. Lewym boku, tym po stronie serca. Ciągle poruszała się w jego kierunku, krok po kroku. Skóra była biała jak mleko, delikatna jak chiński jedwab. Ciało kołysało się, gdy szła.

Potem zatrzymała się, kiedy chłodny metal rewolweru jej dotknął. Trzymając w ręku rozerwany stanik sukni, spojrzała mu głęboko w oczy.

– W porządku, Lou – wyszeptała.

Wyciągnął rewolwer spomiędzy nich.

Przysunęła się o krok, gdy to zrobił.

– Nie wahaj się, Lou – szepnęła. – Czekam.

Cofnął pięty, odsunął się od niej o włos. Wepchnął rewolwer do bocznej kieszeni. Pospieszenie się go pozbywał, niezdarnie, nieostroźnie. Kolba rewolweru wystawała z kieszeni.

– Julio, okryj się – rzekł. – Jesteś cała odsłonięta.

W ten sposób udzielił odpowiedzi. Jeśli ona była ryzykantką, wygrała, jeśli nie – za

pierwszym razem odczytała decyzję z jego oczu. Jeśli natomiast pycha zaprowadziła ją na krawędź zguby, to teraz uczucie to triumfowało; pozostawało nietknięte, nienaruszone.

Nie dała poznać po sobie. On też starał się zachować godnie, jak to czynią sprytni przegrani. Jego twarz była zroszona potem, jakby to on podejmował ryzyko.

Podciągnęła swój ubiór, oczywiście nie do poprzedniego stanu, ale mniej więcej.

– Skoro nie zamierzasz mnie zabić, czego więc chcesz ode mnie?

– Zabrać cię do Nowego Orleanu i przekazać w ręce policji. – Zażenowany, że stoją tak blisko siebie, odsunął się. – Przygotuj się – mruknął.

Nagle spojrział zdumionym wzrokiem w dół. Jej ręce opadły bezwładnie na jego ramię, usiłowały się złączyć w błagalnym geście. Czuł delikatność jej włosów, gdy opadły poniżej jego szyi.

Odrzucił je od siebie, strząsnął, zmiotł. Tak jak i ją.

– Przygotuj się – powtórzył ponuro.

– Jeśli chodzi o pieniądze, poczekaj... mam trochę tutaj, dam ci je. A jeżeli to ci nie wystarczy... postaram się... przysięgam, że...

– Nie o to chodzi. Jesteś zgodnie z prawem moją żoną i zgodnie z prawem nie popełniłaś przestępstwa.

– Więc dlaczego chcesz mnie przekazać w ręce policji?

– Żebyś odpowiedziała, co się stało z Julią Russell. Tą prawdziwą. Nie jesteś Julią Russell i nigdy nie byłaś. Czy może jednak twierdzisz, że jesteś?

Nie odpowiedziała. Wydało mu się, że jest teraz bardziej przerażona, niż wtedy, gdy zobaczyła broń. Bez wątpienia znacznie szerzej otworzyła oczy.

Opróżniła szufladę, którą otworzyła gwałtownym ruchem. Przykucnęła nad miejscem, gdzie wysypała pieniądze, a potem podeszła do niego.

– To im powiesz, co z nią zrobiłaś. Jest na to określenie. Chcesz je usłyszeć?

– Nie, nie! – protestowała. Nawet wyciągnęła dłonie w jego kierunku, gdy podeszła do niego, ale czy protestowała przeciw myśli, którą zasugerował, czy przeciw samemu słowu, którego bał się wypowiedzieć, tego nie mógł ocenić. Zaraz okazało się, że chyba to drugie.

– Mor... – zaczął.

Jej dłonie odnalazły jego usta. W przerażeniu zakryły je. – Nie, nie! Lou, nie mów tak! Nie mam z tym nic wspólnego! Me *wiem*, co się z nią stało. Tylko mnie posłuchaj, posłuchaj. Lou, musisz mnie wysłuchać!

Usiłował ją odrzucić od siebie, jak to zrobił wcześniej, ale tym razem trzymała się kurczowo, stawiała opór. Chociaż jego ręce ją odpychały, napierała na nie, powracała.

– Czego wysłuchać? Więcej kłamstw? Całe nasze małżeństwo było kłamstwem. Każde słowo, które do mnie wypowiedziałaś, każdy twój oddech był kłamstwem. Będiesz teraz okłamywała policję, a nie mnie. Nie chcę więcej kłamstw!

To słowo, podobnie jak wcześniej stłumione przez nią ręką, wydawało się wywoływać w niej

paniczny strach. Złękła się i cicho jęknęła. Po raz pierwszy głosem okazała słabość. A jeśli był to tylko podstęp, sztuczka pozorująca słabość, to była udana, bo on uznał ją za słabość i w ten sposób cel został osiągnięty.

Wciąż trzymając się kurczowo, w desperacji jego surduta, upadła przed nim na kolana. Płaszczyła się błagalnie w pozycji, do jakiej zdolny jest tylko człowiek.

– Nie, nie, tym razem tylko prawda! – szlochała. – Tylko prawda, nic więcej! Gdybyś tylko mnie wysłuchał, pozwolił mi mówić...

W końcu przestał ją odpychać, stał biernie.

– Znasz ją całą? – zapytał pogardliwie.

Ale skupiła się na swoich myślach.

Oderwała od niego ręce, odwróciła na chwilę głowę i przyłożyła do ust grzbiet swej dłoni. Czy pospiesznie szukała natchnienia, czy może uodparniała się przed nadchodzącą chwilą szczerości, tego nie wiedział.

– Teraz nie ma żadnego pociągu – zauważył sucho. – I nie mogę wziąć cię na dworzec w takim stanie, w jakim jesteś. Nie mogę też mitrężyć z tobą czasu przez pół nocy... więc mów, jeśli chcesz. – Opadł na fotel i rozluźnił kołnierzyk, wyczerpany napięciem, któremu oboje zostali poddani. – To ci nie pomoże. Ostrzegam cię, zanim zaczniesz, że efekt będzie taki sam. *Wrócisz ze mną do Nowego Orleanu, by stanąć przed sprawiedliwością.* Wszystkie twoje łzy, klęknięcia, prośby niczego nie zmieniają!

Nie wstając, przyczołgała się do niego na kolanach. Znowu odległość między nimi się zmniejszyła. Znalazła się u jego stóp, skruszona, zasługująca na pogardę. Rękoma trzymała za oparcie fotela.

– To nie byłam ja. Ja tego nie zrobiłam. To *on* coś musiał z nią zrobić, bo później już jej nie widziałam. Ale co to było, nie wiem. Nie widziałam tego. Potem tylko przyszedł do mnie i powiedział, że miała pecha, a ja bałam się pytać dalej...

– *On?* – zapytał szyderczo.

– Mężczyzna, z którym byłam. Ten, z którym byłam na statku...

– Twój kochanek – powiedział matowym głosem. Nie chciał pozwolić, żeby zobaczyła, jak usiłuje przełknąć gorycz, która zgromadziła się mu w gardle.

– Nie! – zaprzeczyła z uporem. – Nie, nie był kochankiem! Możesz mi nie wierzyć, jeśli chcesz, ale nigdy nim nie był. To jedynie taki układ. Przed nim nie było też mężczyzn. Nauczyłam się troszczyć o siebie od czasu, kiedy przyszedłam na świat, i niezależnie od tego, czy robiłam rzeczy złe czy dobre, nie byłam nikogo, tylko twoja, Lou. Żadnego mężczyzny, dopóki nie wyszłam za mąż za ciebie.

Zastanowił się, dlaczego zrobiło mu się lżej na duszy. Surowo napominał się, że nie powinno, ale mimo wszystko było mu lżej.

– Julio – przeciągnął z wyrzutem, jakby całkowicie nie dowierzając. – Chcesz, żebym w to uwierzył? Julio, Julio...

– Nie mów do mnie Julia – wyszeptała ze skrucłą w głosie. – To nie jest moje imię.

– Czy ty w ogóle masz imię?

Zwilżyła wargi. – Bonny – przyznała. – Bonny Castle. Z drwiną skinął głową.

– Dla pułkownika, Bonny. Dla mnie, Julia. Dla Billy’ego, ktoś inny. Dla następnego mężczyzny, znów ktoś inny. – Odwrócił od niej twarz z obrzydzeniem, potem ponownie spojrzął na nią. – Takie imię nadano ci przy chrzcie? To twoje imię chrzestne?

– Nie – odparła. – Nigdy nie byłam ochrzczona. Nigdy nie nadano mi imienia chrzestnego.

– Myślę, że każdy ma imię.

– Nigdy nie miałam nawet tego. Potrzebny jest ojciec albo matka, żeby je nadać. Kosz do bielizny pozostawiony na schodach nie może tego zrobić. Rozumiesz teraz?

– Zatem skąd się wzięło?

– Z widokówki – odpowiedziała. Przekora i rozgoryczenie wciąż żywe w niej kazały jej na chwilę wyżej unieść głowę. – Z widokówki, która pewnego dnia przyszła ze Szkocji do przytułku, kiedy miałam dwanaście lat. Wyciągnęłam ją i spojrzałam. Był na niej najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek podziwiałam: porośnięte bluszczem mury i błękitne jezioro. Podpis głosił: Bonny Castle. Nie wiedziałam, co oznacza, ale przyjąłam go za swoje imię i nazwisko. Do tego czasu w przytułku nazywali mnie Josie. Nienawidziłam tego imienia. W każdym razie nie było bardziej prawne niż to. Od tej pory zachowałam nowe imię, więc jest moje, tylko ze względu na to, że już długo go używam. Jakie znaczenie może mieć kilka kropli wody, którą spryskują ci głowę... Śmieję się, jak chcesz – przyzwoliła ponuro.

– Teraz sam już nie wiem, co i jak – wtrącił posepnie. – Jak długo byłaś w tym przytułku?

– Myślę, że do piętnastego roku życia. Albo coś około tego. Widzisz, nie miałam dokładnej daty urodzin. To kolejna rzecz, której nie miałam. Kiedyś wybrałam ją sama, tak jak imię. Wybrałam dzień świętego Walentego, bo to taki uroczysty, wesoły dzień. Ale wkrótce mi się znudził i nie zachowałam go jako daty moich urodzin.

Patrzył na nią, nie odzywając się.

Z wysiłkiem nabrała powietrza do płuc, żeby mówić dalej.

– W każdym razie uciekłam stamtąd, gdy miałam piętnaście lat. Oskarżyli mnie o jakąś kradzież i zbili. Już wcześniej mnie oskarżali i bili, ale kiedy miałam trzynaście lat, znosiłam ból, nie znałam innego wyjścia, natomiast w wieku piętnastu lat, już dłużej nie chciałam. W nocy uciekłam przez mur. Niektóre dziewczyny mi pomagały, ale zabrakło im odwagi, żeby uciec razem ze mną. – A potem dodała z zaskakującą obojętnością, jakby mówiła o kimś innym: – Przynajmniej jednym nie byłam: tchórzem.

– Nigdy nie byłaś tchórzem – zgodził się. Jednak nie był szczególnie zadowolony z takiego wniosku.

– Działo się to w Pensylwanii – kontynuowała. – Był szczypiący mróz. Pamiętam, jak przez wiele godzin wałęsałam się wzdłuż drogi, aż w końcu jakiś woźnica podwiózł mnie swoim furgonem...

– Jesteś z Północy? – zapytał. – Nie byłem w stanie się domyślić. Nie masz akcentu stamtąd.

– Północ, Południe. – Wzruszyła ramionami. – To wszystko jedno. Mówię tak, jak mówili tam, gdzie ostatnio byłem, aż do czasu, gdy przeniosę się w nowe miejsce.

I zawsze kłamstwa – pomyślał. Nigdy prawda.

– Znalazłam się w Filadelfii. Pewna starsza kobieta zaopiekowała się mną. Stara wiedźma. Natknęła się na mnie, gdy byłam w takim stanie, że za chwilę mogłam upaść na bruk. Myślałam, że jest życzliwa, ale nie była. Po paru dniach, kiedy się najadłam i wypoczęłam, ubrała mnie jak małe dziecko... byłam niska... i zabrała ze sobą do sklepu, do domu towarowego. „Obserwuj mnie” – powiedziała i pokazała jak kraść rzeczy z kontuaru, by nikt nie zauważył. W końcu od niej też uciekłam.

– Ale wcześniej zaczęłaś kraść? – Przyjrzał się jej uważnie, chciał zobaczyć, czy będzie miała kłopoty z odpowiedzią.

Nie przerwała, by zaczerpnąć powietrza. – Wcześniej zaczęłam kraść. Dawała mi jeść tylko wtedy, gdy to robiłam.

– A potem co się wydarzyło?

– Trochę pracowałam jako pokojówka, sprzątałam. Pracowałam w piekarni przy wypieku bułek. Pracowałam nawet jako pomocnica praczki. Częściej byłam bezdomna, niż miałam gdzie spać. – Odwróciła na chwilę głowę tak, że szyja utworzyła napiętą linię. – Większości tych dni nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Co więcej, nie chcę.

Przypuszczalnie sprzedawała się na ulicach – pomyślał i jego serce zamarło, jakby była tą, w której można pokładać nadzieję.

Chyba w tajemniczy sposób odczytała jego myśli, bo zaraz dodała:

– Był jeden sposób, żebym mogła dać sobie radę, ale nie skorzystałam z niego.

Kłamstwa – przekonywał się – same kłamstwa. Ale jego serce natychmiast się ożywiło.

– Pewnego wieczoru w przerażeniu uciekłam od kobiety, która chciała mnie nakłonić, żebym wstąpiła do jej domu na filiżankę herbaty.

– Godne podziwu – rzucił złośliwie.

– Och, nie doceniaj we mnie dobroci – powiedziała w nagłym przypiływie szczerości. – Zwróć uwagę raczej na moje zepsucie. Wtedy, w tamtych dniach nienawidziłam każdej istoty ludzkiej na ziemi. Każdej kobiety, każdego mężczyzny, dziecka. Nikomu nie dałabym tego, czego chciał ode mnie, bo nikt nie dałby mi tego, czego ja potrzebowałam.

W milczeniu spojrzała w dół. W końcu okazała swoją naiwność zarówno serca, jak i umysłu, jednak na krótko.

– Cóż, lepiej, jak będę mówić krótko. Głównie chcesz wiedzieć, co wydarzyło się na rzece. Wcześniej natknęłam się na trupę aktorów, przyłączyłam się do nich. Nie grali w stałych teatrach. Nie było ich stać na wynajęcie scen. Podróżowali i rozbijali namioty. Potem spotkałam człowieka, który był zawodowym karciarzem na statkach rzecznych. Dziewczyna, która była jego towarzyszką, opuściła go, żeby wyjść za właściciela plantacji... w każdym razie tak mi

powiedział... i szukał kogoś, kto by ją zastąpił. Zaproponował mi udział w zyskach, jeśli się do niego przyłączę. – Machnęła ręką. – To był przecież tylko inny rodzaj występów. Dla ludzi, którzy byli miłsi niż ci, z którymi się do tej pory stykałam. – Przerwała i dodała po chwili: – On był taki sam...

– Jak się nazywał? Jak na niego mówiono? – zapytał z nagłym zainteresowaniem.

– Czy ma to znaczenie? Jego nazwisko było fałszywe, podobnie jak moje. Zmieniał je przed każdą podróżą. Musiał, jako środek ostrożności. Kiedyś był McLarninem, kiedy indziej Rideau. Wątpię, czy kiedykolwiek podczas naszej znajomości poznałam jego prawdziwe nazwisko. Wątpię nawet, czy on je znał. Teraz go nie ma. Nie wymagaj, żebym wszystko pamiętała.

Usiłuje go chronić, pomyślał.

– Musiałaś się do niego jakoś zwracać...

Uśmiechnęła się kwaśno na wspomnienie. – „Drogi bracie. „ Tak zwracałam się do niego przy innych. To była część mojej roli. Podróżowaliśmy jako brat i siostra. Nalegałam na to. Mieliśmy osobne kabiny.

– A on się zgodził. – Nie było to pytanie, ale wyraz niedowierzania.

– Na początku sprzeciwiał się. Jego poprzednia współpracowniczka wydaje się... cóż, to nie ma nic do rzeczy. Powiedziałam mu, że tak będzie nawet lepiej dla jego interesów, i kiedy to zrozumiał, zgodził się dość chętnie. Zawsze interes był dla niego najważniejszy. Miał narzeczoną w każdym mieście nad rzeką, więc mógł się obyć bez jednej więcej. Otóż ja byłam dla niego... magnesem. Moim zadaniem było upuszczać chusteczkę na pokładzie, dawać się potrać w wąskim przejściu albo nawet gubić się i szukać pomocy. Nie ma nic złego w tym, gdy dżentelmen zawrze pełną szacunku znajomość z niezamężną siostrą jakiegoś mężczyzny. Gdyby sądzili, że jestem jego żoną... albo coś innego... wtedy powstrzymywaliby się. Potem, jak nakazuje przyzwoitość, przy najbliższej okazji przedstawiałam im mojego brata. I wkrótce potem mogła rozpocząć się gra.

– Grałaś?

– Nigdy. Tylko bezwstydne, zuchwałe dziewczyny grają w karty z mężczyznami.

– Jednak byłaś obecna.

– Nalewałam drinki. Flirtowałam trochę, dbałam, żeby byli w dobrym humorze. Stawałam po ich stronie, gdy kłócili się z moim bratem.

– Podpowiadałaś mu?

Z filozoficzną rezygnacją lekko opuściła ramiona. – Po to tam byłam.

Założył ręce, przyjmując postawę nieubłaganego sędziego – albo raczej kogoś, kto podjął już nieodwołalną decyzję – dla którego usprawiedliwienie, natrętne prośby nie mają znaczenia, nie są w stanie na niego wpłynąć. Niecierpliwie uderzał palcami o ramiona.

– A co z Julią? Tą drugą, prawdziwą?

– Właśnie doszłam do tego momentu – mruknęła pokornie. Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, żeby jak najszybciej przebrnąć przez kulminacyjną część swojej opowieści. – Pływaliśmy w dół rzeki raz na miesiąc, nigdy częściej. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Zatrzymywaliśmy się na

trochę, a potem płynęliśmy w górę. Opuściliśmy St. Louis osiemnastego maja na statku *Nowy Orlean*.

– Tak jak ona.

Przytaknęła. – Pierwszego wieczoru sprawy zaczęły iść źle. Znalazł godnego siebie przeciwnika. Nie wiem, jak do tego doszło. Na pewno nie szukał go, miał zbyt wiele sposobów, żeby uniknąć niespodzianek. Po prostu w końcu trafił na cwańszego od siebie. Nie mogłam zobaczyć kart, trzymał je zakryte, wydawało się, że gra z pamięci. Te wszystkie moje sposoby: poprawianie sukni, przesuwanie naszyjnika, bransoletek, pierścionka, kolczyków, były na nic. Grali pół nocy i mój współnik powoli przegrywał, aż nic mu nie zostało. Podczas takich gier spotykają się tylko podróżni, nieznajomi, więc gra się na żywe pieniądze, no i naprawdę się przegrywa...

– Trafiła kosa na kamień – skomentował.

– Ale kilka godzin wcześniej ten mężczyzna poprosił mnie, żebym zostawiła ich samych. Zdecydowanie, ale w tak grzeczny sposób, że musiałam posłuchać, bo inaczej zaczęłyby coś otwarcie podejrzewać. Stwierdził, że nie jest przyzwyczajony, żeby grać w karty w obecności kobiet. Poza tym chciał zdjąć surdut i kamizelkę, a gdy natychmiast się zgodziłam, uznał, że nie może tego zrobić w obecności damy, no i musiałam wyjść. Mój partner zatrzymywał mnie wszelkimi sposobami, ale nie było rady. Wpadliśmy we własne sidła. Potem włączyłam się po pokładzie i wkrótce przyłączyła się do mnie jakaś kobieta bez towarzystwa. Zaczęła pogawędkę. Nie zwykłam była rozmawiać z innymi kobietami, nie po to płynęłam statkiem, więc z początku słuchałam jej jednym uchem. Ależ głupia była. Dobrowolnie w ciągu kilku minut opowiedziała o sobie: kim jest, dokąd płynie, po co. Była zbyt łatwowierna, nie miała pojęcia o świecie. Szczególnie o rzeczywistości na statkach rzecznych i o ludziach, których się tam spotyka. Chciałam z początku się jej pozbyć, ale bez skutku. Przyczepiła się do mnie, nie miała ochoty odejść. Wyglądało, że chce znaleźć powiernicę, zwierzyć się. Była pełna romantycznych oczekiwań. Podała mi twoje nazwisko, a kiedy zatrzymałyśmy się w pełnym świetle, wyciągnęła fotografię i nalegała, żebym ją zobaczyła. Przeczytała nawet fragmenty z ostatniego twojego listu czy kilku listów, jakby to była ewangelia. Wreszcie, gdy zaczęłam tracić cierpliwość i chciałam wybuchnąć, by ją uciszyć, odkryła, że... dla niej... jest już późno i ruszyła w kierunku swojej kabiny niczym krnąbrne dziecko. Cały czas machała mi na pożegnanie ręką; tak jej przypadłam do gustu. Potem ostro pokłóciliśmy się, ja i on. Zarzucił mi, że zaniedbałam nasze „interesy”. Nierozsądnie, żeby się bronić, powiedziałam mu o niej. Powiedziałam, że bez wcześniejszego spotkania jedzie, by wyjść za mąż za człowieka wartego sto tysięcy dolarów, który...

Wyprężył się zaalarmowany.

– Skąd mogła wiedzieć? – zapytał ostro. – O pieniądzach powiedziałem dopiero tobie, która udawałaś Julię, gdy przypląnęłaś i spotkałaś się ze mną na nadbrzeżu.

Uśmiechnęła się smutno. i – Sprawdziła to, długo przed opuszczeniem St. Louis. Może ja bardziej cię oszukałam, ale ona też wprowadziła cię w błąd.

Długo milczał, jakby w tym nowym odkryciu kobiecej przebiegłości szukał usprawiedliwienia dla swojej rozmówczynie.

Niebawem, gdy dokładnie oceniła, że już dostatecznie długo się zastanawia, a wiedziała, że rozmyśla, zaczęła mówić dalej.

– Widziałam, jak na mnie patrzył, kiedy mu o tym mówiłam. Z miejsca przestał się klócić, opuścił mnie i wyszedł na pokład. Mogę tylko powiedzieć, co się wydarzyło, jak ja to widziałam. Wtedy nie wiedziałam, jakie ma to znaczenie. Dopiero teraz mogę znaleźć sens. Wtedy nie mogłam. Musisz mi uwierzyć. Musisz, Lou...

Zacisnął dłonie i uniósł je w błagalnym geście.

– Muszę? A niby dlaczego?

– Bo to prawda, co dzisiaj mówię. Każde słowo jest prawdziwe, jak nigdy wcześniej. I tak będzie zawsze.

Jak nigdy wcześniej. I tak będzie zawsze. Zauważył, że łatwowiernie powtarza te słowa w swoich myślach.

– Wysłałam, żeby go odszukać, zapytać, czy ma zamiar jeszcze tego wieczoru odrabiać straty, czy mnie potrzebuje, a jeśli nie, to czy mogę położyć się spać. Stał nieruchomo, zamyślony, oparty o barierkę. Księżyc zachodził i na rzece robiło się ciemno. Wciąż jeszcze płynęliśmy na terenie stanu Missouri. Uważałam, że powinniśmy wszystko sobie wyjaśnić przed świtem. Z trudem go rozpoznałam dopiero wtedy, kiedy podeszłam do niego, tak był niewidoczny w ciemnościach. Zwrócił się do mnie szeptem: „Zapukaj do jej drzwi i zaprosź ją na przechadzkę po pokładzie”. Ja wtedy powiedziałam: „Ale jest późno, może ona śpi. Nie jest przyzwyczajona, żeby siedzieć tak długo w nocy jak my”. „Zrób, jak ci mówię! – nakazał srogo. – Bo inaczej pięściami zmuszę cię do posłuszeństwa. Znajdź jakiś sposób, żeby wyciągnąć ją z kabiny, wiesz, jak to zrobić. Powiedz, że czujesz się samotna i prosisz o towarzystwo. Albo powiedz jej, że za chwilę będzie widać na brzegu światła miasta, których nie można nie zobaczyć. Skoro jest taka naiwna, nie powinna znaleźć żadnych wykrętów. „ I uderzył mnie, aż upadłam.

– Upadłaś?

– Tak. Upadłam. Więc co miałam zrobić? Dlaczego miałabym cierpieć za kogoś obcego? Czy jakiś obcy cierpiał za mnie?

Nie odpowiedział.

– Podeszłam do jej drzwi i zapukałam, a kiedy odezwała się przestraszona, powiedziałam słodkim głosem, żeby ją uspokoić: „To twoja nowa miła przyjaciółka, panna Charlotte”.

– Takie imię nosiłaś na statkach?

– Na tę podróż. Od razu otworzyła, tak bardzo mi ufała. Nie rozebrała się jeszcze, ale powiedziała, że za chwilę miała to zrobić. Gdyby to zrobiła...

– Teraz, po czasie jesteś litościwa – zauważył. – Wtedy nie byłaś.

Nawet nie mrugnęła okiem.

– Przekazałam zaproszenie. Poskarżyłam się na ból głowy. Nie chciałam żadnych lekarstw,

które od razu zaproponowała. Powiedziałam, że lepiej mi zrobi świeże powietrze i poprosiłam, żeby mi towarzyszyła, bo jest już późno. Pamiętam, że byłam bardzo niespokojna, nie znałam jego zamiarów... wiedziałam, że są złe, ale nie sądziłam, że może zamachnąć się na jej życie. Myślałam, że może chodzi o jakiś szantaż, gdy już wyjdzie za ciebie... Ale nawet gdy z nią rozmawiałam, miałam nadzieję, że mi odmówi, i będę się mogła przed nim wytłumaczyć. Jednak ona chyba za bardzo mnie lubiła. Zanim zdążyłam ją po raz drugi poprosić, już się zgodziła. Jej twarz promieniała ze szczęścia, że ją odnalazłam. Szybko owinęła się szalem, zamknęła drzwi za sobą i poszła ze mną.

Wbrew sobie skupił swoją uwagę. – Julio, mówisz prawdę? Mówisz prawdę... ? – spytał z zapartym tchem.

– Bonny – mruknęła z przyganą w głosie.

– Mówisz prawdę? Rzeczywiście nie wiedziałas, jaki on ma zamiar?

– Dlaczego klęczę u twoich stóp? Dlaczego mam oczy pełne łez? Dobrze się im przyjrzyj. Jak mam cię zapewnić, w jaki sposób? Powinnam przysiąc? Wyciągnij Biblię. Otwórz ją przede mną. Trzymaj ją przy moim sercu, gdy będę mówiła.

Nigdy wcześniej nie widział, jak płakała. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wcześniej to robiła. Płakała raczej jak ktoś nie przywykły do płaczu, tłumiający go, niż jak osoba, która wykorzystywała łzy do swoich celów, wiedziała, jakie mogą przynieść korzyści i pozwalała im płynąć bez skrępowania, nawet pobudzać je.

Odsunął od siebie sugestię, która była efektem jego sceptycyzmu.

– A potem? A potem? – naciskał.

– Przeszliśmy trzy razy po pokładzie, w serdecznej zażyłości, jak to kobiety potrafią... – Przerwała na chwilę.

– O co chodzi?

– Coś właśnie sobie przypomniałam. Wolałabym o tym nie pamiętać. *Objęła mnie w pasie*, gdy spacerowałyśmy. Ja jej nie otoczyłam ramieniem, ale ona mnie, tak. Znów paplała o tobie, bez końca o tobie. Cały czas o tobie, tylko o tobie.

Wciągnęła głęboko powietrze, jakby czuła napięcie z tamtego wieczoru, ponownie przeżywała spacer po pustym, mrocznym pokładzie.

– Nic się nie wydarzyło. Nie podszedł do nas. Gdy zobaczyłam jakiś cień, powstrzymałam się, żeby nie krzyknąć, ale żaden z nich nie był nim. W końcu nie miałam powodu, żeby zatrzymać ją dalej na pokładzie. Zapytała, czy nadal boli mnie głowa, a ja odparłam, że już przestała. Nie mogła sobie wyobrazić ulgi, z jaką jej to powiedziałam. Odprowadziłam ją do kabiny. Pamiętam, że odwróciła się na chwilę i nawet pocałowała, żegnając się czule. Tak ją oczarowałam. Powiedziała: „Ja naprawdę nigdy nie miałam przyjaciółki. Musisz przyjechać i spotkać się ze mną i moim... „ – tu zająknęła się z wdziękiem – „... mężem, odwiedzić nas, jak tylko wprowadzimy się do nowego domu. Bardzo będę potrzebowała przyjaciół w moim nowym życiu. „ Otworzyła drzwi i weszła do środka, nietknięta. Nawet słyszałam, jak od środka zamyka

zasuwę. *To wtedy po raz ostatni ją widziałam.*

Przerwała, jakby wiedziała, że trzeba tak zrobić, by osiągnąć zamierzony efekt.

– Poza tym nie brałaś już w tym udziału? – zapytał powoli.

– Nie brałam już udziału. Już więcej w tym nie uczestniczyłam, cokolwiek to było...

Znowu przerwała.

– Od tej pory nieraz o tym myślałam – zaczęła po chwili. – Teraz wiem, co to było, co to musiało być. Wtedy tego nie wiedziałam, bo inaczej nie zostawiłabym jej samej. Myślałam, że zamierza zaczepić ją na pokładzie, postawić w kłopotliwym położeniu, z którego mogłaby się wyplątać, płacąc pieniądze, albo nawet ukraść jakiś drobiazg, który musiałaby wykupić, żeby zachować dobre imię w twoich oczach. Gdy sama szłam do swojej kabiny, przyszło mi nawet do głowy, że może całkowicie zmienił plan, zupełnie zrezygnował ze swojego zamiaru, niezależnie co to było. Wiedziałam, że wcześniej, już w trakcie, zmieniał swoje decyzje, i mówił mi o tym dopiero później... – Ponuro pokręciła głową. – Ale nie, nie zmienił. Musiał dostać się do jej kabiny, gdy wyszła ze mną, i czekać na nią w środku. Chciał znaleźć taką okazję i dlatego mi kazał zaprosić ją na spacer po pokładzie.

– Ale później... nie opowiadał szczegółowo, co się wydarzyło w jej kabinie.

Stanowczo zaprzeczyła ruchem głowy. – Nigdy o niczym nie opowiadał mi szczegółowo. I nigdy nie byłam w stanie nic z niego wyciągnąć. Nie miewał chwil słabości, nie zwierzał się, zwłaszcza w obecności kobiet. Sposób, w jaki mi o tym wtedy powiedział, wskazywał, że nie można mu wierzyć. Zarówno ja, jak i on o tym wiedzieliśmy. Miało to mnie zadowolić, fałszywie wyjaśnić zdarzenie. Mówił bardzo szybko. Tylko tyle chciał mi powiedzieć; uważał, że powinno wystarczyć.

– Co ci powiedział?

– Słowo po słowie opowiem, jak mnie o tym poinformował. Przyszedł i zapukał ukradkiem do moich drzwi. Obudził mnie jakąś godzinę przed wschodem słońca, kiedy wszyscy na statku jeszcze spali. Był ubrany, ale nie wiem, czy ubrał się ponownie, czy w ogóle w nocy się nie rozbierał. Na czole, nad brwiami, miał zadrapanie. Małe, około pół cala. To wszystko. Wszedł do środka, ostrożnie zamknął drzwi i powiedział zwięźle oficjalnym tonem: „Ubierz się, jesteś mi do czegoś potrzebna. Twoja przyjaciółka, którą poznałaś wczoraj wieczorem, miała wypadek. Wypadła w ciemnościach ze statku. Nie wypłynęła”. Potem zaczął rzucać mi różne rzeczy, pończochy i inne, jedna po drugiej. Ponaglał mnie. To właśnie było wszystko, co mi powiedział, wtedy i w ogóle: że miała wypadek i wypadła w ciemnościach ze statku.

– Ale czy się domyślałaś?

– Jak mogłam się nie domyślić. Powiedziałam mu, że wiem, co się stało. On nawet zgodził się, że mogę wiedzieć, przyznał, że mogę się domyślać. Ale jego odpowiedzią było pytanie: „Co zamierzasz z tym zrobić?”

– Powiedziałam mu, że tego nie było w naszej umowie. „Gra w karty to zupełnie co innego niż to. „

– Ostrożnie zdjął sygnet z palca, by nie pokaleczyć mi skóry, i uderzył kilka razy grzbietem dłoni w twarz, aż zakręciło mi się przed oczami, żeby, jak się wyraził, „wybić trochę przesądów z mojej głowy”. Groził mi. Powiedział, że jeśli go oskarżę, on oskarży mnie. Będziemy oboje za to skazani. A to przecież mnie widziano z nią razem, a nie jego. To do niczego dobrego nie doprowadzi, zgubi nas oboje. Wreszcie zagroził, że jeżeli będzie to konieczne, zabije mnie własnymi rękami. Byłby to najlepszy sposób na zamknięcie mi ust, gdybym próbowała zdradzić tajemnicę.

Potem, kiedy stwierdził, że jestem dostatecznie przestraszona i urobiona, zaczął mnie przekonywać. „Odeszła na zawsze i nic nie jesteś w stanie zrobić, by ją przywrócić do życia, a czeka na ciebie sto tysięcy dolarów, kiedy jutro wysiądziesz z tego statku w Nowym Orleanie. „

Otworzył drzwi. Poprawiłam strój i poszłam za nim. Wziął mój mały bagaż do siebie i dołączył do swojego. Jej bagaż przenieśliśmy do mojej kajuty. Nie zapomnieliśmy nawet o tym kanarku w klatce. Potem wyjął z kieszeni listy od ciebie i fotografię, którą jej przesłałeś. Włożyłam je do mojego portfela. Wtedy uzbroiliśmy się w cierpliwość i zaczęliśmy czekać.

W zamieszaniu wywołanym rozładunkiem i opuszczaniem statku nikt nie zauważył jej nieobecności. Żaden pasażer nie przypomniał sobie o niej, wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Jeśli nawet któryś z bagażowych zauważył, że jej kabina jest pusta, pomyślał zapewne, że bagaż zabrał jego kolega. Zeszliśmy ze statku osobno: on na samym początku, ja na końcu. To też nie zostało zauważone.

Spostrzegłam cię, rozpoznałam na podstawie fotografii. Kiedy na nadbrzeżu zrobiło się pusto, podeszłam i stanęłam przy tobie. Oto cała historia, Lou...

Zamilkła. Usiadła na stopach, jej ręce opadły bezwładnie, jakby niezdolne do zrobienia jakiegokolwiek gestu. Wydawało się, że czeka w tej pozycji, bez życia, obojętna, na wyrok, na jego sąd. Cała zwiotczała, opuściła głowę, ramiona, zgarbiła się. Jedyne podniosła oczy, błagalnie patrzyła na jego grobową minę.

- Niezupelnie – orzekł. – Niezupelnie. A co z tym Jak-mu-tam? Jaki był jego dalszy plan?
- Powiedział, że da o sobie znać, gdy upłynie trochę czasu. A kiedy się odezwał, miałam...
- Zrobić to, co zrobiłaś.

Zdecydowanie pokręciła głową. – Nie to, co zrobiłam. Może się tylko tak tobie wydawać. Spotkałam się z nim raz, w tajemnicy, kiedy byłam na zakupach bez ciebie... to ustaliliśmy wcześniej. Powiedziałam mu, że nie ma co na mnie dłużej liczyć, musi zrezygnować z planów, że nie mogę zmuszać się do wykonywania jego poleceń.

- Czemu zmieniłaś zdanie?
- Dlaczego to musisz teraz wiedzieć?
- A dlaczego nie?
- Szkoda słów. Nie uwierzysz.
- Pozwól mi być sędzią.
- No dobrze, skoro musisz wiedzieć – zgodziła się niechętnie. – Oznajmiłam mu, że nie

zamierzam robić tego, czego oczekuje ode mnie. Powiedziałam, że zakochałam się w swoim mężu.

Jakby nagle tęcza w pełnej krasie ukazała się na zachmurzonym niebie i zaczęła mienić się wszystkimi kolorami. Przekonywał się, że to tylko złudzenie, tak jak tęcza jest iluzją stworzoną przez naturę. Ale wrażenie nie chciało zniknąć, ulotnić się; ujawniało się z pełną mocą. Było znakiem nadziei, zapowiadało pojawienie się słońca.

Mówiła teraz dalej, ale przyjemny wstrząs wywołany jej wyznaniem wciąż napępiał go łagodnym, ciepłym dreszczem i powodował, że niektóre jej słowa nie docierały do niego.

– ... roześmiał się i powiedział, że mam takie pojęcie o miłości jak człowiek z księżycą. Potem okazał zawiść i stwierdził, że kłamie, bo usiłuję zachować dla siebie wszystkie pieniądze.

Zakochałam się – te słowa krążyły po jego głowie, tłumili jej głos. Były niczym kontrapunkt, który zaczyna dominować nad tematem i prawie go zagłusza.

– Próbowałam się wykupić. Powiedziałam, że może mieć pieniądze, wszystkie, które uda mi się zdobyć, niemal tyle, ile się spodziewał, jeśli tylko wyjedzie z Nowego Orleanu i zostawi mnie w spokoju. Tak, zaproponowałam, żeby obrabował mojego męża, narażałam wszystko, co posiadałam, byleby tylko uwolnił mnie, pozwolił zostać tam, gdzie byłam, szczęśliwa po raz pierwszy w życiu.

Szczęśliwa po raz pierwszy w życiu – ten pean wypełnił jego myśli. Ona była naprawdę szczęśliwa ze mną.

– Gdyby tylko dał się przekupić, miałam przygotowanych dla ciebie kilka rozpaczliwych usprawiedliwień: że w tłoku skradziono mi portmonetkę, że po wyjściu z banku zgubiłam pieniądze na ulicy, że moja siostra nagle zachorowała, została bez środków do życia i wysłałam jej pieniądze do St. Louis... och, cokolwiek, niezależnie jak marne, kiepskie, pod warunkiem, żeby mniej mnie obciążało niż prawda. Oczywiście gotowa byłam narazić się na twój gniew, dezaprobatę, nawet coś gorszego: na twoje podejrzenia, żebym tylko mogła zachować cię dla siebie, żyć z tobą razem.

Żyć z tobą razem. Mógł przypomnieć sobie teraz ciepło jej pocałunków, rozpasaną wesołość jej śmiechu. Jaka aktorka byłaby w stanie odgrywać tę rolę rano, w południe, wieczorem? Aktorki grają godzinę lub dwie wieczorem, poza tym odpoczywają. To musiało być szczerze. Mógł przypomnieć sobie jej spojrzenie, kiedy opuszczał ją tego ostatniego dnia. Było pełne smutku, melancholii. (Ale czy rzeczywiście było, czy to dopiero teraz tak je widzi?)

– To go nie zadowalało. Chciał mieć wszystko, nie tylko część. Myślę, że nie było żadnego rozwiązania. Niezależnie jaką sumę bym mu dała, wciąż by myślał, że zatrzymałam znacznie więcej dla siebie. Nie ufał nikomu... słyszałam, jak to kiedyś powiedział w czasie kłótni... nawet sobie.

– Wykorzystując moje wyznanie, że cię kocham, odkrył groźniejszy rodzaj szantażu. Jednocześnie jak odkrył, wprowadził w życie. Zagroził, że w anonimowym liście do ciebie ujawni moje oszustwo, jeżeli nie będę wywiązywać się z umowy. Być może wtedy nie dostałby

swoich pieniędzy, ale ja również nie miałabym tego, czego pragnęłam. Oboje musielibyśmy uciekać, znaleźlibyśmy się w tym samym miejscu, z którego zaczęliśmy. „Jeśli przechwycisz mój list – ostrzegaj – nic ci to nie pomoże. Sam pójdę do niego i oskarżę cię osobiście. Powiem mu, że nie tylko nie jesteś tą osobą, za którą cię uważa, ale że ponadto byłaś moją narzeczoną. „ Co nie jest prawdą – dodała szybko. – Powiedział jeszcze: „Zobaczymy, jak po tym będzie cię długo trzymał... „

Kiedy rozstałam się z nim tego dnia, wiedziałam, że nie mam wyjścia, nie ma znaczenia, co zrobię. Wiedziałam, że na pewno cię stracę, w ten lub inny sposób.

Nie spałam całą noc. List oczywiście przyszedł. Wiedziałam, że przyjdzie. W takich sprawach dotrzymywał słowa, i tylko w takich. Przechwyciłam list. Czekałam przy drzwiach na pocztę. Rozerwałam kopertę i przeczytałam list. Wciąż mogę sobie przypomnieć, co w nim napisał. „Kobieta, która mieszka w pana domu, nie jest tą osobą, za którą ją pan uważa, ale kimś o innym nazwisku, narzeczoną innego mężczyzny. Ja jestem tym mężczyzną i wiem, co piszę. Panie Durand, niech pan pilnuje swoich pieniędzy. Jeżeli mi pan nie wierzy, niech pan uważnie spojrzy na jej twarz, kiedy niespodziewanie zwróci się do niej: «Bonny, podejdź do mnie», i zauważ, jak blednie”. Podpisano go: „Przyjaciel”.

Zniszczyłam list, ale wiedziałam, że zyskałam tylko dzień lub dwa. Przyśle następny list lub sam się zjawi. Albo napadnie mnie niespodziewanie, kiedy wyjdę sama z domu, i potem znajdą mnie z nożem w boku, wbitym po rękojęść. Znałam go dobrze. Nigdy nie wybaczał osobie, która pokrzyżowała jego plany. – Usiłowała się uśmiechnąć, ale bez skutku. – Mój domek z bajki walił mi się na głowę. Podjęłam więc decyzję i uciekłam...

– Do niego.

– Nie – zaprzeczyła obojętnie, jakby był to szczegół, który po tak długim czasie nie miał znaczenia. – Zgoda, zabrałam pieniądze, ale uciekłam od niego tak samo, jak ciebie porzuciłam. Miałam tylko małą satysfakcję, że on nie osiągnął swojego celu. Po reszcie zostały popioły. Całe moje szczęście przeminęło. Pamiętam, co wtedy pomyślałam: w trójkę tworzyliśmy niezwykle trójkąt. Ty byłeś miłością, on śmiercią... a ja znajdowałam się pośrodku.

Uciekłam najdalej, jak mogłam. Wsiadłam na statek płynący na Północ i ukryłam się, dopóki nie opuścił Nowego Orleanu. Znalazłam się najpierw w Memphis, potem w Louisville, a w końcu w Cincinnati, gdzie ukryłam się na pewien czas. Bałam się wtedy o swoje życie. Wiedziałam, że na pewno by mnie zabił, gdyby odnalazł. A potem w Cincinnati, ktoś, kto znał nas trochę, gdy byliśmy razem, powiedział, że on został zastrzelony podczas awantury w kasynie w Cairo. Zatem niebezpieczeństwo minęło. Jednak było za późno, żeby naprawić to, co się stało. Nie mogłam już wrócić do ciebie...

Spojrzeniem, którym go obdarowała, mogła stopić lód.

– Wróciłam na Południe, kiedy mogłam to bezpiecznie zrobić, i zaledwie kilka tygodni temu spotkałam tego pułkownika Wortha. A teraz ty mnie znalazłeś. Oto cała moja historia, Lou...

Czekała, a cisza, która zapadła, gdy skończyła mówić, wydawała się trwać wiecznie.

Patrzył na nią nieugiętym wzrokiem, nie wyrzekł ani jednego słowa. Jednak pod tą maską spokoju, zadumy, rozsądku, stanowczości kłębił się nieodgadniony chaos, bezład, zamęt zaufania i niewiary, oskarżeń i usprawiedliwień, za i przeciw. W koło i w koło, niczym w wirze wodnym.

Niemniej zabrała ci pieniądze; dlaczego to zrobiła, skoro „kochała” cię tak bardzo? Stawała przed życiem sama, wiedziała jedynie, jak trudno jest kobiecie poradzić sobie samej. Tę lekcję już odebrała. Możesz ją za to winić?

Skąd wiesz, że nie oszukała was obu? Może słusznie oskarżał ją o to, że chce zagarnąć wszystkie pieniądze i nie podzielić się z nim? To by było podwójne oszustwo.

Ale przynajmniej nie jest winna śmierci Julii – słyszałeś to. Skąd jesteś tego pewien? Ta, która żyje, może przedstawiać własne fakty, ale ofiara już nic nie może powiedzieć. A to mogłaby być zupełnie inna opowieść.

Kochałeś ją, nie ma wątpliwości. Dlaczego więc wątpisz, kiedy ona mówi, że cię kochała? Czyż ona nie jest zdolna do miłości jak ty? A kim ty jesteś, żeby oceniać, kto kocha, a kto nie? Miłość jest jak magnes i twoja miłość przyciągnęła ją. Musiała cię kochać, bo jej miłość przyciągnęła cię do niej. Skoro ją kochałeś... a wiesz, że tak było... to jej miłość musiała cię pozyskać. Miłość musi być po obu stronach, żeby być pełna.

– Nie chcesz mi nic powiedzieć, Lou?

– A co miałbym powiedzieć?

– Przecież ja nie będę mówić, co masz powiedzieć. To musi wyjść od ciebie.

– Musi? – spytał oschle. – A jeżeli nie mam ci nic do powiedzenia.

– Nic, Lou? – zapytała śpiewnie. – Nic? Ani jednego słowa? – zabrzmiało już jak kołysanka. Powoli zaczęła unosić głowę. – Nawet jednego słowa... tak mało?

Kiedyś widział zdjęcia kobry indyjskiej, która unosiła się na głos puszczalki zaklinacza. Tak jak ten wąż, chwiejnym i nieodgadnionym ruchem, podnosiła głowę, ale tym razem to kobra hipnotyzowała zaklinacza.

– Nawet jednego...

Nagle zacisnęła się wokół niego niczym zdradziecka tropikalna roślina. Ogniste usta stopiły się z jego wargami. Wydawało mu się, że oddycha ogniem, wciąga go do płuc, gdzie pod jego wpływem sucha hubka jego samotności, rozstania roznieciła się gwałtownym płomieniem, który unosząc się, zmusił do odwzajemnienia pocałunku z szaleńczą namiętnością.

Z wysiłkiem stanął na nogi, ona uniosła się z nim – tak się spleli w uścisku. Odepchnął ją z taką siłą, jakiej by użył w walce z innym mężczyzną. Było to konieczne, bo inaczej nie oderwałby jej od siebie.

Zachwiała się, zatoczyła i runęła twarzą w dół. Jedną rękę wyrzuciła do tyłu. Trzymała jedno ramię lekko nad podłogą. Głowę też lekko uniosła do góry.

Mimo że leżała odepchnięta, upokorzona, to jednak na jej twarzy rysowało się zwycięstwo, a lekki uśmiech na jej ustach wyrażał przewagę. Jakby wiedziała, kto wygrał, a kto przegrał. Leżała niedbale, rozluźniona, zbyt pewna siebie, żeby zadać sobie trud wstania z podłogi. To on

się miotał, od krzesła do krzesła, oszołomiony, niewidzący, jak ktoś okaleczony. Krew pulsowała mu w uszach, na szyi czuł ucisk, jakby ona wciąż obejmowała go, dusiła.

W końcu stanął nad nią i nad jej głową uniósł zaciśniętą pięść. Wydawało się, że ma zamiar ją uderzyć, jeżeli będzie usiłowała wstać.

– Przygotuj się! – wrzasnął. – Weź swoje rzeczy! Nic tego nie zmieni! Zabieram cię do Nowego Orleanu!

Odsunęła się trochę od niego, starała się znaleźć poza jego zasięgiem, chociaż uśmiech wskazywał, że się nie boi. Potem zebrała się w sobie i wstała z wrodzonym wdziękiem, który mówił, że nic nie może wyrządzić jej szkody, nawet taki gwałtowny upadek.

Wydawała się ponizona, gotowa spełnić jego polecenie, ale uśmiech osoby wszystkowiedzącej świadczył, że to wszystko kłamstwo. Nie naprzykrzała mu się więcej. Odrzuciła do tyłu lok, który opadł jej na twarz. Nieznacznie wzruszyła ramionami. Poklepała się odruchowo po bokach i z rezygnacją opuściła ręce.

Szybko odwrócił się plecami, gdy zauważył, że jej ręce zmierzają w kierunku zapięć w talii, już zresztą częściowo rozpiętych.

– Poczekam w tym małym przedpokoju przy drzwiach – powiedział ostrym głosem i poszedł do niego dużymi krokami.

– Dobrze – zgodziła się ironicznie. – Przez chwilę nie będziemy więc razem.

Usiadł na taborecie, który stał przy ścianie przy drzwiach wyjściowych.

Powoli poszła za nim i przymknęła drzwi do przedpokoju.

– Pokój znajduje się na drugim piętrze – uspokajała go wciąż z ironią w głosie. – Za oknem nie ma drabiny, więc nie ucieknę ci.

Pochylił gwałtownie głowę, jakby złamała mu się szyja, i mocno przycisnął zaciśnięte dłonie do czoła, na które wystąpiły żyły. Siedział skulony, krew w skroniach pulsowała walką między miłością a nienawiścią.

Pozostali po przeciwnych stronach niedomkniętych drzwi, zwycięzca i pokonany. Ale kto był zwycięzcą, a kto pokonanym?

Otworzyła z trzaskiem szufladę, a po chwili zamknęła z powrotem. Świeży powiew niczym podmuch powietrza zbierający z łąki zapach pierwszych wiosennych kwiatów dotarł do niego zza drzwi. Zrobiło się ciemniej, gdy przypuszczalnie zgasła jedną lub więcej lamp.

Kiedy nagle odwrócił głowę, zauważył, że przed sekundą szerzej otworzyły się drzwi. Stała w nich, zapraszając go do środka. Jedną ręką przytrzymywała je, drugą położyła na framudze. Spienione koronki, które spływały po jej ciele, prześwitywały jak mgiełka, w świetle docierającym z głębi pokoju. Wyraźnie rysowała się jej sylwetka.

Przymrużyła marzycielsko oczy, lekki uśmiech przypominał o zapomnianych sprawach.

– Wejdz, Lou – mruknęła pobłaźliwie jak do małego upartego chłopca, który postanowił zostać na zewnątrz. – Zgaś tutaj światło i wejdz do pokoju swojej żony...

Rozdział 39

Duranda obudził jakiś dźwięk przy drzwiach. Było to delikatne pukanie, jakby ktoś leciutko bębnił jednym palcem.

Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że jest w pokoju, który z trudem przypominał sobie z poprzedniego wieczoru. Nie było już tego chłodnego i przyćmionego, srebrnozielonego nocnego światła. Smugi promieni słonecznych znad zatoki padały ukośnie poprzez szpary w żaluzjach i formowały się w paski przecinające łóżko i podłogę. Ponad nimi odbijała się jasność, która sprawiała, że wszystko wydawało się świeżo wybielone – migotało przezroczyście.

Uświadomił sobie wreszcie, że ostatnio widział to miejsce nocą.

Z początku myślał, że jest sam. Przyłożył rękę do zaspanych oczu, by zadać sobie błyskotliwe pytanie: – Gdzie ja jestem?

Wtedy ją zobaczył. W lustrze, przed którym siedziała, spostrzegł jej usta w kształcie listka koniczyny. Położyła rękę na sercu i wskazując palcem w kierunku serca, odpowiedziała:

– Ze mną. Tam gdzie należysz.

Pomyślał, że było coś ogromnie czarującego w tym przelotnym gościu. Obserwował to wszystko tęsknie i nie chciał, żeby się skończyło, ale jej dłoń opadła. Było to takie spontaniczne. *Ze mną*. I ten palec nieświadomie skierowany w stronę serca. Stukanie odezwało się ponownie. Zirykował go ten bojaźliwy dźwięk. Odwrócił się i groźnie zmarszczył brwi.

– Kto tam? – rzucił gniewnie, lecz w jej kierunku, a nie drzwi.

Jej usta rozciągnęły się w uśmiechu, a po chwili zasłoniła je dłonią, by powstrzymać śmiech, choć żaden dźwięk nie wydobył się spod wachlarza jej palców.

– Obawiam się, że to konkurent. Pułkownik. Poznałam po pukaniu.

Durand, z pociemniałą twarzą, stał już przy łóżku. Pospiesznie zakładał spodnie, skacząc przy tym tam i z powrotem.

Pukanie do drzwi rozległo się po raz trzeci.

Durand zawzięcie kciukiem wskazywał na drzwi, na migi pokazywał, żeby coś odpowiedziała, zanim będzie gotów.

– Tak? – zapytała słodko.

– To ja, Harry, kochanie – rozległo się za drzwiami. – Dzień dobry. Nie jestem za wcześnie?

– Wręcz przeciwnie – burknął Durand zgryźliwie. – Za chwilę zajmę się tym „Harry, kochanie” – oświadczył jej półszepem.

W tym momencie nie mogła już powstrzymać się od śmiechu. Oparła się o toaletkę, założyła ręce na kark i zaniosła się stłumionym śmiechem.

– Chwilę – zdołała powiedzieć.

– Nie spiesz się, kochanie – zagruchał w odpowiedzi pułkownik. – Przecież wiesz, że będę czekał na ciebie cały ranek, jeśli trzeba. Stanie pod twoimi drzwiami i czekanie na ciebie to jedna z najprzyjemniejszych rzeczy, jakie znam. Jest tylko jedna rzecz bardziej przyjemna, a jest to...

Drzwi uchylily się i znalazł się nagle przed Durandem, który bosy, ze zmierzwionymi włosami ubrany był jedynie w spodnie i koszulkę.

Co gorsza, aby lepiej słyszeć, przybliżył twarz do drzwi, tak więc teraz jego nos wcisnął się prawie w szorstką bieliznę Duranda i znajdował się dokładnie na wysokości jego klatki piersiowej.

Powoli, jakby podnoszona kołowrotkiem, jego głowa podniosła się do poziomu głowy Duranda. I kiedy tak powoli podnosił głowę, próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła nie wydobyło się nic poza konwulsyjnym chrząkaniem. „Uch! Uch!”

– Słucham pana? – spytał bez namysłu Durand.

Ręka Wortha bezradnie kręciła w powietrzu koła, falowała, próbując wskazać coś za Durandem.

– Pan jest... tutaj? Pan jest... nie ubrany?

– Przepraszam, ale to nie pańska sprawa – odparł Durand surowo.

Pułkownik podniósł obie ręce do góry, zacisnął pięści. Wyglądało to na zapowiedź walki. Potem jednak zawahał się, zastygł na chwilę i opuścił ręce z rezygnacją. Jego oczy wpatrywały się w ramię Duranda. Rozszerzały się, aż omal nie wyskoczyły z oczodołów.

Durand poczuł, jak jej dłoń delikatnie muska jego ramię, potem dotknęła brody. Durand spojrzał na to, w co wpatrywał się Worth, i dostrzegł, że była to obrączka. Stara ślubna obrączka na jej palcu.

Ręka wzniosła się wyżej, dotykała i pieściła policzek Duranda, pozwalając złotemu krążkowi mienić się i błyszczeć. Powoli, pieszczotliwie uszczypnęła go, a potem pomachała pułkownikowi dwoma palcami w wesołym pozdrowieniu.

– Ja... ja... ja... nie wiedziałem! – wysapał Worth astmatycznie, jakby to był jego ostatni oddech.

– Teraz pan już wie – powiedział groźnie Durand. – Co pana sprowadza do mojej żony, jeżeli wolno spytać?

Pułkownik wycofywał się powoli wzdłuż korytarza, odbijając się raz od jednej ściany, raz od drugiej. Nie mógł oderwać oczu od Duranda i tej ręki czule go głaszczącej.

– Przepraszam – zdołał w końcu wysapać z bezpiecznej odległości.

– Nie ma za co – odparł z nieugiętą zawziętością Durand.

Wreszcie pułkownik odwrócił się i czmychnął, a raczej pijackim krokiem szybko się oddalił. Nagle jej ręka wzniosła się w powietrze, a skierowane ku dołowi palce pstryknęły raz i drugi.

– Dzięki, och dzięki! – wykrzyknęła radośnie. – Kochany mój.

Rozdział 40

Stali obok siebie ramię przy ramieniu, opierali się o parapet w jej pokoju i aż drżeli od śmiechu. Obserwowali, jak pułkownik wyciąga swój bagaż spod werandy i oddala się pospiesznym truchtem. Pułkownikowi jednak wydawało się, że nie dość szybko opuszcza scenę sromotnej klęski.

W wielkim pośpiechu wskoczył do czekającej na niego dorożki, a zrobił to z tak wielkim impetem, że powóz aż zakołysał się na resorach.

Powodem jego pośpiechu nie było bynajmniej tylko jego prywatne przeświadczenie o śmieszności, ale także przeczucie publicznej kpiny. Cała ta historia z pewnością rozchodziła się już lotem błyskawicy wśród towarzystwa, w sposób niewytłumaczalny, jak to zwykle bywa w tego rodzaju kurortach. I nie było w tym winy ani jej, ani Duranda. Wszak oni nie zdążyli jeszcze puścić pary z ust. Opowieść była jak woda, hotel jak gąbka. Tak jakby wszystkie dziurki od kluczy znalazły własny sposób na przekazywanie nowin chętnym uszom. Spacerowicze wchodzący i wychodzący z hotelu przystawali i przyglądali się widowisku, które pułkownik zaprezentował w ogromnym pośpiechu. Niektórzy z nich uśmiechali się bezczelnie, spoglądając na niego z góry. Inni, bardziej taktowni, zasłaniali usta dłonią, co jednak wyraźnie zdradzało fakt, że chcą ten śmiech ukryć.

Pułkownik uciekał. Siedział w dorożce z bagażem piętrzącym się na siedzeniu obok niego. Cierpiał katusze z powodu swojej urażonej męskiej dumy. Żółte koła powozu zaterkotały po ulicy, wznecając chmurę kurzu. Ulica opustoszała wraz ze zniknięciem pułkownika.

Chciała mu nawet pomachać, tym razem chusteczką, jak to zrobiła wcześniej w nocy, ale Durand wiedziony impulsem męskiej solidarności, której resztki się w nim obudziły, chwycił ją za rękę, powstrzymując gest, choć sam śmiał się przy tym. Nadał objęci ramionami, chichocząc, odeszli od okna. Byli okrutni, choć nie mieli takiego zamiaru, gdyż jedyne, co ich teraz obchodziło, to ich własna przyjemność. Lecz czymże jest okrucieństwo, jak nie sprawianiem bólu w zamian za czerpanie przyjemności?

– Och, kochany! – wyszeptała bez tchu. Odsunęła się od niego i wyczerpana opadła na krzesło. – On z pewnością nie był stworzony na romantycznego kochanka. A jednak to właśnie ten typ mężczyzn próbuje najbardziej odegrać taką rolę. Zastanawiam się dlaczego?

– A jeżeli chodzi o mnie? – zapytał ciekawo, co odpowie.

Spojrzała na Duranda i zamknąwszy oczy, wyszeptała:

– Och, Louisie. Jak możesz mnie o to pytać. Przecież jesteś najlepszym tego przykładem. Z twoim chłopięcym spojrzeniem, silnymi, męskimi ramionami i z sercem kruchym jak serce kobiety.

Wyłączając fragment o silnych ramionach, resztę porównań zaliczył do jej własnych wyobrażeń.

Zresztą po chwili znowu zrobił z nich użytek, tak jak zrobiłby każdy mężczyzna po takiej

zachęcie.

– Zaraz i my musimy się zbierać – przypomniał jej potem.

– Dlaczego? – zapytała, jakby nie chciała pamiętać o ich położeniu.

Jednak po krótkim zastanowieniu sama sobie odpowiedziała:

– Ach, no tak. Z powodu tego, co się wydarzyło. To prawda. Wszak ostatnio widywano mnie z nim dość często...

– Nie – powiedział. – Nie to miałem na myśli. Chodzi o tę sprawę... na statku. Mówiłem ci wczoraj, że byłem u prywatnego detektywa w St. Louis, i z tego co wiem, on nadal się tym zajmuje.

– Ale nie ma nakazu aresztowania, prawda?

– Nie, ale uważam, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Wolałbym, żeby nas nie zaczepiał ani żeby się nie dowiedział, gdzie jesteśmy.

– I nie ma uprawnień policji, prawda? – zapytała z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Z tego co wiem, to nie. Ale tak naprawdę to nie wiem, co on może, a czego nie. I, szczerze mówiąc, wolałbym nie przekonywać się o tym. Policja w Nowym Orleanie powiedziała mi, że nie można cię oskarżyć, ale to było, zanim on wziął sprawy w swoje ręce. Kiedy on jest tak blisko nas, twoja nietykalność może wygasnąć z minuty na minutę, w najmniej spodziewanym momencie. Bezpieczniej dla nas, nie rzucać się im zbytnio w oczy. Nie rozumiesz? Nie możemy wrócić do Nowego Orleanu.

– Tak – zgodziła się w końcu. – Nie możemy.

– Nie powinniśmy też zbyt długo zwlekać z wyjazdem. Wieści rozchodzą się szybko. Nic na to nie poradzisz, że wszędzie, gdziekolwiek się pojawiaasz, zwracasz na siebie uwagę. Nie jesteś bezbarwną, szarą myszką. Poza tym moja obecność tutaj też nie jest tajemnicą. Nie kryłem się z tym, że tu przychodzę, i wiedzą, jak mnie znaleźć...

– A czy... wystarczy ci... ?

Wiedział, co miała na myśli.

– Na razie powinno. A w razie potrzeby zawsze mogę skontaktować się z Jardine'em.

Uniosła rękę i pstryknęła palcami.

– Ruszajmy zatem – rzekła radośnie. – Będziemy w drodze, nim słońce zajdzie. Ale dokąd? Powiedz.

Jedną rękę schował do kieszeni, a drugą zatoczył koło.

– Co powiesz na miasta na Północy? Są tak duże, że znikniemy w nich niezauważeni. Baltimore, Filadelfia, nawet Nowy Jork...

Zobaczył, że z niechęcią przygryzła dolną wargę.

– Tylko nie Północ – powiedziała zamyślona. – Tam jest zimno, ponuro, okropnie, i pada śnieg...

Zastanawiał się, jakież to dawne sprawy spowodowały tę jej niechęć.

– No to zostaniemy tutaj – zdecydował bez wahania. – Będziemy bliżej nich, co oznacza, że

będziemy musieli częściej się przeprowadzać.

Chcę jednak, żebyś była zadowolona. Co powiesz więc na Mobile lub Birmingham? Są wystarczająco duże, aby się w nich zgubić.

Skinęła głową na znak zgody. – Na razie do Mobile. Zaraz zacznę się pakować.

Zatrzymała się na chwilę i z fatalą złością trzymanymi w ręku podeszła do niego.

– Jakże inaczej jest teraz niż ubiegłej nocy. Pamiętasz? Wtedy był areszt, teraz miesiąc miodowy.

– Początek nowego życia. Wszystko nowe. Nowe plany, nadzieje, marzenia. Nowe przeznaczenie. Nowa ty i nowy ja.

Wślizgnęła się w jego ramiona i spojrzała mu w oczy całą swoją duszą.

– Przebaczasz mi? Przyjmiesz mnie z powrotem?

– Wczoraj spotkałem cię po raz pierwszy. Nie ma przeszłości. To jest nasz prawdziwy ślub.

Silne męskie ramiona raz jeszcze pokazały, na co je stać.

– Mój Lou – westchnęła w ekstazie.

– Moja Jul...

– Pamiętaj – przypomniała mu, pieszczotliwie dotykając palcami jego ust.

– Moja Bonny.

Rozdział 41

Mobile. Zatrzymali się w najlepszym hotelu, w apartamencie dla nowożeńców. Jak najprawdziwsza świeżo poślubiona para nie liczyli czasu. Zajęli dwa piękne pokoje z koronkowymi firankami i kasztanowymi draperiami w oknach. Na podłogach leżały grube, tureckie dywany. Nawet przestronna pastelowozielona łazienka była tylko do ich dyspozycji.

Od rana do wieczora zwracali na siebie powszechną uwagę. Gdy schodzili na dół, wszystkie oczy kierowały się na nich. Ona – filigranowa, zgrabna blondynka, ubrana z wyszukaną elegancją, nie spuszczała wzroku ze smągłego, wysokiego mężczyzny, kroczącego tuż obok niej. „Ta romantyczna para z...” Nikt nie wiedział skąd, lecz wszyscy wiedzieli dobrze, o kogo chodzi. Kiedy tylko przechodzili, wśród stolików niesły się za nimi szepty pełne zachwytu.

– Kiedy na nich patrzę, to zapewniam was, że czuję się młodsza.

– A ja, wręcz przeciwnie. Smutnieję. Bo przecież wiadomo, że nic nie trwa wiecznie. Wkrótce ich miłość przeminie.

– Ale ją mieli.

– Tak, mieli ją.

Z pewnością rozpoznawani byli wszędzie. Wszystkie restauracje, teatry, kluby i inne miejsca, w których bawiono się wesoło, znały tę parę. Gdziekolwiek, kiedykolwiek grały skrzypce, była w jego ramionach; wirowali w niekończącym się walcu. Zawsze, gdy księżyc był w pełni, była w jego ramionach, niezależnie od miejsca; mógł to być zatrzymany powóz. Słodycz magnolii splatała się wtedy z ich rozmarzonymi, namiętnymi spojrzeniami.

Tak, mieli rację ci, których spojrzenia goniły ich na hotelowych korytarzach. Ich czas był krótki. Przyszedł nagle, by za chwilę odejść i nigdy już nie powrócić. Nawet najbardziej uprzywilejowanym nie zdarza się to po raz drugi. A cóż dopiero tym, których losy są przesądzone.

Ale właśnie teraz był ten czas, świat należał do nich. Świat, w którym byli tylko oni – Durand i jego Julia (Julia, gdyż pierwsze imię miłości jest tym, które pozostaje na zawsze, jest imieniem prawdziwym). Ich szczęście błyszczało jak słońce w samo południe.

Mobile to miejsce przyływu ich uczucia. Wszystko było uniesieniem i wszystko było miłością.

Rozdział 42

Nie podnosząc oczu, uśmiechnęła się ukradkiem. Dobrze wiedziała, że patrzy na nią. Siedzieli w niewielkim salonie, tuż obok sypialni. Studiował ją wzrokiem jak uczeń, który ma nauczyć się lekcji, lecz chociaż powtarza ją bez przerwy, nie jest w stanie przyswoić jej sobie w pełni.

– O czym myślisz? – zagadnęła, wciąż nie unosząc wzroku.

– O tobie.

Przyjęła to za pewnik. – To wiem. Ale jak o mnie myślisz?

Siadł u jej stóp i objąwszy kolana ramionami, zaczął przyglądać się jej jeszcze bardziej wnikliwie. Pokiwał w zamyśleniu głową, jakby dziwił się, że tak to wszystko się potoczyło.

– Zawsze chciałem poślubić kobietę, która by była wzorem dobrej żony. Taką, która siedziałaby z igłą w ręku, z nogami równiutko przy fotelu.

Taką, która spuszczoną głowę podnosiłaby tylko na dźwięk mojego głosu. Która podziwiałaby mnie i przytakiwała mi cały czas. Ale już nie chcę. Teraz chcę żony takiej jak ty. Z resztkami wczorajszego rózu na policzkach. Z kolanem śmiało wystającym spod szlafroka. Rozrzucając popiół z cygara po podłodze. Patrząc bez zażenowania na mężczyznę w najbardziej intymnych momentach. Drwiącą z niego, a nie potulnie wpadającą mu w ramiona.

Jeszcze bardziej bezradnie pokiwał głową.

– Och, Bonny, Bonny. Coś ty ze mną zrobiła? Choć wiem, że powinnaś być taka jak inne, nie chcę żadnej innej. Nie istnieje dla mnie nikt prócz ciebie. Nieważne, jaka jesteś bezczelna i okrutna. Chcę ciebie taką, jaką jesteś. Tylko ciebie.

– Lou, jesteś taki naiwny. Nie ma dwóch rodzajów kobiet. Nigdy nie było i nigdy nie będzie. Jest tylko jeden rodzaj kobiet i jeden rodzaj mężczyzn... I oba równo niedoskonałe.

Przestała się nagle śmiać, spoważniała, a w jej głosie zabrzmiała gorycz.

– Lou – powtórzyła. – Jesteś taki... nieświadomy.

– Czy na pewno tego słowa chciałaś użyć?

– No dobrze, niewinny – zgodziła się.

– Niewinny? – skrzywił się.

– Niewinność kobiety jest jak śnieg na gorącym piecu. Znika za pierwszym dotknięciem. Ale mężczyzna choćby miał i dziesięć żon, nigdy nie straci swojej niewinności. Nigdy nie uczy się na błędach.

Zadrżał na te słowa.

– Wiem już, że doprowadzasz mnie do szaleństwa. Przecież w końcu czegoś się nauczyłem...

Oparła głowę o oparcie kanapy i spojrzała w sufit. Potem wyciągnęła ramiona na kształt litery V. Było w tym geście coś zachłannego. Jej rozmarzony głos zdradzał pożądanie.

– Lou, kup mi nową suknię. Całą z białej satyny i koronek z Chantilly. Lou, kup mi wielki szmaragd do różowej sukni. Kup mi diamentowe kolczyki. Zabierz mnie powozem do najlepszej

restauracji, bym mogła zjeść homara o północy. Chcę patrzeć, jak światła zyrandoli odbijają się w kieliszkach pełnych kolorowych likierów. Chcę sączyć szampana przy cygańskiej muzyce. Chcę żyć, żyć! Tak niewiele mamy czasu, nie dostanę drugiej szansy...

Potem ten jej lęk przed wiecznością, jej niewiara w Opatrzność i obawa, że są już na samym dnie, udzieliła się Durandowi. Nachylił się ku niej, odnalazł usta i uciszył jej lament.

Całował ją tak długo, aż westchnęła.

– Nie, nie zabieraj mnie nigdzie... Jesteś ty i ja... Mamy szampana i muzykę... Nie musimy daleko szukać... Mamy tutaj wszystko. Opuściła ręce i uwięziła go w swoich ramionach.

Rozdział 43

Po pewnym czasie zrezygnowali z hotelu i wynajęli dom. Mieli cały piętrowy dom tylko dla siebie.

Był to jej pomysł. I to ona zatrudniła pośrednika, oglądała proponowane przez niego domy i podjęła ostateczną decyzję. Dom był „elegancki” według jej własnych słów, choć może nieco staromodny. Znajdował się na cichej uliczce wysadzonej drzewami. Durandowi nie pozostało nic innego, jak podpisać odpowiednie dokumenty. Zrobił to, chętnie spełnił jej zachciankę. Chociaż podejrzewał, że jutro ten kaprys okaże się chwilowym, nie miał serca jej odmówić.

Jej pierwszy własny dom wydawał się spełnieniem dawno skrywanych pragnień. Był symbolem zamożności, przynależności do klasy ludzi bogatych. W jej własnej hierarchii wartości dom zajmował pierwsze miejsce. Nawet klejnoty i piękne stroje, nawet kochanek i ślubny mąż nie stały tak wysoko. Posiadanie domu świadczyło o tym, że wspięła się na sam szczyt, że osiągnęła stabilną pozycję w społeczeństwie, że była naprawdę wielką damą. Albo raczej: bardziej wierzyła, że nią jest.

– To takie wspaniałe – westchnęła tęsknie. – Czuję się jak prawdziwa kobieta u boku męża.

Zaśmiał się pobłaźliwie. – A jak się do tej pory czułaś?

– Och, wy mężczyźni, nigdy tego nie zrozumiecie! – stwierdziła lekko oburzona.

Każde z nich w istocie miało własne pragnienia i potrzeby.

Nawet wtedy, kiedy po załatwieniu już wszystkich formalności chciał jej zwrócić uwagę na pewne niedogodności związane z posiadaniem domu, ona nie miała żadnych wątpliwości.

– A kto będzie dla nas gotował? – pytał. – Dom przecież wymaga opieki, a ty masz tak dużo zobowiązań.

Rozłożyła ręce. – No cóż, zatrudnię służbę, tak jak inne damy, które mają dom na głowie. Zobaczysz sam. Zostaw to mnie.

Czarnoskóra kobieta służyła u nich tylko pięć dni.

Poszło o jakąś błyskotkę. Potem, po burzliwym odejściu Murzynki, związanym z dłuższą awanturą, Bonny przysłała do niego i powiedziała, że znalazła ten drobiazg w innym miejscu.

– Dlaczego nie sprawdziłaś dokładnie, zanim ją oskarżyłaś? – zapytał najdelikatniej, jak mógł. – Żadna inna pani domu nie postąpiłaby w ten sposób.

– Naprawdę? – spytała przygnębiona. – Nie pomyślałam o tym.

– Nie możesz tyranizować służby – próbował jej wyjaśnić. – Musisz być jednocześnie stanowcza i delikatna. Tylko w ten sposób nie dasz im poznać, że nie przywykłaś do służby.

Kolejna służąca wytrzymała u nich trzy dni. Tym razem obyło się bez zbytniego zamieszania, ale za to polały się łzy. Płakała Bonny.

– Próbowалам być delikatna – opowiadała mu. – Ale ona nie zwracała uwagi na moje polecenia... Chyba nie umiem z nimi postępować. Kiedy jestem surowa, odchodzą, a kiedy jestem miła, nie pracują.

– To cała sztuka – pocieszał ją. – Wkrótce nauczysz się tego.

– Nie – powiedziała. – To ze mną jest coś nie tak. Patrzą na mnie i drwią sobie. Me *szanują* mnie. Dostanie się im więcej od innej, a i tak są posłuszni. Traktuję ich łagodnie, a nadal zachowują się bezczelnie. Czyż to nie mój dom? Czyż nie jestem twoją żoną? Co jest ze mną?

Nie potrafił jej na to odpowiedzieć. Wszak patrzył na nią zakochanymi oczami i nie dostrzegał w niej tego, co widzieli inni.

– Nie – odpowiedziała na jego sugestię. – Żadnej służby. Mam ich dość. Pozwól mi spróbować. Poradzę sobie sama.

Pierwszy posiłek był kompletnym fiaskiem. Jajka popękały podczas gotowania, a mleko zwarzyło się. Kawa kolorem przypominała herbatę, a zaparzona ponownie, również nie nadawała się do picia. Grzanki były miękkie i kleiły się do dłoni. Z jego ust nie padło ani jedno słowo krytyki. Wstał od stołu i odrzucił swoją serwetkę.

– Chodź! – powiedział. – Posiłki będziemy znowu jadać w hotelu.

Pospiesznie zebrała swoje rzeczy, ucieszona takim rozwiązaniem.

Po drodze spytał ją z błyskiem w oku: – Nie jest ci przykro? Ale przynajmniej tutaj okazała swoją stanowczość.

– Nie. Nawet jeśli musimy jadać na mieście, to i tak mam swój dom. Nie zamieniłabym tego na nic. – I powtórzyła to, co mówiła poprzednio: – Chcę czuć się jak prawdziwa kobieta u boku męża. Chcę się czuć tak jak inne. Chcę wiedzieć, jak to jest.

Wyraźnie nie mogła przywyknąć do myśli, że jest jego prawowitą małżonką, i wszystko to należało się jej z prawnego punktu widzenia.

Rozdział 44

Czując na sobie wzrok niemal wszystkich, znudzony i trochę skrępowany, Durand wycofał się do poczekalni krawcowej. Odwracając się, zderzył się z młodą dziewczyną spieszącą z nareczem materiałów w stronę zasłoniętego pomieszczenia, w którym dobrą chwilę temu znikła Bonny. Te fruujące niemal pomocnice wychodziły stamtąd zawsze z pustymi rękami, tak więc, sądząc po ilości materiałów wnoszonych do środka oraz biorąc pod uwagę fakt, że niczego stamtąd nie wynoszono, pokój ten powinien być wypełniony po sam sufit.

W przerwach między szelestem rozwijanych tkanin słyszał jej głos, pełen powagi i profesjonalizmu.

– Nie mogę się zdecydować! Im więcej pani tego znosi, tym trudniej jest mi wybrać. Nie, proszę to zostawić. Później obejrzę to jeszcze raz.

Nagle zasłony rozchyliły się lekko i Bonny wystawiła głowę.

– Lou, strasznie długo to trwa, prawda? Właśnie przypomniałam sobie, że jesteś tutaj.

– Długo, ale nie strasznie – odparł z galanterią.

– Co ty właściwie robisz? – zapytała, jakby był małym chłopcem pozostawionym bez opieki.

– Chyba wszystkim zawadzam – przyznał.

Za zasłoną rozległy się kobiece śmiechy, jakby w istocie było się z czego śmiać.

– Biedaku – stwierdziła żałośnie. Odwróciła się do osoby stojącej za nią. Szpara w zasłonie zrobiła się szersza i Durand przez chwilę mógł dostrzec obnażone ramię, okryte jedynie cieniutkim, białym ramiączkiem. – Nie ma pani jakiegoś czasopisma, które mój mąż mógłby przejrzeć, czekając na mnie?

– Mamy, niestety, tylko pisma z modelami, proszę pani.

– Nie, dziękuję – powiedział zdecydowanie.

– Im trudno to wytrzymać – rzekła protekcyjnie, nadal rozmawiając z kimś za jej plecami. Potem znów odwróciła się do niego: – A może pokręciłbyś się po mieście, a potem wrócił do mnie? – zaproponowała wspomniałomyślnie. – W ten sposób nie będziesz się tak męczył, a ja zajmę się swoimi sprawami.

– Kiedy mam po ciebie wrócić?

– Nie wcześniej niż za godzinę. Jeszcze nawet nie wybrałyśmy materiału. A potem trzeba wybrać fason i zdjąć miarę.

– Uch! – westchnął głęboko i w tym momencie usłyszał ponownie śmiech zza zasłony.

– Lepiej daj mi jeszcze półtorej godziny, bo chyba wcześniej nie zdążę. A jeśli się zmęczysz, idź prosto do domu. Tam się spotkamy.

Pospiesznie włożył kapelusz, wyraźnie ucieszony, że będzie mógł czmychnąć.

Złożyła usta do pocałunku.

– Nie powiesz mi do widzenia?

Wskazała na usta, dając do zrozumienia, o jakie pożegnanie chodzi, i wyczekująco zamknęła

oczy.

– W obecności wszystkich?

– Ależ kochanie, jak możesz tak mówić! Można by pomyśleć, że nie jesteś moim mężem.

Zapewniam cię, że to nic niewłaściwego.

I znów, jak na komendę, zalotny chichot rozległ się zza zasłony. Bonny chyba świetnie się bawiła, wybierając suknię, otoczona przytakującym jej chórem. Pomyślał, że brak tylko muzyki i kilku rzędów publiczności, która by ją oklaskiwała. Podszedł do zasłony i delikatnie musnął jej wargi, po czym odwrócił się i opuścił to miejsce.

Dziwne, pomimo że odczuwał zażenowanie, czuł się jednocześnie wyróżniony i ważny. Zastanawiał się, w jaki sposób była w stanie wyprawiać z nim takie rzeczy i czy w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, co robi. W duchu stwierdził, że na pewno była tego świadoma.

Znała każdą sztuczkę, każdy trik, wiedziała, jak najlepiej dopiąć swego. Wszystko, co robiła, robiła celowo.

Z pewnością bywały inne chwile, w innych zakładach krawieckich, kiedy czekający mężczyzna nie był zobligowany do ponoszenia wszystkich kosztów, na jakie go narażała. Ten pokaz miłości własnej miał pewną wewnętrzną wartość...

Szybko jednak odsunął od siebie tę myśl. Postanowił cieszyć się ciepłem popołudniowego słońca i błękitem zatoki sięgającym aż po horyzont. Razem z tłumem spacerowiczów sunął wzdłuż promenady. Zdawało mu się, że nie idzie, a płynie. Kiedy doszedł do końca, zawrócił i ruszył w przeciwnym kierunku. Na swoich ramionach czuł delikatne promienie ciepłego słońca i lekki powiew wiatru. Chmury były białe i cienkie, nie dawały żadnego cienia. Niebo było leniwe i monotonne. Wokół widział same uśmiechy. Po chwili uświadomił sobie, że były one niemałą odpowiedzią na jego własny uśmiech. Ta bezcelowa wędrówka sprawiła, że odzyskał spokój wewnętrzny.

Miał dość pieniędzy, kochającą kobietę... pokazała to, nakłaniając go do pocałowania jej w obecności tłumu dziewczyn. Czegóż chcesz więcej?

Świat mu sprzyjał.

Mała gumowa piłeczka potoczyła się do jego stóp. Za nią nadbiegł drobny chłopiec. Szybko schylił się i podniósł swoją zabawkę. Z otwartymi ustami zaczął wpatrywać się w Duranda.

– Czy twoja mama pozwala ci brać pieniądze od obcych?

Maluch jeszcze szerzej otworzył buzię i wybąkał: – Nie wiem.

– Więc weź tę monetę ode mnie, pokaż ją mamie i przekonaj się.

Durand, nie czekając, oddalił się szybko.

Świat naprawdę mu sprzyjał.

Zrobiwszy dwa kółka na promenadzie, Durand zatrzymał się przy drewnianej barierce. Odwrócił się plecami do powoli sunącego tłumu. Wpadł w zamyślenie.

Tkwił tak dwie lub trzy minuty, kiedy uświadomił sobie, że jakaś para oczu wpatruje się w niego z tyłu.

Bez ostrzeżenia, nagle, zanim się zastanowił, obrócił się. Stał przed nim Downs, detektyw z St. Louis. Był tak blisko niego, że mógł go niemal dotknąć.

Wyglądał, jakby zastygł w ruchu, z ramionami lekko pochylonymi do przodu, z jedną nogą gotową do ruchu. Duranda zmroziło na jego widok. Miał wrażenie, że znalazł się na środku sceny, wokół której krążą przechodnie zacieśniający przestrzeń wkoło. Dlatego też Durand skierował się w stronę bardziej ustronnego miejsca. Tam, gdzie wszyscy są w ruchu, dwie nieruchome postacie bardziej rzucają się w oczy.

Downs podążył za nim, a gdy w końcu się zatrzymali, zapytał z ciekawością: – Durand?

Durand starał się nadać swojemu głosowi jak najbardziej naturalne brzmienie.

– To pan... ?

Próbował nie okazywać strachu, zachowywał się bardzo ostrożnie. Zapomniał, że Bonny jest tak blisko, a kiedy to do niego dotarło, postanowił z całej siły nie patrzeć w stronę zakładu. Musiał trzymać się z dala od niego na wypadek, gdyby się przed nim pojawiła.

– Jest pan tutaj sam? – zapytał Downs.

Rzucił pytanie niby od niechcienia, ale jego wzrok był tak świdrujący, że Durand z trudem znosił spojrzenie.

– Oczywiście – odpowiedział jednak pewnie.

Downs podniósł rękę w proteście. – Bez obrazy – wycedził. – Wydaje się pan urażony moim pytaniem.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym czuć się urażony. – Durand zdał sobie sprawę, że mówi zbyt szybko, niemal zapluwając się.

– No, jeśli pan nie widzi powodu, to ja tym bardziej – odpowiedział Downs z udawaną uprzejmością.

Durand oderwał się od barierki, obszedł Downsa i znów niedbale oparł się o nią. Downs natychmiast odwrócił się do niego.

– Co pana tu sprowadza? – zapytał Durand, kiedy stanęli twarzą w twarz.

Downs uśmiechnął się chytrze. Durand rozumiał, co oznacza ten uśmiech.

– Co mnie sprowadza? A co mnie zawsze sprowadza? – odparował. – Nie wakacje, niech pan będzie pewny.

– Och... – to wszystko, co Durand mógł wydusić z siebie. Było to bardzo słabe „Och”.

W drzwiach zakładu krawieckiego pojawiła się nagle kobieta, która odwlekała moment pożegnania. Przypuszczalnie rozmawiała z kimś stojącym w środku. Durand poczuł ukłucie w piersiach. Kobieta wyszła w końcu na ulicę. Wysoka, ubrana na niebiesko – to nie ona. Całą swoją uwagę skierował teraz na Downsa, a ten tymczasem powiedział:

– Słyszałem o pewnej blondynce, która narobiła tutaj dużo szumu z jakimś mężczyzną. Wracali chyba razem do Nowego Orleanu...

Durand wzruszył ramionami, trochę zbyt gwałtownie. – Blondynki są wszędzie.

Gorzko pomyślał, że wielką głupotą z ich strony było pozostanie tutaj. Powinniśmy byli

wyjechać, a nie sterczeć tu tygodniami.

– Tak – ciągnął tymczasem Downs. – To była bardzo jasna blondynka o prawie złocistych włosach. Przypuszczam, że bystra osóbką.

– Ktoś pana wprowadził w błąd.

– Nie sądzę, żeby ktoś wprowadził mnie w błąd. Przypadkowo to słyszałem, po prostu obilo mi się to o uszy. – Przerwał na chwilę. – Nie zauważył pan takiej pary? Chyba jest pan tu dość długo?

Durand spuścił wzrok i wymamrotał z niechęcią: – Zostałem wyleczony z blondynek.

– Można mieć nawrót choroby – stwierdził oschle Downs.

Dlaczego tak powiedział? – przestraszył się Durand. Ale nie chciał tego dociekać, żeby nie pogorszyć swojej sytuacji.

Wyjął zegarek. – Muszę już iść.

– Gdzie się pan zatrzymał?

Durand machnął ręką w nieokreślonym kierunku. – Tam.

– Pójdę z panem, gdziekolwiek by to było – zaproponował Downs.

Durandowi przyszło na myśl, że tak łatwo nie pozbędzie się natręta.

Wyraźnie chce się dowiedzieć, gdzie mieszka.

– Trochę się śpieszę – spróbował inaczej Durand.

Downs uśmiechnął się uspokajająco. – Nie nalegam. Zrobiłem to w celach towarzyskich.

Widząc, jak Downs zamierza skrócić w stronę zakładu, z którego w każdej chwili mogła wyjść Bonny, Durand spytał szybko:

– Dokąd pan idzie?

Wziął Downsa pod ramię. Przed chwilą niechętny, teraz wręcz natrętny, zaproponował: – Chodźmy. Zapraszam na kufel piwa.

Downs spojrzał w górę. – Rzeczywiście słońce mocno grzeje – zgodził się. – Pan ma zupełnie spoconą twarz.

Durand pomyślał, że wiele ironii kryło się w tych słowach.

Szli ramię w ramię. Z każdym krokiem Durand myślał: Oddalam go od niej. Jest coraz bardziej bezpieczna.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział po pewnym czasie Durand.

– Ja też miałem zamiar zaproponować to miejsce. – Znów w głosie Downsa dało się zauważyć zgryźliwość.

Weszli i usiedli przy małym stoliku.

– Dwa pilsnery – Durand złożył zamówienie u wąsatego, ubranego w kraciatą koszulę kelnera. Zanim ten odszedł, Durand zapytał: – Gdzie jest toaleta?

– Tam z tyłu.

Durand podniósł się. – Przepraszam na chwilę.

Downs skinął głową. Z ironią, wydawało się.

Durand zostawił go samego, wyszedł na korytarz wahadłowymi drzwiami i wydostał się na zewnątrz tylnym wyjściem. Zaczaj biec. Gnał jak opętany. *Był opętany. Opętany jedną myślą: uratować ją.*

Rozdział 45

Biegał jak szalony między rozwartą szafą a kufrem, z pustymi rękoma w jedną stronę, a uginający się pod ciężarem jej sukien w drugą. Rzucał je bezładnie, więc kufer szybko się wypełnił – nie miał czasu na staranne ich układanie. Trzeba było uciekać jak najszybciej, ratować swoje życie.

Usłyszał, jak wchodzi drzwiami z ulicy i zanim zdążyła je zamknąć, zawołał na nią z góry z szaleńczym ponagleniem: – Bonny!

A zaraz potem jeszcze raz: – Bonny! Chodź szybko na górę! Pospiesz się! Muszę ci coś powiedzieć!

Zwlekała z jakichś powodów. Przypuszczalnie chciała najpierw zdjąć kapelusz, pozbyć się pudełek, które przyniosła ze sobą. Zachowywała się jak typowa kobieta, nie zważała na konieczność pośpiechu.

Na w pół oszalały z rozgorączkowania wybiegł na oślep z pokoju i zaczął zbiegać w dół. W połowie schodów zatrzymał się gwałtownie, jakby jego nogi ugrzęzły w mule. Stał nieruchomy, skamieniały, a jednak drżący. Powoli umierał.

Osobą przy drzwiach, właśnie zamkniętych drzwiach, był Downs.

Żaden z nich się nie poruszył. Odkrycie stało się już odległą przeszłością. Tylko dwóch nieruchomych mężczyzn bez końca patrzących na siebie. Ze schodów w stronę drzwi, od drzwi w kierunku schodów. Jeden z nich przepraszał ponurym uśmiechem. Drugi – z twarzą jak popiół, w objęciach śmierci.

Jeden z nich w końcu westchnął głęboko. Drugi, jakby w odpowiedzi, też westchnął. Dwa westchnienia w głębokiej ciszy. Westchnienie rozpaczy i westchnienie ulgi.

– Pan ją właśnie wołał – powiedział powoli Downs. – Wołał ją pan po imieniu. Myślę, że to ona. Zatem *ona* jest tutaj z panem.

Durand odwrócił się, lekko pochylił i złapał obiema rękoma za poręcz, jakby tylko to mogło uchronić go przed upadkiem. Zaczął kręcić głową. Najpierw wolno, a potem za każdym ruchem szybciej i szybciej.

– Nie – odparł. – Nie. Nie. Nie!

– Panie Durand, mam dobry słuch. Słyszałem pana.

Przerażony, przestraszony Durand niczym struś chciał schować głowę w piasku hipnotycznych zaprzeczeń. Zdawało mu się, że jeżeli dostatecznie długo będzie powtarzał słowo „nie”, odsunie niebezpieczeństwo. Używał go jako talizmanu.

– Nie. Nie. Nie!

– Panie Durand, niech pan będzie mężczyzną. Wykrzykiwał pan jej imię, wołał ją.

– Nie. Nie. – Zrobił niepewny krok w dół, potem następny. Wydawało się jednak, że nie schodzi po schodach, ale zsuwa swoje ciało po poręczy, tak mocno do niej przywarł. Jak pijany, którym rzeczywiście był. Pijany strachem. – To ktoś inny. To kobieta, która przychodzi, żeby

sprzątać w domu. Jej imię brzmi podobnie jak... – Nie wiedział, co dalej powiedzieć.

– No tak – odezwał się oschle Downs. – Przyjmuję, że chodzi o kobietę, która sprząta w tym domu, kobietę, której imię brzmi tak samo. Wcale nie jest trudno mnie zadowolić.

Stali się nagle ostrożni, obserwowali się uważnie. Obie pary oczu spojrzały jednocześnie w tym, a następnie w innym kierunku, sprzężone niemą przebiegłością. Potem zaczęli się poruszać, też synchronicznie.

Durand ruszył schodami, Downs oderwał się od drzwi. Jednocześnie znaleźli się przed stojącą pod ścianą szafą garderobianą z lustrami i z wieszakami z poroża jeleni. Wieko skrzyni było równocześnie siedzeniem z poręczami. Durand przytrzymał je, Downs usiłował unieść do góry. Ręka Downsa perfidnie wsunęła się do środka i wyciągnęła dwie długie wstążki w kolorze heliotropu, jasnopurpurowe, zwisające ze słomkowego kapelusza. Koniec jednej z nich wystawał na zewnątrz, gdy Durand przytrzymał wieko. Była to plamka koloru na obszernym parterze.

(„Ale dlaczego tak lubisz ten kolor?” – zapytał ją kiedyś.

„Nie wiem. To mój kolor i każdy, kto mnie zna, *wie* o tym. Gdziekolwiek jestem, musi się znaleźć w pobliżu. „)

Downs wsunął wstążkę do środka. – Strój kobiety, która przychodzi tu sprzątać – zauważył. A potem, patrząc z odrazą i całkowitym brakiem szacunku na Duranda, wymruczał coś pod nosem, co brzmiało jak: – Niech Bóg ma pana w opiece, skoro zakochał się pan w... !

– Downs, niech pan posłucha. Chcę porozmawiać z panem! – Słowa wydobywały się z jego ust w pośpiechu. Tracił dech, mówił z trudem. Złapał Downsa za klapy marynarki, przyciągnął go do siebie, niemal błagał. – Proszę wejść do pokoju. Niech mi pan pozwoli coś powiedzieć... !

– Ja z panem nie mam o czym rozmawiać. Powinienem...

Durand ruszył do tyłu, pociągając go za sobą, aż znaleźli się w pokoju.

Tu puścił go. Downs pozostał tam, gdzie został zaciągnięty.

– Downs, niech pan posłucha... Proszę poczekać minutę. Mam brandy. Zrobię panu drinka.

– Piję tylko w barach.

– Downs, proszę posłuchać. Jej tutaj nie było. Popęłnił pan straszną pomyłkę... – Potem nagle uśmierzył swoje zaprzeczenie machnięciem ręki. – ... ale nie o tym chciałem porozmawiać. Chodzi po prostu o to, że zmie... zmieniłem zdanie. Chcę zakończyć sprawę. Chcę, żeby nie prowadzono już śledztwa.

Downs powtórzył ironicznie monotonnym głosem: – Chce pan zakończyć sprawę. Chce pan, żeby nie prowadzono już śledztwa...

– Mam takie prawo, mam taki wybór. Pierwotnie było to moje zlecenie.

– Hm, to tylko część prawdy. Zatrudniał mnie pan razem z panną Bertą Russell. Ale założmy, że pierwotnie jedynie pan chciał podjąć poszukiwania. I co z tego? – Uniósł brwi. – I co z tego?

– Ale jeśli wycofam zlecenie, odwołam skargę... ?

– Pan nie ma władzy nade mną – powiedział twardo Downs. Usiadł na poręczu fotela, który

stał obok niego. Przyjął pozycję osoby czekającej.

– Może pan odwołać zlecenie, zgadzam się z tym. Może przestać mi pan płacić. Tak naprawdę to zaliczka skończyła się mi już kilka miesięcy temu. Ale nie może pan mnie zmusić, żebym zrezygnował ze sprawy. Czy jest to dostatecznie jasne dla pana? Jak mówi stare powiedzenie, to jest wolny kraj, a ja jestem niezależnym detektywem. Jeśli będę chciał pracować na swój własny rachunek, żeby wyjaśnić sprawę... a tak jest w tym przypadku... nic pan nie może zrobić. Ja już nie pracuję dla pana, lecz dla swojego sumienia.

Durand, przerażony, zaczął się cały trząść.

– Ale to jest prześladowanie... – rzekł drżącym głosem.

– Nazwałbym to sumiennością, ale nie ja powinienem to powiedzieć – zauważył Downs z lodowatym uśmiechem.

– Ale nie jest pan z policji... Nie ma pan prawa...

– Mam takie samo prawo, jak wtedy, gdy przyjmowałem od pana zlecenie. Jedyna różnica jest taka, że wyniki poszukiwań przekażę im bezpośrednio, nie będę pana o nich informował.

Durand na chwiejnych nogach spacerował wzdłuż dużego, solidnego biurka, które znajdowało się w pokoju. Obie ręce przesunął wzdłuż jego krawędzi, jakby się obawiał, że za chwilę upadnie.

– Proszę zaczekać... Proszę mnie posłuchać... – wyjąkał i zaczął nerwowo gmerać w kieszeniach kamizelki. Najpierw w jednej, potem w drugiej. Nie wiedział dokładnie, w której powinien szukać.

Wyjął w końcu klucz, przekręcił go w zamku i otworzył szufladę. Chwilę później na biurku pojawiła się kasetka na pieniądze okuta stalowymi taśmami. Jej wieczko uniosło się do góry. Durand poszperał w niej i podszedł do Downsa z wyciągniętymi rękami pełnymi banknotów.

– Tutaj jest dwadzieścia tysięcy dolarów. Downs, niech pan otworzy dłoń i potrzyma je minutę, tylko potrzyma.

Downs włożył ręce do kieszeni spodni, kiedy Durand zbliżył się do niego. Nie było gdzie wcisnąć pieniędzy.

Downs kręcił z uporem głową. – Ani minuty, godziny, w ogóle. – Dumnie uniosł głowę. – Niech pan schowa je z powrotem.

– Proszę je dla mnie tylko chwilę potrzymać – Durand nalegał jak dziecko. – Tylko chwilę, o to jedynie pana proszę...

Downs patrzył na niego niewzruszony. – Durand, trafił pan na niewłaściwego człowieka. To jest pański pech. Niewłaściwego człowieka, którego nie można kupić za dwadzieścia tysięcy dolarów. Być może nawet za sto tysięcy. Teraz zajmuję się tą sprawą dla własnej satysfakcji. Nie tylko nie chcę pieniędzy, żeby dalej prowadzić śledztwo, ale też żadna suma nie skłoni mnie, by z niego zrezygnować. Niech mnie pan nie pyta dlaczego, bo nie odpowiem. Jestem takim niezwykłym facetem, to wszystko. Durand, popełnił pan błąd, przychodząc do mnie w St. Louis. Powinien pan iść do kogoś innego. Wybrał pan być może jedyne detektywa w kraju, który jak

rozpocznie śledztwo, nie jest w stanie go przerwać, nawet gdyby chciał. Czasami zastanawiam się nad tym, chciałbym wiedzieć, co to jest. Może jestem fanatykiem. Chcę znaleźć tę kobietę, nie dla pana, ale ku mojemu zadowoleniu! – W końcu wyciągnął ręce z kieszeni, ale tylko po to, by założyć je na piersi. Odchylił się do tyłu na poręczy fotela. – Zaczekam tutaj, aż przyjdzie, i zabiorę ją ze sobą.

Durand znalazł się znów przy kasecie, ręce położył na włożonej z powrotem zawartości, bezradnie ją ugniatał.

Downs musiał zauważyć, że spogląda w kierunku drzwi. Odczytał jego myśli.

– Jeśli pan wyjdzie, żeby ją ostrzec, wyjdę z panem.

– Nie może pan mi zabronić wyjść ze swojego domu – zauważył rozpaczliwie Durand.

– Tego nie powiedziałem. Natomiast pan nie może nic zrobić, gdy będę szedł ulicą obok pana albo krok lub dwa z tyłu. Ulice są publiczne.

Durand pod skosem przycisnął grzbiet dłoni do czoła, jakby jakieś światło padające z góry raziło go w oczy.

– Downs, mogę zebrać kolejne trzydzieści tysięcy dolarów w Nowym Orleanie w ciągu dwudziestu czterech godzin. Proszę ze mną tam pojechać, nie spuszczać mnie z oka. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, i zostawi nas pan w spokoju. Po prostu zapomni, że kiedykolwiek słyszał...

– Niech pan się nie wysila. Ja już swoje na ten temat powiedziałem – stwierdził pogardliwie Downs.

Durand zacisnął pięść i potrząsnął nią. Nie groził, ale błagał. – Dlaczego musi pan oczernić jej imię, zrujnować jej życie? Co dobrego... ?

Usta Downsa złożyły się do uśmiechu, ale nie roześmiał się. – Oczernić imię tej rozpustnicy? Zrujnować życie tej dziwce?

Wstrząs wywołany tymi słowami spowodował fizyczne zmiany na twarzy Duranda. Wokół jego ust i oczu pojawiły się sine pręgi.

– Ona nic nie zrobiła. Wszystko to był przypadek. Po prostu znalazła się na tym samym statku, tak jak dziesiątki innych osób. To wszystko. Pan nie jest w stanie z całą pewnością powiedzieć, co przytrafiło się Julii Russell. Nikt nie jest w stanie, nikt tego nie wie. Może miała wypadek.

Zdarza się. A może ona wciąż żyje; uciekła z kimś, kogo poznała na statku. Bonny jest jedynie winna tego, że na samym początku przedstawiła się innym imieniem. Wybaczylem jej to, jak...

Downs gwałtownie zerwał się z poręczy fotela, gdzie siedział głęboko wychylony do tyłu. Wyprężył się, przenikliwie spojrzał na Duranda. Jego oczy teraz błyszczały.

– Jest coś, czego pan, Durand, wydaje się nie wiedzieć. Sądzę, że nadszedł odpowiedni moment, by panu powiedzieć. Już dłużej nie można mówić o zaginięciu. *I jestem w stanie* powiedzieć z całą pewnością, co przytrafiło się Julii Russell! Teraz mogę, tak jak nie mogłem wtedy, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy!

Pochylił się lekko do przodu w swoim zapale, gorliwości. Fanatyzmie, o którym mówił przed minutą.

– Ciało wypłynęło na brzeg w pobliżu miasta Cape Girardeau, dziesiątego tego miesiąca. Może pan być zaskoczony, ma pan do tego prawo. Ciało osoby zamordowanej, które wrzucono do wody po śmierci. W płucach nie było wody. Zawiozłem Bertę Russell, żeby je zobaczyła. Chociaż zwłoki uległy znacznemu rozkładowi, rozpoznała je jako ciało swojej siostry. Potwierdziła to trzykrotnie, chociaż twarz uległa całkowitemu zniekształceniu. Przez fakt, że na lewym udzie, wysoko, od wewnętrznej strony, znalazła dwa znamiona, których przypuszczalnie od dzieciństwa nikt nie widział. Przez raczej niezwykły fakt, że na wszystkich tylnych zębach w obu szczękach miała złote koronki. A w końcu odszukała na jej boku szczególne, równoległe, blizny od ogrodowych grabi, też z dzieciństwa. Grabie były zardzewiałe, więc żeby uniknąć zakażenia, rany wypalano gorącym żelazem...

Przerwał, bo zabrakło mu oddechu. Na chwilę zapadła cisza.

Durand stał ze spuszczoną głową, patrzył w dół. Być może z rezygnacją na podłogę, być może zaglądał do szuflady, z której wyciągnął kasetkę z pieniędzmi. Oddychał z trudem, jego pierś unosiła się z ogromnym wysiłkiem.

– Czy policja o tym wie? – zapytał w końcu, nie unosząc głowy.

– Jeszcze nie, ale będzie wiedziała, gdy zawiozę ją ze sobą.

– Downs, nie zabierze pan jej ze sobą. Ona nie opuści tego domu. *Tak samo pan.*

Teraz głowa Duranda uniosła się. Ale wcześniej, znacznie wcześniej, uniosła się jego ręka z rewolwerem.

Przerażenie przebiegło po twarzy Downsa. Wyrażała po kolei strach, załamanie nerwowe, panikę – wszystkie ludzkie, zwykłe w takich sytuacjach reakcje. Ale szybko je stłumił, uspokoił się.

Bronił swojego życia, ale jego głos był pewny; mówił rozsądnie. Nie skulił się, nie opuścił ramion, stał wyprostowany. Nie usiłował ukryć strachu, ale opanował go, co jest większą sztuką.

– Nie rób nic takiego. Człowieku, opanuj się. Wciąż nie jesteś wplątany w morderstwo. Nie jest karalne, że związałeś się z tą kobietą. Zbrodnia została popełniona, zanim się z nią spotkałeś. Nie brałeś w tym udziału. Zostałeś oszukany, ale to nie przestępstwo... Nie rób tego, Durand... Powstrzymaj się i pomyśl, zanim nie będzie za późno. Dla swojego dobra, odłóż to. Włóż broń tam, skąd ją wzięłeś.

Durand po raz pierwszy w czasie tej rozmowy nie zwracał się do Downsa, ale do kogoś innego. Do kogo, nie można było powiedzieć. On sam nie wiedział.

– Jest już za późno. Było za późno, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem. Było za późno, kiedy się urodziłem. Było za późno, kiedy Bóg stworzył już świat.

Spojrzał w dół, by uniknąć patrzenia w twarz Downsa. Spojrzał na swój palec zaciśnięty na spuście rewolweru. Spoglądał nań z obojętnym zainteresowaniem, jakby nie był jego, zastanawiał się, co zrobi.

– Bonny – zaszlochał, jak gdyby błagał ją o pozwolenie.

Odgłos wystrzału ogłuszył go na krótko, a dym utworzył miłosierną kurtynę między dwoma mężczyznami. Jednak rozwiała się szybko, zanim mogła przynieść coś dobrego.

Uniósł wzrok i ujrzał twarz, której nie chciał zobaczyć.

Dziwne, ale Downs wciąż stał.

Na jego twarzy malowała się tak niewysłowiona, ostra nagana, że gdyby Durand zobaczył to wcześniej, zmieniłby chyba swoją decyzję. W każdym razie tak mu się wydawało.

Wyszeptane słowo zawisło między nimi w ciszy, która zapadła w pokoju. Było jak wyznanie skruchy. Ktoś szepnął „Bracie”. Durand odniósł niezwykle wrażenie, że to on.

Nogi Downsa nagle ugięły się i detektyw runął na podłogę z łoskotem. Bardziej gwałtownie, niż gdyby upadł od razu. Leżał martwy. Bez wątplenia martwy, z otwartymi oczami, ale pokrytymi nieprzejrzystą mgłą. Z lekko uchylonymi, napiętymi ustami.

Następne czynności Durand wykonywał bardzo powoli, jakby to on, a nie Downs, znalazł się poza czasem, w próżni wieczności. Chociaż widział, co robi, to nie zdawał sobie z tego sprawy. Wydawało się, że jego ręce, ciało działają niezależnie od świadomości.

Siedział przez chwilę na samej krawędzi krzesła jak ktoś niespokojny, kto chce w każdej chwili wstać, ale nie jest w stanie. Spozrzegł, że siedział na krześle dopiero wtedy, gdy wstał z niego. Cały czas trzymał rewolwer w ręku i stukał lufą w kolano.

Podszedł do biurka i włożył broń tam, skąd ją wziął. Potem zauważył, że kasetka na pieniądze wciąż stoi otwarta na blacie. Parę banknotów leżało obok niej. Włożył je do środka i schował kasetkę do szuflady, którą zamknął na klucz. Klucz wsunął do kieszeni.

Tak – pomyślał oszołomiony – wszystko mogę naprawić z wyjątkiem jednej rzeczy. Jednego nie jestem w stanie przywrócić do poprzedniej postaci...

Zachwiał się, zadygotał i oparł się o biurko, jakby ta myśl była silnym, mroźnym wiatrem, który przewiał go na wskroś i omal nie przewrócił.

Trwało to bez końca. Zdawało się, że ma zamiar zostać tu na zawsze z tym martwym człowiekiem. Tym martwym przedmiotem, który kiedyś był człowiekiem – ubranym jak człowiek, ale nie będącym już człowiekiem. Nie odczuwał potrzeby natychmiastowego opuszczenia pokoju. Instynkt podpowiadał mu, że będzie lepiej, jeśli pozostanie tutaj, za ukrywającymi go ścianami. Jednak nie chciał już dłużej patrzeć na to, co leżało na podłodze. Nie chciał, żeby jego wzrok wracał tam bez przerwy.

Downs leżał na podłużnym dywanie, w poprzek, tak więc jeden z rogów dywanu wystawał nad jego ramieniem, drugi – poniżej jego stopy. W tym ułożeniu ciała była asymetria, która drażniła Duranda za każdym razem, gdy jego wzrok padł na wypukłość znajdującą się na podłodze.

Wreszcie podszedł do ciała, ukląkł przy martwej twarzy. Zawinąwszy brzeg dywanu, przykrył ją grubym, wełnianym materiałem. Po chwili poczuł ulgę, albo przynajmniej lekko się uspokoił. Przesunął się więc szybko, nie wstając, wzdłuż zwłok i owinał dywanem stopy. Widać

było teraz tylko korpus.

Nagle, ożywiony, Durand odwrócił ciało, a wraz z nim dywan. A potem drugi raz. Zwłoki znikły teraz w niestarannie złożonym kokonie. Jeszcze raz powtórzył operację i dywan stał się długim walcem. Niczym więcej, tylko zwiniętym dywanem; niczym, co mogłoby zdumiewać, rzucać podejrzenia lub oskarżać.

Ale zawadzał. Blokował wyjście z pokoju.

Na czworakach zaczął go toczyć przez pokój w kierunku przeciwległej ściany. Dywan toczył się ciężko i dość nierówno, kierowany głównie swoją zawartością, a nie wysiłkami Duranda. W końcu Durand musiał jednak wstać z podłogi, by usunąć z drogi fotel.

Potem, zmęczony, gdy zaczął ponownie pchać dywan, nie ukląkł, ale używał nóg, aż w końcu dywan znalazł się przy ścianie, gdzie nie powinien nikomu przeszkadzać.

Mały, perłowy guzik od kołnierzyka wypadł ze środka i leżał na podłodze. Podniósł go i wrzucił do wnętrza walca utworzonego przez dywan, ale nie wiedział, czy tam, gdzie znalazła się głowa Downsa.

Wyczerpany, chwiejnym krokiem cofnął się teraz przez pokój i dotarł do drzwi. Oparł się przy nich o ścianę i tak pozostał.

Tkwiał nieruchomo przy ścianie, kiedy ona przyszła.

Jej przybycie było teraz przykrym zdarzeniem. Nie był w stanie się cieszyć. Stał pozbawiony wewnętrznej energii. Odwrócił się obojętnie, gdy usłyszał jej kroki w korytarzu. Chwilę później stanęła przy nim, rzuciła okiem na pokój i zaczęła ściągać rękawiczkę.

Dotarł do niego delikatny zapach fiołków, lecz może tylko go sobie wyobraził, przypomniał z przeszłości, a nie poczuł.

Obróciła głowę i spostrzegła, że stoi z bezradnie opuszczonymi rękami, oparty o ścianę.

Roześmiała się. – Lou! Co ty tu robisz? Przykleiłeś się do...

Nie odezwał się.

Rozejrzała się po pokoju, szukając odpowiedzi.

Zauważył, że jej wzrok zatrzymał się na prostokacie kurzu na podłodze. Na duchu dywanu, jeśli można tak powiedzieć.

– Co się stało z dywanem?

– Ktoś w nim jest. Jest w nim ciało. – Gdy to powiedział, uderzyło go, że dziwnie to zabrzmiało. *Ktoś w nim jest*. Jakby jakaś mała istota zamieszkała w środku. No tak, ale jak miał to powiedzieć?

Ruchem głowy wskazał to. Podążyła wzrokiem w tym kierunku i spostrzegła zwinięty dywan pod ścianą. Łatwo było go przeoczyć, gdyż był zasłonięty przez fotel.

– Nie zagłądaj... – zaczął, ale ona już szybko ruszyła w kierunku dywanu. Nie dokończył, nie dlatego, że nie chciała go słuchać, ale ponieważ zabrakło mu sił.

Zobaczył, że kucnęła przy jednym z końców dywanu. Spódnica zwinęła się wokół niej. Zajrzała do środka, a potem włożyła rękę, by sprawdzić, czy rzeczywiście coś tam jest. Chwyciła

następnie dywan za brzeg, żeby przynajmniej częściowo go rozwinąć.

– Nie... – wykrztusił. – Nie rozwijaj go.

Wyprostowała się i znów podeszła do Duranda. Teraz na jej twarzy malowała się zdwojona czujność, ale to było wszystko. Nie wyrażała strachu, przerażenia. Wydawało się nawet, że Bonny się ożywiła, jakby to nie była tragedia, ale próba, której została poddana.

– Kto to zrobił? Ty? – spytała przenikliwym szeptem.

– To jest Downs – powiedział.

Spojrzała na niego uporczywym wzrokiem. W oczach była determinacja, niemal chciwość. Chciała wiedzieć, chciała, żeby jej powiedziano. Czysta praktyczność, żadnych emocji.

Nie był w stanie mówić, spuścił głowę. Ponagliła go, wkładając rękę pod jego podbródek i ponownie go unosząc.

– Odkrył, że tutaj jesteś.

Szybko skinęła głową. Oznaczało to, że takie wyjaśnienie jej wystarczyło, zaakceptowała je, rozumiała. Postępek wydał się jej czymś normalnym. Niczego innego się nie spodziewała, niczego innego nie pragnęła. Skinienie głową mu to mówiło.

Mocno chwyciła go za ramię. Nie wiedział, że ma tyle siły w palcach, tyle palącego żaru. Odniosł dziwne wrażenie, że był to rodzaj nakazu.

W następnym jej pytaniu była jakaś poufałość, porozumienie, które do tej pory nie pojawiała się w kontaktach między nimi.

– Czym to zrobiłeś? Skąd to wzięłeś?

– Rewolwerem, który był w biurku – odparł.

Odwróciła się i zaczęła patrzeć na dywan. Gdy tak stała odwrócona, lekko uderzyła go grzbietem dłoni w pierś. W tym geście mógł odczytać jedynie występne koleżeństwo, rodzaj swobodnej więzi.

Potem spojrzała mu w twarz. Patrzyła długo i wnikliwie. Lekko się uśmiechnęła, jakby w jego znajomych rysach po raz pierwszy odkryła nowe zalety, które należało docenić, podziwiać.

– Potrzebujesz drinka – orzekła krótko. – Ja też. Poczekaj chwilę, przyniosę.

Obserwował, jak nalewała z karafki do dwóch kieliszków. Potem zamknęła ją szklanym korkiem, który przekreśliła, jakby było to pokrętko.

Czuł, że wkracza do nowego dziwnego świata, w którym panują dawno ustalone obyczaje, ale nieznanne mu do tej pory. Po zabiciu wypij drinka – to jeden z nich. Nie wiedział tego. Nie jemu przyszło to do głowy, ale jej. Czuł się jak nowicjusz w obecności osoby doświadczonej.

Włożyła jeden z kieliszków do jego ręki i zacisnęła dłoń na nadgarstku na znak uczucia. Drugą swoją rękę szybkim ruchem uniosła do góry.

– Teraz jesteś bratnią duszą – powiedziała z zapalem. – Teraz jesteś człowiekiem, z którym warto żyć. Teraz jesteś *moim* typem mężczyzny.

Stuknęła swym kieliszkiem o jego niepewnie trzymany i odchyliła głowę do tyłu. Wlała alkohol do małych ust, które nieznacznie tylko się rozchyliły.

– Za nas – rzekła. – Za ciebie. Za mnie. Za nas oboje. Wypij, kochany. Za krótkie i pasjonujące życie.

Cisnęła pusty kieliszek o ścianę. Rozprysł się na kawałki. Durand wahał się przez chwilę, a potem, przynaglany przez nią, obawiając się, że zostanie z tyłu, wypił i tak samo jak ona rzucił kieliszkiem.

Rozdział 46

Gdyby ktoś pół godziny później spojrział na nich, mógłby się pomylić. Panowała rodzinna atmosfera. Pomyślałby, że planują domowe wydatki lub dyskutują o przemeblowaniu domu.

Durand siedział teraz w fotelu. Wyciągnął nogi, niedbale oparł głowę. Ona siedziała na poręczy obok niego. Od czasu do czasu odruchowo głaskała go po włosach, gdy rozmawiali i zastanawiali się, co zrobić dalej.

W rękę trzymał kolejny kieliszek. W końcu wyjęła mu go z dłoni i postawiła na stole. – Już za dużo tego – upomniała go i pogłaskała po głowie. – Teraz musisz mieć trzeźwy umysł.

– To beznadziejna sytuacja, Bonny – westchnął.

– Wcale nie. – Znów pogłaskała go po głowie. – Byłam...

Nie dokończyła, ale domyślił się, co chciała powiedzieć. *Byłam już wcześniej w takiej sytuacji.* Zastanawiał się, gdzie i kiedy. Ciekawiło go, kto to wtedy zrobił, z kim wówczas była.

– Uciekać stąd – stwierdziła, jakby wróciła do przerwanej przed chwilą rozmowy – byłoby najgłupszą rzeczą, jaką moglibyśmy zrobić w naszej sytuacji.

Słuchając jej z dystansem, był zdumiony, jak sztucznie, przesadnie brzmią jej słowa. Wydawało się, że jest młodą nauczycielką, która tłumaczy coś nierozgarniętemu uczniowi. Powinna mieć na spódnicy koronki i patrzeć na nie, żeby dopasować do nich ton swojego głosu.

– Bonny, nie możemy tutaj zostać – wykrztusił. – Co my mielibyśmy tutaj robić? Jak moglibyśmy tutaj pozostać? – Na chwilę zasłonił oczy ręką. – Jesteśmy już tu razem prawie godzinę.

– Ile czasu upłynęło od tego zdarzenia do momentu, kiedy wróciłam do domu? – zapytała niemal z naukową bezstronnością.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że upłynęło dużo czasu... – Zaczął unosić się buntowniczo z fotela. – W tej chwili moglibyśmy być daleko stąd. Powinniśmy być!

Pchnęła go do tyłu, delikatnie, ale zdecydowanie.

– Nie zostaniemy tutaj – uspokoiła go. – Ale nie wyruszymy też w pośpiechu, na łapu-capu. Nie wiesz, co by to oznaczało? Najwyżej po kilku godzinach ktoś by odkrył, co się stało, i już deptaliby nam po piętach.

– No cóż, i tak będą!

– Nie, nie będą, jeśli dobrze rozegramy partię. Wyjedziemy w odpowiednim czasie, tak akurat, gdy będziemy dobrze przygotowani. Pierwszą rzeczą, którą musimy zrobić... – Lekceważąco wskazała kciukiem na pokój. – ... to usunąć *to*.

– Wynieść z domu? – zasugerował niepewnie.

Zastanawiając się, zagryzła wargi. – Poczekaj, niech chwilę pomyślę. W końcu pokręciła głową i powoli powiedziała: – Nie, nie na zewnątrz... To zostałoby zauważone. Niemal na pewno.

– Zatem... ?

– Trzeba je ukryć gdzieś wewnątrz – oznajmiła i lekko wzruszyła ramionami, jakby było to oczywiste, że zbędne były jakiegokolwiek słowa.

Ten pomysł go przeraził. – W tym domu... ?

– Oczywiście. To jest znacznie bezpieczniejsze. Tak naprawdę to jedyne rozwiązanie. Jesteśmy tu sami, tylko my dwoje, żadnych służących. Możemy zyskać w ten sposób czas, który jest nam potrzebny...

– Uch! – jęknął.

Zacząła znów się zastanawiać, zagryzać wargi. Zdawała się nie mieć czasu na emocje. Przeraziła go niemal tak samo jak to, co zamierzali ukryć.

– Jeden z kominków? – zasugerował drżącym głosem. – Na dole są dwa duże...

Pokręciła głową. – Odkrycie tego miejsca to kwestia kilku dni.

– Ustęp?

– Jeszcze gorzej. Kwestia godzin. – Wyciągnęła nogę i stuknęła kilka razy obcasem. Potem skinęła głową. Była chyba bliska podjęcia właściwej decyzji. – Pod podłogą.

– Jest z twardego drewna. Każdy, kto wejdzie do pokoju, od razu zauważy.

– W piwnicy. Jaka tam jest podłoga?

Nie wiedział. Nie mógł sobie przypomnieć, czy tam kiedykolwiek był. Wstała gwałtownie z poręczy fotela. Minął czas na zastanowienie się, nadszedł czas na działanie.

– Zaczekaj chwilę. Zejdę na dół i zobaczę. – Z drzwi, nie odwracając głowy, ostrzegła: – Nie pij więcej, gdy mnie nie będzie.

Szybko wróciła z powrotem. Mrużyła przebiegle oczy.

– Tam jest podłoga z ubitej gliny.

Musiała myśleć za nich oboje. Pociągnęła go energicznie za rękaw.

– Chodź. Zaniesiemy to na dół. Lepiej, gdyby to tam leżało, zanim będziemy gotowi, bo ktoś może przyjść.

Podszedł do dywanu i zatrzymał się. Usiłował stłumić nudności.

Musiała myśleć o wszystkim. – Może zdejmiesz surdut. Będzie ci zawadzać.

Zdjął go i starannie powiesił na oparciu krzesła, by się nie pogniótl. Strzepnął nawet pyłek z jednego rękawa.

Zastanowił się, dlaczego ta zwykła, codzienna czynność, jej pomoc przy zdejmowaniu surduta, spowodowała, że przażenie przeniknęło go do szpiku kości.

Wziął zwinięty dywan pod pachę. Drugą ręką go przytrzymał. Jeden jego koniec, przypuszczalnie tam, gdzie były nogi, włókl się po podłodze. Drugi koniec udało się Durandowi utrzymać w górze.

Z trudem zrobił kilka kroków. Nagle ciężar się zmniejszył, dolny koniec dywanu przestał się wlec po podłodze. Spojrzał i zauważył, że uniosła go do góry, pomagała mu.

– Nie. Na Boga, nie! – burknął. – Ty nie...

– Lou, nie bądź głupi – odparła niecierpliwie. – Tak będzie szybciej! – Potem dodała

łagodniej: – Dla mnie to jest tylko dywan. Niczego nie widziałam.

Przeszli tak przez pokój, a potem korytarzem w kierunku piwnicy. Tu musieli się zatrzymać i położyć pakunek, żeby Durand mógł otworzyć drzwi. Zeszli schodami w głąb piwnicy. Znow położyli dywan.

Durand ciężko oddychał. Ręką otarł pot z czoła.

– Ciężki – przyznała. Głośno wypuściła powietrze z płuc. Lekko uśmiechnęła się przy tym.

Wszystkie jej gesty, w innych sytuacjach zwykle, przerażały go. Krew zastygła mu w żyłach.

Oстрым czubkiem buta sprawdziła podłogę. Wybrała miejsce pod ścianą: – Myślę, że tutaj glina jest najmniej ubita.

Podniósł spróchniałą deskę i przełamał ją na kolanie, żeby uzyskać ostry koniec.

– Nie zamierzasz chyba tym kopać? Zajęłoby to całą noc! – W jej głosie była niepojęta dla niego kpina.

Wbił deskę w twarde podłoże i od razu złamał ją po raz drugi, udowadniając, że nie nadaje się do kopania.

– Przyniosę szpadel – powiedziała. – Nic innego nie będzie się nadawało.

– Nie ma szpadla tutaj na dole.

– Nie ma go w całym domu. Jednak musimy go mieć. – Poszła do góry schodami. On się nie ruszył. Odwróciła się na szczycie schodów i skinęła na niego. – Wyjdę z domu i przyniosę szpadel – oznajmiła. – Widzę, że ty jesteś zbyt roztrzęsiony. Nie siedź w piwnicy, gdy wyjdę. Poczekaaj na mnie u góry.

Podążył za nią, zamknął drzwi do piwnicy.

Włożyła kapelusz, ramiona owinęła szalem, jakby wychodziła załatwić drobne domowe sprawunki.

– Myślisz, że to jest rozropne? – spytał.

– Ludzie kupują szpadle. Nic złego się nie stanie. Wszystko zależy od tego, jak go zdobędziesz.

Ruszyła w kierunku zewnętrznych drzwi. Powłókł się za nią.

Przy drzwiach odwróciła się do niego. – Więcej odwagi, kochanie. – Mocno chwyciła go za podbródek i pocałowała w usta.

Nigdy by nie przypuszczał, że pocałunek może być czymś tak makabrycznym.

– Trzymaj się od tego z dala – poradziła mu. – I nie pij. – Była jak troskliwa matka, która przed wyjściem poucza małego chłopca; każe mu się zachowywać grzecznie, gdy będzie sam w domu.

Zamknął drzwi. Chwilę obserwował ją przez szybę. Najpierw szła dróżką prowadzącą od domu. Wyglądała jak zapobiegliwa gospodyni, która wychodzi na zakupy. Naciągnęła nawet starannie rękawiczki, gdy skręciła w ulicę.

Został sam z nieboszczykiem.

Wszedł do pierwszego z brzegu pokoju, ale nie do tego, w którym to się wydarzyło, i skulił

się przy fotelu. Twarz wcisnął w jego oparcie. Czekał na jej powrót.

Wydawało się, że minęło wiele godzin, zanim przyszła. W rzeczywistości trwało to prawie godzinę.

Przyniosła ze sobą szpadel. Nie ukryła go... no ale jak miała to zrobić? Blacha owinięta była szarym papierem, obwiązana sznurkiem. Trzonek wystawał odkryty.

– Długo mnie nie było?

– Całą wieczność – mruknął.

– Umyślnie – poszłam dalej do sklepu – wyjaśniła. – Nie chciałam kupować blisko domu, gdzie nas znają z widzenia.

– To był błąd, że w ogóle go kupowałam. Nie sądzisz?

Uśmiechnęła się do niego wyrozumiale. – Ale nie w sposobie, w jaki to zrobiłam. Wcale nie pytałam o szpadel w sklepie. Doradzono mi, żebym go kupiła. Zapytałam jedynie, co powinnam kupić, żeby na początek uprawić ogródek za domem, czy łopatę, czy graczę. Nie byłam przekonana, czy szpadel może być przydatny. Sprzedawca bardzo musiał się starać, by mnie przekonać! – Uniosła zarozumiale głowę.

Mogła stać w sklepie i się targować – pomyślał z niedowierzaniem.

Wziął od niej szpadel.

– Czy mogę zejść z tobą? – zaproponowała, zdejmując kaszkiet z głowy. Usztywniła go szpilkami i położyła delikatnie, żeby nie stracił kształtu.

– Nie – odparł stłumionym głosem. Gdyby go obserwowała, byłby jeszcze bardziej przerażony. Nie zniósłby tego. – Dam ci znać... kiedy skończę.

Udzieliła mu ostatnich wskazówek: – Najpierw zaznacz, gdzie będziesz kopał. Końcem szpadla. Nie ma potrzeby, żebyś kopał zbyt głęboko.

W odpowiedzi zebrało mu się na wymioty.

Zamknął drzwi za sobą, zszedł schodami. Zostawiona w piwnicy lampa wciąż świeciła.

Zwiększył płomień. Zrobiło się bardzo jasno, zbyt dużo widział, więc szybko go zmniejszył.

Nigdy wcześniej nie kopał grobu.

Zaznaczył go najpierw, tak jak mu powiedziała. Wbił szpadel w podłogę. Zakasał rękawy u koszuli.

Znów wziął szpadel do rąk i zaczął.

Samo kopanie nie było czymś strasznym. *To* było za nim, poza zasięgiem jego wzroku. Przerazenie, chociaż całkowicie nie znikło, zmalało do minimum. Po prostu mógł kopać zwykły dół lub rów.

Ale kiedy skończył...

Zajął mu kilka minut, nim nabrał odpowiedniej śmiałości. Potem szybko podszedł do dywanu. Na chwilę cofnął się od niego i odwrócił plecami. Zaciągnął dywan i równo umieścił go nad brzegiem wykopanego dołu. Chwycił za wystający koniec. Pchnął dywan, jednocześnie ciągnąc go w drugą stronę. Jego zawartość opróżniła się z głuchym plaśnięciem. Ręka Downsa

uniosła się na chwilę, ale zaraz opadła.

Durand nie patrzył na to. Odciągnął dywan, obszedł go, skierował w bok głowę i zaczął odwrotną stroną szpadla wpychać glinę do dołu.

W końcu, kiedy musiał spojrzeć, żeby zobaczyć, ile zrobił, najgorsze miał za sobą. Już żadna twarz nie mogła spojrzeć na niego. Tylko niewielkie wybrzuszenie pośrodku, ale i ono zaraz znikło.

Tak zawsze kończy się dzieło Boga – przemknęło mu przez myśl.

Na koniec musiał ubić podłogę. To też było bardzo przykre.

Robił to znacznie dłużej niż było potrzebne, jakby ten, który leżał pod spodem, mógł wstać. Wydawało się, że wykonuje taniec strachu i rozpacz, niezdolny, by go przerwać.

Nagle uniósł wzrok.

Stała na górze schodów, obserwowała go.

– Skąd wiedziałaś, kiedy przyjść? – wysapał nieprzytomnie.

– Dwa razy zaglądałam, żeby zobaczyć, jak ci idzie. Wychodziłam potem, nie chciałam ci przeszkadzać. Pomyślałam, że lepiej, jak będziesz sam. – Spojrzała na niego tajemniczo. – Nie sądziłam, że będziesz w stanie to skończyć. Ale skończyłeś, prawda? – Nie wiedział, czy była to pochwała.

Kopnął szpadel i chwiejnym krokiem zaczął wchodzić po schodach.

Upadł, zanim doszedł do niej. Albo raczej się położył. Leżał na stopniach z twarzą wciśniętą w ramię, cicho szlochał.

Pochyliła się nad nim. Włożyła rękę pod jego ramię, by pomóc mu wstać.

– To koniec. Po wszystkim. Nie ma już czego się obawiać.

– Zabiłem człowieka – wykrztusił. – Zabiłem człowieka. Bóg nie pozwala tego robić.

Parsknęła śmiechem. – Podczas bitwy żołnierze zabijają dziesiątki ludzi i wcale się nad tym nie zastanawiają. Dostają nawet za to medale.

Szarpała go za ramię, dopóki nie podniósł się ze schodów i nie stanął obok niej.

– No już, wychodzimy stąd.

Na chwilę zeszła na dół, żeby wziąć lampę, o której zapomniał. Wyłączyła ją i zamknęła za nimi drzwi do piwnicy. Wytarła o siebie opuszki palców. Niewątpliwie dlatego, że dotykała lampy. Albo może...

Dla dodania mu otuchy, objęła go w pasie. – Chodź do łóżka. Jesteś wyczerpany. Czy wiesz, że jest prawie dziesiąta? W piwnicy byłeś bite cztery godziny.

– Masz na myśli... – Przypuszczał, że się przesłyszał. – Spać w tym domu?

Wyrzuciła do góry rękę, jakby ten niepokój wydał się jej nonsensem.

– Jest późno. Czy są teraz jakieś pociągi? A nawet jak są, to ludzie przecież nie wyjeżdżają nagle w środku nocy. To mogłoby dać do myślenia...

– Bonny, ale my będziemy wiedzieli. Cały czas będziemy wiedzieli, co leży na dole.

– Nie bądź dzieckiem. Zapomnij o tym. To cały czas jest w piwnicy. A my daleko... w

sypialni.

Szarpała go, aż poszedł z nią na górę.

– Jesteś jak mały chłopczyk, który boi się ciemności – kpiła.

Durand nic więcej nie powiedział.

W sypialni, w świetle lampy obserwował ukradkiem, jak rozbiera się powoli, mechanicznymi ruchami. Zauważył, że zachowywała się tak samo, jak każdego innego wieczoru. Tak samo ściągnęła przez głowę część spodniej garderoby. Znów halki spłynęły na podłogę i wyszła z nich. Znów jej rozwiązane włosy zostały ściśnięte przez kołnierz flanelowej koszuli. Gdy po chwili się uwolniły, odrzuciła je lekko do tyłu. Każdy jej ruch był naturalny, swobodny.

Usiadła nawet przed lustrem i wyszczotkowała włosy.

Położył się na plecach, zamknął oczy. Robiło mu się mdło, miał lekkie nudności.

Nie powiedzieli sobie dobranoc. Przypuszczalnie pomyślała, że śpi lub jest trochę przytłoczony wyrzutami sumienia. Przynajmniej z tego był zadowolony. Zadowolony, że nie usiłowała go pocałować. Odniósł dziwne wrażenie, że gdyby spróbowała, odruchowo uciekłby w stronę okna i wyskoczył przez nie.

Wygasła nocną lampkę i pokój pogrążył się w ciemnościach.

Leżał bez ruchu, sztywny, wyciągnięty, jak ten, którego niedawno zakopał w piwnicy.

Nie tylko nie mógł zasnąć, bał się zasnąć. Gdyby mógł, najchętniej nie spałby w ogóle. Obawiał się, że we śnie spotka mężczyznę, którego zabił. Przekroczy granicę dzielącą życie od śmierci.

Mimo całego swojego spokoju ona też nie mogła zasnąć. Słyszał, że kilka razy obróciła się w łóżku.

Po chwili mógł powiedzieć, że obróciła się w jego stronę, przysunęła. Czuł jej oddech.

– Lou, śpisz?

Nie otworzył oczu.

Usłyszał, że wstała. Rozległ się szmer, gdy coś na siebie wkładała. Słyszał, że bierze lampę i nie zapalwszy jej, wychodzi z pokoju. Potem, za lekko uchylonymi drzwiami, lampa rozjarzyła się. Blask słabł, gdy Bonny schodziła po schodach.

Zaczął szybciej oddychać. Czyżby miała zamiar go opuścić? Popęłnić zdradę w środku nocy? Przerażony, rozerwał gwałtownie lodową skorupę, która go otoczyła. Wstał i szybko wciągnął coś na siebie. Po cichu wydostał się na korytarz.

Mógł widzieć słabe światło z dołu. Słyszał lekkie odgłosy, gdy poruszała się ostrożnie.

Oddychał nierówno. Po omacku zszedł schodami, stopień po stopniu, i skierował się w stronę światła. Wreszcie znalazł się w drzwiach, stanął przed nią.

Siedziała przy stole, w świetle lampy. W rękę trzymała kawałek pieczonego kurczaka i skrętnie go obgryzała.

– Byłam głodna – powiedziała nieśmiało. – Nie jadłam w ogóle kolacji. – Wysunęła zapraszająco wolne krzesło. – Zjesz ze mną?

Rozdział 47

Delikatnie, ale natarczywie potrząsała jego ramieniem. Wrywała go z objęć snu, budziła. Gwałtownie uniósł się w łóżku. Potem *to* wróciło. Potem sobie przypomniał. Czekają na niego jak zawieszono ostrze noża.

– Lou, idę po bilety. Lou, obudź się. Jest już po dziesiątej. Idę po bilety. Dla nas, na dworzec. Kiedy spałeś, wszystko zapakowałam. Zostawiłam tylko jedno twoje ubranie, resztę uprzątnęłam... Lou, zbudź się, przetrzyj oczy. Lou, nie rozumiesz? Idę po bilety. Gdzie są pieniądze?

– Tam – mruknął nieprzytomnie. Myślni wracał do poprzedniego dnia. – W wewnętrznej kieszeni, po lewej stronie...

Zaraz je znalazła. Chyba wiedziała, gdzie są, tylko chciała, żeby o tym wiedział.

– Dokąd je kupić? Gdzie chcesz pojechać?

– Nie wiem... – burknął, zasłaniając oczy, gdyż widział przeszłe wydarzenia. – Nie jestem w stanie ci powiedzieć...

Podrzuciła niecierpliwie głowę, widząc jego ospałość. – Więc zobaczę, jakie są pociągi. Pojedziemy najbliższym.

Podeszła do niego, pochyliła się i musnęła go wargami na pożegnanie. Zapach fiołkowych perfum zawirował wokół niego.

– Bądź ostrożna – mruknął. – To może być niebezpieczne.

– Spokojnie. Na razie nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Dlaczego miałyby się pojawić? – Zapewniła go wzruszeniem ramion. – Jeśli będziemy postępowali właściwie, może nigdy się nie pojawić.

Spódnica zaszeleściła nad podłogą. Otworzyła drzwi i obróciła się. Pomachała mu. – Pa, Pa – zaszcebiotała. – Kochany mój.

Rozdział 48

Wydawało się, że nie ma jej cały ranek. Ile czasu może zająć kupowanie biletów na pociąg? – zadawał sobie to pytanie, pocąc się z udreki. Ile? Ile? Nawet jeśli kupuje się je dwa lub trzy razy?

Chodził w kółko. W rękach ścisnął filiżankę kawy, jakby obawiał się, że może ją zgubić. Zostawiła mu ją na kuchni, żeby nie ostygła. Jednak pióropusz pary, który unosił się nad filiżanką powolnym falującym ruchem, już dawno rozrzedził się i znikł. Szybko przetykał napój. Nie unosił filiżanki, tylko schylał głowę. Nie zwracał uwagi na smak kawy, czy jest ciepła. Było mu nawet obojętne, co pije.

Nie wróciła, to było najważniejsze. Opuściła go, sama wsiadła do pociągu. Zostawiła go, żeby sam radził sobie z konsekwencjami swojego czynu. Na tę myśl znów zaczął się pocić. Zdawało mu się, że to krew wystąpiła na skórę, chociaż były to tylko krople strachu. Potem przypomniał sobie, że celowo go obudziła, zanim wyszła. Gdyby chciała go opuścić, nie zrobiłaby tego. Odetchnął głęboko i jego obawy trochę się rozproszyły, ale tylko po to, by wrócić ze zdwojoną siłą we wstrętnej spirali karzącej sprawiedliwości.

Miotają nim sprzeczne uczucia, kiedy nagle z zewnątrz pojawiło się niebezpieczeństwo, któremu sam musiał stawić czoła.

Rozległo się pukanie do drzwi, i to nie ona pukała. Gdy nieznacznie uchylił zasłonę i wyjrzał przez jedno z frontowych okien, zobaczył pustą dorożkę czekającą na kogoś.

Ponownie rozległo się pukanie. Kiedy doszedł do połowy korytarza i spojrzał przestraszonym wzrokiem na szybę w górnej części drzwi wejściowych, spostrzegł cień mężczyzny i kobiety, którzy czekali na progu.

Widział stożek cylindra i zarys kapelusza kobiety.

Pukanie powtórzyło się i zmusiło go do odezwania się, wbrew jego intencjom. – Kto tam? – Za późno, by powstrzymać wydobywające się z ust słowa.

– Dollard – odpowiedział męski, donośny głos.

Nie przypominał sobie tego nazwiska, nie wiedział, o kogo chodzi.

Znów rozległ się głos: – Czy mogę chwilę porozmawiać z panem Durandem?

Głos go znał. Bez wątplenia to z nim chciano rozmawiać.

Chciał zapaść się pod ziemię, zamienić się w słup soli, mimo że już się odezwał.

Jednak znów rozbrzmiało jego nazwisko: – Panie Durand. – A potem pukanie, zaintrygowane, pytające. I znowu jego nazwisko: – Panie Durand! Halo! Panie Durand?!

Jak wprowadzony w trans, podszedł do drzwi, otworzył je i cofnął się w głąb korytarza.

Nagle intruzi stali się pełnymi postaciami. Z rozmytych za szybą cynowo-olowianych popiersi przemienili się w żywych ludzi.

Kobieta miała ciemne włosy, ziemistą cerę, pociągłą twarz, niemniej była ładna. Ubrana była w zielonkawy kostium z czarnymi guzikami na piersiach. Wyglądał jak mundur huzara.

Mężczyzna miał rumianą twarz i miedziane, sumiaste wąsy. Ze zgiętego łokcia zwisała laska. Koszulę ozdabiały niezapominajki.

Mężczyzna uniósł cylinder, by okazać szacunek swojemu rozmówcy, odsłaniając tym samym opaloną łysinę na czubku głowy.

Durand nadal go nie poznawał.

– Nazywam się Dollard. Jestem pośrednikiem, od którego wynajął pan mieszkanie.

Czekał, żeby uśmiechnąć się, gdyby Durand go rozpoznał. Nie doczekał się.

– Pani Durand poinformowała mnie, że pan musi nagle wyjechać i dom będzie wolny.

Zatem była u niego. Pomyślała nawet o tym.

– A... – wydobyło się z ust Duranda. – Aa. Ach tak. Oczywiście.

Dollard spojrzał na niego pytająco. Nie pojmował, że Durand od razu nie zrozumiał, o co chodzi. – Zgadza się, prawda?

– Tak – odparł. Natychmiast zdał sobie sprawę, że zrobił kolejny błąd.

– Mam pana zgodę, żeby pokazać klientce dom?

– Teraz?! – przeraził się. Czuł, że zaczyna brakować mu powietrza.

Wydawało się, że Dollard nie zauważył niepokoju w głosie Duranda.

Właśnie przypomniał sobie o dobrych manierach biznesmena. – Proszę mi wybaczyć, pani Thayer. Mogę pani przedstawić pana Duranda?

Durand spostrzegł, że młoda kobieta patrzy na pustą filiżankę, którą trzymał w ręku, jakby był to kielich z cudownym płynem mogącym go uratować.

– Może przyszliśmy w nieodpowiednim momencie? – zasugerowała z dezaprobatą. – Przeszkadzamy panu Durandowi. Panie Dollard, może powinniśmy przyjść później... ?

Jednak pośrednik już wślizgnął się do środka i ponieważ nie chciał do niej wrócić, z wahaniem zrobiła krok za nim.

– Wiem, jakie jest zamieszanie, kiedy człowiek się przeprowadza. Pakowanie i to wszystko – przepraszała.

– Jestem pewny, że pan Durand nie ma nic przeciwko naszej wizycie – powiedział Dollard. – Nie będzie długo trwała. – A ponieważ bez przeszkód udało mu się zamknąć drzwi za nimi, uznał, że ma zgodę Duranda.

Szli korytarzem obok siebie, kobieta pośrodku. Dollard stawiał pewne, duże kroki, natomiast Durand z trudem utrzymywał się na nogach.

– To jest korytarz. Niech pani zwróci uwagę, jaki jest duży. – Dollard zamasyżuje uniósł rękę niczym tenor operowy wyciągający wysokie nuty.

– Oświetlenie jest też odpowiednie – przyznała młoda kobieta.

Dollard stuknął laską. – Parkiet z twardego drewna. Nie we wszystkich domach można taki znaleźć.

Po krótkiej przerwie ruszyli dalej.

– A tutaj jest salon – oznajmił uroczyście Dollard, znów unosząc rękę do góry.

– Panie Durand, czy to pana meble? – zapytała.

Na szczęście Dollard uprzedził go, uwolnił od konieczności odpowiedzenia. – Umeblowanie przechodzi wraz z domem – stwierdził zdecydowanie.

Z aprobatą skinęła głową. – To jest całkiem przyjemny pokój. Tak, całkiem przyjemny.

Odwróciła się, gotowa pójść dalej. Dollard też się odwrócił. Nagle, zaskoczony czymś, co zaobserwował przed chwilą, spojrzął do tyłu i wskazał laską.

– Nie powinno być tutaj dywanu?

Prostokąt kurzu na podłodze stał się nagle najbardziej rzucającą się w oczy rzeczą w tym pokoju. Jak w każdym domu, na całym świecie. Iskrzył się wściekłym blaskiem jak posypany fosforem. Przynajmniej Durandowi wydawało się, że kurz się żarzy. Był przekonany, iż oni też tak to widzą. Poczuł, że jego twarz blednie, a skóra napina się na policzkach, jakby ściągała ją jakaś niewidzialna, okrutna ręka.

– Gdzie? – udało mu się wydobyć z siebie.

Dollard dwa razy niecierpliwie stuknął w podłogę. – Tutaj. Tutaj.

– Aha – Durand mruknął żałośnie. Mówił z przerwami, żeby zyskać na czasie. – A, tutaj... Ach, tak... Myślę, że pan... Musiałbym zapytać moją... – Potem nagle odzyskał panowanie nad sobą. Jego głos zabrzmiał teraz pewnie, chociaż wciąż drżał. – Został wyniesiony do wytrzepania. Teraz sobie przypomniałem.

– Zatem jest na zewnątrz? – dopytywał Dollard, nie całkiem zadowolony z wyjaśnienia. Nie czekając na odpowiedź, szybko podszedł do jednego z okien, schylił głowę, żeby nie odsłaniać zasłon, i rozejrzał się po podwórzu. – Nie widzę go. – Odwrócił głowę do Duranda w geście wskazującym, że domaga się dalszych wyjaśnień.

Gdy Durand otworzył oczy, które zamknął na chwilę, walcząc z paniką, spostrzegł świdrujące spojrzenie Dollarda.

– Nic się z nim nie stało – zapewnił. – Jest gdzieś w domu. Gdzie, nie jestem w stanie dokładnie...

– On był dość drogi – powiedział Dollard. – Wierzę, że nie został ukradziony. W takim przypadku trzeba by było zwrócić pieniądze.

– Trzeba by było – Durand wyszeptał prawie bezgłośnie.

Młoda kobieta zrobiła mały krok do przodu, przypominając o swojej obecności. Dollard natychmiast wrócił do swych obowiązków i przestał zajmować się dywanem.

Pospieszył do niej i delikatnie trącił ją dwoma palcami w łokieć, grzecznie pokazując kierunek. – Możemy kontynuować, pani Thayer? Chciałbym, żeby teraz zobaczyła pani pokoje na górze.

Szli po schodach rzędem, ona na początku, Durand na końcu. Wchodzili powoli. Durandowi wydawało się, że każdy krok zostawia ślad w jego sercu. Szelest jej wielowarstwowej sukni przypominał szmer wody spływającej drewnianą rynną, chociaż odgłos wznosił się, a nie opadał.

– Niech pani zwróci uwagę, jak wspaniale jest ten dom oświetlony – zachwalał Dollard, jak

tylko znaleźli się na piętrze. Zadowolony z siebie drobił palcami po piersi. – Tutaj jest mały salonik dla pani domu. Może zajmować się tu szyciem. – Uśmiechnął się życzliwie i mrugnął za jej plecami do Duranda, żeby pokazać, że zna kobiety, wie, co lubią.

Wyraźnie Dollard był w świetnym nastroju. Znajdował przyjemność w każdym momencie przedstawienia związanego z wypełnianiem swoich obowiązków. Durand z nieokreślonej przeszłości przypominał sobie słowo *przyjemność*, ale nie pamiętał, jakie uczucie jest z nim związane. Czuł taki chłód w dłoniach, jakby nadgarstki miał owinięte drutem, który hamował krążenie.

W drzwiach do sypialni kobieta zawahała się i szybko cofnęła, gdy zobaczyła, jaki to pokój.

– Az tego pokoju roztacza się wspaniały widok – perorował Dollard. – Jeśli zechciałaby pani wejść...

Uniosła dumnie głowę i obdarowała go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

– Panie Dollard! – napomniała go stanowczo. – W tym pokoju jest *łóżko*, a mój mąż mi nie towarzyszy.

– Och, przepraszam bardzo! Oczywiście – zorientował się szybko. Skłonił się w przepaszającym gościu. – Panie Durand?

Obaj mężczyźni skromnie wycofali się w głąb korytarza, w kierunku schodów, by na nią poczekać. Bez krępującego towarzystwa mężczyzn weszła teraz do sypialni, żeby dokładnie ją obejrzeć.

– Prawdziwa dama – skomentował Dollard, po cichu, z podziwem, jej zachowanie. Patrzył w drugą stronę, żeby nie wydawało się, że jego wzrok podąża za kobietą wchodzącą do sypialni bez towarzystwa męża.

Durand włożył rękę za kołnierzyk, usiłując go rozluźnić. Zapomniał, że robił to przed chwilą.

Szybko wyszła z sypialni. Trochę się zarumieniała, gdyż łóżko było nieposłane, ale nic nie powiedziała.

Zeszli po schodach w takiej samej kolejności, w jakiej wchodzili.

Na dole oderwała rękę od poręczy i zwróciła się do Dollarda:

– Czy wszystko mi pan pokazał?

– Sądzę, że tak. – Być może przypuszczając, że nie jest całkowicie przekonana o zaletach domu, Dollard postanowił sięgnąć po ostatni wabik. – Wszystko z wyjątkiem piwnicy.

Durand poczuł, że ścisnęło go w środku niczym w imadle. Z trudem powstrzymał się, żeby nie chwycić się za żołądek i nie skulić. Na szczęście nie patrzyli na niego. Spoglądali w kierunku drzwi do piwnicy. Jej wzrok podążył za spojrzeniem Dollarda.

– Jest obszerna i wygodna. Proszę pozwolić mi ją pani pokazać. Zajmie to tylko chwilę...

Odwrócili się i ruszyli w jej kierunku.

Durand przywarł do słupka poręczy. Po chwili oderwał się od niego i poszedł za nimi chwiejnym krokiem.

Nagle przez jego umysł zaczęły przebiegać różne pomysły, jak ich powstrzymać. Szczury,

powiedz, że są tam szczury. Może będzie się bała... Pajęczyny, kurz – może nie będzie chciała zabrudzić swojego stroju.

– Tam nie światła – zachrypiał. – Nie będziecie w stanie nic zobaczyć. Obawiam się, że pani może zrobić sobie krzywdę...

Jego głos zabrzmiał zbyt ostro i szorstko w małym korytarzu, w którym się teraz znaleźli. Zaskoczeni intensywnością jego głosu odwrócili głowy. Mówił, jakby znajdowali się znacznie dalej od niego. Jednak nie przywiązali do tego większej wagi.

– Nie ma światła w piwnicy? – zapytał Dollard z kwaśną miną. – Powinien mieć pan tam jakąś lampę. Jak się pan tam poruszał? – Spojrzał na Duranda poirytowanym wzrokiem, natykając się na trudności. Nagle jego wzrok padł na lampę stojącą przy drzwiach, którą wieczorem pozostawiło jedno z nich, Bonny lub on – Durand nie mógł sobie przypomnieć kto.

Znów w środku umierał, tak jak umierał od pół godziny lub dłużej. Źle wybrał, powinien powiedzieć o szczurach lub kurzu.

– Powiedział pan, że nie ma światła?! – wykrzyknął Dollard, unosząc brwi. – Przecież jest tutaj lampa. Nie widać?

– Moja żona musiała tutaj zostawić... Poprzednio tu jej nie było... Pamiętam, że się uskarżałem... – jedynie to mógł wyjąkać stłumionym głosem.

Dollard już wziął lampę, która po chwili zajaśniała żółtym blaskiem. Unoszący się dym był dla Duranda złym dzinnem, przywołanym, żeby go zniszczyć.

Może powinienem odwrócić się, uciec z domu? – pomyślał. Może powinienem odwrócić się i gnać do drzwi? Dlaczego stoję tutaj, patrzę nad ich ramionami, czekam, żeby oni... ? Chociaż bardzo chciał czmychnąć, nie był w stanie. Wydawało się, że jego stopy przykleiły się do podłogi – nie dałby rady ich unieść.

Dollard otworzył drzwi i wszedł na schody. Zszedł dwa stopnie w dół. Jasnożółty snop światła z lampy, jak jakaś żywa istota, spłynął przed nim po schodach, rozprzestrzenił się po podłodze i nawet wpelził na ściany. Jednak im dalej się przesunął, stawał się coraz słabszy, aż w końcu stracił swoją zdolność do odślaniania.

Dollard zszedł kolejne dwa stopnie w dół. Wyciągnął rękę z lampą przed siebie i powoli zrobił nią półkole, oświetlając w ten sposób wszystkie kąty, chociaż tylko chwilowo.

– Tutaj są wmurowane balie do kąpieli i bojler na wodę, który może być ogrzany drewnem, żeby dostarczyć państwu...

Dollard zszedł niżej. Był już prawie na dole schodów, natomiast pani Thayer weszła na nie. Lekko uniosła spódnicę do góry, żeby jej nie zabrudzić. Durand, któremu oddech dudnił w uszach, kurczowo zacisnął obie ręce na framudze drzwi, jedna nad drugą. Wcisnął w nie głowę i ramiona.

Dollard wyciągnął rękę w kierunku młodej kobiety. – Czy mogłaby pani zejść niżej?

– Jestem przekonana, że wszystko stąd zobaczę – odparła.

Żeby jej dogodzić, obrócił lampę w jej stronę i znów zrobił nią półkole. Gdy snop światła

omiatał piwnicę, prostokątny ciemniejszy fragment podłogi ujawnił się nagle, stanął na drodze promieni, a potem cofnął. Wyglądało, jakby ciemny prostokąt gwałtownym ruchem wydobył się z ciemności, by podążyć za blaskiem światła, ale został schwytyany przez mrok i przytrzymany.

Durand czuł, że za chwilę pęknie mu serce. Jednak wyglądało, że nie zauważyli tego prostokąta, albo spostrzegli go, ale nie wzięli za to, czym był. Przypuszczalnie ich wzrok nie poszukiwał tego, w przeciwieństwie do jego spojrzenia.

Dollard uniósł gwałtownie lampę na wysokość głowy i spojrzał przed siebie. Nie patrzył dokładnie na *to* miejsce, ale trochę obok.

– Patrzcie, czy nie jest to dywan, o którym mówiliśmy? – Zszedł ze schodów i podszedł do niego.

Znów ciemny prostokąt ukazał się oczom, teraz pod stopami Dollarda. Stał na nim, postawił na nim obie stopy.

– Jak on się tutaj znalazł? – Dollard pochylił się lekko nad dywanem. – Panie Durand, czy pan trzepie dywany w piwnicy?

Durand nie powiedział ani słowa. Nie mógł sobie przypomnieć, czy na dywanie były jakieś ślady krwi. Myślał tylko o tym. Pani Thayer taktownie przysłała mu z pomocą.

– Ja tak czasami robię. Kiedy pada deszcz, trzeba skorzystać z piwnicy. W każdym razie myślę, że pan Durand nie robił tego osobiście. – Uśmiechnęła się łagodząco do obu mężczyzn.

– Można poczekać, aż przestanie padać – burknął Dollard. – Poza tym, o ile sobie dobrze przypominam, w ostatnim tygodniu nie padało... – Jednak na razie przestał krytykować Duranda.

Po chwili Durand zobaczył, że Dollard pochylił się nad dywanem, żeby go podnieść. Nie rozwijał go, prawdopodobnie nie chciał go zabrudzić na zakurzonej podłodze piwnicy. Chwytał dywan przed sobą i ruszył w kierunku schodów, żeby położyć go na swoje miejsce.

Jednak na górze było jaśniej. Oddech Duranda był gorący, jakby wydobywał się z pieca. Nie byłby w stanie powiedzieć teraz ani jednego słowa, nawet gdyby musiał. Rozstąpili się, żeby zrobić przejście Dollardowi. Pani Thayer cofnęła się ruchem pełnym gracji, Durand zatoczył się do tyłu. Na szczęście nie zauważyli tego, a jeśli spostrzegli, przypisali to męskiej nieumiejętności poruszania się na ograniczonej przestrzeni.

Odwrócili się i podążyli za niosącym dywan Dollardem, do salonu. Durand szedł z ręką przy ścianie jak człowiek kulawy.

– To mogłoby poczekać, panie Dollard – powiedziała młoda mężatka.

– Wiem, ale chcę, żeby zobaczyła pani ten pokój w całej okazałości.

Dollard chwycił dywan za koniec, resztę wypuścił z rąk. Pociągnął do tyłu. Dywan rozpostarł się na podłodze.

Coś z niego wypadło. Coś małego, nieokreślonego. Można było zauważyć, że odbiło się z trzaskiem od twardej podłogi, ale nie można było powiedzieć, co to jest.

Dollard pochylił się nad, zdawało się, pustą podłoga. W każdym razie z miejsca, w którym oni stali, niczego nie można było dostrzec. Wziął to w dwa palce i podszedł do Duranda.

– Przypuszczam, że to pana – rzekł, patrząc mu prosto w oczy. – Guzik od kołnierzyka, panie Durand.

Włożył go z lekkim szturchnięciem w oporną dłoń Duranda, który zacisnął palce na guziku. Był jeszcze ciepły od ręki Dollarda, ale Durandowi wydawało się, że jest ciepły od szyi Downsa. Zdawał się być gwoździem z krzyża, przebijającym na wylot jego dłoń. Durand spodziewał się, że za chwilę spomiędzy jego palców zaczną kapać krew.

– Pan Thayer gubi je po całym domu – wtrąciła życzliwie pani Thayer, usiłując uspokoić jego wstyd, który jej zdaniem odczuwał, gdy publicznie okazało się, że zgubił guzik od intymnej części garderoby. Myślała, że pod tym względem mężczyźni są jak kobiety, które w takich sytuacjach drętwieją z przerażenia i zmieszane szukają krzesła, by się oprzeć, tak jak to właśnie uczynił.

– Uch! – prychnął Dollard, jakby chciał powiedzieć: Ja nie. Tylko niechluje gubią guziki.

I znów zajął się dywanem, zaczął wygładzać go stopą.

Durand wrzucił dowód przestępstwa do kieszeni. Żar, którym promieniował guzik, pozostał, przebijał się teraz przez jego ubranie. Zamglonymi przez strach oczami widział, że pani Thayer i Dollard rozmywają się, falują. Zastanowiło go, czy oni też tak go postrzegają, ale najwyraźniej nie, gdyż ich twarze nie wyrażały nagłego zainteresowania nim, niepokoju, gdy na niego od czasu do czasu spoglądali.

– Myślę, że już wszystko pani pokazałem – stwierdził w końcu Dollard.

– Tak, ja też tak sędzę – zgodziła się jego przyszła klientka.

Powolnym krokiem poszli w stronę frontowych drzwi. Durand, niczym widmo, chwiejnym krokiem szedł obok nich. Wreszcie dotarł do drzwi i chwycił się ich kurczowo. Teraz jego chwiejna postawa mogła być przypisana wahnięciom drzwi na zawiasach.

Pani Thayer odwróciła się do niego i uśmiechnęła. – Dziękuję panu. Mam nadzieję, że nie przeszkadzaliśmy.

– Do widzenia – powiedział Dollard z wymuszoną grzecznością, która z jego punktu widzenia mogła być przesadą w stosunku do ludzi, którzy właśnie mają zamiar zrezygnować z wynajmu domu.

Odprowadził ją do dorożki i pomógł wsiąść. Rozmawiał przez chwilę z zaangażowaniem, przekonując ją do sfinalizowania transakcji. Wsiadał właśnie do dorożki i miał zamiar odjechać z panią Thayer – ku niewysłowionej uldze, którą zaczął odczuwać Durand – kiedy nagle pojawiła się Bonny. Szła szybko chodnikiem, a potem skrzyła w stronę domu. Gdy to zrobiła, spojrzała na dorożkę. Durand szeroko otworzył drzwi, żeby wpuścić ją do środka. Chciał zaraz szybko je zamknąć, ale ona zatrzymała się w nich.

– Na Boga! – wysapał. – Wejdz... Jestem na wpół żywy.

– Chwilę – powiedziała, nie ruszając się z miejsca. – Nie może wynająć tego domu, dopóki nie podpiszemy aktu zrzeczenia się wynajmu. Dałeś mu już klucze?

– Nie.

– To dobrze – rzuciła szorstko. Ku jego przerażeniu uniosła rękę i przywołała Dollarda z powrotem. Nawet zawołała go po nazwisku. – Panie Dollard! Poproszę na chwilę, jeśli można!

– Nie wołaj go – błagał Durand. – Pozwól mu odjechać, niech jedzie. Co zamierzasz?

– Wiem, co robię – powiedziała twardo.

Przerażony Durand widział, że pośrednik niechętnie wysiada z dorożki i idzie w ich kierunku. Z zadowoleniem zacierał ręce. – Myślę, że zawrzemy umowę – zwierzył się. – Za znacznie wyższą stawkę. Już prawie podjęła decyzję.

Na tę uwagę Bonny zareagowała przenikliwym błyskiem wyrachowania w oczach. Durand spostrzegł to.

– Tak? – odezwała się melodyjnym głosem. – Ale o dwóch rzeczach pan zapomniał, prawda? O kluczach i o podpisaniu zrzeczenia się wynajmu.

Dollard pospiesznie pogrzebał w kieszeni. – Mam umowę przy sobie i jeśli dacie mi państwo teraz klucze, nie będę musiał przyjeżdżać po nie później... – Spojrzał na czekającą dorożkę. Był prawie tak samo zdenerwowany, że nie może zaraz odjechać, jak Durand jego obecnością.

Natomiast Bonny wydawała się nie spieszyć. Wzięła dokument, który Dollard podał Durandowi, i sama zaczęła go studiować. Ignorowała nieme, szaleńcze błaganie w wybałuszonych oczach Duranda. Ukradkiem wycierał pot z czoła.

Uniosła głowę. Nie wykazywała najmniejszej ochoty, żeby oddać umowę Dollardowi. Postukała w nią pytająco palcem.

– A co z niewykorzystaną częścią opłaty za wynajem? Nie ma tutaj żadnej wzmianki...

– Niewykorzystaną... ? Nie rozumiem pani.

Nie oddała mu umowy, mimo że wyciągnął rękę, by ją wziąć. – Czynsz za ten miesiąc został zapłacony.

– Naturalnie.

– Ale dzisiaj jest dopiero dziesiąty dzień miesiąca. Co z pozostałymi trzema tygodniami?

– Straciliście państwo opłatę za resztę miesiąca. Nie mogę jej zwrócić.

– Świetnie – syknęła złośliwie. – Zatem będzie pan mógł wynająć ten dom dopiero w przyszłym miesiącu. Proszę natychmiast powiedzieć to tej damie i oszczędzić jej rozczarowań.

Dollard ze zdumienia otworzył usta. – Ale nie zamierzają państwo tu pozostać! Dzisiaj wyjeżdżacie. To właśnie pani przyszła dziś rano do mnie, żeby mi o tym powiedzieć. – Spojrzał bezradnie na dorożkę, gdzie pani Thayer zaczęła okazywać typowo kobiece oznaki zniecierpliwienia. Zerkając na Dollarda pytającym wzrokiem, zakasłała w rękę. – Niech pani będzie rozsądna. Sama pani powiedziała...

Bonny była nieugięta. Pozwoliła sobie nawet na lekki uśmiech. Jej oczy, jakby domyślając się, że Durand daje ukradkowe, pełne przerażenia znaki, nie spojrzały na niego.

– To niech pan będzie rozsądny, panie Dollard. Mój mąż i ja nie zamierzamy robić panu prezentu w postaci większej części miesięcznej opłaty za wynajem domu. W takim przypadku możemy odłożyć nasz wyjazd. Albo zwróci nam pan pieniądze, albo zostaniemy tu do

pierwszego.

Niespiesznie odwróciła się i weszła na korytarz. Zatrzymała się przed lustrem. Na oczach Dollarda zdjęła kapelusz i ręką poprawiła włosy.

– Zamknij drzwi, kochanie – powiedziała do Duranda. – A potem przyjdź na górę. Pomożesz rozpakować mi rzeczy. Do widzenia panu – zwróciła się zjadliwie do Dollarda.

Pośrednik spojrzał z obawą na dorożkę, oceniał, jak długo jeszcze może kazać jej czekać. Potem na Bonny. Szła teraz w kierunku schodów. Następnie, jeszcze raz, rzucił szybkie spojrzenie na dorożkę. Ta przynajmniej stała w miejscu, ale Bonny nie.

W końcu zawołał za nią, stojąc obok Duranda, który był bliski, żeby głośno zacząć jęczeć.

– Proszę zaczekać – skapitulował Dollard. – No dobrze, opłata za miesiąc wynosi siedemdziesiąt pięć dolarów. Oddam państwu za dwa ostatnie tygodnie. Trzydzieści siedem dolarów, pięćdziesiąt centów.

Bonny odwróciła się z kamiennym uśmiechem na ustach, pokręciła głową. Potem ruszyła dalej. Postawiła nogę na pierwszym stopniu schodów, rękę położyła na poręczy. – Dzisiaj jest dziesiąty, nie piętnasty. Korzystaliśmy z tego domu tylko przez jedną trzecią okresu, za który zapłaciliśmy. Zatem należą się nam dwie trzecie sumy. Pięćdziesiąt dolarów.

– Proszę pani! – wykrzyknął Dollard i dotknął łysiny na czubku głowy, zapominając, że nie ma już tam włosów, żeby je potargać.

– Proszę pana! – odpowiedziała złośliwie.

Cień zasłonił wejście do domu: pojawił się dorożkarz. – Przepraszam pana, ale pani mówi, że nie może już dłużej czekać...

– Proszę – rzekł cierpko Dollard, wygrzebując pieniądze z portfela. – Pięćdziesiąt dolarów. I proszę mi pozwolić odejść, zanim nie zażądacie, bym wam zapłacił, że w ogóle mieszkaliście w tym domu!

– Podpisz umowę, najdroższy – nakazała Durandowi słodkim głosem. – I daj panu Dollardowi klucze. Nie powinniśmy go dłużej zatrzymywać.

Durand zamknął drzwi za wściekającym się mężczyzną. Potem omal nie wybuchnął gniewem. – Jak mogłaś, wiedząc przez cały czas, co leży pod podłogą? – denerwował się, szarpiąc za kołnierz. – Czy ty w ogóle masz nerwy, serce?

Stała na schodach, triumfalnie przeliczała pieniądze, które trzymała w ręku.

– Ależ on o tym nie wiedział i tu leży różnica. Nigdy nie grałeś w pokera, prawda, Lou?

Rozdział 49

Szła pierwsza między siedzeniami w wagonie, Durand za nią, a za nimi z trudem podążał bagażowy. W każdej ręce niósł kilka bagaży. Szła zwawym krokiem osoby, która dużo podróżuje pociągami, lubi to i wie, jak najlepiej spędzić podróż.

– Nie, nie tutaj – zawołała do tyłu, kiedy Durand zatrzymał się przy jednym z wyściełanych zielonym pluszem podwójnych siedzeń. – Po tamtej stronie. Tutaj będzie świeciło słońce.

Posłusznie posłuchali jej polecenia.

Stała obok i uważnie obserwowała, jak bagażowy umieszcza pakunki na półce. Raz się wtrąciła, żeby doradzić: – Połóż ten lżejszy bagaż na inny. Jeśli tego nie zrobisz, może się zgnieść.

Potem, gdy skończył: – Podciągnij zasłonę trochę do góry.

Nad plecami bagażowego Durand wzrokiem dał znać, że nie powinni zbyt rzucić się w oczy.

– Nonsens – odpowiedziała mu głośno.

– Unieś zasłonę jeszcze trochę – strofowała bagażowego. – Tak, teraz dobrze. – Potem łaskawie pokazała Durandowi, żeby dał mężczyźnie napiwek za jego trud.

Usiadła bokiem na siedzeniu, rozesała spódnice i usadowiła się wygodnie. Durand usiadł obok niej jak na szpilkach, z twarzą bladą i napiętą. Pochyliła się, podpierając ręką brodę, i zaczęła wyglądać przez okno.

– Kiedy w końcu odjedziemy? – zapytała.

Durand nie odpowiedział.

Musiała widzieć jego odbicie w szybie. Nie odwracając głowy, wymamrotała pod nosem: – Nie przejmuj się tak bardzo. Ludzie pomyślą, że jesteś cierpiący.

– Jestem. – Zadygotał i zaczął dmuchać w ręce, jakby chciał je ogrzać. – Jestem.

Pod fałdami sukni wyciągnęła do niego rękę w koronkowej rękawiczce. – Weź moją dłoń. Wyjedziemy stąd, zanim się zorientujesz.

– Boże miłosierny – wyszeptał, spoglądając ukradkiem w dół. – Dlaczego nie ruszamy, na co czekamy?

– Poczytaj może sobie – zasugerowała po cichu. – Oderwij od tego swoje myśli.

Poczytaj! – pomyślał rozpaczliwie. Poczytaj! Nie był w stanie złożyć liter nawet w jednym wyrazie.

Gdzieś z przodu zaczął dzwonić dzwonek przy parowozie i rozległ się przenikliwy, ostrzegawczy głos gwizdka.

– No, ruszamy – powiedziała uspokajająco.

Nagle, gwałtowne szarpnięcie rozkołysało rząd lamp olejowych zwisających z wnęki w suficie pośrodku wagonu. Potem parowóz znów szarpnął, tym razem słabiej, i w końcu pociąg ruszył ze zgrzytem kół. Nieruchomy krajobraz za oknem zaczął płynąć. Pojawiały się nowe

widoki, podczas gdy stare odsuwały się do tyłu. Puściła jego rękę i zaczęła wyglądać przez okno, zauroczona niczym dziecko.

– Lubię podróżować pociągiem – stwierdziła. – Dla mnie nie ma znaczenia gdzie.

Przez pociąg szedł sprzedawca, na ramieniu niósł koszyk. Głośno zachwalając swoje towary, wzmagał hałas czyniony przez zgrzytające koła, skrzypiące drewno, głosy rozmów, które wypełniły wagon.

– Panie i panowie, proszę bardzo. Woda mineralna, świeże owoce, wszystkie rodzaje cukierków dla was i waszych dzieci. Karmelki, toffi, lukrecyjne słodycze. To będzie długa, nieciekawa podróż. Proszę bardzo. Proszę bardzo.

Nagle oderwała głowę od okna. – Lou – powiedziała ożywiona. – Kup mi oranżadę, chce mi się pić. Lubię saczyć oranżadę, kiedy jadę pociągiem.

Sprzedawca zatrzymał się, gdy Durand niechętnie go przywołał.

Pochyliła się nad nim i zaczęła grzebać, szperać w koszyku. – Nie tę, tamtą. Ta jest niedobra.

Durand odchylił się w bok, żeby wyciągnąć z kieszeni drobne.

Sprzedawca wziął jedną monetę i ruszył dalej.

Durand spojrział smutnym wzrokiem na to, co pozostało mu w ręku. Guzik z kołnierzyka Downsa leżał na jego dłoni.

– Mój Boże! – jęknął i ukradkiem wepchnął go pod siedzenie.

Rozdział 50

Inny pokój hotelowy, w innym miejscu. Ale jakby to samo. Hotel miał tylko inną nazwę, widok za oknem był inny, to wszystko.

Oni byli tacy sami, w takim samym pokoju hotelowym. Tych samych dwoje ludzi.

Uświadomił sobie, obserwując ją w zamyśleniu, że od tej pory takie będzie ich życie. Kolejny pokój hotelowy, i kolejny. Ale wciąż ten sam. Kolejne miasto, i kolejne. Naprzód, naprzód, naprzód... donikąd. Aż pewnego dnia znajdą się w ostatnim pokoju hotelowym w ostatnim mieście. A potem...

Za krótkie i pasjonujące życie wzniosła toast tego wieczoru w Mobile. Żle się wyraziła. Za krótkie i nudne życie, powinna powiedzieć. Żadne bezpieczne i spokojne życie nie jest tak nudne jak życie uciekiniera bez miejsca, w którym mógłby się schronić. Monotonia prawego życia nie może być nawet porównywana z monotonią zbrodni.

Odkrył to teraz.

Siedziała w pomarańczowozłotym kwadracie światła słonecznego padającego przez okno. Założyła nogę na nogę, pochyliła głowę i skupiła się na swoim zadaniu, którym było spiłowanie paznokci. Miała odsłonięte ramiona, a liczne, wszystkie białe, części garderoby, które włożyła na siebie, miały być oglądane tylko przez jego oczy. Kształny pancierz gorsetu widać było w całej okazałości, od pach do bioder. Na gorset włożyła halkę z najcieńszego batystu, która sięgała jej do łydek.

Miała nie związane włosy, które opadły delikatnymi, złocistymi falami na jej plecy. Jednak tym samym czubek jej głowy stał się dziwnie płaski. Tak wyglądające włosy można zobaczyć normalnie tylko u uczennic szkolnych. Jedynie grzywka Bonny miała zwykły wygląd.

Jedno z cienkich cygar paliło się na brzegu sekretarzyka obok niej.

Poczuła jego długie, niepewne spojrzenie. Uniosła wzrok i obdarowała go lekkim uśmiechem. Jej usta ułożyły się w kształt serca. To był jedyny kształt, jaki mogły przybrać, kiedy się uśmiechnęła.

– Rozchmurz się, Lou! – rzekła. – Głowa do góry, kochanie! – Przekręciła głowę, żeby wskazać na widok za zanurzonym w świetle słonecznym oknem. – Podoba mi się tutaj. Jest ładnie. I zabójczo się tutaj ubierają. Cieszę się, że trafiliśmy do tego miejsca.

– Nie siedź tak blisko okna. Ktoś może cię zobaczyć.

Rzuciła mu niedowierzające spojrzenie. – Przecież nikt nas tu nie zna.

– Nie *to* miałem na myśli. Jesteś tylko w bieliźnie.

– Ach – wyrzuciła z siebie. Jednak chyba nie do końca rozumiała jego dbałość o konwenanse. – Ale mogą zobaczyć tylko moje plecy. Nikt nie jest w stanie zobaczyć mojej twarzy i powiedzieć, czyje to plecy. – Łaskawie przesunęła trochę krzesło. Zrobiła to z uśmiechem, który wskazywał, że robi to tylko po to, żeby jego zadowolić.

Zadowolona z siebie znów zaczęła zajmować się paznokciami.

– Czy ty... nie myślisz czasami o tym? – Nie mógł się powstrzymać od zadania takiego pytania. – Nie ciąży ci to?

– Co? – spytała obojętnie. Znów uniosła wzrok. – Och... znów to.

– Właśnie o tym myślę – powiedział. – Gdybym mógł o tym zapomnieć, jak ty.

– Nie zapomniałam, tylko nie rozmyślałam o tym.

– Ale przypominanie sobie nie jest tym samym co rozmyślanie?

– Nie – odparła i w geście zaskoczenia machnęła przed siebie rękami. – Zaraz ci wyjaśnię. – Palcami dotknęła zębów, szukając odpowiedniego przykładu. – Powiedzmy, że kupuję nowy kapelusz. Kiedy go kupiłam, jest mój i to wszystko. *Pamiętam*, że kupiłam kapelusz, nie zapominam o tym, ale nie rozmyślałam, nie rozpamiętuję tego od rana do wieczora. – Uderzyła zaciśniętą dłońią w otwartą. – Nie powtarzam bez przerwy: „Kupiłam kapelusz, kupiłam kapelusz, kupiłam kapelusz”. Rozumiesz?

Patrzył na nią z wyrazem oszołomienia na twarzy. – Porównujesz... porównujesz to, co się wydarzyło w Mobile, z kupieniem nowego kapelusza... ? – wyjąkał.

Roześmiała się. – Nie. Teraz źle odczytujesz moje słowa, czynisz mnie gorszą niż jestem. Wiem, że kupienie nowego kapelusza nie jest karalne, natomiast tamto jest. Nie musisz się obawiać, że ktoś odkryje, że kupiłeś kapelusz. Ale był to tylko przykład. Możesz doskonale o czymś pamiętać, ale nie przejmujesz się tym przez cały czas, nie pozwalasz, żeby pograżyło twoje życie w mroku. To miałam na myśli.

Nic już na to nie powiedział, wciąż nie mógł dojść do siebie, myśląc o przykładzie, który przytoczyła.

Wstała i powoli podeszła do niego. Położyła protekcjonalnie rękę na jego ramieniu. Na pewno w tym geście nie było podziwu dla niego.

– Chcesz wiedzieć, gdzie leży problem, Lou? Powiem ci. Różnica między nami nie polega na tym, że mniej się boję, że *to* zostanie odkryte. Boję się tak samo. Jednak ty pozwalasz swojemu sumieniu znęcać się nad sobą, a ja nie. Zrobiłeś z tego wybór między złem a dobrem, tak jak dzieci w szkółce niedzielnej. Zastanawiają się, czy pójdą do piekła, czy do nieba. Dla mnie jest to czymś, co się wydarzyło, i to koniec. Ty chciałbyś cofnąć się w czasie, mieć po raz drugi możliwość wyboru, a wtedy postąpiłbyś inaczej. Tu leży problem. To sumienie ci dokucza, gryzie cię.

Zauważyła, że wstrząsnęła nim. Lekko wzruszyła ramionami i odwróciła się. Wzięła muślinową spódnicę, która leżała złożona na łóżku, energicznym ruchem rozłożyła ją, weszła w nią i zapięła. Groteskowa krótkość jej stroju znikła. Nogi miała znów zakryte do podłogi.

– Posłuchaj mojej rady i popatrz na to na mój sposób – kontynuowała. – Będzie prościej. *To* nie było czynem złym lub dobrym, to... – Pozwoliła swojemu głosowi opaść, chciała, żeby był przygotowany. – ... to coś, czego powinieneś unikać.

Wzięła drugą spódnicę, tę z kolei z tafty obszytej koronką. Włożyła ją na pierwszą.

Był przerażony, powoli odkrywając, że ona nie kieruje się żadnymi zasadami moralnymi.

Była dzikuską w ścisłym tego słowa znaczeniu.

– Może pójdziemy na spacer? – zaproponowała. – Dzień jest idealny na przechadzkę.

Skinął głową. Otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie ani jednego słowa.

Stała teraz przed lustrem i wybierała suknie. – Którą powinnam włożyć? Niebieską? Płową? Czy może tę w kratkę? – Zrobiła kwaśną minę. – Każdą miałam na sobie już dwa lub trzy razy. Ludzie zaczną je poznawać. Lou, bądź dobrym chłopcem i zanim wyjdziemy, sięgnij do kasetki z pieniędzmi. Naprawdę myślę, że już najwyższy czas, żebyś kupił mi nową suknię...

Żadnych zasad moralnych.

Rozdział 51

Odkrycie było katastrofalnie nagłe, chociaż nie powinno być takim. Przed chwilą byli zamożni, Duranda stać było na spełnienie wszystkich ich zachcianek. Teraz zostali pozbawieni środków do życia. Z trudem mogli pozwolić sobie na wydatki związane z przyjemnym spędzeniem wieczoru.

Musiał przyznać, że to można było przewidzieć. Nie powinno go to zaskoczyć. Nie było żadnej kradzieży, nic w tym rodzaju. Ale też kasetka sama się nie napelniała. Moment, kiedy się opróżni, musiał w końcu nastąpić. Od pewnego czasu niebezpieczeństwo stałoby się wyraźne, gdyby tylko przeliczył pieniądze. Jednak nie zrobił tego, przypuszczalnie bał się. Obawiał się wniosku, do którego doszedłby – świadomości końca. Bał się niepokoju, który mógłby zakłócić ich zabawę, lęku, który odebrałby im radość. Zawsze było jutro, żeby dokonać rachunków, a następnego dnia jutro wciąż pozostawało. Tymczasem muzyka wzmagala się, wir walca stawał się coraz szybszy, nie dawał chwili na wytchnienie.

Za każdym razem sięgał po pieniądze w pośpiechu, beztrzesko, nie liczył, ile pozostało. Robił to tak długo, dopóki pieniądze się nie skończyły, a to tylko było ważne. Rachunkami zawsze mógł zająć się następnym razem. A teraz nie było już następnego razu.

Właśnie mieli zamiar wyjść. Zapach perfum falował za nią niczym ogon niewidzialnego, dumnie parującego pawia. Oczekiwanie związane z wyjściem wytworzyło ogromne napięcie wokół nich. Niemal było słychać trzaskające iskry. On wkładała koronkowe rękawiczki, on gasił jedną po drugiej gazowe lampy. Miała na sobie mandarynkową suknię z szeleszczącej tafty, pomarańczowe pióra w jej kapeluszu wiły się niczym żywe czułki. Już stała w drzwiach, niecierpliwie czekała, kiedy dołączy do niej i zamknie za nimi drzwi.

– Masz ze sobą odpowiednio dużo pieniędzy, kochanie? – spytała towarzysko. Pytanie zabrzmiało niezwykle rodzinnie. Wydała się żoną niepokojącą się o swojego męża, tak jakby pytała: „Czy odpowiednio ciepło się ubrałaś?” lub „Czy zabrałaś ze sobą klucze?”. Jednak było to tylko złudzenie.

Zajrzał do portfela.

– Nie. Cieszę się, że mi o tym przypomniałaś – powiedział. – Muszę wziąć więcej. To potrwa tylko chwilę, nie chcę cię dłużej zatrzymywać.

– Nie ma znaczenia – stwierdziła łaskawie. – Kiedy później przychodzisz, każdy ma lepszą możliwość zobaczyć, w co jesteś ubrana.

Stała przy drzwiach, kiedy wrócił z sypialni, do której poszedł. Leniwie uderzała o otwartą dłoń złożonym wachlarzem, przywiązany wstążką do nadgarstka.

Gdy zobaczyła, że wraca, wdzięcznie ugięła kolana, uniosła do góry brzeg sukienki i wyciągnęła rękę, by chwycić za gałkę. Gotowa była zamiast niego otworzyć i zamknąć drzwi.

Po chwili zauważyła, że jego chód się zmienił. Był chwiejny, niepewny, a nie energiczny jak przedtem.

– Co się stało? Coś niedobrego?

W ręce trzymał dwa banknoty. Rozłożył je przed sobą, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Tylko tyle zostało. To wszystko, co mamy – powiedział otępiałym głosem.

– Chcesz powiedzieć, że zginęły, ukradziono je?

– Nie. Wydaliśmy wszystko, tylko ja o tym nie wiedziałem. Widziałem, że pieniędzy robi się coraz mniej... Powinienem być bliżej się przyjrzeć... Za każdym razem sięgałem i... Zawsze wydawało się, że wciąż sporo zostało. Nie wiedziałem do tej chwili, że to już wszystko... – Uniósł trzymane w rękę banknoty do góry.

Stał nieruchomo, nie patrzył na pieniądze, tylko na nią, jakby ona mogła udzielić rady, której sam nie mógł znaleźć. Odwzajemniła jego spojrzenie, ale nic nie powiedziała. Zapadła głucha cisza.

Otworzyła usta, lecz tylko w zadumie. Nie wydostało się z nich ani jedno słowo, jedynie bezgłośnie westchnienie, które świadczyło o zrozumieniu sytuacji.

Zdjęła lewą rękę z gałki u drzwi i opuściła ją z lekkim uczuciem zawodu. – Co zrobimy? – spytała.

Nie odpowiedział.

– Czy to oznacza, że... nie możemy dzisiaj wyjść?

Patrzył na nią, ale wciąż nie odpowiadał. Wzrokiem lustrował całą jej postać, od stóp do głowy. Widział, jak pięknie się wystroiła, jak perfekcyjną w każdym szczególe figurę prezentowała. Albo raczej chciała zaprezentować, gdyby miała taką możliwość.

Nagle odchylił się w bok i sięgnął zdecydowanym... i buntowniczym ruchem po kapelusz.

– Poproszę o kredyt. Do tej pory, gdziekolwiek się zjawiliśmy, wydawaliśmy dużo pieniędzy. Powinni go nam udzielić.

Tym razem to ona się nie poruszyła, wciąż stała przy drzwiach. Spojrzała w zamyśleniu w dół, na coś, czego nie można było zobaczyć. W końcu pokręciła lekko głową, smutny uśmiech zagościł na jej ustach.

– Nie – powiedziała. – To nie byłoby to samo. Rzuciłoby to na ciebie cień, dowiedzieliby się, że brakuje ci pieniędzy. Traktowałiby cię z mniejszym szacunkiem, gdybyś poprosił o kredyt. Po kilku dniach może zaczęliby cię ścigać, a wtedy znalazłbyś się w znacznie gorszym położeniu niż teraz.

Odeszła od drzwi. Zamknęła je w końcu, ale nie za – tylko przed nimi. Pchnęła je dość mocno. Usiłował określić, czy w tym geście była złość, lecz nie mógł tego powiedzieć z całą pewnością. Być może trzasnęła drzwiami w beztroskim lekceważeniu: chciała mu pokazać, że jest jej obojętne, czy wyjdzie, czy zostanie na miejscu. Nawet jeśli nie było w tym geście złości, to jednak myśl o nim pojawiła się w jego umyśle. Zatem zjawiła się już na scenie, na ich drodze.

Obserwował powrót Bonny w głąb pokoju. Szła opieszalym krokiem do krzesła przed lustrem, na którym niedawno spędziła prawie godzinę. Jednak teraz odwróciła się tyłem do lustra, wykonywała czynności w odwrotnym porządku. Ociężałymi ruchami pozbywała się

kobiecych fatalaszków, które przed chwilą z tak wielką przyjemnością wkładała. Rękawiczki upadły za jej ramieniem na toaletkę. Po kilku sekundach znalazł się na nich nie wypróbowany wachlarz. Jego wyszukane, mamiące działanie nie mogło zostać zademonstrowane. Następny był mały kapelusz z pomarańczowymi piórami. Rzuciła go na krzesło obok, ale nie było w tym geście gwałtowności, raczej filozoficzna rezygnacja. Pióra zafalowały jak rośliny na dnie morza, a potem opadły na oparcie krzesła.

– Skoro tu zostajemy, zapal lampy gazowe – rzekła posępnie.

Uniosła po kolei nogi i zdjęła satynowe pantofle ze szpulowatymi obcasami z epoki Ludwika XV, co najmniej trzycalowymi. Były przesadnie wysokie, ale można to wybaczyć, biorąc pod uwagę wzrost Bonny. Stała na podłodze bosymi stopami, okrytymi jedynie materiałem pończoch.

W końcu coś rozpięła na plecach i pozwoliła sukni opaść pod swoim ciężarem, ale tylko do kibici. Siedziała w pół rozebrana, w całkowitym nieładzie. Chciała w ten sposób podkreślić sytuację. Zrobiła to dla niego, żeby zobaczył, jak zniszczyła dzieło sztuki, które z niezwykłą zręcznością i pracowicie stworzyła. Była to bardziej ostra nagana niż jakakolwiek udzielona słownie.

Włożył ręce do kieszeni, spojrzał na podłogę. Czuł się mały, stłamszony.

Zdjęła z szyi sznur pereł, pozwoliła, żeby zakołysały się w powietrzu. Ważyła je w ręce, a potem schowała w dłoni.

– Czy to pomoże? Możesz je wziąć, jeśli chcesz.

Jego twarz zbladła, jakby ktoś pchnął go nożem. – Bonny! – rzucił wzburzony. – Nie rób nic takiego więcej.

– Ja nic złego nie miałam na myśli – powiedziała łagodnie. – Zapłaciłeś za nie znacznie ponad sto dolarów, prawda? Ja tylko pomyślałam...

– Kiedy coś ci kupuję, jest twoje.

Milczeli przez moment, patrzyli w przeciwnych kierunkach. On w okno, na bezosobowy daleki wieczór na zewnątrz. Ona – w kierunku drzwi. Być może chciała dojrzeć wieczór, który przywoływał ich do siebie.

Po chwili zapaliła cygaro. Zaraz potem rzekła ze skrucą w głosie:

– Och, zapomniałam. Nie lubisz, jak to robię. – Odwróciła się, żeby odłożyć cygaro.

– Nie odkładaj go – powiedział obojętnie. – Wypal do końca, jeżeli chcesz.

Niemniej zgasła je.

Uniosła wysoko jedno kolano przed siebie, zacisnęła na nim dłoń i odchyliła się do tyłu. Potem nagle, znów ze skrucą, zmieniła pozycję.

– Och, zapomniałam. Tego też nie lubisz.

– To było wcześniej, kiedy sądziłem, że jesteś Julią – rzekł. – Teraz to co innego.

Spojrzał na nią z podwójną uwagą, jakby poniewczasie zadał sobie pytanie, czy nie jest to nowy, pośredni sposób łajania go: przypomina mu, jak krytykował jej błędy. Jednak miała raczej

niewinny wyraz twarzy. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że patrzy na nią. Kąciki jej małych ust w łagodnym zadowoleniu uniosły się do góry.

– Przepraszam, Bonny – powiedział w końcu.

Oderwała się od swoich myśli i ponownie zwróciła uwagę na Duranda.

– Mniejsza o to – rzuciła jednostajnym głosem. – To już mi się wcześniej zdarzało. Tobie po raz pierwszy, więc dlatego tak ciężko to przeżywasz.

– Nie jadłaś nic na kolację – szybko zauważył. – Zbliża się ósma.

– Zgadza się – przyznała ochoczo. – Jeść wciąż możemy, prawda?

Znów się zastanowił, czy nie było to ukryte szyderstwo, i znów zdawało się, że to tylko przywidzenie. Jednak taka myśl pojawiła się w jego umyśle – musiała skądś się wziąć.

Bonny wstała, podeszła do ściany i odsłoniła pneumatyczną tubę. Dmuchnęła w otwór i świszczący odgłos powędrował w dół, do celu swego przeznaczenia.

– Czy mógłby pan przysłać kelnera – powiedziała. – Jesteśmy w apartamencie numer dwanaście.

Kiedy przybył kelner, Bonny uprzedziła Duranda i ona złożyła zamówienie.

– Przynieś nam *małą* kolację – powiedziała. – Nie jesteśmy głodni. Kotlet barani dla każdego, to powinno wystarczyć. Żadnej zupy, żadnych słodczy...

Znów oczy Duranda odszukały jej twarz. Chciał się przekonać, czy ten ironiczny akcent przeznaczony był dla niego, ale nie spojrzała mu w oczy.

– To wszystko, proszę pani?

– A, jeszcze jedno. Przynieś talie kart i tacę. Nie wychodzimy nigdzie tego wieczoru...

– Do czego jest to ci potrzebne? – spytał Durand, jak tylko zamknęły się drzwi.

Odwróciła się do niego i słodko uśmiechnęła. – Nauczę cię stawiać pasjansa – odparła. – Nie ma lepszego sposobu na spędzanie czasu.

Nie zareagował od razu. Zbierał się w sobie przez parę minut.

Potem nagle wziął porcelanową ozdobę ze środka stołu, zacisnął usta i roztrzaskał ją o ścianę.

Bonny musiała być przyzwyczajona do gwałtownych zachowań. Lekko tylko odwróciła głowę i uniosła wzrok na tyle, żeby zobaczyć, co to było.

– Obciążą nas za to, Lou. Teraz nie stać nas na takie wydatki.

– Jutro jadę do Nowego Orleanu – oświadczył głosem przepełnionym agresją. – Pojadę pierwszym pociągiem. Ty poczekaś na mnie tutaj. Przywiozę dla ciebie pieniądze, przekonasz się. Wezmę je od Jardine'a.

Szeroko otworzyła oczy, ale czy wyrażały niepokój, nie był w stanie powiedzieć.

– Nie! – zaprotestowała w osłupieniu. – Nie możesz tam się zbliżyć. Nie powinienes. Jesteśmy poszukiwani. Schwytają cię.

– Lepsze to niż życie tutaj jak pies.

Na jej twarzy pojawił się prawdziwy, promienny uśmiech, a nie wymuszony grymas na

ustach. – To jest właśnie mój Lou – mruknęła głosem miękkim i gładkim jak aksamit. – To jest właściwa odpowiedź. Kocham ludzi, którzy podejmują ryzyko.

Rozdział 52

Jardine mieszkał przy esplanadzie. Durand dobrze przypominał sobie ten dom. W kawalerskich czasach często tu w niedzielę jadał obiady. Dla małej córki Jardine'a, Marie, był przyszywanym wujkiem.

Dom się nie zmienił. To nie domy się zmieniają – pomyślał ponuro – ale ludzie. Dwa lub trzy lata temu stałby tu z małą torebką cukierków dla Marie. Teraz było inaczej.

Zapukał do drzwi i czekał z nosem wciśniętym w chusteczkę, jakby miał katar. Jednak chodziło mu o ukrycie rysów twarzy. Zrobił to, mimo że zdawał sobie sprawę, jak bezskuteczne są takie środki ostrożności. Każdy, kto znał go z widzenia, rozpoznałby go z tyłu, nie patrząc na twarz.

Zanim otworzyły się drzwi, zrezygnował z daremnej próby i włożył chusteczkę do kieszeni.

Wciąż mieli tę samą kolorową służącą, Nelly. Przypomniał ją sobie, gdy otworzyła drzwi.

Kiedy go zobaczyła, jej twarz rozpromieniła się. Założyła ręce pod boki. – No proszę, kogo my tu mamy! Nie do wiary! Patrzcie, pan Lou! To na pewno pan?!

Uśmiechnął się bojaźliwie, niepewnie spojrzał na ulicę.

– Czy pan Allan wrócił już z biura?

– Jak to, jeszcze nie. Ale niech pan wejdzie. W domu jest panienka Gusta i mała panienka Marie. Wiem, że obie ogromnie się ucieszą, gdy pana zobaczą.

Przeszedł przez próg, potem się zawahał.

– Nelly, nie... nie mów, że ja przyszedłem... na razie nie. Najpierw muszę się zobaczyć z panem Allanem w sprawach interesów. Po prostu pozwól mi gdzieś poczekać, zanim nie przyjdzie do domu, i nie mów nic... – Zauważył, że niczym petent obraca w rękach kapelusz. Natychmiast przestał. ‘

Nelly obdarowała go spojrzeniem pełnym wyrzutu. – Nie chce pan, żebym powiedziała panience Guście, że wpadł pan do nas?

– Na razie nie. Najpierw muszę spotkać się z panem Allanem.

– No dobrze, niech pan wejdzie do salonu i rozgości się. Zapalę lampę. – Znikła jej wylewność. Była teraz bardziej oschła. – Wziąć pana kapelusz?

– Nie, dziękuję. Zatrzymam go.

– Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, panie Lou, proszę zadzwonić na mnie.

– Wszystko będzie w porządku.

W drzwiach obejrzała się na niego i wyszła.

Zdał sobie sprawę, że stąpa po cienkim lodzie. Ktoś z nich, kto słyszał o *tym*, może zawiadomić policję o jego obecności tutaj i doprowadzić do natychmiastowego aresztowania. Może to być nawet sam Jardine. Był zdany na ich łaskę. Nie mógł z całą pewnością im ufać. Przyjaźń? Tak, dla człowieka tego samego pokroju. Ale przyjaźń dla człowieka winnego morderstwa? To zupełnie co innego.

Mógł słyszeć dobrze sobie znany głos kobiety, która donośnie wołała gdzieś z góry: – Nelly, kto to był?

Gdy Nelly zwlekała z odpowiedzią, odruchowo mocno zacisnął palce na kapeluszu, który wciąż obracał. Zamarł w bezruchu.

– Jakiś dżentelmen, który chciał się zobaczyć z panem Jardine'em w sprawie interesów.

– Czy czeka?

Nelly zręcznie uporała się z problemem. Ominęła bezpośrednie kłamstwo. – Powiedziałam mu, że pan Jardine jeszcze nie przyszedł.

Znów rozległ się głos na górze, ale był cichszy, skierowany do kogoś innego. Jednak wciąż był słyszalny. – To dziwne, że przychodzi tutaj, zamiast do biura twojego taty. – Potem zamilkł, nie było dalszych rozmów.

Durand siedział w blasku pokoju. Patrzył jak oczarowany na pobrzeżka namalowanego na powierzchni kulistego klosza. Mały małż wydawał się zawieszony między Durandem a źródłem światła, które czyniło go półprzeźroczystym.

To jest dom – pomyślał Durand. Nigdy nic złego się tu nie dzieje. Wchodzisz do niego bez winy, wychodzisz uodporniony, możesz ludziom otwarcie patrzeć w twarz. Morderstwo – śmierć człowieka zadana rękami innego człowieka – jest zdarzeniem z Biblii, ksiązek historycznych, czymś dokonywanym przez wodzów i królów w odległych czasach. Przypuszczalnie opuszczasz te fragmenty, gdy głośno czytasz książki dzieciom. Cortez, Borgiowie, Medyceusze; sztylety i trucizny – wszystko to było dawno i daleko, nie w pełnym blasku dziewiętnastowiecznych dni, nie w twoim życiu.

To powinien być mój dom – pomyślał. Chciałem powiedzieć, że mój dom powinien być taki jak ten. Dlaczego okradziono mnie z tego? Co zrobiłem, że tak się nie stało?

Znów na górze rozległ się miły, lecz stanowczy głos kobiety, która wołała do drugiego pokoju. – Marie! Twoje włosy. I twoje ręce. Zaraz tata wróci do domu.

Potem usłyszał wyższy dziecięcy głos w odpowiedzi. – Tak, mamusiu. Czy mogę zawiązać włosy wstążką? Tatuś to lubi.

A gdzieś z dołu falami dolatywał zapach ryżu, warzyw, pieczonego mięsa.

Tego wszystkiego pragnąłem – pomyślał. Dlaczego to utraciłem? Dlaczego mi to zabrano? Wszyscy inni to mają. Czym zgrzeszyłem? Kogo uraziłem?

Jardine przekręcił klucz w zamku. Zaalarmowany Durand obrócił się na krześle, skierował twarz w stronę otwartych drzwi. Chciał, żeby Jardine go zobaczył, gdy będzie przechodził.

Rozległ się trzask odkładanej laski, a potem słabe, głuche kłaśnięcie, gdy kapelusz znalazł swoje miejsce na wieszaku.

Po chwili pojawił się Jardine. Rozpinał długi musztardowy surdut, szedł w kierunku schodów, do swojej rodziny.

– Allan – odezwał się ostrożnie Durand. – Muszę z tobą porozmawiać. Możesz mi poświęcić kilka minut, zanim... zanim spotkasz się z rodziną?

Jardine obrócił się gwałtownie i dopiero wtedy go zobaczył. Podszedł do niego szybkim krokiem, wyciągnął dłoń, żeby się z nim przywitać, ale jego twarz była poważna, zaniepokojona. Już zdążył zareagować na pierwsze słowa Duranda.

– Co ty tu robisz sam w salonie? Kiedy wróciłeś? Czy Augustę wie, że jesteś tutaj? Dlaczego zostawili cię samego?

– Poprosiłem Nelly, żeby nic nikomu nie mówiła. Muszę najpierw sam z tobą porozmawiać.

Jardine pociągnął za koniec welwetowej tasiemki u małego dzwonka z brązu. Potem podszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz i kiedy Nelly zjawiała się na wezwanie, powiedział pełnym niepokoju głosem: – Nelly, zaczekaj z kolacją kilka minut.

– Tak, proszę pana. Tylko że od czekania kolacja nie zrobi się smaczniejsza.

Jardine rozpostarł ręce i zsunął dwa skrzydła drzwi do salonu. Wrócił do Duranda i spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Słuchaj, Allan. Nie wiem, jak zacząć.

Jardine pokręcił głową, jakby niezadowolony ze stanu, w jakim zastał Duranda. – Może drink ci pomoże, Lou?

– Tak, myślę, że tak.

Jardine napełnił kieliszki. Wypili.

Znow stał obok niego. Patrzył na Duranda, który siedział na krześle.

– Lou, stało się coś złego?

– Coś bardzo złego.

– Gdzie wyjechałeś? Gdzie byłeś przez ten cały czas? Nie miałem od ciebie żadnej informacji. Nawet nie wiedziałem, czy jeszcze żyjesz...

Durand przerwał potok pytań, unosząc niezdecydowanie rękę.

– Znow z nią jestem – powiedział po chwili. – Nie mogę wrócić do Nowego Orleanu. Nie pytaj mnie dlaczego. Nie po to tu przyszedłem. – Potem dodał: – Czy czytałeś w gazetach coś, co mogłoby ci to wyjaśnić?

– Nie – odparł Jardine, zastanawiając się. – Nie wiem, o czym mówisz.

Nie czytał – rozmyślał Durand. Naprawdę nie wie? Czy mówi prawdę, czy może jest zbyt delikatny, subtelny, żeby mi powiedzieć, że... Jardine zajrzał do kieliszka i wypił resztę alkoholu.

– Lou, nie chcę wiedzieć o tym, o czym nie chciałbyś mi powiedzieć. Życie każdego człowieka jest jego własnością.

Tak samo było w przypadku Downsa – przemknęło Durandowi przez myśl – dopóki ja...

– No cóż, przejdźmy do sprawy, która mnie tu sprowadziła – powiedział z werwą, którą wcale nie tryskał. Jeszcze raz obrócił się na krześle, by zwrócić się do Jardine'a. – Allan, jaka jest obecnie wartość przedsiębiorstwa? Mam na myśli, jaka byłaby uczciwa cena, gdyby ktoś...

Jardine zbladł. – Lou, myślisz o sprzedaży?

– Tak, myślę o sprzedaży, Allan. Tobie, jeśli wykupisz moje udziały. Wykupisz? Jesteś w stanie?

Jardine wydawał się niezdolny, by natychmiast odpowiedzieć. Chodził w tę i z powrotem przy krześle, na którym siedział Durand. Skrzyżował ramiona na piersi, a potem założył je z tyłu.

– Mogę ci o tym powiedzieć, zanim przejdziemy dalej – dodał Durand. – Nie mogę ich sprzedać komukolwiek innemu, tylko tobie. Nie mogę ujawnić transakcji. Nie mogę z nikim innym pertraktować. Notariusz będzie musiał przyjść do twojego domu. Wszystko powinno być zrobione w tajemnicy.

– Poczekaj przynajmniej dzień lub dwa – nalegał Jardine. – Przemyśl...

– Nie mam dnia lub dwóch, by czekać! – Zdenerwowany Durand przechylał głowę to w jedną, to w drugą stronę. – Nie rozumiesz? Mam ci powiedzieć otwarcie?

Za chwilę będzie za późno – ostrzegł się Durand. Kiedy mu powiem, będę całkowicie zdany na jego łaskę. To, co chcę mu sprzedać, i tak stanie się jego własnością, gdy nie będę mógł wywiązywać się z warunków umowy. Wystarczy, żeby pociągnął za taśmę u dzwonka i...

Po krótkiej chwili zastanowienia powiedział mu jednak.

– Allan, jestem uciekinierem. Jestem wyjęty spod prawa. Straciłem wszystkie swoje prawa jako obywatel.

Jardine zatrzymał się oszołomiony. – Wielki Boże! – wysapał powoli.

Durand z rozpaczą klepnął się w udo. – To musimy załatwić dzisiaj, teraz. Nie mogę czekać. *Nie mogę*. Ryzykuję, pozostając tak długo w mieście.

Jardine pochylił się nad nim, położył dłonie na jego ramionach i mocno zacisnął. – Odrzucasz całą swoją przyszłość, pracę swojego życia... Nie mogę ci na to pozwolić...

– Allan, nie mam przyszłości. Zostało mi niewiele czasu. A praca mojego życia... obawiam się, że to już przeszłość, niezależnie czy sprzedam udziały, czy nie. – Opuścił bezradnie ręce. – Allan, co zamierzasz zrobić? – mruknął żałośnie. – Czy masz zamiar mi pomóc?

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem dziecięcy głos: – Tatusiu, mama chce wiedzieć, czy jeszcze długo cię nie będzie. Kaczka zaraz się przypali. Nelly nie wie, co robić.

– Zaraz, kochanie, zaraz! – Jardine krzyknął nad ramieniem.

– Idź do rodziny – przekonywał Durand. – Przeszkadzam ci w kolacji. Posiedzę tutaj i poczekam.

– Nie mógłbym jeść, myśląc o tym – powiedział Jardine. Pochylił się ponownie nad Durandem, jakby chciał odzyskać jego zaufanie. – Słuchaj, Lou. Znamy się od czasu, gdy ty miałeś dwadzieścia trzy lata, a ja dwadzieścia osiem. Od czasu, gdy byliśmy urzędnikami pracującymi jak niewolnicy na tej samej ławie w dziale ekspedycji u starego Morela. Popieraliśmy się. Kiedy chciał awansować ciebie, twierdziłeś, że to ja bardziej zasługuję na awans. Kiedy chciał awansować mnie, polecałem ciebie. Wreszcie byliśmy gotowi, złożyliśmy pieniądze i wspólnie rozpoczęliśmy interes: założyliśmy nasze własne przedsiębiorstwo importowe. Mieliśmy niewiele gotówki, nawet z pieniędzmi, które wniosła w małżeństwo Augustę. Dobrze pamiętasz te pierwsze dni.

– Pamiętam, Allan.

– Ale się nie przejmowaliśmy. Powiedzieliśmy sobie, że lepiej pracować na swoim i stracić, niż pracować dla kogoś i zyskać. Zaczęliśmy pracować na własny rachunek... i powiodło się nam. Są teraz w naszym przedsięwzięciu rzeczy, których nie można wykupić. To pot, niepokój, wielkie nadzieje dwóch młodych przyjaciół, najlepsze lata ich życia. A ty przychodzisz do mnie i chcesz *mnie* wszystko to sprzedać, tak jakby to były worki kawy z Kolumbii... Jak mógłbym to kupić, nawet gdybym chciał? W jaki sposób miałbym wyznaczyć cenę?

– Możesz powiedzieć, ile warte jest w gotówce przedsiębiorstwo. To jest zapisane w naszych księgach. Daj mi połowę za zrzeczenie się praw własności. I zapomnij o mnie, o Lou Durandzie. Jestem obcym człowiekiem, któremu zdarzyło się mieć połowę udziałów. Daj mi pieniądze za moje udziały, o to cię proszę. – Nerwowo gestykułował. – Nie rozumiesz, Allan?! Nie mogę dłużej prowadzić tego interesu. Nie mogę być już współudziałowcem. Nie mogę nawet pozostać tutaj.

– Ale dlaczego? Nie zrobiłeś nic, co...

– Zrobiłem. Jest coś takiego.

Jardine czekał, patrzył na niego przenikliwym wzrokiem.

– Powiem ci, Allan, jestem na twojej łasce. Nie musisz dawać mi ani centa, a i tak moje udziały przejdą na twoją własność... po pewnym czasie, ze względu na to, że nie będę w stanie wykorzystywać swoich praw.

Przecież mój los zależał od niego – tłumaczył sobie Durand – nawet gdybym mu o tym nie powiedział.

Jardine zachnął się lekko i wyprostował. – Lou, tu nie chodzi o jakąś łaskę. Jesteśmy przyjaciółmi...

– Przyjaźń skończy się zaraz po tym, co ci powiem. Nie ma przyjaciół poza pewną granicą. Prawo tego nawet zabrania, karze.

Znów rozległo się pukanie do drzwi. – Mama się zdenerwowała. Powiedziała, że usiądzie sama do kolacji. To specjalna kaczką...

Na ten przejaw życia rodzinnego Durand zareagował jak człowiek, który przekroczył linię i nie może się już powstrzymać.

– Allan, dopuściłem się morderstwa. Nie mogę czekać do jutra. Muszę mieć pieniądze... – Zwiesił głowę i bezwładnie opuścił ręce, jakby pętla wisielczego sznura zacisnęła się na jego szyi.

– Tato? – rozległo się pytanie za drzwiami.

– Poczekaj, dziecko, poczekaj – wykrztusił Jardine. Był blady jak kreda.

Zapadła grobowa cisza.

– Wiedziałem, że do tego dojdzie – rzekł w końcu Jardine, zniżając głos. – Od samego początku była nieodpowiednią osobą dla ciebie. Augustę wyczuła to już w dniu twojego ślubu, powiedziała mi to. Kobiety są pod tym względem bardziej przenikliwe. – Nalał sobie drinka, nerwowo, jakby była to jego wina. – Spotkałeś ją... Znalazłeś ją... Straciłeś głowę... – Podał i

Durandowi kieliszek. – Ale nie można cię za to winić. Każdy mężczyzna... Lou, pozwól, że znajdę ci dobrego prawnika. Nie ma sądu w stanie, którego...

Durand spojrział na niego i uśmiechnął się patetycznie.

– Nie rozumiesz mnie, Allan. To... nie była ona. To był detektyw, którego wynająłem, żeby ją odnalazł i zatrzymał. On odszukał ją i żeby ją uratować ja...

Jardine był jeszcze bardziej przerażony, ale na jego twarzy pojawił się zauważalny cień mściwej satysfakcji. Zrobił krok do tyłu.

– Znów z nią jestem – przyznał Durand. – Kocham ją bardziej niż swoje życie – powiedział prawie niesłyszalnym szeptem, jakby mówił do swojego sumienia, a nie do innej osoby w pokoju.

– Tatusiu – rozległ się piskliwy głos w przerażającej bliskości. Mama powiedziała, że bym nie odchodziła od drzwi, dopóki tatuś nie wyjdzie.

Gałka u drzwi przekreśliła się, a potem wróciła w poprzednie położenie.

Jardine długo stał nieruchomo. Nie patrzył na swojego przyjaciela, ale na coś, co tylko sam mógł zobaczyć. W końcu powoli wyciągnął rękę i przygnębiony ciężko, ale z niewysłowioną lojalnością, położył ją na ramieniu Duranda.

– Zapewniam cię, że dostaniesz pieniądze za swoje udziały – powiedział. – A teraz... nie możemy pozwolić, żeby Augustę dłużej czekała. Nie poddawaj się nieszczęściu. Chodź, zjesz z nami kolację.

Durand wstał i mocno uściskał tę rękę między swoimi dłońmi, omal jej nie miażdżąc. Po chwili, chyba zawstydzony mimowolnym wybuchem radości, wypuścił ją.

Jardine otworzył drzwi i pochylił się, żeby pocałować kogoś, kogo nie można było zobaczyć w zasłoniętych przez niego drzwiach. – Biegnij, kochanie. Już idziemy.

Durand dodał sobie odwagi, wyprostował się, obciągnął surdut i poprawił kołnierzyk. Potem ruszył za gospodarzem.

– Allan, nie powiesz im?

Jardine przytrzymał drzwi, żeby przepuścić Duranda jako pierwszego.

– Lou, są pewne rzeczy, o których nie mówi się przy stole. – Objął ramieniem swojego przyjaciela i lojalnie poszedł obok niego tam, gdzie czekała na niego rodzina.

Rozdział 53

O świcie już był na nogach. Zerwał się z łóżka; całą noc nie mógł spać, niepokoił się. Kiedy się ubrał, zaczął krążyć po obskurnym pokoju hotelowym. Czekał na Jardine'a, który miał przyjść z pieniędzmi...

– Lou, mogę ci dostarczyć pieniądze dopiero rano. Nie mam ich w domu, muszę wypłacić z banku. Możesz poczekać?

– Muszę. Mieszkam w hotelu *Pod palmami*. Zameldowałem się w nim pod nazwiskiem Castle. Pokój numer sześćdziesiąt. Przynies tam pieniądze, wszystkie albo tyle, ile możesz. Nie mogę dłużej czekać.) ... i z każdą godziną obawiał się coraz bardziej, że nie przyjdzie.

Kiedy minęła godzina otwarcia banków i nastał dzień, obawa zaczęła się przekształcać w pewność. Wiedział, że czekanie tutaj jest zaproszeniem do zdrady. Zaskoczą go i aresztują.

Setki razy otwierał drzwi i nasłuchiwał odgłosów z obskurnego korytarza. Nic, nikogo. Jardine nie pojawiał się. Tylko skończony głupiec mógł tego oczekiwać.

Znów uświadomił sobie, że jest całkowicie zdany na łaskę byłego partnera w interesach. Wystarczyło tylko, żeby zamiast przynosić pieniądze, przyprowadził ze sobą policję i byłby to koniec wszystkiego. Dlaczego miałby mu dawać tysiące ciężko zarobionych dolarów? Pieniądze – pomyślał Durand – robią straszne rzeczy z ludźmi. Zwracają ich nawet przeciw swoim najbliższym, a co dopiero mówić o obcych osobach.

Przypomniał sobie uwagę Bonny: „Nie ma dobrych ludzi na tym świecie”. Ona wiedziała. Znała życie znacznie lepiej niż on. Nie wpadłaby w taką pułapkę.

Nie powinno stawiać się przyjaciół w takiej sytuacji. Człowiek wyjęty spod prawa nie może już dłużej spodziewać się, że...

Rozległo się ciche pukanie. Durand skulił się przy ścianie. Właśnie przyszli, żeby mnie aresztować – przebiegło mu przez myśl. Nasłał ich na mnie...

Nie poruszył się. Po raz drugi usłyszał pukanie.

A potem ściszony głos Jardine'a: – Lou, jesteś tam? Wszystko w porządku. To ja.

Przyprowadził ich ze sobą, osobiście wskazał im miejsce.

Ponieważ nie mógł już uciec, Durand z pewnym rodzajem buntu podszedł do drzwi, przekręcił klucz w zamku i tak zostawił.

Przez chwilę nic się nie działo, potem drzwi otworzyły się i wszedł Jardine. Był sam. Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku. W ręku trzymał małą teczkę.

Podszedł i położył ją na stole.

– Tutaj są pieniądze, Lou. Przepraszam, że przyszedłem tak późno – powiedział Jardine rzeczowo.

Durand przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Odwrócił głowę, walczył z emocjami.

– Lou, o co chodzi? Twoje oczy... ! – Jardine patrzył na niego, jakby nie rozumiał, co – się z

nim dzieje.

Durand, zmieszany, otarł oczy. – Nic. Po prostu przyszedłeś, tak jak powiedziałeś... Przyniosłeś pieniądze, jak zapewniłeś... – Zaczęło go ścisnąć w gardle, nie mógł dalej mówić.

Jardine spojrzał na niego ze współczuciem.

– Kiedy poprosiłeś, mogłeś się spodziewać, że spełnię twoją prośbę. Lou, co się zmieniło? *Kto* cię tak zmienił? – Cicho, boleśnie, przez zaciśnięte zęby, gdy jego pięść w nieprzejednanym geście opadła na stół, wyrzucił z siebie: – Niech Bóg to przeklnie! Nie mogę patrzeć, jak przyzwoity człowiek stacza się na dno.

Durand nie odzywał się.

– Wiesz, że to prawda, bo w przeciwnym razie nie czekałbyś tutaj na pieniądze ode mnie – burknął Jardine. – Ale już nic więcej nie powiem. Każdy sam musi się zmagać ze swoim losem.

(Wiem, że to prawda – pomyślał Durand ze smutkiem. Ale muszę iść za głosem swojego serca. Czy mogę się mu przeciwstawić?) – Nie mów nic więcej – zgodził się głośno.

Jardine otworzył teczkę. – Wszystkie pieniądze są tutaj – rzekł stanowczym głosem biznesmena. – To wyrównuje rachunki między nami.

Durand skinął z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nie mogę cię znów przyjąć w moim domu – oznajmił mu Jardine.

– Dla twojego dobra.

Durand wybuchnął krótkim, trochę niegrzecznym śmiechem. – Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Staram się ochronić ciebie. Augustę zaczyna już coś podejrzewać, a ja nie mogę zareczyć, że zachowa dyskrecję, jeśli ponownie przyjdiesz do nas.

– Augustę mnie nienawidzi, prawda? – spytał obojętnie, jakby to nie on był za to odpowiedzialny.

Jardine nie odpowiedział i w ten sposób potwierdził przypuszczenia Duranda.

Wskazał na zawartość teczki, wciąż nie wypuszczając jej z rąk.

– Lou, przekażę ci te pieniądze pod jednym warunkiem. Proszę cię o to dla twojego własnego dobra.

– Jakim warunkiem?

– Nie powierzaj tych pieniędzy nikomu innemu, *niezależnie jak bliska jest ci ta osoba*. Trzymaj je w bezpiecznym miejscu. Zachowaj je dla siebie, nie wypuszczaj ich z rąk.

Durand roześmiał się nerwowo. – Komu miałbym je powierzyć? Sytuacja, w której się znajduję, zapewnia...

Jardine z naciskiem powtórzył swoje słowa, żeby nie było pomyłki.

– Powiedziałem: *Niezależnie jak bliska jest ci ta osoba*.

Durand przez chwilę wpatrywał się w niego przenikliwym wzrokiem.

– Widzę, że nieźle wam to wyszło. Augustę nienawidzi mnie, a ty nienawidzisz... mojej żony.

– Twojej żony – powtórzył Jardine bezbarwnym głosem.

Durand zacisnął ręce. – Powiedziałem przecież: mojej żony.

– Lou, nie kłóć się. Daj mi swoje słowo.

– Słowo mordercy?

– Słowo człowieka, który był moim najlepszym przyjacielem. Słowo człowieka, który był kiedyś Louisem Durandem – podkreślił Jardine. – To wystarczy.

– Niech będzie. Masz moje słowo.

Jardine wręczył mu teczkę. – Muszę już iść.

Uczucie zażenowania zawisło między nimi. Jardine wyciągnął rękę na pożegnanie. Durand popatrzył na nią, chwilę się zastanawiał, zanim podał mu swoją dłoń. Kiedy w końcu uścisnęli sobie ręce, więcej w tym geście było przymusu związanego z dawną przyjaźnią niż terażniejszej serdeczności.

– Wątpię, żebyśmy się jeszcze kiedykolwiek spotkali.

Durand posepnie spuścił wzrok. – Nie zatrzymujmy się nad tym. Życzę ci powodzenia i dziękuję, że kiedyś byłeś moim przyjacielem.

– Lou, wciąż jestem twoim przyjacielem.

– Ale ja nie jestem już tym człowiekiem, z którym się przyjaźniłeś.

Ich dłonie rozłączyły się.

Jardine ruszył w stronę drzwi. – Oczywiście wiesz, co zrobiłbym na twoim miejscu? Zgłosiłbym się na policję, oddałbym się w ręce sprawiedliwości. Miałbym to wszystko za sobą.

– I zawisł na szubienicy – dodał Durand ponurym głosem.

– Tak, nawet śmierć na szubienicy jest lepsza niż to, co cię czeka. Lou, tobie nic i nikt nie może pomóc. Gdybym był na twoim miejscu...

– Nie *mógłbyś* się znaleźć na moim miejscu – Durand przerwał mu stanowczo. – Po pierwsze, to nie mogło się przytrafić tobie. Ty nie jesteś tego typu człowiekiem, któremu taka rzecz mogłaby się zdarzyć. Ja jestem. Ty odpychasz takie przypadki, ja przyciągam. Mnie się to zdarzyło. Nikomu innemu, tylko mnie. I to ja muszę sobie z tym radzić. Muszę.

– Tak, musisz – przyznał Jardine ze smutkiem. – Nie mogę mówić za kogoś innego.

Otworzył drzwi i zaciekawiony spojrział melancholijnie na krawędź drzwi, jakby po raz pierwszy coś takiego widział. Nawet dotknął jej.

– Troszcz się o siebie – było ostatnią rzeczą, którą powiedział.

– Jeśli nie ja, kto inny będzie się o mnie troszczył? – odpowiedział pytaniem Durand z głębin swojej samotności. – Czy jest ktoś na tym całym świecie, kto by to zrobił... ?

Rozdział 54

Odetchnął swobodnie dopiero wtedy, gdy pociąg ruszył. Wyrzwał przez okno, kiedy ostatnie zabudowania miasta zostały z tyłu i zaczęły się posępne piaski. Opuścił miasto, które kochał najbardziej ze wszystkich miejsc na świecie.

Rozklekotany pociąg włókł się jak gąsienica. Wydawało się, że bez – przerwy zatrzymuje się, by nabrać wody. Dowiózł Duranda do celu późno w nocy. Stacja była pusta, nieoświetlona. Nie czekały też żadne dorożki. Musiał pójść pieszo do hotelu. Szedł pod dywanem kruchych gwiazd, które zdawały się mrugać ironicznie.

Chociaż myśl o zaskoczeniu jej na zdradzie nie była przyczyną jego wcześniejszego przybycia, świadomość, że ten niespodziewany powrót może się okazać fatalny w skutkach, narastała w nim stopniowo przez całą drogę. Kiedy wreszcie dotarł do hotelu i stanął przed drzwiami, bał się nawet wyjąć klucz i otworzyć drzwi. Obawiał się tego, co zastanie. Nie klasycznej zdrady, ale raczej typowej dla niej. Nie obawiał się, że zastanie ją w ramionach innego mężczyzny, lecz że nie zastanie jej w ogóle. Okaze się, że uciekła podczas jego nieobecności, jak to już raz zrobiła.

Delikatnie otworzył drzwi i wstrzymał oddech. W pokoju było ciemno, a zapach fiołków, który go przywitał, nic nie oznaczał – mógł pozostać z poprzedniego dnia. Poza tym czuł ten zapach sercem, a nie nosem, więc nie był to prawdziwy sprawdzian.

Wyjął małe pudełko woskowych zapalek, które grzechotały i klekotały w drżącej ręce. Po omacku poszukał draski przyklejonej do ściany, potarł o nią zapalną i zapalił lampę. Obejrzał się, gdy złociste światło rozproszyło mrok.

Spała jak niemowlę, niewinna i piękna. (Przypuszczalnie tylko podczas snu mogła być niewinna). Ułożyła się rozkosznie i naturalnie jak dziecko. Jej włosy rozsypały się na poduszce. Wydawało się, że jej głowa leży na złocistej trawie. Jedną rękę miała schowaną, wystawał tylko łokieć. Druga zwisała z łóżka. Kciuk i palec wskazujący wciąż się dotykały, tworząc nieregularną, małą pętlę, w której wcześniej coś trzymała. Poniżej, na dywanie, leżały dwie karty: dama karowa i walet kierowy.

Reszta talii leżała rozrzucona na kołdrze, niektóre karty nawet na Bonny.

Ukląkł na jedno kolano obok niej. Uniósł zwisającą rękę i pocałował ją. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, przyjął odwieczną pozę kochanka starającego się o względy kobiety, apelował do serca, którego nie mógł zmieknąć.

Zmiotł karty na podłogę i zastąpił je pieniędzmi, które przywiózł z Nowego Orleanu. Trzymał plik banknotów w ręku nad łóżkiem i pozwolił im swobodnie opadać. Wirowały niczym płatki śniegu, były ulewą zielonych i pomarańczowych liści.

Otworzyła oczy i spojrzała na pofałdowaną powierzchnię kołdry. Jej wzrok przykuł jeden z banknotów.

– Sto dolarów – mruknęła sennym głosem.

– Lou wrócił – wyszeptał. – Zobacz, co ci przywiózł z Nowego Orleanu. – Zebrał kilka banknotów z koldry i znów je wypuścił.

Jeden z nich opadł na jej włosy. Wyciągnęła rękę i dotknęła go. Na jej ustach pojawił się sztuczny uśmiech satysfakcji. Nie zdjęła banknotu z włosów, zostawiła go tam, jakby było to najbardziej odpowiednie miejsce dla niego. Wyciągnęła ręce do Duranda i musnęła jego brwi, policzki, uszy w leniwym geście uznania.

– Co robiłaś z tymi kartami?

– Usiłowałam wywróżyć naszą przyszłość. Zasnęłam, kiedy to robiłam. Mnie przypadła dama karowa. Ta karta oznacza pieniądze. Wróżba okazała się prawdą. Już nigdy więcej nie będę się z tego śmiała.

– A mnie co przypadło?

– As pikowy.

Roześmiał się. – Co on oznacza?

Poczuł, że jej ręka, która gładziła teraz jego włosy, zatrzymała się.

– Nie wiem.

Miał przeczucie, że wie, ale nie chce mu powiedzieć.

– Dlaczego wróżyłaś z kart? Czego to chciałaś się dowiedzieć?

– Chciałam się dowiedzieć, czy wrócisz.

– Nie wiedziałaś, że wrócę?

– Wiedziałam – tłumaczyła się. – Ale nie byłam pewna.

– A ja nie byłem pewien, że cię tutaj zastanę – przyznał.

Nagle odezwała się w niej całkowita szczerłość, do której była zdolna, ale którą tak rzadko okazywała. Konwulsyjnym, rozpaczliwym ruchem objęła go ramionami za szyję. – Na Boga! – jęknęła gorzko. – Lou, co złego się z nami dzieje? Czy to nie koszmar, że nie możemy sobie ufać?

Westchnął w odpowiedzi.

Zaraz potem powiedziała: – Teraz zamierzam się przespać.

Zamiast na poduszce oparła swoją głowę o jego.

– Nie ruszaj pieniędzy – mruknęła łagodnie. – Czuję się lepiej, gdy leżą na mnie.

Po chwili poznał po oddechu, że zasnęła. Głowę opierała o niego, rękami wciąż obejmowała go za szyję. Odniosł wrażenie, że nigdy nie zbliżył się bardziej do niej niż teraz. Znalazł się w jej ramionach, a ona nie była tego świadoma.

Jego serce modliło się. Nie wiedział jednak do kogo. Prosił o nicłość wokół siebie, w której z własnej woli chciał się zanurzyć.

Spraw, żeby mnie pokochała – błagał w myślach – tak jak ja ją pokochałem. Otwórz jej serce dla mnie, tak jak ja otworzyłem dla niej. Jeżeli nie może pokochać mnie dobrą miłością, niech pokocha złą. Byleby mnie tylko pokochała, w jakikolwiek sposób. O to tylko proszę. Dla tej miłości zrezygnuję ze wszystkiego, przyjmę wszystko, co mnie spotka, pogodzę się nawet z

losem zwiastowanym przez asa pikowego.

Rozdział 55

Natrafiał na to zupełnie przypadkowo. Było to niemal nieprawdopodobne w tym miejscu i o tym czasie. Jeszcze mniej prawdopodobny był sposób, w jaki się na to natknął.

Poprosiła go, żeby wyszedł i przyniósł jej cienkie cygara, których stała się ofiarą. Nazywały się „La Favorita”. Czekał wtedy, aż ona się ubierze. Czynność ta zajmowała jej dwa-trzy razy więcej czasu niż jemu. Paliła teraz przy nim otwarcie, ale tylko wtedy, kiedy byli sami. Nic nie mogło jej odwieść od tego nałogu i w końcu musiał zrezygnować z nakłaniania jej do rzucenia palenia. Nie zwracał już na to uwagi. Jednak to on opróżniał popielniczki i sprzątał popiół, który lekkomyślnie zostawiała za sobą. Otwierał okna, by wywietrzyć pokój, a nawet raz lub dwa razy, kiedy niespodziewanie zjawiała się pokojówka, musiał wziąć od Bonny cygaro i sam palić, chociaż był niepalący. Robił to, żeby chronić dobre imię Bonny, zapobiec plotkom.

– To jak ty sobie radziłaś... przedtem? – zapytał, gdy poprosiła go o przyniesienie cygar.

Myślał o czasach, zanim go spotkała. Zastanawiał się, czy był ktoś, kto by je dla niej kupował.

– Musiałam je sama kupować – przyznała.

– *Sama?* – Stracił oddech ze zdziwienia. Wydawało się, że nie przestanie go zaskakiwać.

– Zwykle mówiłam, że są dla mojego brata, który jest chory i nie może wyjść z domu. Mogę powiedzieć, że zawsze mi wierzone, ale... – Wzdrygnęła się ze wstrętem.

Jak mogli jej sprzedawcy nie wierzyć? – pomyślał Durand. Kto o zdrowych zmysłach mógł przypuszczać, że kobieta ośmiela się kupować cygara dla siebie?

– Ale nie lubiłam tego robić – dodała. – Wszyscy dziwnie na mnie patrzyli, jak na czarownicę lub kogoś takiego. Jeśli w sklepie było więcej osób, a zwykle było, zapadała głucha cisza, jakbym rzuciła czary. Ale zawsze, zanim się to stało, mogłam usłyszeć kilka słów nie przeznaczonych dla mnie. Potem ludzie w sklepie stali i patrzyli po sobie wzrokiem pełnym winy; zastanawiali się, czy coś słyszałam, czy rozumiałam znaczenie słów. – Roześmiała się. – Mogłam mówić, że tak. Poprawiłabym ich złe samopoczucie.

– Bonny! – wykrzyknął z naganą w głosie.

– No cóż, kupowałam – podkreśliła. – Dlaczego mam zaprzeczać? – Jeszcze raz się roześmiała, tym razem z wyrazu jego twarzy. – Och, idź już. Nie bądź taki sztywny i przyzwoity!

Sklep z tytoniem wybrał zupełnie przypadkowo. W tej trafice, podobnie jak w innych sklepach tego typu w miejscowościach wypoczynkowych, sprzedawano drobiazgi, które mogły skusić przyjezdnych – widokówki, karty pocztowe, cukierki w słoiczkach, pamiątki, nawet zabawki. Dodatkowo, zaraz przy wejściu, żeby rzucał się w oczy, stał drewniany stojak z gazetami z różnych miast. Nowość ta obliczona była na gości, którzy tęsknili za domem.

Zatrzymał się przy stojaku, gdy wychodził ze sklepu, i leniwie spojrzął na gazety. Chciał znaleźć wydaną w Nowym Orleanie. Miał niejasne przeczucie, że sama nazwa miasta pobudzi go.

Dom. Nazwa miasta rodzinnego na wygnaniu. Ulica Kanałowa w pełnym słońcu, Królewska, Podwale, Katedralna... Zapomniał, gdzie jest i poczuł się bardzo samotny. Tęsknota przeszła go do szpiku kości. Była to miłość innego rodzaju: miłość, którą każdy człowiek odczuwa do miejsca, gdzie przyszedł na świat, które poznał jako pierwsze.

Nie znalazł żadnej gazety z Nowego Orleanu, zauważył natomiast wydaną w Mobile. Wyciągnął ją ze stojaka. Była stara, do tej pory nie została jeszcze sprzedana, nosiła datę sprzed dwóch tygodni.

Tymczasem podszedł do niego sprzedawca. – Mogę w czymś pomóc? Skąd pan pochodzi? Mamy gazety ze wszystkich miast, a jeśli nie, radość nasza nie będzie znała granic, gdy będziemy mogli sprowadzić te, których pan potrzebuje...

Durand zdążył już otworzyć gazetę... składała się tylko z dwóch złożonych kartek... i to rozbłysło mu przed oczyma niczym płomień spalanego prochu.

PRZERAŻAJĄCE ODKRYCIE W NASZYM MIEŚCIE

Przed kilkoma dniami odkryto zwłoki w piwnicy domu na ulicy Decatura. Podczas ostatniej powodzi jego mieszkańcy tak samo jak ich sąsiedzi musieli uciekać. Po ich powrocie, gdy opadła woda, ujawnił się grób i częściowo ciało. Przypuszczalnie woda wymyła luźno ułożoną glinianą podłogę, gdyż nie znaleziono innych śladów tego dokonanego po kryjomu pochówku. O tym, że popełniono morderstwo, świadczyć może znaleziona w szczątkach ołowiana kula. Obecni najemcy domu, którzy natychmiast zgłosili ponure odkrycie na policji, zostali uwolnieni od jakiegokolwiek odpowiedzialności, ponieważ zwłoki znajdowały się w takim rozkładzie, że wykluczono, aby to oni popełnili morderstwo.

Obecnie policja zajmuje się zbieraniem informacji o poprzednich najemcach, by ich przesłuchać. W miarę możliwości nasza gazeta będzie informowała o postępach w śledztwie.

Kiedy kilka minut później, ciężko dysząc, Durand wpadł do pokoju, Bonny właśnie oderwała się od lustra. Jej policzki po masażu były czerwone niczym dojrzałe brzoskwinie.

– Co się stało? Jesteś blady, jakbyś zobaczył ducha.

Zobaczyłem – pomyślał – spojrzałem mu wprost w twarz. W twarz człowieka, którego, jak nam się zdawało, pochowaliśmy na zawsze.

– Odkryli go – powiedział krótko.

Domyśliła się od razu.

Przyjęła to zdumiewająco trzeźwo – pomyślał. Nie przestraszyła się, nie zbladła. Czytała artykuł, jakby zainteresowana była jego formą a nie treścią. Nic nie powiedziała, gdy skończyła. To on musiał się odezwać.

– No i co powiesz?

– Mogliśmy się tego spodziewać. – Wskazała ręką na gazetę. – Tutaj wszystko jest napisane. Co więcej można dodać? – Filozoficznie wzruszyła ramionami. – Nie jest tak źle. Mogło się to

zdarzyć znacznie wcześniej. – Zaczęła liczyć na palcach. Przypominała teraz plotkującą gospodynię domową, która oblicza czas narodzin dziecka. – Kiedy to było? Przypominam sobie, że około dziesiątego czerwca. To już trzy miesiące...

– Bonny! – jęknął. W przerażeniu zamknął oczy.

– Oni nie wiedzą, kto to jest. Nie będą w stanie tego dociec. Dla nas jest to sprzyjająca sytuacja.

– Ale oni *wiedzą*. *Wiedzą* – wykrztusił. Jak niedźwiedź szukający wyjścia z klatki szybko robi! po dwa kroki we wszystkich kierunkach.

Nagle wstała, zrzucając coś ze złością na podłogę. Była zdenerwowana na niego. Chciała go uspokoić, przemówić do rozsądku. Podeszła do niego, chwyciła za klapy surduta i potrząsnęła nim gwałtownie. Robiła to dla jego dobra, chciała, żeby zaczął myśleć logicznie.

– Posłuchasz mnie?! – wybuchła. – Ruszysz swoją głową? Oni wiedzą *co* mają. To jasne. Ale wciąż nie wiedzą *kto*. Nie wiedzą, kto to zrobił. I nigdy się nie dowiedzą. – Ostrożnie spojrzała w stronę zamkniętych drzwi, zniżyła głos. – Wtedy w pokoju nie było żadnego świadka. Nie było go w całym domu. Nikt nie widział, co się wydarzyło. Nigdy o tym nie zapominaj. Policja może przypuszczać, podejrzewać, może być nawet pewna, ale nie będzie w stanie *udowodnić*. Minęło dużo czasu, jest za późno, żeby byli w stanie znaleźć dowód. Co ci powiedzieli na policji, kiedy tam poszedłeś w mojej sprawie? Musisz mieć *dowód*. Oni nie mają żadnego. Sam wyrzuciłeś... wiesz co. Leży teraz zagrzebany w piasku gdzieś na plaży w Mobile. Rdzewieje, zżera go słona woda morska. Czy policja jest w stanie powiedzieć, że kula pochodzi z tego rewolweru, a nie z innego? – Roześmiała się szyderczo. – Nie, nie znaleziono jeszcze takiego sposobu!

Nie zwracał uwagi na to, co mówi Bonny. Rozglądał się wokół siebie. Patrzył na ściany, nawet na sufit. Czuł, że chcą go uwięzić.

– Wyjedźmy stąd – powiedział zdławionym głosem, szarpiąc za kołnierzyk. – Nie jestem w stanie dłużej tutaj wytrzymać.

– To nie tutaj dokonano tego odkrycia, ale w Mobile. Jesteśmy tu teraz tak samo bezpieczni jak przed odnalezieniem zwłok. Oni nie wiedzieli i nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Chciał dodać do tego jeszcze jedną osłonę, nawet jeśli była zbyt cenna, oddzielającą ich od nieubłaganej sprawiedliwości, która gromadziła się na horyzoncie niczym chmura burzowa.

Westchnęła, gdy spojrzała na jego zrozpaczoną twarz.

– Obawiam się, że tak spędzimy wieczór – mruknęła bardziej do siebie niż do niego. – A tak chciałam włożyć tę nową ciemnoczerwoną suknię z tafty... – Chcąc go uspokoić, uderzyła go w ramię. – Zejdź na dół i wypij drinka. Mocnego. Widzę, że tego najbardziej ci potrzeba. Bądź dobrym chłopcem. Gdy wrócisz, zobaczymy, jak będziesz się czuł, i wtedy coś wymyślimy. Dobry chłopiec. – Potem rzuciła, jakby od niechcenia: – A ja w tym czasie się ubiorę. Może pokaże tę nową suknię...

W końcu nie wyjechali z miasta. Jednak to nie jej argumenty go zatrzymały, ale przerażenie, które go zauroczyło i nie wypuszczało z uścisku.

Czekał na następną gazetę z Mobile. Wiedział, że tutaj ją najszybciej dostanie.

Czekał pięć dni. Bez przerwy zaglądał do sklepu z tytoniem.

– Czasami je szybko przesyłają, czasami nie – powiedział sprzedawca. – Mogę napisać i ich ponaglić, jeśli pan sobie życzy.

– Nie, niech pan tego nie robi – szybko odmówił. – Ja tylko... Nie mam co robić i chciałem się dowiedzieć, co się dzieje w moim rodzinnym mieście.

Kiedy gazeta przyszła, nie miał odwagi, żeby przeczytać ją w sklepie. Zaniósł ją Bonny i wspólnie zaczęli szukać informacji. Ona trzymała rozłożoną gazetę, on z napiętym wyrazem twarzy spoglądał znad jej ramienia.

– Tutaj jest – rzekła szorstko i z szelestem złożyła gazetę. Przeczytali razem.

... Bruce Dollard, pośrednik, który od kilku lat zajmował się wynajmowaniem tej nieruchomości, poinformował władze o przypadku nagłego opuszczenia domu. Lokatorzy wyjechali pewnego ranka, informując o tym dosłownie przed wyjazdem.

Właściciel sklepu z narzędziami rozpoznał szpadel znaleziony w piwnicy. Sprzedał go jakiś czas temu niezidentyfikowanej kobiecie. Przypuszcza się, że data sprzedaży tego narzędzia pomoże określić w przybliżeniu, kiedy popełniono przestępstwo.

Poza tym nowe fakty nie ujrzały jeszcze światła dziennego, ale władze są przekonane, że nastąpi to...

– Teraz już wiedzą – powiedział cierpko. – Nie można już temu dłużej zaprzeczać. Teraz wiedzą.

– Nie, nie wiedzą – stwierdziła stanowczo. – Gdyby tak było, co innego by napisano. Snują domysły, tak jak do tej pory.

– A szpadel...

– Szpadel pozostał w domu po naszym wyjeździe. Inni, którzy tam mieszkali, mogli go używać.

– Ale cały czas sytuacja się pogarsza.

– Tylko tak się wydaje. Oni chcą osiągnąć tylko jedno: przestraszyć cię, zmusić do popełnienia błędu. W rzeczywistości sytuacja nie jest ani trochę gorsza niż przed tym odkryciem.

– Jak możesz tak mówić, kiedy masz to napisane czarno na białym?

Pokręciła głową. – Pies, gdy szczeka, nie ugryzie cię. Musi przestać, żeby zatopić swoje kły. Gdyby wiedzieli, kto to zrobił, nie informowaliby o tym. Czekasz na informację, której nigdy nie znajdziesz. Czekasz na wiadomość, która nigdy nie nadejdzie. Nie wiesz, że jesteśmy bezpieczni, dopóki o tym piszą? Dopiero kiedy przestaną, będziemy musieli mieć się na baczności. Kiedy nagle zapadnie cisza, zagrozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo.

Zastanawiał się, gdzie nabrała takiej mądrości. Czy z własnego doświadczenia? Czy może przyszła z tym na świat, tak jak koty rodzą się ze zdolnością widzenia w ciemnościach i unikania

pułapek?

– A nie może to oznaczać, że zapomnieli?

Otrzymał od niej kolejną porcję gorzkiej mądrości, którą osłodziła surowym, gorzkim uśmiechem.

– Policja? Oni nigdy nie zapominają, mój drogi. To my powinniśmy zapomnieć, jeśli chcemy żyć.

Następnym razem przyniósł trzy gazety, z trzech kolejnych dni; przyszły jednak razem do sklepu. Rozdzielili je między siebie, przeglądali je osobno. Strona po stronie szukali tego, co ich interesowało.

Nagle odwrócił głowę, spojrzał na nią przerażonym wzrokiem. – Przestali! Nie ma o tym ani jednego słowa.

– Ja też nic nie znalazłam. – Skinęła głową. Zrozumiała, że sytuacja się pogorszyła. – Zaczyna się prawdziwe niebezpieczeństwo.

Odrzucił gazetę i zerwał się z krzesła. Taki wpływ na niego miały jej opinie.

– Powinniśmy wyjechać?

Zastanawiała się, podejmowała za nich decyzję.

– Poczekamy na jeszcze jedną gazetę. Możemy sobie pozwolić na taką zwłokę. Może już wiedzą *кто*, ale wątpię, żeby wiedzieli *gdzie*.

Znów czekali, trzy dni. Przyszła następna gazeta. Nic, martwa cisza. *Śmiertelna* cisza, tak mogli powiedzieć, gdy przeglądali gazetę.

Tym razem oboje spoglądali na siebie. To ona jako pierwsza wstała. Zaczęła zdejmować kremowy satynowy szlafrok. Powoli, flegmatycznie, ale bez wahania.

– Teraz to już musimy wyjechać – powiedziała spokojnie. – Są na naszym tropie.

Nawet teraz był zdumiony jej intuicją. Przerazało go to. Przynajmniej uznał, że jego szósty zmysł nigdy się tak nie rozwinie.

– Zacznę się pakować – rzekła. – Nie wychodź już stąd, dopóki nie będziemy gotowi.

Mimowolnie zadrżał. Siedział i patrzył na nią. Jego oczy podążały za jej ruchami. Obserwował ją jak... czarodziejską różdżkę, która poruszała się i mówiła jak kobieta.

– Źle postępowałeś – zauważyła po chwili. – Jest za późno, żeby to naprawić, ale z tego co wiemy, mogłeś przyspieszyć śledztwo, wybierając tylko gazety z Mobile. Takie informacje rozchodzą się szybciej niż to sobie wyobrażasz.

– Ale cóż innego...? – zająknął się.

– Za każdym razem, gdy kupowałeś gazetę z Mobile, powinieneś też wziąć z innego miasta, nawet gdybyś od razu miał ją wyrzucić. Mógłbyś w ten sposób uniknąć podejrzeń.

Weszła do sąsiedniego pokoju.

Nawet w takim przypadku są złe i dobre sposoby postępowania – pomyślał bezradnie. Ach, ta mądrość bezprawia. Przerwała pakowanie i zjawiła się w drzwiach.

– Gdzie zamieszkamy? Dokąd stąd pojedziemy?

Spojrzał na nią przestraszonym wzrokiem. Nie był w stanie udzielić odpowiedzi.

Rozdział 56

Zatrzymali się w Pensacola, aby nabrać oddechu. Zrobili duży łuk wzdłuż wybrzeża. Nie oddalali się od zatoki, podążali na wschód, tylko na wschód. Wyjeżdżając w przerażeniu, zatrzymując się na dłużej lub krócej, w przestrachu, na oślep szukali swojego przeznaczenia. Nowy Orlean, Biloxi, Mobile, Pensacola, a po drodze wiele innych miejsc do ukrycia się.

Teraz Pensacola. Nie mogli już jechać dalej wyznaczoną przez siebie trasą, jeżeli nie chcieli opuścić terenów nadmorskich. Z jakichś powodów, prawdopodobnie ze strachu przed nieznanym, trzymali się kurczowo wybrzeża. Dalej, na ich drodze skracającej na południe, znajdowała się Tampa: skupisko chałup z fruującymi przy huraganach dachami – której chcieli uniknąć. A potem już tylko osobliva, mówiąca innym językiem Hawana. Wyjazd tam oznaczałby nieodwołalną banicję, bez możliwości powrotu. (Statki płynące stamtąd były kontrolowane, a oni nie mieli żadnych dokumentów.) Nie chcieli też udać się w głąb lądu, do Atlanty, która była narzucającym się kolejnym celem ich wędrówki. Bonny obawiała się ze znanych tylko sobie powodów Północy. Wprawdzie Atlanta to nie Północ, ale pierwszy krok w jej kierunku.

Zatem Pensacola. Znów wynajęli dom. Nie dla szyku, blasku, nie po to, żeby poczuć się prawdziwym małżeństwem, ale ze względów bezpieczeństwa.

– Łatwiej mogą zauważyć cię w takim hotelu – powiedziała szeptem w smaganym deszczem hotelu, w którym zamieszkali na jedną noc. – Ludzie tutaj szybciej wtykają nos w nie swoje sprawy. Krążą wokół ciebie, a potem zabierają opowieści ze sobą i roznoszą je.

Skinął głową. Pochylił się, by wyrzec przez okno spod opuszczonej zasłony. Szybko się cofnął, gdy błyskawica rozjaśniła niebo.

Wynajęli najbardziej odosobniony, nie rzucający się w oczy dom, jaki mogli znaleźć. Ukrywał się na sennej, obsadzonej drzewami uliczce daleko od centrum miasta. Inne domy znajdowały się w znacznej odległości, nie było dużo sąsiadów. Na oknach założyli grube zasłony, by uniknąć ciekawskich oczu. Z konieczności zatrudnili służącą, ale ograniczyli jej obecność do minimum. Przychodziła trzy razy w tygodniu, nie spała w tym domu. Rozmawiali ostrożnie w jej obecności, albo wcale.

Musieli być bardzo dyskretni i przezorni.

Przez pierwsze dwa tygodnie, kiedy Bonny w dzień wychodziła lub wracała do domu, trzymała nisko opuszczony parasol, żeby osłonić twarz. Niemal ukradkiem wsiadała lub wysiadała z dorożki. Natomiast on, ponieważ nie mógł korzystać z osłony parasola, trzymał głowę nisko opuszczoną. Za każdym razem, gdy wchodził lub wychodził z domu, wydawało się, że szuka czegoś na ziemi.

A kiedy przyszła sąsiadka uginająca się pod ciężarem domowych wypieków, żeby złożyć zwyczajową, kurtuazyjną wizytę, Bonny zatrzymała ją w drzwiach i wyjaśniła, że nie może zaprosić jej do środka, bo jeszcze się nie rozlokowali i w domu panuje bałagan.

Kobieta odeszła z obrażoną miną, zabierając ze sobą prezenty. Kiedy potem zobaczyli ją na

chodniku, odwróciła głowę, nie pozdrowiła ich.

– Nie powinnaś tego robić – ostrzegł Bonny, kiedy zdenerwowana kobieta odeszła. Wyszedł z ukrycia, gdzie podsłuchiwał rozmowę. – Taka bojaźliwość jest jeszcze bardziej podejrzana.

– Nie było innego sposobu – odparła. – Gdybym zaprosiła ją do środka, przyszłyby następne sąsiadki, a potem musiałabym przyjąć ich zaproszenia. Nie byłoby końca wizytom.

Po tym zdarzeniu nikt więcej nie przyszedł.

– Przypuszczalnie myślą, że mieszkamy tylko razem – zadrwiła kiedyś. – Za każdym razem, gdy wychodzę, zdejmuję rękawiczkę i trzymam wysoko rękę na parasolu, żeby mogli zobaczyć obrączkę ślubną. Wstrętne świnię! – podkreśliła.

Pan i pani Rogersowie przybyli do Pensacola. Pan i pani Rogersowie wynajęli dom w Pensacola. Pan i pani Rogersowie... znikąd. W podróży do miejsca, którego nikt nie zna.

Rozdział 57

Tym razem nie musiał jej mówić. Odgadła z wyrazu jego twarzy. Widziała, że stoi przy oknie, patrzy bezmyślnie w przestrzeń, zagryza wargi. Kiedy się do niego odezwała, nie otworzył ust, tylko w odpowiedzi odwrócił się od okna, włożył ręce do kieszeni i zaczął spacerować po pokoju. Teraz zrozumiała od razu, wiedziała, że o *to* chodzi. Obserwowała go jakiś czas, a w końcu skinęła głową.

– Znów? – spytała tajemniczo.

– Znów – odparł. Zatrzymał się i opadł na krzesło.

Nerwowo ściągnęła z ręki pończochę, w której szukała dziur. – Dlaczego nam się to zawsze przytrafia? – narzekała. – Ledwo zdążyliśmy nabrać trochę oddechu, a to znowu się nam zdarzyło. Wszystko zaczyna się od początku!

– To zdarza się każdemu – mruknął posepnie. – Pieniądze są rzeczą, której nie możesz jednocześnie mieć i korzystać z niej.

– Dla nas są przekleństwem! – wykrzyknęła. – Z niczym takim wcześniej się nie spotkałam. – Teraz to ona podeszła do okna, wzrokiem szukała kapryśnej gwiazdy ich losu, której on poprzednio wypatrywał. Świeciła tylko dla nich, nikt inny nie mógł jej zobaczyć. – Zatem znów Nowy Orlean?

Rozumieli się teraz prawie bez słów, a w każdym razie nie było potrzeby mówienia całych zdań.

– Nie ma Nowego Orleanu, to skończone. Nie mam tam po co wracać.

Nawet ich reakcje stały się podobne. To ona teraz zagryzła wargi.

– Ile nam zostało?

– Trochę ponad dwieście dolarów – odpowiedział, nie unosząc głowy.

Podeszła i położyła rękę na jego ramieniu, jakby chciała przyciągnąć jego uwagę, chociaż o niczym innym nie myślał.

– Są dwie możliwości. Możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż pieniądze się skończą. Albo sprawić, żeby pracowały dla nas.

Spojrzał na nią. Tym razem nie rozumiał. W niemym połączeniu między ich umysłami pojawiła się rysa, pęknięcie.

– Znałam wielu mężczyzn, którzy zaczynali z mniejszą sumą niż dwieście dolarów, a wychodzili z dwoma-trzema tysiącami.

Trzymała rękę na jego ramieniu, jakby w ten sposób chciała przekazać mu swoje myśli. Bez skutku.

– Znasz jakieś gry karciane? – nie przestawała.

– Kiedy byliśmy młodzi, wieczorami z Jardine'em grywaliśmy chyba w bezika. Z trudem sobie przy...

– Miałam na myśli prawdziwe gry – przerwała mu ostro.

Wreszcie ją zrozumiał.

– Chcesz, żebym ryzykował? Stawiał te pieniądze?

Pokręciła nerwowo głową. Była jeszcze bardziej zniecierpliwiona.

– Tylko głupcy ryzykują. Pokażę ci, jak grać, żeby pomnożyć te dwieście dolarów.

Wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Szulerka – powiedział bezbarwnym głosem.

– Nie bądź takim świętoszkiem. Szulerka to tylko słowo. Dlaczego używać tego szczególnego? Jest wiele innych słów, równie odpowiednich: „zagrywka”, „sztuczka”. Nie można zostawiać wszystkiego w rękach szczęścia. Szczęście to ladacznica.

Odeszła od niego, chwyciła krzesło za oparcie i zaczęła je ciągnąć za sobą.

– Chodź, tutaj usiądź. Najpierw nauczę cię samej gry.

Była dobrą nauczycielką. W ciągu godziny dość dobrze poznał reguły.

– Już umiesz grać w faraona – stwierdziła. – Umiesz grać tak jak ja lub każdy inny gracz. Teraz nauczę cię najważniejszej rzeczy. Muszę najpierw jednak coś założyć.

Leniwie przekładał karty, kiedy jej nie było.

Założyła na siebie całą biżuterię, jakby gdzieś wychodzili. Ozdoby wyglądały groteskowo na stroju domowym. Usiadła przed nim. Jego ręka drżała jak przed popełnieniem jakiegoś ohydnych czynu.

– W kartach są tylko cztery kolory – zaczęła energicznym głosem. – Nie będę siedziała z tobą przy grze, bo nie grywa się z kobietami. Wszystko zależy od dobrej koordynacji między nami. Na statkach ta metoda nie zawiodła, więc nie powinna zawieść teraz. To jest najprostsza metoda i jednocześnie najłatwiejsza do wykrycia, ale musimy jej używać, bo nie masz jeszcze tak zręcznych palców, żeby to wykorzystywać, więc w krytycznych momentach musisz polegać na mnie. Będziemy jej używać rzadko, tylko w ważnych sytuacjach. A teraz skup się. Ręka w kierunku piersi to kier. Wisiołek na szyi – karo; kolczyk w lewym uchu – pik; a w prawym – trefl. Później obserwujesz, jak opuszczam rękę. Podaję wtedy karty. Palce ponumerowane są od jednego do dziesięciu, zaczynając od lewej ręki. Mały palec lewej ręki to jeden, a mały palec prawej – dziesięć. Zagięcie lub lekkie cofnięcie palca oznacza liczbę.

– Skąd będę wiedział, że przeciwnik ma walety, damy, króle?

– To jest kolejno: jedenaście, dwanaście, trzynaście. Król to może być zgięty mały i duży palec lewej ręki. As to po prostu jeden.

– Ale przecież nie mogę się chyba spodziewać, że zobaczysz wszystkie karty i pokażesz mi?

– Tego nie jestem w stanie zrobić i nie będę nawet próbowała. Musisz znać tylko jedną lub dwie najwyższe karty i te ci pokażę.

Rzuciła talie kart w jego kierunku.

– Rozdaj karty.

Wzięła swoje.

– Teraz powiedz, jakie karty mam w ręku.

Obserwował ją.

– Masz damę karo, waleta kier i asa trefl.

Nie pochwaliła go.

– Gapiłeś się na mnie, że nawet ślepy by zauważył, o co chodzi. Musisz grać zarówno twarzą, jak i dłońmi. Jeszcze raz.

Wymienił karty.

– Dobrze, ale jesteś za wolny. Nie będą czekać, aż wszystko ułożysz sobie w głowie. Następne rozdanie.

Jedyną pochwałą było to, że skinęła głową. – Jeszcze raz. Tym razem wreszcie przyznała: – Louis, nie jesteś głupi. Odrzucił nagle karty. Przeszyła go spojrzeniem.

– Czemu? Jesteś na to zbyt szlachetny? Splami cię to?

Opuścił oczy, rozpaczliwie gładził włosy.

– O ile dobrze pamiętam, kiedyś zabiłeś człowieka w Mobile! – zarzucała mu. – Ale nie jesteś w stanie trochę oszukać przy grze. Nie, ty jesteś świętoszkiem.

To było jednak co innego... W każdym razie, jak możesz mi to zarzucać? – pomyślał.

– Jeżeli coś mnie napawa obrzydzeniem, to jedynie ludzie, którzy udają świętych. Powinieneś obrócić kołnierzyk i nosić go jako koloratkę. No dobrze. Nie będziemy więcej o tym rozmawiali. Nic nie rób i chuchaj na te dwieście dolarów, aż się skończą. – Ze złością odsunęła na bok krzesło, gdy wstała.

Patrzył, jak idzie do drzwi, chwytając za gałkę i gwałtownym ruchem je otwiera, by wyjść.

– Bardzo chcesz, żebym to robił? – zapytał. – Bardzo?

Zatrzymała się i odwróciła, by spojrzeć na niego.

– Miałeś to robić dla siebie, nie dla mnie. Chciałam ci tylko pomóc. Ja nic na tym nie zyskuję. Ja zawsze dam sobie radę. Radziłam sobie wcześniej, poradzę sobie teraz.

Głośniejsze niż inne słowa, słyszał słowo, którego nie wypowiedziała: *samotność*.

– Bonny, zrobię to dla ciebie – powiedział z trudem. – Zrobię to dla ciebie.

Zadowolona spuściła oczy. Wróciła i usiadła. Jej twarz powoli rozpuściła się. Znow, w skupieniu, zajęła się kształceniem Duranda. – Jakie mam teraz karty w ręku?

Rozdział 58

Nie wiedział, w jaki sposób znalazła to miejsce. On nigdy by się nie domyślił, że istnieje. Wydawało się, że jej nos wyczuwa takie miejsca z odległości mili.

Znajdowało się na drugim piętrze. Od czasu do czasu można było zauważyć, że ktoś schodzi, ale nie widziało się, żeby ktoś wchodził po schodach. Na dole znajdowała się restauracja i winiarnia. Byli tu dwa razy, kiedy wieczorami szukali przyjemności, ale niezbyt się im podobało, więc nie powracali tutaj. Jeśli coś wtedy zauważyła, to nie powiedziała mu o tym.

Zatem zjawili się tutaj. On ścisnął schowane dwieście dolarów. Najpierw usiedli na dole przy schodach, nad kieliszkami z winem burgundzkim.

– Jesteś pewna? – wciąż pytał niepewnym tonem.

Twierdząco przymrużyła oczy.

– Tak, jestem pewna. Gdy tu kiedyś byliśmy, przyjrzałam się twarzom dwóch mężczyzn, którzy schodzili po schodach. Wcześniej już to widziałam: twarze zbyt blade; błyszczące, rozgorączkowane oczy. – Poklepała go pod stołem po kolanie. – Spokojnie. Gdy się zaczniesz zachowywać tak, jak ci mówiłam.

Siedzieli przy stoliku przez pewien czas. Ona – z nieodgadnionym wyrazem twarzy, on – niespokojny.

– Teraz – powiedziała wreszcie.

Przywołał kelnera. – Poproszę o rachunek.

Wyciągnął wszystkie i pozwolił kelnerowi się im przyjrzeć, gdy szukał odpowiedniego banknotu, by uregulować rachunek. Tymczasem Bonny umyślnie ziewnęła. Durand spojrzął na kelnera.

– Nudno tutaj. Nie możecie zaproponować czegoś... bardziej interesującego?

Kelner podszedł do szefa i wyszeptał mu coś do ucha. Z kolei to on podszedł do stolika. Pochylił się poufale nad Durandem.

– Czym mogę służyć?

– Czy może pan zaproponować coś bardziej ekscytującego?

– Gdyby pan był sam, zaproponowałbym...

– Niech pan zaproponuje – zachęcał go Durand.

– Na górze jest kilku dżentelmenów... Rozumie mnie pan?

– Doskonale – rzekł Durand. – Chętnie ich poznam. Idziemy, moja droga.

– Pani też? – zapytał niepewnie.

– Będę zachowywała się przyzwoicie. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Będę siedziała cicho jak mysz. Nikt nawet nie zauważy, że tam jestem.

– Powiedźcie, że przysłała was pan Bradford. Nie chcemy, żeby stało się to głośne. Chodzi o to, by odwrócić uwagę kilku naszych stałych bywalców.

Weszli na górę razem, w sprzyjającym momencie, kiedy wydawało się, że nikt ich nie

obserwuje. Durand zapukał do dużych podwójnych drzwi, zza których dobiegały ożywione głosy. Mężczyzna, który je lekko uchylił, zasłaniał widok na pokój. Popatrzył na Duranda i Bonny.

– Przysłał nas pan Bradford.

– Kobiety nie mogą tutaj wchodzić, sir.

Obdarowała go swoim najbardziej czarującym uśmiechem. Spojrzała mu prosto w oczy. Dotknęła nawet jego ramienia.

– Od każdej reguły są wyjątki. Czy na pewno nie chce mnie pan wpuścić? Będę czuła się taka samotna.

– Ale rozmowy między dżentelmenami mogą...

Filuternie dotknęła podbródka. – Ależ ja słyszałam, jak przeklina mój mąż. To mnie nie zgorszy.

– Chwileczkę.

Zamknął drzwi, ale po chwili znów je otworzył.

Podał Bonny czarną, welwetową maskę na oczy.

– Może z tym będzie się pani mniej krepowała... ?

Rzuciła Durandowi spojrzenie pełne ironii, jakby mówiła: „Ale on jest naiwny?”. Jednak założyła maskę.

Mężczyzna odsunął się na bok, wpuścił ich do środka.

– Musiałaś zachowywać się tak zalotnie? – spytał Durand, gdy przez chwilę nie było nikogo obok nich.

– Dzięki temu wpuścił mnie do środka, nieprawdaż?

Jej wejście wywołało sensację. Wiedział, że przyciąga uwagę, ale do tej pory nie widział czegoś takiego. Gwar rozmów stał się nagle głuchą ciszą. Przy kilku stolikach przestano grać. Ktoś nawet sięgnął po surduty, chociaż nie miał zamiaru go wkładać.

Powiedziała coś po cichu do gospodarza tego interesu, który po chwili oznajmił pełnym głosem: – Ta dama chce, żebyście panowie zapomnieli o jej obecności. Ona po prostu lubi patrzeć na grających w karty.

Opuściła skromnie głowę i weszła obok Duranda.

Ich przewodnik zaprowadził go do jednego ze stolików, gdy uzyskał zgodę graczy.

– Pan Castle... pan Anderson, pan Hoffman, pan Steeves.

Bonny nie została przedstawiona, tak jak nakazywała przyzwoitość.

– Szampan dla panów – natychmiast zamówił Durand, gdy usiadł.

Kolorowy kelner przyniósł butelkę szampana, ale to ona zajęła się napełnianiem kieliszków, mówiąc: – Sprawia mi to ogromną przyjemność, gdy będę mogła zaspokoić potrzeby tych dżentelmenów.

Obeszła stolik, kiedy gra była w toku. Potem usiadła trochę z tyłu. Sprawiała wrażenie małej dziewczynki, której pozwolono usiąść w obecności starszych. Jeśli jej nogi nie zwiślały z krzesła,

to musiało być tylko złudzenie.

Durand obojętnym gestem wyjął dwieście dolarów, jakby była to tylko niewielka część kwoty, jaką miał przy sobie.

Po kilku minutach suma zwiększyła się. Choć od czasu do czasu przegrywał, nigdy nie zmniejszyła się do dwustu dolarów. W końcu podwoiła się, a kiedy znów wzrosła dwukrotnie, pieniądze musiał ułożyć w dwóch stosikach. Musiało już wtedy leżeć przed nim około tysiąca dolarów. Jak nakazywały zwyczaje, nie chował pieniędzy do kieszeni.

W pokoju było gorąco, nie wietrzono go. Dodatkowo gracze byli rozgorączkowani z podniecenia. Szampana, którego rozmyślnie postawiono przed nimi, pili dużymi łykami przy każdej nadarzającej się okazji. Za każdym razem, gdy któryś z kieliszków się opróżnił, przesuwiał się przy nim przelotny cień. Nawet mniej niż przelotny, gdyż starał się nie zasłaniać widoku na stolik. Potem z pełnymi wdzięku, zgrabnymi gestami wskazującymi na pierś, szyję lub uszy wycofywał się na swoje miejsce. Zaginał niektóre palce u rąk.

Od czasu do czasu Bonny słyszała obojętne „dziękuję”, ale najczęściej w ogóle nie była zauważana.

Po pewnym czasie ruchem wachlarza przywołała kelnera. Przyniósł kolejną butelkę szampana. Kiedy korek wystrzelił, cicho krzyknęła, jakby była małą bojaźliwą istotą nieprzyzwyczajoną do tego odgłosu.

Nagle zapadła cisza przy stoliku. Bez słowa przerwano grę. Wszyscy gracze patrzyli w karty, ale żaden z nich nie wykonał ruchu.

– Jesteście gotowi, panowie? – zapytał zachęcająco Durand.

Nikt się nie odezwał, nie zagrał.

– Czekam na panów – ponaglił Durand.

Nikt nawet nie uniósł wzroku. Odpowiedzi udzielił sąsiad Duranda, wciąż wpatrując się w karty.

– Czy może pan poprosić damę, żeby opuściła nasze towarzystwo?

– Co pan ma na myśli?

– Muszę to panu powiedzieć? – Wszyscy gracze spoglądali teraz na Duranda.

Durand gwałtownie wstał z krzesła z udawanym oburzeniem.

– Chcę wiedzieć, co pan ma na myśli!

Drugi mężczyzna uniósł się znacznie wolniej.

– To! – O stół złożył swoje karty i zamkniętą talią uderzył Duranda dwukrotnie w twarz. – Jeśli może być coś bardziej haniebnego niż oszukiwanie przy grze w karty, to na pewno jest to wykorzystywanie do tego celu kobiety.

Nie zważając na okoliczności, Durand usiłował wymierzyć mu cios pięścią. Kierowała nim jedynie wściekłość, a nie uraza z powodu bezpodstawnych zarzutów. Jednak inni gracze zerwali się z krzeseł i przytrzymali go za ręce. Miotał się w uścisku, usiłował się uwolnić, ale udało mu się tylko lekko ich obrócić – było ich zbyt wielu.

Stolik zabujał się i przewróciło się jedno z krzeseł. W tle rozległ się słaby, daremny krzyk Bonny – oznaka przerażonej szlachetności.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawił się szef restauracji. Szarpanina ustała, ale pozostali gracze wciąż mocno przytrzymywali Duranda. Jego blada twarz bezwładnie patrzyła w dół, jakby chciała się ukryć przed parzającymi spojrzeniami.

– Ten człowiek jest zwyczajnym oszustem. Myśleliśmy, że prowadzi pan lokal dla dżentelmenów. Powinien pan chronić dobre imię tego miejsca.

Nie usiłował zaprzeczać, w każdym razie zrezygnował z tego, ale tylko z tego. Jego koszula rozpięła się, gdy pierś zaczęła falować. Głównie upokorzenie było tego przyczyną. Otoczył ich teraz tłum; przy innych stolikach też przerwano grę.

Szef zawołał dwóch krzepkich pomocników. – Wyrzucicie go! Natychmiast! Prowadzę porządny lokal. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Durand dalej nie walczył. Zwrócił się tylko do pomocników szefa, protestując przeciw brutalności: – Zabierzcie ręce ode mnie. – Nic więcej.

Jednak gdy zobaczył, że szef zaczyna sprzątać to, co leżało na stoliku, zawołał: – Dwieście dolarów jest moje! Wniosłem je do gry!

Szef machnięciem ręki nakazał wyprowadzić Duranda. Zrobił to z bezpiecznej odległości. – Stracił pan te pieniądze. To pana nauczy, żeby więcej nie próbować swoich sztuczek! Precz z tym draniem!

Nagle Bonny krzyknęła piskliwym głosem: – Złodzieje! Oddajcie mu jego pieniądze!

– Przyganiał kocioł garnkowi – ktoś powiedział i wszyscy wybuchnęli śmiechem, pogrążając Bonny i Duranda do końca.

Zawlekli Duranda do bocznych drzwi i ściągnęli prowizorycznymi, niepomalowanymi schodami, by uniknąć skandalu w restauracji na dole. Rzucili go w błotnistą boczną alejkę. Zadziwiające, że nic mu się nie stało, ale był tak upokorzony jak nigdy przedtem. Chciał się zakopać pod ziemię.

Kapelusz wyrzucono za nim. Wykidajło po tym ostentacyjnie otrzepał ręce.

Ale nie był to koniec hańby i sromoty. Ostatecznym upokorzeniem był widok wywlekanej Bonny. Została wypchnięta na zewnątrz przez tłuste łapska jak jakaś ostatnia.

Jego żona, jego miłość.

Ból niczym ostrze noża przeszył jego serce, które zdało się zasychać.

Pchnięta Bonny zachwiała się i omal nie upadła obok Duranda, ale w ostatniej chwili chwyciła się poręczy.

Stała przez chwilę w bezruchu. Nie spoglądała za swoimi prześladowcami, ale patrzyła na Duranda.

Potem oderwała się od schodów i przeszła obok Duranda, lekko unosząc spódnicę do góry, jakby był jakimś włóczęgą, którego należy unikać.

– Wstawaj! – warknęła. – Wstawaj, rusz się! Nigdy nie słyszałam o człowieku, który nie

potrafi w ogóle wygrywać, ani uczciwym sposobem, ani oszukując.

Durand do tej pory nie wiedział, że ludzki głos może wyrazić taką pogardę.

Rozdział 59

Mógł przewidzieć, że Bonny zmieni się po tej kompromitacji. Tak dobrze ją znał, jej nastroje, naturę. Jednak te zmiany nastąpiły trochę wolniej, niż się spodziewał.

Następnego dnia była po prostu mniej rozmowna, być może trochę mniej przyjacielska. To wszystko. Ten dzień był okresem wschodzenia nasion nienawiści, która ukrywała się jeszcze przed wzrokiem. Tylko oczy kochanka mogły ją dostrzec, a jego oczy były oczami kochanka, mimo że należały do męża.

Jednak już wieczorem chłód począł narastać. Jej usposobienie stawało się coraz bardziej ponure. Odzywała się grzecznie. Grzeczność świadczy o dystansie. Małżonkowie nie mogą być w stosunku do siebie uprzejmi. Słodcy lub gorzcy, ale nigdy uprzejmi.

Następnego dnia niechęć wybijała niczym chwasty, zarastając coś, co było kiedyś pięknym ogrodem. Unikała go wzrokiem. Żeby jej oczy spojrzały do niego, musiał zwracać się do niej bezpośrednio, a i wtedy spoglądała na niego niechętnie, jakby uważała to za stratę czasu.

Kolejnego dnia chwasty wydały trujące owoce. Cykl wzrastania zakończył się, trzeba było je zżąć, ale kto miałby to zrobić? W jej głosie pojawił się ostry ton, znikła uprzejmość. Najdrobniejsza jego uwaga wywoływała gwałtowną reakcję.

Wyglądało, że ujawnił się jej prawdziwy charakter. Chociaż od czasu do czasu Bonny usiłowała się powściągać, zachowywać się łagodnie, to jednak jej prawdziwa natura sprzeciwiała się temu, wbrew jej intencjom. Mogła czasami się uśmiechnąć, stopić lód w błękitnych oczach, ale tylko na chwilę. Zaraz potem znów otaczała ją lodowa powłoka, która oddzielała ją od Duranda.

Azylem dla niego stały się długie spacery. Były dla niego chwilą oddechu. Chodził na nie sam, ale wyobrażał sobie, że ona jest z nim – dawna Bonny. Przypominał sobie jej twarz, jej usta, jej zachowanie, aż stawała się niemal rzeczywista. Wracał do domu z uśmiechem, z radością w sercu i wtedy odmieniona Bonny niszczyła jego wyobrażenie o niej.

– Podejmę jakąś pracę, jeśli cię to tak bardzo dotyka – zdecydował w końcu. – Jestem w stanie, nie ma powodu, żebym...

Nie była zachwycona.

– Nienawidzę mężczyzn, którzy pracują! – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Gdybym to lubiała, wyszłabym za mąż za konia pociągowego. To byłoby tak samo nudne. – Przeszyła go spojrzeniem, jakby on nie miał zamiaru poprawić ich położenia, przedstawiał propozycje, których nie można było poważnie rozważać. – Oprócz tego muszą być jakieś sposoby na zdobycie pieniędzy.

Z niepokojem zastanowił się, co miała na myśli. Bał się wiedzieć, nie chciał, żeby wyjaśniła.

– Tylko głupcy pracują – dodała pogardliwie. – Dawno temu ktoś mi to powiedział. Teraz wierzę w te słowa jeszcze bardziej.

Zastanowiło go kto, i co on teraz robi. W jakim więzieniu teraz siedzi lub na jakiej

szubienicy zawisł. A może wciąż jest na wolności, dowodzi słuszności swojego twierdzenia, czeka na informację od niej, będąc przekonany, że ona się myliła. Jest pewien, że pewnego dnia, w jakiś sposób, w odpowiednim czasie odezwie się do niego.

– To musiał być nicpoń – jedynie to przyszło Durandowi do głowy.

W jej chłodnych niebieskich oczach pojawiła się przekora. – On był nicponiem – przyznała – ale świetnym towarzyszem.

Durand wyszedł z pokoju.

Potem przestali się do siebie odzywać. Nie padały nawet słowa: „Przepraszam” lub „Dobranoc”.

Było to ohydne, nie do pomyślenia, ale się zdarzyło. Dwie niemowy krążące wokół siebie, dwoje mimów, dwoje lunatyków w mroku pokoju. Kiedy spała, wyciągnął rękę, by uścisnąć jej dłoń. Jednak nawet we śnie odgadła jego zamiar i cofnęła rękę, żeby nie mógł jej dosięgnąć.

Następnego dnia, przechodząc korytarzem obok salonu, by odbyć pokrzepiający spacer, zauważył, że Bonny siedzi przy biurku. Nie wiedział, że jest tutaj. Nie pisała listu: na blacie biurka nie było żadnych kartek papieru. Siedziała nieruchomo. Po cóż jeszcze ludzie siadają przy biurku? – zadał sobie pytanie. Gdyby chciała tylko posiedzieć w tym pokoju, wybrałaby inne krzesło.

Miał złe przeczucia, że zaraz jak wyjdzie, ona zacznie szybko coś robić. Mógł to powiedzieć, obserwując jej minę, jej apatyczne zachowanie. Nie była to naturalna bierność, ale wystudiowana. Umyślnie zachowywała się tak przez cały czas, gdy patrzył na nią. Jej dłoń leniwie unosiła się i opadała nad biurkiem, podczas gdy całe ciało wyrażało ukrywane zniecierpliwienie.

Nic nie mógł zrobić. Gdyby powstrzymał ją w tym momencie, znalazłaby inną chwilę. Gdyby ją oskarżył, zaprzeczyłaby. Gdyby udowodnił, jej tła się złość wybuchłaby pełnym płomieniem, a tego nie chciał.

List do przeszłości, do podziemnego świata, który, jak miał nadzieję, opuściła na zawsze.

Z ciężkim sercem wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Po powrocie zauważył w jej oczach błysk złośliwej satysfakcji, szyderstwo. Jej mina mówiła: Nie próżnowałam. Poczekaaj, a się przekonasz.

Po dwóch kolejnych dniach Durand nie był już w stanie dłużej tego znosić – poddał się. Uciekł się do kłamstwa, sprostytuował prawdę. Zrobił to, by odnowić przyjaźń.

– Bonny, okłamywałem cię – powiedział bez żadnych wstępów.

Odwrócona tyłem do niego cesała włosy przed pójściem do łóżka, jak to robiła symbolicznie od wielu dni.

– Są jeszcze pieniądze. Jeszcze się nie skończyły.

Odłożyła szczotkę do włosów, odwróciła głowę. – Dlaczego mi o tym nie mówiłeś?

– Pomyślałem, że możemy je zbyt szybko wydać. Chciałem je odłożyć na trochę później.

Chciwość musiała przesłonić jej zdrowy rozum. W oczywisty sposób skłamał. Jednak chciała

mu uwierzyć i zrobiła to z całym sercem. Przyjęła kłamstwo, a świadczył o tym sposób, w jaki rozpoczęła awanturę. W taki sposób można sprzeczać się jedynie z faktami, a nie z oszustwem.

– Na później? – gorączkowała się. – Na kiedy? Będziemy młodszy, gdy nadejdzie ten szczególny dzień? Czy suknia będzie na mnie lepiej wyglądała? Czy moja skóra będzie gładsza, a twój krok pewniejszy? Znów wzięła szczotkę, ale nie po to, by czesać włosy, lecz żeby rzucić nią o podłogę. – Nigdy nie żyłam w ten sposób i nigdy nie będę! „Odłożyć na czarną godzinę. „ Słyszałam to stare, głupie powiedzenie. Usłyszysz teraz bardziej prawdziwe: jutra nie ma. Jutrzejsza czarna godzina nie zastanie mnie. Jutro mogę umrzeć i tak samo ty. A w grobie nie można wydawać pieniędzy. Pogodzę się z losem, nie będę błagała o jeszcze jedną szansę. Pochowaj mnie jutro i po krzyku. Możesz poza cmentarzem, nawet bez całunu, bylebym miała ten wieczór.

Szybko oddychała, przedstawiając swoją filozofię. Był to protest osoby wydziedziczonej, krzyk poganki bez nadziei na życie pozagrobowe.

– Jak dużo masz? – zapytała chciwie. – Ile?

Chciał, żeby była szczęśliwa. Nie mógł otworzyć jej nieba, więc tylko obiecał to. – Dużo – odpowiedział. – Dużo.

– W przybliżeniu?

– Dużo – nie przestawał powtarzać. – Dużo.

Zachwycona wstała i zaczęła podchodzić do niego krok po kroku. Każdy jej krok był pieszczotą, zapowiedzią kolejnej pieszczoty. Zaciśnęła ręce na piersi, jakby usiłowała powstrzymać rozpierające ją szczęście.

– Nieważne, nie musisz mi mówić dokładnie ile. Nigdy nie lubiłam liczb. Dużo, to tylko ma znaczenie. Paczka? Walizka? Gdzie? Tutaj?

– W Nowym Orleanie – mruknął wymijająco. – Ale łatwo mogę położyć na nich rękę.

Nie mogła się doczekać. Chciała mieć pieniądze teraz, tego wieczoru. No cóż, on też chciał mieć teraz te pieniądze.

Nagle obróciła się, jakby niewidzialne skrzydce zagrały walca. Potem rzuciła się w wyciągnięte ramiona Duranda.

Znów miłość. Szepty, uroczyste zapewnienia, obietnice, przyrzeczenia. Ani jednego mrozącego krew w żyłach słowa, zabójczej ciszy, kolejnych uraz. Wybaczyłam ci, uwielbiam cię, nie mogę bez ciebie żyć. *Nowa ja, nowy ty.*

Nagle na chwilę uniosła głowę, jakby naszła ją jakaś myśl.

– Och, przepraszam – szepnęła tak cicho, że nie wiedział, czy te słowa skierowała do niego, czy do siebie, tak były stłumione.

– To już za nami, wszystko zostało zapomniane – mruknął. – Oboje się z tym zgadzamy.

Z ulgą opuściła głowę.

Te spóźnione przeprosiny, które nastąpiły na samym końcu, kazały mu myśleć, że wyraziły żal za coś innego niż ostatnie urazy, które na szczęście stały się przeszłością. Wróciły stare

podejrzenia, których chciał uniknąć.

Nie przestawała pytać, kiedy wyjeżdża. Robiła to coraz częściej i coraz bardziej natarczywie, aż w końcu znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Stało się to, czego tak się obawiał. Musiał się przyznać.

– Nie wyjeżdżam.

– Ale... ale jak zdobędziesz te pieniądze?

– Nie ma żadnych pieniędzy. Nic. Wszystko już dawno zostało wydane. Pieniądze ze sprzedaży domu na ulicy Świętego Ludwika, którą zajął się Jardine, pieniądze za moje udziały w przedsiębiorstwie. Nic już mi się nie należy. – Włożył ręce do kieszeni, głęboko wciągnął powietrze do płuc, spojrzął w dół. – No dobrze, kłamałem. Nie pytaj mnie dlaczego, powinnaś wiedzieć. Być może dlatego, żeby jeszcze trochę widzieć twój uśmiech. – Potem mruknął częściowo do siebie: – To była niska cena.

– Zatem mnie oszukałeś. – Wciąż mówiła spokojnym głosem.

Odłożyła lusterko. Wstała i zaczęła chodzić bez określonego celu. Założyła ręce.

Na burzę zbierało się powoli, ale była gwałtowna. Bonny chodziła w tę i z powrotem, jej pierś unosiła się i opadała w szybkim oddechu. Jednak na początek nie wydobyła z siebie ani jednego słowa.

Wreszcie chwyciła buteleczkę z wodą kolońską, uniosła rękę na pełną wysokość i rozbiła flakonik o toaletkę.

– Zatem tak mnie potraktowałeś. Uznałeś to za dobry żart, sprytną sztuczkę? Głupia uwierzy we wszystko, co jej powiesz. Powiedz jej „mam”, a po chwili „nie mam”. – Następny był słoiczek z talkiem. Rozprysł się na kryształowe odłamki, niektóre przeleciały przez cały pokój i upadły u jego stóp. Potem lusterko. – Nie wystarczyło ci raz mnie okłamać, musiałeś zrobić to po raz drugi!

– Na początku mówiłem prawdę, skłamałem tylko wtedy, kiedy powiedziałem, że mam pieniądze.

– I osiągnąłeś to, co chciałeś, prawda? To tylko cię interesuje!

– Czy nie ma w tobie odrobiny skromności? Czy nie możesz czasem przemilczeć?

– A ty musisz być mądrzejszy! Uważaj sobie! Teraz długo poczekaasz, zanim...

– Co za plugawe usta na tak pięknej twarzy – stwierdził surowym głosem. – Twarz świętej, a język fladry.

Teraz rzuciła flakonikiem z perfumami, prosto w Duranda. Nie uchylił się. Flakonik rozbił się o ścianę tuż za jego ramieniem. Kawałki szkła rozcięły mu policzek, a kropelki jaśminowych perfum opryskały ramię. Nie była to kłótnia kochanków, jej twarz płonęła śmiertelną nienawiścią. Straciła panowanie nad sobą. Gdyby miała coś ostrego pod ręką...

– Ty... ! – Użyła słowa, które, jak sądził, znają tylko mężczyźni. – Nie jestem odpowiednią osobą dla ciebie, prawda? Zasluguję na pogardę. Jestem nikim, a ty jesteś wytwornym dżentelmenem. No, kto kazał ci za mną podążać? Kto tego chciał?

Wyjął chusteczkę, żeby wytrzeć niewielki ślad krwi ze swojego policzka. Ze spokojem znosił potok obelg.

– Co mi dałeś? Nic. Ty i ta twoja romantyczna miłość. Pluć na nią! – Z obrzydzeniem otarła usta, jakby przed chwilą ją pocałował.

– Tak, przypuszczam, że nic. – Patrzył teraz nieugiętym wzrokiem, na jego twarzy pojawił się grymas. – Wiatr zawiął z innej strony. Teraz, kiedy nic już mi nie zostało. Teraz, kiedy zabrałaś mi wszystko, co mogłaś zabrać. Ty mała, chciwa pijawko! Jesteś pewna, że o niczym nie zapomniałaś? – Trząśł się cały ze złości. Włożył ręce do kieszeni i zaczął je wywracać na drugą stronę. – Masz. – Wyciągnął kilka monet i rzucił jej w twarz. – O tym zapomniałaś. I o tym też. – Wyszarpnął ozdobioną brylantem szpilkę do krawatu i cisnął ją. – To wszystko. Między moimi dokumentami jest gdzieś jeszcze moja polisa ubezpieczeniowa. Zapewne dla niej podcięłabyś mi gardło... ale niestety nie można jej wykorzystać.

Bonny zaczęła wyrzucać rzeczy z szuflad.

– Już raz od ciebie odeszłam, teraz opuszczę cię znowu. Tym razem na zawsze. Nie chcę nawet znów widzieć cię na oczy.

– Jestem wciąż twoim mężem i nie opuścisz tego domu.

– Kto mnie zatrzyma? Ty? – Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła głośnym śmiechem. – Nie jesteś mężczyzną, nie masz...

Oboje jednocześnie rzucili się w stronę drzwi, z różnych miejsc, w których stali. Durand był szybszy, zablokował wyjście.

Zacisnęła małe piąstki i zaczęła bezskutecznie walić Duranda po piersi. Usiłowała kopnąć go w kostkę.

– Wynoś się stąd! Nie możesz mnie zatrzymać.

– Bonny, odejdz od drzwi.

Uderzenie, które po tym nastąpiło, zaskoczyło go tak samo jak i ją. Zachował się odruchowo, jak człowiek, który opędza się od komarów. Zatoczyła się i obróciła, gdy upadała na podłogę. Udało się jej oprzeć plecami o stołek przed toaletką, na którym wcześniej siedziała.

Oszołomieni patrzyli na siebie.

Jego ściśnięte serce chciało krzyknąć: „Och, kochanie, czy cię nie skrzywdziłem?”, ale jego uparte usta nie chciały przekazać prośby o przebaczenie.

Po głośnej kłótni zapanowała teraz śmiertelna cisza. Bonny najwyraźniej się poddała. Jej jedyny zarzut był charakterystyczny dla niej. Był to raczej zdawkowy komplement. Gdy wstawiała, wyszeptwała posepnym głosem: – Dziwne, że okazałeś się mężczyzną, który może to zrobić. Nie sądziłam, że stać cię na to.

Znów podeszła do drzwi, ale bez wcześniejszej wrogości.

Obserwował ją spod przymrużonych powiek.

– Pozwól mi pójść do łazienki – poprosiła z nadąsaną uległością. – Muszę natrzeć twarz zimną wodą.

Kiedy po pewnym czasie Durand wrócił z dołu do sypialni, Bonny niosła pościel z ich łóżka do wolnego pokoju w głębi korytarza.

Rozdział 60

Kiedy cztery lub pięć dni później wracał do domu ze spaceru – spacerowały stały się jego nawykami – nagle w oddali zauważył jej sylwetkę. Znajdowała się dwie-trzy przecznice przed nim, zmierzała w tym samym kierunku. Szła tym samym tunelem utworzonym przez korony drzew.

Odległość była jednak zbyt duża i majacząca w oddali postać miała niewielkie rozmiary, a ponadto rozmywały ją padające na przemian cienie i błyski światła, więc Durand nie mógł być pewien, że to Bonny. Jednak pomyślał, że przecież zna jej sposób chodzenia, a kiedy ktoś przeszedł obok niej, mógł powiedzieć, że w rzeczywistości jest niska – nie było to złudzenie związane z odległością. A przede wszystkim sukienka miała taki sam kolor jak ta, w której widział ją godzinę wcześniej. Mówiąc krótko, podobieństwo było tak uderzające, że nie mógł być to nikt inny, tylko ona.

Nie miało sensu jej wołać. Była zbyt daleko, nie usłyszałaby. Nawet gdyby zaczął biec, nie dopędziłby jej przed drzwiami. Poza tym nie było powodu do nadmiernego pośpiechu, a w ogóle był zmęczony po spacerze i nie miał na to ochoty.

Zobaczył ją nagle na ulicy, między dwoma skrzyżowaniami, więc, jak przypuszczał, musiała wyjść z jakiegoś budynku tam się znajdującego.

Kiedy znalazł się w miejscu, w którym dostrzegł tę postać, rozejrzał się z zaciekawieniem na boki. Wciąż przypuszczał, że tą postacią była Bonny.

Nagle jego zaciekawienie stało się całkowitym zaskoczeniem. Zatrzymał się. Stał obok budynku poczty. To prawda, że sąsiedował z nim nędznie wyglądający sklepik, w którym sprzedawano mydło i powidło, ale było mało prawdopodobne, że to z niego wyszła Bonny, gdyż bliżej domu, w którym Durand z nią mieszkał, znajdowały się inne, bardziej eleganckie sklepy. Zatem Bonny musiała wyjść z poczty.

Był jedyny powód, dla którego tutaj weszła: chciała go oszukać, coś przed nim ukryć. Przecież na ulicy, przy której mieszkali, znajdowała się skrzynka pocztowa, by wrzucać listy do wysłania. Listy przysyłane roznosił natomiast doręczyciel. Ale jakie listy mogli otrzymywać? Kto wiedział, że oni są tutaj? Kto wiedział, kim oni są?

Zaniepokojony teraz Durand obrócił się i wszedł do budynku poczty, zanim zastanowił się, co robi. Kiedy był już w środku, zaczął żałować, że to zrobił. Chciał wyjść, ale jego niepokój był silniejszy niż niechęć do śledzenia Bonny, i w końcu zmusił go, żeby podszedł do urzędnika w zaręczawkach, który siedział w okienku z napisem: „POSTE RESTANTE”.

– Szukam kogoś – powiedział nieśmiało Durand. – Musiałem... ją zgubić. Może przed kilkoma minutami była tutaj drobna, jasnowłosa dama... taka niska...

Durand przypomniał sobie, jak kiedyś poszedł z nią do banku w Nowym Orleanie. Tutaj musiała zrobić podobne wrażenie. Na pewno ją zapamiętali, jeśli tu była.

Oczy urzędnika zapłonęły. – Tak, była, proszę pana – odpowiedział dobitnie. – Była przy

tym właśnie okienku kilka minut temu. – Podciągnął jeden z zarękawków, potem drugi. – Pytała o list.

Durandowi zaschło w gardle, ale wy dobył z siebie pytanie: – I ona... czy dostała jakiś list?

– Tak, oczywiście. – Urzędnik przekrzywił głowę z zachwytem i cmoknął. – Panna Mabel Greene – przypomniał sobie. – Powinna gdzieś tu jeszcze się kręcić. Nie widziałem, żeby...

Ale Durand już go nie słuchał.

Kiedy wrócił do domu, Bonny była w salonie na dole. Nie miała na sobie ani kapelusza, ani szala. Wyglądało, jakby cały czas siedziała w domu. Stała przy stole i zajmowała się zonkilami, które umieściła w wazonie dzień wcześniej – wyjmowała zwiędłe kwiaty. W powietrzu unosił się zapach, jakby przed chwilą spalił się jakiś drobiazg. Jego nos wyczuł zapach od razu.

– Wróciłeś – spytała przyjaźnie, odwróciwszy głowę nad ramieniem. Potem znów zaczęła zajmować się kwiatami.

Durand dwukrotnie głęboko wciągnął powietrze do płuc, mimowolnie chciał określić pochodzenie obcego zapachu.

Chociaż nie patrzyła na niego, musiała to słyszeć. Natychmiast oderwała się od kwiatów i podeszła do okna. Otworzyła je.

– Przed chwilą paliłam tutaj cygaro – rzekła niepytana. – Trzeba wywietrzyć.

Nie było żadnego niedopałka na tacy, gdzie zwykła je zostawiać.

– Wyrzuciłam je przez okno – dodała. – Znów wróciła do kwiatów. – Nie nadawało się do palenia. Robią je coraz gorsze.

Zapach cygar nie przeszkadzał jej do tej pory. Jednak nie była to woń tytoniu, ale gryzący zapach spalonego papieru.

Wiem, że kłamie, wiem to – pomyślał ponuro. Nie jest w stanie zaprzeczyć. Ale co osiągnę, pytając ją? Czy naprawdę chce być upokorzony? Jednak pytanie wyrwało mu się z ust, nie był w stanie go powstrzymać.

– Czy to ciebie przed chwilą widziałem na ulicy?

Upłynęło trochę czasu, zanim odpowiedziała. Jak mogła się zastanawiać, skoro to było przed chwilą. Wyjęła z wazonu następny kwiat. Odwróciła go do góry łodygą i przyjrzała mu się uważnie. Odłożyła kwiatek. Zaraz potem spojrzała na Duranda – była gotowa. Spostrzegła, że jego wzrok spoczął na jej śliwkowej sukni. Wtedy odpowiedziała.

– Tak.

– Czy szłaś obok poczty?

Znów chwilę się zastanawiała, jakby przypominała sobie, gdzie była.

– Coś musiałam kupić – powiedziała raczej zdecydowanie.

– Co?

Spojrzała na kwiaty. – Sekator, żeby przyciąć łodygi. Dobrze wybrała: nożyce ogrodowe sprzedają prawie we wszystkich sklepach.

– I kupiłaś?

– Nie mieli. Sprzedawca chciał gdzieś po nie pójść, ale powiedziałam, żeby się nie kłopotał. Czekał. Ona nie miała zamiaru nic więcej powiedzieć.

– Nie byłaś na poczcie?

Powtarzając pytanie, dał do zrozumienia, że wie, gdzie była.

– Tak, weszłam tam – odpowiedziała po dłuższej zwłóce. – Teraz sobie przypomniałam. Kupowałam tam znaczki pocztowe. Chcesz je zobaczyć? – Na jej twarzy pojawił się uśmiech osoby przygotowanej na wszystko.

– Nie – odparł. – Jeśli kupowałaś znaczki, to wszystko wyjaśnia.

– Lepiej będzie, jak je pokażę. – Nie powiedziała tego obrażonym, wrogim głosem, raczej kapryśnym, rozbawionym. Zachowywała się jak osoba, która cierpliwie znosi czyjeś słabostki, wybaczając je.

Wyjęła portmonetkę i pokazała Durandowi dwa małe purpurowe kwadraciki.

Nie przyglądał się im. Mogła je kupić pół godziny temu, ale równie dobrze mogła je mieć od miesiąca.

– Urzędnik powiedział, że dostałaś list.

– Tak? – Uniosła brwi w ironicznym geście.

– Opisałem cię.

– I powiedział, że dostałam list – mruknęła flegmatycznie.

– Był zaadresowany do Mabel Greene.

– Wiem – przyznała. – Dlatego mu go oddałam. Wziął mnie za kogoś innego. Zatrzymałam się przypadkowo przy tym okienku, kiedy chowałam znaczki. Byłam odwrócona do niego plecami. Wtedy nagle zawołał: „Panno Greene, mam dla pani list”, i podał mi go. Tak mnie zaskoczył, że wzięłam przesyłkę. Potem powiedziałam: „Nie jestem panną Greene”, i oddałam mu list. Jednak po chwili pomyślałam, że nie była to zwykła pomyłka. Sądzę, że on próbował... – subtelnie zawiesiła głos – ... flirtować ze mną. Zaraz zaczął opowiadać, jak bardzo przypominam inną osobę. Wtedy po prostu odwróciłam się i wyszłam.

– On nic nie mówił, że zwróciłaś list.

– Ale ja to mówię. – W jej głosie nie było złości, jakichkolwiek emocji. – Masz wybór: komu wierzyć.

Zwiesił głowę. Przegrał potyczkę, mógł to przewidzieć. W ogóle nie miała wyrzutów sumienia, co nie oznaczało, że była bez winy, ale tylko to, że nie okazywała strachu, który zwykle pomaga odkryć oszustwo. Mógłby zaprowadzić ją na pocztę i sytuacja ani trochę by się nie zmieniła. Bonny stanowczo by zaprzeczyła, osłabiła twierdzenia urzędnika.

Kiedy wychodziła z pokoju, musnęła niemal czule plecy Duranda.

– Lou, nie wierzysz mi? – spytała całkowicie obojętnie.

– Chciałbym.

Wzruszyła ramionami. – Zatem uwierz, tylko tyle musisz zrobić. To jest bardzo proste.

Zadowolona z siebie powoli weszła po schodach. Chociaż nie widział jej twarzy, był pewien,

że malowało się na niej samozadowolenie.

Szybko ukląkł przed kominkiem, zaczął przeszukiwać ceglana podłogę. Spostrzegł delikatny popiół z papieru, który leżał na oczyszczonej, ściemniałej powierzchni. Kupka popiołu była niewielka. Odwrócił mały, niespalony fragment. Przypuszczalnie ocalał dlatego, że do końca trzymała go w palcach. Dwa niespopielone brzegi otaczała falista, wypalona przez ogień linia.

Odczytał końcowe słowo listu: *Billy*. Ale nawet ono nie było nienaruszone: górną część litery *B* strawił ogień.

Rozdział 61

Nic się nie wydarzyło w ciągu kolejnych pięciu dni. Nie było następnych wizyt na poczcie, beczynnego przesiadywania przy biurku, kolejnych wysyłanych i otrzymywanych listów. Wszystko co miało być powiedziane, zostało powiedziane i tylko kominek znał tajemnicę.

Przez te pięć dni Bonny nie wychodziła nawet na zewnątrz, nie robiła spacerów. Krążyła po pokojach. Nie rozmawiała, zamknęła się w sobie, jakby czekała, aż upłynie wyznaczony termin. Czekala pięć dni.

Piątego dnia, nagle, po dłuższym czasie, otworzyła drzwi od swojego pokoju i Durand zauważył, że schodzi po schodach, przygotowana do wyjścia. Ubrała się starannie, bardziej starannie, bardziej elegancko niż robiła to od dłuższego czasu. Użyła lokówek, włosy miała zakręcone. Jej usta były intensywnie czerwone. Szminka wyglądała jak szminka, nie udawała naturalnego koloru ust. To nie dla niego się tak umalowała, Durand nie akceptował tak wyzywającego makijażu. Tak samo zapach wody kwiatowej był zbyt intensywny, powodował niemal ból głowy. To też mu nie odpowiadało.

Wychodziła. Robiła to demonstracyjnie, żeby mógł zauważyć. Nie chciała żadnych pomyłek, nie chciała też, by jej przeszkadzano.

– Wychodzę – powiedziała. – Wkrótce wrócę.

Nie zapytał, gdzie idzie.

Była trzecia po południu.

O piątej jeszcze nie wróciła. Tak samo o szóstej, siódmej.

Zrobiło się ciemno. Zapalił lampy. Począł tak do ósmej. Wciąż jej nie było.

Wiedział, że go nie opuści, wiedział, że wróci. To go nie martwiło. Sposób, w jaki wychodziła, ostentacyjne zachowanie mówiły mu wyraźnie, że wróci. Gdyby chciała go opuścić, zrobiłaby to w sposób nie rzucający się w oczy, niepostrzeżenie.

Podszedł do jej sekretarzyka, otworzył szufladę i wyjął z niej małą drewnianą szkatułkę, w której trzymała swoją biżuterię. Była tam jej obrączka ślubna, chwilowo niepotrzebna. Zostawiła też diamentowy pierścionek, który dał jej tego dnia, gdy przybyła do Nowego Orleanu.

Nie, nie opuści go, wróci. Poszła tylko na spacer bez obrączki ślubnej.

Przed dziewiątą u drzwi rozległy się jakieś hałasy. Nie był to odgłos otwieranych drzwi, ale raczej hałas związany z nieudolną próbą ich otwarcia.

W końcu wyszedł na korytarz, żeby zobaczyć. Chciał się dowiedzieć, dlaczego Bonny nie wchodzi. Wiedział, że to ona.

Zatrzymała się w drzwiach, plecami oparła się o framugę. Najwyraźniej chciała chwilę odpocząć, a może uznała, że wejście w głąb pokoju wymaga zbyt dużego wysiłku.

– Źle się czujesz? – zapytał z niepokojem. Ruszył w jej kierunku, ale się nie śpieszył. Zachowywał pełne wyrzutów dostojeństwo.

Roześmiała się. Był to zduszony, ukradkowy chichot skierowany do siebie, nie do Duranda.

Śmiała się z niego.

– Wiedziałam, że mnie o to zapytasz.

Podszedł do niej bliżej.

Zapach wody kwiatowej zmienił się. Wydawało się, że sfermentował. Czuć było odór alkoholu.

– Nie, nie czuję się źle – burknęła buntowniczo.

– Wejdz do środka. Mogę ci pomóc?

Odepchnęła jego rękę i bez pomocy poszła za nim. Szła sztywnym krokiem, w miarę prosto, ale była skrępowana, jakby chciała powiedzieć: „Popatrz, jak potrafię chodzić”. Przypominała mechaniczną lalkę, którą nakręconą postawiono na podłodze.

– Nie jestem też pijana – odezwała się nagle.

Zamknął drzwi, lecz najpierw wyjrzał na zewnątrz. Nikogo nie zauważył. – Nie powiedziałem tego.

– Ale pomyślałeś.

Czekała, żeby się odezwał, ale nie zrobił tego. Jakakolwiek jego riposta, zaprzeczenie czy potwierdzenie, wywołałaby taką samą reakcję. Chciała się z nim kłócić, była wrogo do niego usposobiona. Nie wiedział jednak, czy sama wpadła w taki nastrój, czy może przez kogoś została podburzona.

– Nigdy się nie upijam – oświadczyła, gdy oderwała wzrok od drzwi do salonu i spojrzała na Duranda. – W całym swoim życiu nigdy się nie upiłam.

Nic nie powiedział. Weszła do salonu.

Kiedy on wszedł do pokoju, siedziała w obszernym fotelu. Odchyliła do tyłu głowę, odpoczywała. Oczy miała szeroko otwarte, ale nie patrzyła na to, co robi – spoglądała tępo w górę. Zdejmowała rękawiczki, ale nie robiła tego z namaszczeniem, co Durand za każdym razem obserwował. Zachowywała się z leniwą frywolnością. Pozwalała, żeby palce rękawiczek swobodnie zwisały, powiewały w powietrzu.

Stał i obserwował ją przez chwilę.

– Spóźniłaś się – wreszcie powiedział.

– Wiem, nie musisz mi tego mówić.

Rzuciła rękawiczki na stół w odruchu lekkiego zniecierpliwienia.

– Dlaczego nie zapytasz, gdzie byłam?

– Powiedziałabyś?

– A uwierzyłbyś?

Następnie zdjęła kapelusz. Przyglądała mu się uważnie, z niechęcią. Trzymając go za rondo, obróciła w rękę.

Potem niespodziewanie Durand zobaczył, że złożyła dwa palce drugiej ręki i w lekceważącym geście pchnęła kapelusz. Po chwili rzuciła go na podłogę, daleko od siebie.

Durand nie zrobił żadnego ruchu, żeby go podnieść. To był przecież jej kapelusz. Ona nawet

nie patrzyła, gdzie upadł.

– Myślałem, że go lubisz. Myślałem, że to ostatni krzyk mody.

– E... tam – burknęła z oburzeniem. – W Nowym Jorku w tym sezonie nosi się większe. Takie małe kapelusze są już niemodne.

Kto ci to powiedział? – w myślach zadał sobie to cierpkie pytanie. Kto ci powiedział, że marnujesz się tutaj, z daleka od wielkich miast, w których zwykłaś mieszkać. Mógł słyszeć każde słowo, jakby był obecny podczas rozmowy.

– Mogę ci coś przynieść? – zaproponował po chwili.

– Nie możesz mi niczego przynieść – odparła szyderczym głosem.

Był w stanie odczytać jej niewypowiedzianą myśl: Mogę dostać wszystko, czego chcę, bez ciebie, bez twojej pomocy.

Zostawił ją w spokoju. Coś ją nastawiło przeciwko niemu albo raczej rozпалиło nienawiść, która się w niej tliła. To nie był wyłącznie alkohol, ale coś ponadto. Alkohol ułatwił jedynie ujawnienie się uczuć. Wrócił po kilku minutach i przyniósł jej kawę, którą zaparzył. To była prosta czynność i jedyna, jaką potrafił wykonać w kuchni. Obserwował Bonny, jak to robiła, i się nauczył.

Poza tym jacyś inni – mężczyźni, których nie pozna – mogli rozpoznać smutek w jej wdzięku, a ona zbuntowała się, oburzenie przyprawiło ją o nudności.

– Och, jesteś tak słodki, że aż dostaję mdłości. Dlaczego nie okażesz się mężczyzną? Dlaczego od czasu do czasu nie dasz poznać kobiecie smaku swojego paska od spodni? To obojgu nam mogłoby dobrze zrobić.

– Czy oni to... – zaczął chłodno, ale nie skończył pytania.

Niemniej jednak wypila kawę. Nie podziękowała, że ją przygotował.

Po krótkim czasie kawa wywarła odpowiedni efekt, pokrzepiła ją.

Bonny stała się nagle rozmowna, jakby chciała zatrzeć wrażenie, jakie zrobiła jej opryskliwość. Nienawiść znikła albo przynajmniej ukryła się pod powierzchnią.

– Piłam – przyznała. – Obawiam się, że za dużo. Oni nalegali.

Przerwała. Czekwała, czy zapyta, kim byli „oni”. Nie zapytał.

– Zaczęłam wracać do domu około piątej, wiele godzin temu. Myślę, że zrobiłam błąd, bo postanowiłam wracać pieszo, nie wzięłam dorożki. Może się przeliczyłam z siłami. Albo zbyt mocno zasznurowałam gorset... Nie wiem. W każdym razie gdy szłam ulicą, poczułam się słabo, zaczęło mi się kręcić przed oczami. Nie wiem, co by się wydarzyło, chyba bym upadła. Na szczęście kilka kroków za mną szła wytworna kobieta. Podtrzymała mnie, nie pozwoliła mi upaść. Zaraz potem, jak mogłam trochę pewniej stanąć na nogach, zaczęła nalegać, żebym poszła z nią do jej domu, żeby trochę odpocząć. Mieszka niedaleko stąd. Zasłabłam prawie przed jej domem... Wkrótce zjawił się jej mąż. Nie chcieli nic słyszeć o moim wyjściu, dopóki nie odzyskam wszystkich sił. Zrobili mi tego drinka. Musiał być mocniejszy niż przypuszczałam. To naprawdę uprzejmi ludzie. Nazywają się Jackson, jeśli dobrze usłyszałam. Pokażę ci kiedyś ten

dom. Jest wspaniały.

Odświeżyła pamięć i zaczęła go opisywać: – Zaprowadzili mnie do salonu i kazali usiąść na kanapie. Gdybyś mógł go zobaczyć. Dałabym za niego wszystkie pieniądze. Och, nasz dom jest niczym w porównaniu z tamtym. Meble z epoki Ludwika XV, pozłacane; morwowe obicia. Szklana osłona wokół przy kominku, a w nim gazowe palniki. Metalowe palniki, które można w każdej chwili zapalić lub zgasić.

Gdy mówiła, Durand mógł w wyobraźni widzieć obskurny pokój w hotelu przy jednej z bocznych uliczek w pobliżu dworca. Okna były zasłonięte, żeby niczego nie można było zobaczyć z ulicy. Potajemne spotkanie, nieostrożnie przedłużone przez alkohol, który pozwala zapomnieć o czasie. Ona i mężczyzna, kimkolwiek on jest...

Płomień starej miłości rozgorzał ponownie. Odnowiły się stare związki, odżyły szepty i chichoty, wspólnie przeżyte chwile... Wszystko to widział, jakby tam był i spoglądał na nich z boku.

Nie fizyczna niewierność najbardziej mu dokuczała, ale psychiczna. Ta była znacznie trudniejsza do uleczenia. Bardziej zdradzała go swoim umysłem i sercem, niż mogłaby to zrobić ciałem. Z tego co wiedział, nie był pierwszym mężczyzną w jej życiu, lecz pragnął, modlił się o to, by być ostatnim.

Patrząc w przeszłość, mógł bardzo łatwo powiedzieć, dlaczego tak się stało. Jego kłamstwo na temat pieniędzy, zamiast załagodzić, tylko pogorszyło sytuację. A potem ich brutalna kłótnia, po której musiał się kajać, a która napełniła ją złością i pragnieniem zemsty. Musiała w tym czasie wysłać list gdzieś na Północ. Chociaż go nie widział, mógł się domyślić, jak rozpaczliwą prośbę zawierał: „Przyjedź. Dłużej tego nie jestem w stanie wytrzymać. Zabierz mnie stąd”. Po pięciu dniach przyszła odpowiedź: tajemniczy list do Mabel Greene.

Nie musiała już chodzić na pocztę, by potajemnie odbierać listy. Nadawca był z nią, w tym samym mieście.

Tak – pomyślał ze smutkiem – ja też podróżowałbym pięć dni... albo nawet sto... żeby być z kobietą taką jak Bonny. Jaki mężczyzna by tego nie zrobił? Jeśli nowa miłość nie mogła jej zadowolić, wróciła do starej.

Wreszcie z wyrazu jego twarzy zorientowała się, że już jej nie słucha.

– Za dużo trajkoczę – zauważyła bez przekonania. – Obawiam się, że ci się sprzykrzyłam.

– Ależ nie, nigdy tak nie będzie – odparł głucho. – Bonny, ty nie możesz mi się sprzykrzyć. – I była to prawda.

Stłumiła ziewnięcie, wysuwając do tyłu łokcie. – Chyba położę się spać.

– Tak – zgodził się posepnie. – Tak będzie najlepiej.

Zaraz po tym gdy usłyszał, że zamknęła drzwi do swojego pokoju na górze, jego głowa powoli, w nieutulonym żalu opadła na rozłożone na stole ramiona.

Rozdział 62

Następnego dnia nie robił żadnych uwag na temat jej pijackiej wyprawy, jak i tego, co za nią się kryło. Czekał, czy będzie chciała to powtórzyć (w jego głowie zaczęła kiełkować myśl, żeby pójść za nią i zabić mężczyznę, z którym się spotka), ale nie próbowała. Jeśli umówiła się na kolejne spotkanie, to na pewno nie w następnym dniu.

Długo leżała w łóżku, pozwoliła mu czule się sobą opiekować. Zachowywała się jak leniwa żona, która sprząta i gotuje co drugi dzień, trzy razy w tygodniu. Mimo że jej złe samopoczucie – które po prostu nazwali „ból głowy” – spowodowane było haniebnym zachowaniem, nie robił jej żadnych zarzutów.

Kiedy w końcu zeszła z góry, by zjeść z nim kolację, była miła pod każdym względem. Wyglądało, jakby miała dwie natury. To zrównoważone „ja” nie wiedziało lub nie przypominało sobie, co nieświadomie uczyniła pijacka natura. Albo chciała naprawić swoje postępowanie.

– Amelia już poszła? – zapytała. Było to zbędne pytanie, zadane tylko po to, żeby nawiązać rozmowę. Cisza w pokoju i fakt, że nikt nie zjawił się przy stole, udzielało jednoznacznej odpowiedzi.

– Około szóstej – powiedział. – Przygotowała stół i zostawiła kolację na kuchni, żeby nie wystygła.

– Pomogę ci – odezwała się, gdy zauważyła, że Durand ruszył w kierunku kuchni, by przynieść kolację.

– Jesteś w stanie? – spytał.

Z wyrzutem spuściła wzrok, jakby przyznawała, że zasługuje na taką nagane.

Sami się obsługiwali. Nieśmiało podsunęła mu tackę z chlebem. Przez chwilę udawał, że tego nie widzi, ale ustąpił i wziął kromkę.

– Dziękuję – mruknął. Ich spojrzenia się spotkały.

– Lou, jesteś zły na mnie? – cicho zapytała.

– A mam powód? Nikt inny, tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie.

Spojrzała na niego przestraszonym wzrokiem, jakby pytała: „Jak dużo wiesz?”

Pomyślał: Jaki inny mężczyzna siedziałby tak spokojnie jak on, wiedząc to, co on wiedział. Potem przypomniał sobie, co powiedział Jardine’owi w czasie tej wizyty w Nowym Orleanie: To ja muszę sobie z tym radzić. Muszę.

– To nie było godne podziwu – powiedziała łagodnie.

– Nie zrobiłaś niczego okropnego – zapewnił ją – kiedy tu wróciłaś. Byłaś tylko trochę nadąsana, to wszystko.

– Co więcej – natychmiast wtrąciła – nie zrobiłam nic złego przed przyjściem do domu. To tylko tutaj źle się zachowywałam.

Jak dobrze się rozumiemy – pomyślał. Jesteśmy naprawdę małżeństwem.

Zerwała się z miejsca. Stała za krzesłem, na którym siedział. Pochyliła się nad jego

ramieniem i pocałowała go, zanim mógł się sprzeciwić.

Jego serce rozgorzało niczym proch strzelniczy. Ogień rozpalił się w jego płucach. Jednak nie okazał tego na zewnątrz. Jak łatwo można mnie kupić – pomyślał. Jak łatwo ugłaskać. Czy to miłość, czy może brak zdecydowania, charakteru?

Siedział nieruchomo, sztywny. Ręce położył na stole, zdecydowanie nie chciał jej dotykać.

Jego usta zdradziły go, chociaż się powstrzymywał. – Jeszcze raz – powiedziały.

Znów się pochyliła i pocałowała go.

– Jeszcze raz.

Jego usta teraz drżały.

Po raz kolejny go pocałowała.

Nagle Durand ożywił się. Chwycił ją z taką siłą, jakby był to napad, a nie pieszczota. Posadził ją na swoich kolanach i wtulił się w nią. Chciwie wpijał się w jej usta, szyję, ramiona.

– Nie wiesz, co ty ze mną robisz. Doprowadzasz mnie do utraty zmysłów. Och, to nie jest miłość. To jest kara, przekleństwo. Zabiję każdego mężczyznę, który będzie chciał mi cię zabrać... Zabiję też ciebie, a potem siebie. Nic nie pozostanie.

Jego usta wciąż na nowo odnajdując ją, powtarzały bez przerwy, między pocałunkami: „

– Bądź przeklęta!... Bądź przeklęta!... Bądź przeklęta! Żaden mężczyzna nie powinien cię nigdy spotkać!

Kiedy w końcu uwolnił ją z uścisku, skuliła się bezwładnie w jego ramionach. Jej twarz wyrażała teraz zaskoczenie, przerażenie, jakby jego gwałtowność wywołała w niej reakcję, której się nie spodziewała. Mówiła w odrętwieniu, powoli pocierając dłońią brwi. Z trudem przypominała sobie coś, o czym on, swoim zachowaniem, kazał zapomnieć.

– Och, Louis, to niebezpieczne ciebie znać. Zmuszasz mnie, żebym zapomniała o...

Potem niepewna, niejasna myśl zamarła.

– Zapomnieć o kim? – dociekał oskarżycielsko. – Zapomnieć o czym?

Spojrzała na niego oszołomionym wzrokiem, zaskoczona, że coś powiedziała. – Zapomnieć... o sobie – wykrztusiła.

Nie to chciała powiedzieć – pomyślał ze smutkiem. Niemniej jednak te słowa były prawdziwe. W niej mam tylko rywala. To tylko ona stoi na drodze swojej miłości do mnie.

Następnego dnia nie wyszła z domu. Znów czekał, wstrzymywał oddech, ale ona sumiennie została przy nim. Umówione spotkanie, jeśli rzeczywiście zostało zaplanowane, czekało na odpowiedni moment.

Również drugiego dnia Bonny pozostała w domu. Przyszła służąca i kiedy Durand wyszedł na schody, zauważył, że obie stoją blisko siebie, jakby naradzały się w tajemnicy. Durandowi wydawało się, że widział, jak Bonny gmera przy staniku, pośpiesznie coś chowa.

Przypuszczalnie udałoby się jej to ukryć, ale Murzynka okazała się słabą konspiratorką: cofnęła się gwałtownie, gdy zobaczyła Duranda. W ten sposób podsunęła mu myśl, że coś sobie przekazały.

Są inne sposoby komunikowania się niż tylko bezpośrednie spotkania – uświadomił sobie. Przypuszczalnie spotkanie, którego się tak lękałem, odbyło się na moich oczach, dzięki kartce papieru.

Gdy tego dnia kolacja zbliżała się do końca, Bonny w wyraźny sposób stała się zamyślona. Kiedy wyszła służąca, pośredniczka w zdradzie, znów zostali sami we dwoje.

Przypadkowe uwagi Bonny – takie jak: posiłek spożywany wspólnie jest o wiele smaczniejszy – stawały się coraz rzadsze, aż w końcu przestała się odzywać z własnej woli, odpowiadała jedynie na pytania Duranda. Wkrótce potem tylko on mówił, Bonny wyłącznie przytakiwała – myślami była gdzie indziej.

W końcu jej zaduma wpłynęła na sposób jedzenia. Jadła coraz wolniej, coraz mniejszymi kęsami – tak bardzo się zastanawiała. Musiała coś widzieć oczami wyobraźni, gdyż umysł nie jest w stanie przypatrywać się nicości. Mogła na kilka minut zatrzymać widelec na talerzu lub w drodze do ust.

Potem, tak samo w niewytłumaczalny sposób, w jaki się pojawiło, jej roztargnienie znikło. Jakimikolwiek drogami pobiegły jej myśli, to teraz się ukryły albo dobiegły do celu przeznaczenia.

Teraz jej oczy spostrzegły go, kiedy spojrzały na niego.

– Przypominasz sobie ten wieczór, kiedy się kłóciliśmy? – spytała łagodnie. – Powiedziałeś coś wtedy o starej polisie ubezpieczeniowej, którą wykupiłeś, kiedy mieszkaliśmy na ulicy Świętego Ludwika? Czy to prawda? Naprawdę wciąż ją masz, czy może wymyśliłeś to podobnie jak tę historię o pieniądzach, które gdzieś ci pozostały?

– Wciąż ją mam – odparł obojętnie. – Ale straciła ważność, bo przestałem ją opłacać.

Jadła teraz pospiesznie, jakby chciała nadrobić czas, który straciła, ociągając się. – Zatem jest zupełnie bezwartościowa?

– Nie, jeśli zaległości w opłatach zostałyby zlikwidowane, odzyskałaby chyba ważność. Myślę, że nie upłynęło zbyt dużo czasu.

– Ile byłoby potrzebne?

– Pięćset dolarów – odparł zniecierpliwiony. – Masz tyle?

– Nie – powiedziała potulnie. – Ale mogłam chyba zapytać?

Odstawiła talerz i spuściła wzrok, jakby Durand ją uraził. Patrzyła na swoje zaciśnięte dłonie. Potem zaczęła powoli obracać w palcach diamentowy pierścionek, który był jego ślubnym prezentem. Wahala się, zastanawiała.

Kto był w stanie powiedzieć, czy w ogóle widziała pierścionek? Co w rzeczywistości widziała? O czym myślała? Sama zabawa pierścionkiem nic nie mówiła – były to niespokojne, kobiece gesty.

- Jak można to załatwić? Co należałoby zrobić, gdybyśmy mieli te pieniądze?
- Trzeba by je po prostu wysłać do towarzystwa ubezpieczeniowego w Nowym Orleanie.
- I polisa odzyskałaby ważność?

– Tak, polisa odzyskałaby ważność – odparł trochę rozdrażniony, zirytowany jej uporczywym trzymaniem się tego tematu.

Oczywiście domyślał się, dlaczego się tym nagle zainteresowała. Łudziła się nieokreśloną nadzieją, że uda się w jakiś nieokreślony sposób pożyczyć pieniądze na tę polisę.

– Mogę ją zobaczyć? – przymilała się.

– Teraz? Jest gdzieś na górze wśród moich starych dokumentów. Jednak przypominam ci, że nie jest ważna: ostatnio nie była opłacana.

Nie naciskała dalej. W zadumie obracała pierścionek w palcach, to w jedną, to w drugą stronę. Brylant iskrzył się w świetle lampy.

Nie pytała więcej o polisę, ale on sam, pamiętając o tym, zaczął jej poszukiwać. Nie zrobił tego od razu, ale po dwóch lub trzech dniach.

Nie mógł jej znaleźć. Szukał jej tam, gdzie jego zdaniem powinna być, a potem wszędzie.

Musiała zaginać w czasie licznych przeprowadzek, w trakcie pośpiesznego pakowania i rozpakowywania ich rzeczy. A może gdzieś była, w miejscu, o którym nie pomyślał.

Wreszcie zaprzestał poszukiwań. Nie przejął się zgubieniem polisy, gdyż była bezwartościowa i nie można było jej zastawić (co, jak sądził, miała na myśli Bonny, pytając o nią). Pod każdym względem strata nie była duża.

Nie powiedział Bonny, że nie mógł znaleźć polisy. Nie było powodu, bo zdawała się o niej nie pamiętać, gdy siedziała przy stole naprzeciw Duranda i przypatrywała się – leniwie je gładząc – swoim dłoniom bez pierścionków.

W ciągu następnego tygodnia służąca (jedna i ta sama), którą zatrudniali do tej pory, odeszła. Zostali sami w domu.

Zapytał o nią, gdy jej nie zobaczył przez dwa kolejne dni. Jak to mężczyzna, zauważył odejście służącej długo po fakcie.

– Co się stało z Amelią?

– Odprawiłam ją we wtorek – odparła krótko Bonny.

– Ale wydawało mi się, że nie zapłaciliśmy jej za ostatnie trzy lub cztery tygodnie... W jaki sposób byłaś w stanie jej zapłacić?

– Nie zapłaciłam.

– I mimo to zgodziła się odejść?

– Nie miała wyboru, nakazałam jej. Dostanie pieniądze, kiedy my sami będziemy je mieli.

Wie o tym.

– Nie zatrudniłaś nikogo innego?

– Nie – odparła. – Poradzę sobie sama. – Potem dodała coś bardzo cicho, czego dokładnie nie usłyszał.

– Co? – zapytał mimowolnie, zaskoczony. Wydawało mu się, że powiedziała: „Przez pewien krótki czas”.

– Przez pewien krótki czas – powtórzyła.

Poradziła sobie znacznie lepiej niż wtedy w Mobile, kiedy po raz pierwszy sama usiłowała prowadzić dom i szybko musieli wrócić do hotelu na posiłki.

Wykazała teraz znacznie więcej zdecydowania niż w tamtych odległych, beztrudnych dniach. W jej wysiłkach mniej było lekkomyślności, a więcej determinacji. Mniej się śmiała, ale efekty tak nie przerażały. Nie była teraz dziecinną panną młodą, która bawi się w prowadzenie domu, ale kobietą chcącą zdobyć nowe umiejętności, nie marnującą swoich wysiłków.

Przez dwa dni gotowała, zmywała naczynia, zamiatała. Aż drugiego dnia tej nauki prowadzenia domu, wieczorem...

Nagle usłyszał dochodzący z kuchni głośny krzyk, a potem odgłos tłukącego się talerza, który wypadł jej z rąk. Poszła tam, by pozmywać po kolacji, Durand natomiast wertował gazetę. Nawet najbardziej zakochany mężczyzna nie zaproponowałby, że pomoże przy zmywaniu naczyń – byłoby to równie niezwykle jak obecność przy porodzie.

Cisnął na podłogę gazetę i wpadł do kuchni. Bonny stała przy balii z gorącą wodą.

– Co się stało? Oparzyłaś się?

Przerażona pokazywała ręką.

– Szczur – wykrztusiła. – Przebiegł między moimi stopami, kiedy tu stałam. Tam uciekł. – Z obrzydzenia wykrzywając twarz dodała: – Ogromny, wstrętnie wyglądał!

Durand chwycił pogrzebacz i usiłował włożyć go w szczelinę między ścianą a podłogą, gdzie pokazywała Bonny. Nie udało się, nie było żadnej dziury – tylko niewielkie wgłębienie w tynku.

– Nie mógł wtedy uciec...

Jej przerażenie przeszło w gniew. – Uważasz, że kłamię? Miał mnie ugryźć i pokaleczyć, żebyś uwierzył?

Durand już na czworakach zaczął z całą siłą wpychać pogrzebacz we wgłębienie. Chyba chciał zrobić dziurę w ścianie, tam, gdzie jej nie było.

Obserwowała go przez moment. – Co robisz? – zapytała chłodno.

– Jak to co? Chcę go zabić.

– To nie jest sposób, żeby się ich pozbyć. – Zdenerwowana tupnęła nogą, aż podniósł się kurz. – Zabijesz jednego, a dziesięć zostanie.

Zrzuciła fartuch i szybkim krokiem wyszła z kuchni. Nie wiedział, co zamierza, ale zaniepokoił się. Odłożył pogrzebacz, wstał z podłogi i wyszedł za Bonny. Ku jego zaskoczeniu miała już na sobie szal i kapelusz.

– Dokąd idziesz?

– Ponieważ ty nie wiesz, co zrobić, idę do apteki kupić coś na szczury – odparowała złośliwie.

– Teraz? O tej porze? Przecież jest już zamknięta.

– Jest jeszcze jedna, w drugiej części miasta, którą zamykają dopiero o dziesiątej. Wiesz to dobrze, tak samo jak i ja. – Potem dodała złośliwym tonem, jakby Durand w jakiś sposób był odpowiedzialny za obecność szczurów: – Nie wejść ponownie do kuchni. Nie chcę, żeby mnie zaatakowały. Kiedy będziemy spali, zaczną biegać po łóżku!

– Niech będzie, ja pójdę – szybko zaproponował. – Nie powinnaś wychodzić o tej porze.

Trochę się uspokoiła. Zdjęła szal, chociaż wciąż marszczyła brwi, niezadowolona, że odpowiednio szybko nie poczuł się do obowiązku. Odprowadziła go do drzwi.

– Nie wchodź do kuchni, dopóki nie wrócę – ostrzegł ją.

– Nic mnie do tego nie zmusi – zgodziła się bojaźliwie.

Zamknęła za nim drzwi.

Po chwili znów je otworzyła, by go przywołać.

– Nie mów, kim jesteśmy, w którym domu mieszkamy – zasugerowała ściszym głosem. – Nie chcę, żeby sąsiedzi się dowiedzieli, że mamy szczury w domu. To mi przynosi ujmę jako gospodyni...

Roześmiał się z tego typowo kobiecego niepokoju, ale obiecał, że nic nie powie.

Kiedy wrócił, stwierdził, że mimo wszystko, wbrew jego upomnieniom i swojemu strachowi, wróciła do kuchni, by skończyć zmywanie. Jednak zachowała ostrożność: lampę postawiła obok swoich nóg, żeby płoszyć szczury.

– Widziałaś jakiegoś, kiedy mnie nie było?

– Wydaje mi się, że widziałam, jak biegł do tej dziury, ale czymś w niego rzuciłam i więcej nie wyszedł.

Pokazał jej, co kupił w aptece. – Trzeba to rozłożyć przy wszystkich ich norach i kryjówkach.

– Czy aptekarz o coś pytał? – zapytała bez związku.

– Nie, tylko czy w domu są dzieci.

– Nie pytał, czyj to dom?

– Nie. To taki starszy, bojaźliwy człowiek. Szybko się mnie pozbył i zamknął drzwi.

Wyciągnęła rękę.

– Nie dotykaj tego. Ja to zrobię.

Zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli. Kucnął przy dziurze i wysypał trochę proszku. – Czy są jeszcze jakieś nory?

– Tam, przy piecu.

Przypatrywała się okiem gospodyni.

– Wystarczy. Nie za dużo, bo rozniesiemy truciznę na butach po domu.

– Trzeba ponownie wysypać za dwa, trzy dni – wyjaśnił.

W końcu postawił truciznę na półkę z przyprawami, ale daleko od nich.

– Umyj teraz ręce – nakazała mu.

Zapomniałby o tym, gdyby mu nie przypomniała. Podała mu włochaty ręcznik.

Następnego dnia naprawdę wpadł w chorobę. Bonny pierwsza to odkryła.

Zauważył, że przypatruje mu się uważnie, kiedy zamknął książkę, którą czytał w wolnej chwili. Było to łagodne spojrzenie, ale przenikliwe. Chyba tak patrzyła na niego od dłuższego czasu, zanim to spostrzegł.

– O co chodzi? – spytał pogodnie.

– Louis... – zawahała się. – Czy ty naprawdę dobrze się czujesz? Zmieniłeś się na twarzy. Nie podoba mi się sposób, w jaki...

– Ja?! – wykrzyknął zaskoczony. – No, wiesz. Nigdy nie czułem się lepiej!

Uciszyła go, unosząc do góry rękę. – Jednak twój wygląd temu przeczy. Ostatnio jesteś coraz bardziej zmizerowany, wychudły. Zauważyłam to jakiś czas temu, ale nie chciałam nic mówić, żeby cię nie niepokoić. Jednak teraz stało się to tak wyraźne, że nie może być mowy o pomyłce.

– Absurd – orzekł. Omal nie parsknął śmiechem.

– Znam doskonałe lekarstwo. Pozwól tylko mi je zastosować. Ja sama z niego skorzystam, żeby cię zachęcić.

– Co to jest? – zapytał rozbawiony.

Zerwała się na równe nogi. – Od dzisiejszego wieczoru, przed snem, będziemy pili grzany alkohol z jajkiem. Zapewniano mnie, że to świetnie wzmacnia organizm.

– Nie jestem obłożnie... – usiłował protestować.

– Ani słowa więcej, proszę pana! – nakazała mu wesoło. – Mam zamiar przygotować teraz tę miksturę i ty mi nie przeszkodzisz. Mam wszystkie potrzebne składniki. Świeże jajka; zwróć uwagę, po dwanaście centów za tuzin! W domu jest też brandy.

Nie mógł się powstrzymać od pobłażliwego uśmiechu, ale nie przeszkadzał jej. Była to jej nowa rola: pielęgniarce zajmującej się nieistniejącą dolegliwością. Jeśli ją to uszczęśliwia, z jakiej racji miałby się jej przeciwstawiać?

Była teraz w dobrym nastroju – miła, sympatyczna, łagodna. Gdy przechodziła obok niego, pochyliła się i pocałowała go w czoło.

– Czy cię wcześniej uraziłam? Wybacz mi, kochany Lou. Wiesz, że nie chciałam. Ze strachu można stać się wiedźmą... – Cały czas uśmiechając się do niego, poszła do kuchni.

Usłyszał, że gdzieś za drzwiami rozbija jajka. Zadumał się.

Po chwili usłyszał, jak Bonny zaczęła po cichu nucić jakąś melodię, gdy kręciła się po kuchni – tak bardzo cieszył ją narzucony sobie obowiązek.

Wkrótce pojawiły się słowa. Mormorando stało się piosenką.

Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby śpiewała. Do tej pory jedynie śmiechem wyrażała swoje zadowolenie. Śpiewała beztroskim, metalicznym głosem, ale nie fałszowała.

Ta piosenka o zmierzchu Kiedy słońce jest nisko...

Nagle zapadła cisza, jakby to, co robiła, wymagało całkowitej koncentracji. Przypuszczalnie odmierzała brandy. Nie zaczęła ponownie śpiewać.

Weszła do pokoju, w dłoniach trzymała dwie szklanki. Ich gęsta zawartość mieniła się jasnozłocistą barwą.

– Proszę. Jedna dla ciebie, jedna dla mnie. – Wyciągnęła do niego obie. – Wybierz. – Kiedy to zrobił, spróbowała napoju ze swojej szklanki. – Mam nadzieję, że za bardzo nie posłodziłam. Za dużo cukru mogłoby zaszkodzić. Mogę spróbować z twojej?

– Oczywiście.

Wzięła z powrotem szklankę od Duranda i zamoczyła usta w płynie. Napój pozostawił na jej górnej wardze mały, biały ślad.

Trzymając w rękach obie szklanki, odwróciła głowę w stronę drzwi do kuchni.

– Co to było?

– Co? Nic nie słyszałem.

Znów poszła do kuchni. Po chwili wróciła.

– Wydawało mi się, że słyszałam tam jakiś hałas. Chciałam sprawdzić, czy zamknęłam drzwi.

Oddała mu jego szklankę.

– Ponieważ jest w tym brandy – powiedziała – myślę, że powinniśmy wznieść toast. – Stuknęła szklanką o szklankę. – Za twoje zdrowie.

Opróżniła swoją szklankę do dna.

Durand wypił duży łyk. Napój był przyjemny i delikatny w smaku. Alkohol, którego nie żałowała, rozplynał się łagodnym ciepłem po żołądku.

– Dobrze by było, żeby wszystkie napoje miały tak przyjemny smak, prawda? – zauważyła.

– Jest niezłe – przyznał, bardziej, by ją zadowolić niż ze względu na prawdziwe zalety płynu.

Dla Duranda był to przede wszystkim fałszywy drink – ani prawdziwy trunek, ani lekarstwo.

– Musisz wypić do dna. Tylko wtedy może ci pomóc – nalegała łagodnie. – Spójrz, tak jak ja to robiłam.

Zważając na jej uczucia, na jej wysiłek, zrobił tak, jak powiedziała. Niepewnie smakował potem językiem. – Ma lekki smak kredy jak środek... wstrzymujący. Ściąga mnie w środku. Wzięła od niego szklankę.

– To dlatego, że nie jesteś przyzwyczajony do mleka. Czy widziałeś kiedyś zadowoloną twarz niemowlęcia po karmieniu?

– Nie – zapewnił z udawaną powagą. – Nie sprawiłaś mi tej przyjemności.

Oboje wybuchnęli zażyłym śmiechem.

– Tylko wypłucz szklanki – powiedziała – i będziemy mogli pójść na górę.

Na początek Durand spał snem głębokim. W żołądku odczuwał przyjemne ciepło od wypitego trunku, ale inaczej niż w przypadku czystego alkoholu, ciepło nie rozchodziło się po całym ciele. Jednak po godzinie lub dwóch obudził się i zaczął cierpieć katusze. Przyjemne ciepło promieniujące od alkoholu zmieniło się w parzący płomień. Sen, który odpłynął, nie chciał powrócić. Powstrzymywał go ognisty miecz, który przeszywał wnętrzności Duranda.

Pozostała część nocy była męczarnią, udręką. Zawołał Bonny więcej niż jeden raz, ale była zbyt daleko, żeby go usłyszeć. Bezradny i pozbawiony jej obecności mocno zagryzł wargi i więcej nie krzyczał. Rankiem na jego brodzie można było zobaczyć zakrzepłą krew.

W drugiej części pokoju, mile od łóżka, w rogu, stało krzesło z jego ubraniami. Było to krzesło z mahoniowego drewna, z żółtoróżowym pluszowym siedzeniem i oparciem. Nigdy nie zwracał na nie uwagi, a teraz miało symboliczne znaczenie.

Stało bardzo daleko od niego, patrzył na nie tęsknym wzrokiem z dużej odległości, niezmierzonej – odległości, która dzieli chorobę od zdrowia, bezradność od możliwości, śmierć od życia.

Musiał przejść przez pokój. Krzesło stało daleko, ale w jakiś sposób musiał do niego dotrzeć. Tak bardzo skupił na nim swój wzrok, że reszta pokoju rozplynęła się we mgle. Durandowi zdawało się, że jasne koncentryczne kręgi ostrego widzenia ogniskują się na krześle, tak że znalazło się w centrum świecącej tarczy. Pozostałe przedmioty w pokoju zamazały się.

Nie był w stanie normalnie wstać z łóżka, wyprostować nóg, więc najpierw musiał zsunąć z niego na podłogę głowę i ramiona. Potem nastąpił drugi upadek, gdy biodra i nogi podążyły za resztą ciała.

Zaczął czołgać się po podłodze niczym gąsienica lub robak. Tylko że gąsienice lub robaki nie żyją nadzieją, nie mają tak dużych serc, żeby cierpieć katusze, umierając powoli. Jego podbródek dotykał podłogi przy każdym ruchu, gorący oddech wprawiał w ruch falowy puszystą wełnę dywanu.

Powoli, kwiecisty wzór po kwiecistym wzorze. Każdy z nich był wyspą, a między nimi jednolite w barwie tło dywanu niczym kanały lub przepaście o szerokości wielu mil zamiast cali. Jakiś tkacz, gdzieś w świecie, który wyrabiał ten dywan wiele lat temu, nie był nawet w stanie sobie wyobrazić, że jego praca będzie mierzona ludzkim potem, przejmującym bólem i łzami wysiłku.

Powoli przesuwał się coraz bliżej. Krzesło przestało być jednolitym przedmiotem; oparcie znalazło się teraz bardzo wysoko. Wzrok Duranda skupił się na poziomie podłogi. Widział cztery nogi krzesła i buty pod nim. Reszta rozmyła się we mgle wiszącej nad jego głową.

Potem zobaczył też siedzenie. Oznaczało to, że był już blisko. Przypuszczalnie tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby dosięgnąć krzesła.

Spróbował, ale po prostu nie sięgnął. Nie więcej niż sześć cali brakowało koniuszkom palców, by dotknąć nogi krzesła, w stronę której Durand wyciągnął rękę. Sześć cali – tak mało.

Durand skręcił się, skurczył i rozkurczył. Przesunął się o cal. Powiedział mu o tym brzeg kwiecistego wzoru na dywanie. Jednak krzesło zrobiło mu na złość, zwiodło go – w jakiś sposób ukradło mu ten cal. Wciąż stało sześć cali od niego.

Znów Durand przesunął się o cal. I znów krzesło go oszukało, odsunęło się od niego.

To jest szaleństwo, przywidzenie. Krzesło zaczęło się z niego śmiać, a przecież krzesła się nie śmieją.

Z całych sił naprężył rękę, od koniuszków palców po bark. Kosztem wielu lat życia pokonał te sześć cali. Ale krzesło odskoczyło. Znów brakowało mu sześciu cali. Kolejne sześć cali dzieliło go od krzesła.

W końcu załzawionymi oczami Durand zobaczył, że jest jedna para butów za dużo. Cztery buty zamiast dwóch. Jego para stała pod krzesłem, a obok niego dopiero teraz spostrzegł buty Bonny. Musiała otworzyć drzwi tak cicho, że tego nie usłyszał.

Wygięła się nad Durandem w łuk. Jedną ręką przyciskała spódnicę, żeby jej zbyt wcześnie nie zauważył, drugą chwyciła za oparcie krzesła. Niezauważalnie odsuwała je od niego za każdym razem, gdy myślał, że do niego dotarł.

Żart musiał być niezły. Śmiała się głośno, do rozpuku. Usiłowała stłumić śmiech, ale chyba tylko ze względu na dobre obyczaje.

– Chcesz swoje ubrania? Dlaczego mnie nie poprosiłeś? – zapytała drwiącym tonem. – Mój kochany, najprawdopodobniej nie będziesz mógł z nich skorzystać. Nie wyzdrowiałeś jeszcze.

Tym razem przesunęła krzesło przed zrozpaczonymi oczami Duranda pod ścianę, o całe mile. Nie dotrze tam nigdy.

Jednak spodnie, które położył na siedzeniu, spadły z krzesła. Było to bardziej uprzejme niż zachowanie Bonny. Spadły na jego wyciągniętą rękę. Zacisnął na nich dłoń.

Pochyliła się, żeby wziąć od niego spodnie. Przez chwilę trwała nierówna walka. – Mój drogi, nie są ci potrzebne – mówiła jak do upartego dziecka. – Zostaw je. Co chcesz z nimi zrobić?

Powoli wyciągnęła spodnie z jego rąk. Dysponując większą siłą, wyszarpnęła je z zaciskających się na nich palców.

Potem zaprowadziła Duranda z powrotem do łóżka. Obdarowała go uśmiechem, który parzył, przypalał, chociaż był niewinny, troskliwy, łagodny. Zamknęła za sobą drzwi.

Mahoniowe krzesło, wyściełane żółtoróżowym pluszem stało otoczone świetlistą aureolą. Było daleko, bardzo daleko od Duranda.

Rozdział 63

Przyszła później i usiadła obok niego. Miała na sobie przewiewne, szeleszczące stroje. Piękna była jak z obrazka. Prawdziwa Florence Nightingale – dodawała mu otuchy, pokrzepiała, zaspokajała wszystkie potrzeby, z wyjątkiem jednej.

– Biedny Lou. Czy bardzo cierpisz?

Stanowczo zaprzeczył: – Nic mi nie będzie – wysapał. – Nigdy nie byłem chory. To minie.

Spuściła wzrok z przesadną powagą. Westchnęła, zgadzając się z nim.

– Tak, to wkrótce minie – przyznała ze spokojem.

Z niejasnych powodów widok zadowolonego kotka, który właśnie wypił spodeczek mleka, przebiegł Durandowi przez myśl. Znikł w niepamięci, tam, skąd się pojawił.

Ochłodziła go wachlarzem. Wilgotną jedwabną szmatką otarła rozpalone czoło i ciężko dyszącą pierś. Każde dotknięcie było bardziej delikatne, niż gdyby motyl muskał go skrzydłem.

Buntowniczo odwrócił głowę.

– Chcesz, żebym ci poczytała? Może to pozwoli ci zapomnieć o cierpieniu.

Zeszła na dół i przyniosła tom wierszy Keatsa. Zaczęła czytać melodyjnym głosem.

Jakiż ból, rycerzu zbrojny, Mógł cię tak pogrążyć w smutku?

Przerwała, żeby prostodusznie zapytać: – Co to znaczy: *La Belle Dame Sans Merci*? [„Piękna kobieta bez litości” (fr.)] Pięknie to brzmi, ale te słowa nie mają sensu. Czy wszystkie wiersze są takie?

Dłońmi zasłonił uszy. Udręczony odwrócił głowę.

– Przestań, proszę – błagał. – Nie zniosę tego dłużej.

Zamknęła książkę. Spoglądała zaskoczonym wzrokiem. – Chciałam tylko cię rozerwać.

Kiedy woda nie była w stanie ugasić jego wciąż rosnącego pragnienia, Bonny wyszła, żeby z wielkim trudem zdobyć w sklepie rybnym wiaderko lodu. Przyniosła je do domu i podawała mu kawałki lodu, które zgryzał, by w ten sposób się ochłodzić.

Zaspokajała wszystkie jego potrzeby, z wyjątkiem jednej.

– Zawołaj lekarza – poprosił ją w końcu. – Nie jestem w stanie sam zwalczyć choroby. Ktoś musi mi pomóc.

Nie wstała. – Nie moglibyśmy poczekać do jutra? Jesteś przecież dzielnym człowiekiem, mój drogi Lou. Może jutro będziesz się lepiej czuł...

Zacisnął dłonie na jej stroju w niemym błaganiu, aż w końcu Bonny trochę się cofnęła, żeby ratować swoją suknię. Na twarzy Duranda pojawił się płaczący grymas. – Do jutra umrę. Nie przeżyję kolejnej nocy. Ogień, który mnie trawi... Jeśli mnie kochasz... doktora.

Wyszła wreszcie. Wróciła do pokoju po półgodzinie. Zdjęła szal i kapelusz. Była sama.

– A gdzie... ?

– Był dobity.

– Nie może dzisiaj przyjść. Zjawi się jutro. Opisałam mu objawy choroby. Powiedział, że nie

ma powodu do niepokoju. To jest rodzaj... kolki. Trzeba to odchorować. Powiedział, co należy robić, zanim przyjdzie... Uspokój się...

Patrzył na nią oczami błyszczącymi z gorączki i rozpacz. W końcu wyszeptał: – Nie słyszałem, żebyś zamykała za sobą drzwi frontowe.

Przeszyła go spojrzeniem, ale odpowiedziała spokojnie.

– Zostawiłam drzwi otwarte, żeby oszczędzić czas. Przecież zostałeś sam w domu. No wiesz... – Potem powiedziała: – Chyba widziałeś, że miałam na głowie kapelusz?

Nie odzywał się więcej. W jego skołatanej głowie krążyła tylko jedna myśl.

Me słyszałem, żebyś zamykała za sobą drzwi frontowe.

A potem powoli zrozumiał.

Świt. Drugi świt od czasu, gdy to się zaczęło, sączył się przez okno, delikatnie nasączony energią. Ziarnami siły niezbędnej, żeby Durand mógł zdobyć się na nadludzki wysiłek. Nie była to siła fizyczna, ale siła ducha – samospalający się optymizm, woła życia, która oddychała czystym tlenem swojej esencji. Gdyby znikła, nic nie mogłoby jej zastąpić.

Chociaż Durand nie poruszył się jeszcze – tylko otworzył oczy – był to początek podróży. Długiej podróży.

Przez chwilę leżał nieruchomo. Nie chciał, żeby zbyt szybko odkryła, że się obudził.

Po chwili usłyszał odgłosy ruchu na korytarzu: wyszła ze swojego pokoju. Opuścił powieki, zamknął oczy.

Otworzyła drzwi. Wiedział, że patrzy na niego.

Chciał ze strachu zmarszczyć twarz, ale się powstrzymał.

Co za długie, przenikliwe spojrzenie. Czy nigdy nie przestanie się wpatrywać? Co myśli? *Dlaczego tak długo umierasz? Czy może: Mój kochany, lepiej się dzisiaj czujesz?* Która myśl jest prawdziwa, a która przywidzeniem?

Weszła do pokoju. Ruszyła w jego kierunku.

Pochyliła się nad nim z uwagą. Czuł ciepło jej oddechu. Czuł zapach wody fiołkowej, którą się spryskała i która nie zdążyła jeszcze wywietrzeć. A przede wszystkim czuł spojrzenie jej oczu, które były niczym para soczewek skupiających promienie słoneczne, by podpalić wiórki. Tak przenikliwy był jej wzrok.

Nie powinien się poruszać, nawet mrugać powiekami.

Nagle coś ciężkiego znalazło się na jego piersi, omal nie zatrzymało bicia serca. Położyła rękę, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje. Serce trzepotało pod jej rozpostartą dłonią niczym schwytny ptak. Musiała pomyśleć, że niepewny, nierówny jego rytm wywołany jest przemęczeniem. Durand poczuł, że jej palce wędrują w kierunku oka. Ostrzegły go, gdyż przedwcześnie musnęły skórę. Przypuszczalnie chciała sprawdzić jego reakcje. Spojrzał do góry i

kiedy rozsunęła powieki, zobaczyła tylko białko oka.

Potem uniosła jego rękę, kciuk przycisnęła do nadgarstka: badała puls.

W końcu położyła rękę z powrotem i chociaż nie opuściła jej swobodnie, gwałtownym ruchem, w jej geście mógł wyczuć irytację, jakby była niezadowolona, że on wciąż żyje.

Jej strój zaszeleścił, gdy odchodziła od łóżka. Delikatnie owionęło go powietrze. Po chwili zamknęła drzwi: wyszła z pokoju. Rozległ się odgłos jej kroków na schodach.

Rozpoczął się powrót do życia. Dzięki zgromadzonej energii początki były obiecujące. Odrzucił koc i z ogromnym wysiłkiem zaczął się przesuwac, aż w końcu zsunął się z łóżka.

Leżał na podłodze twarzą w dół. Musiał tylko wstać.

Odpoczywał przez chwilę. Rwący ból niczym ogień trawiący kłody drewna rozpałił się w jego żołądku, wzniósł się jak w kominie, a w końcu zgasł, przeszedł w przytępione, bolesne odrętwienie, które mu towarzyszyło zawsze i było możliwe do zniesienia.

Wstał i podszedł do nóg łóżka. Stąd do krzesła była otwarta przestrzeń, bez żadnych mebli, o które mógłby się oprzeć. Odepchnął się buntowniczo od oparcia łóżka i ruszył w stronę krzesła. Słaniając się na nogach, zrobił dwa kroki. Potem następne dwa, i kolejny. Zachwiał się, omal się nie przewrócił. Gdyby mógł tylko tam dotrzeć... Pokonał dystans dzielący go od krzesła, chwycił się go, przechylił, ale utrzymał się na nogach.

Nie włożył koszuli, tylko surdut. Zapiął go. Było to stosunkowo proste. Tak samo nie miał większych problemów ze spodniami. Wciągnął je, siedząc na krześle. Ale włożenie butów wydawało się trudnością nie do przewyciężenia. Nie mógł się normalnie schylić – jego ciało przeszyłyby nieznośny ból.

Stopą ustawił równo buty, jeden przy drugim. Potem po kolei wsunął w nie obie stopy, ale buty pozostały niezapięte. Nie był w stanie poradzić sobie w zwykły sposób. Pochylenie się do którejś ze stóp groziło utratą równowagi i upadkiem z krzesła.

Położył się na boku na podłodze. Wyciągał przed siebie nogę, aż w końcu dosięgnął rękami stopy. Zapiął but tylko u góry. Tak samo uporał się z następnym butem.

Wstał z podłogi. Był przygotowany do wyjścia. Czekala go tylko długa droga. Tylko – powiedział do siebie z pełną smutku ironią.

Niczym lunatyk z naprężonymi wszystkimi mięśniami lub jak marynarz poruszający się chwiejnym krokiem po pokładzie miotanego przez sztorm statku przeszedł od krzesła do drzwi. Oparł się o framugę. Przez chwilę trwał w bezruchu. Potem delikatnie chwycił za gałkę. Obrócił ją i przytrzymał, żeby się nie cofnęła.

Drzwi były otwarte. Wyszedł z pokoju.

We frontowej ścianie korytarza wstawiono owalne okno, żeby oświetlić schody. Poza tym umożliwiało ono wyglądanie na zewnątrz. Szybę przesłaniała firanka.

Podszedł do okna, opierając się ramieniem o ścianę. Spojrzał przez nie; chciwym wzrokiem szukał życia. Firana znajdująca się blisko oczu działała niczym filtr: kawałkowała widok za oknem na małe odrębne kwadraty, oddzielone od siebie grubymi powrozami, które były splotami

nitek oglądanymi z bliskiej odległości.

Jeden z kwadratów obejmował fragment chodnika; nic, tylko jednolity ciemnoszary kolor. Na tym powyżej znajdował się też chodnik, ale w górnej części rysował się trójkątny kawałek zielonego trawnika. Kolejny kwadrat przedstawiał chodnik i trawnik w równych proporcjach. W jego górnym rogu ukazywała się podstawa pomalowanego na biało jednego ze słupków furtki. I tak dalej: same zwodnicze fragmenty. W żadnym kwadracie nie mógł dostrzec świata w całości.

Chcę żyć – błagało jego serce. Chcę przeżyć.

Odwrócił się, oderwał od pozornych obrazów. Chciał jak najszybciej spojrzeć na rzeczywisty świat. Przed nim rozpościerały się schody, które znikwały w przepaści niczym skalne urwisko. Na ten widok opuściła go odwaga. Wiedział, ile wysiłku będzie go kosztowało zejście na dół. Majaczące w kuchni krzesło Bonny zwiększało tylko jego przerażenie.

Jednak mógł iść tylko naprzód. Powrót do pokoju byłby śmiercią, śmiercią w łóżku.

Podszedł do górnego stopnia. Spojrzał w dół schodów, w głąb przepaści. Zakreśliło mu się w głowie, ale utrzymał się na nogach. Kurczowo zacisnął obie dłonie na słupku poręczy, jakby była to podpora jego życia.

Uznał, że wyprostowany nie będzie w stanie zejść po schodach. Mógłby stracić równowagę, runąć głową w, dół. Postanowił więc usiąść na najwyższym stopniu schodów. Powoli opuścił nogi, a potem zsunął swoje siedzenie na przedostatni stopień. Zachowywał się jak dziecko, które nie potrafi jeszcze chodzić.

Gdy tak przesuwiał się po schodach, zbliżał się coraz bardziej do niej, gdyż ona była na – dole, tam, dokąd zmierzał.

Słyszał ją przy sobie, prawie widział, gdy docierały do niego odgłosy.

Delikatny szmer zakończony stuknięciem łyżeczki o brzeg filiżanki oznaczał, że mieszała kawę.

Skrzypnęło krzesło – pochyliła się, by napić się kawy.

Drugie skrzypnięcie – odchyliła się do tyłu, gdy wypila pierwszy łyk.

Mógł usłyszeć, jak odgryzła kawałek chrupiącej bułki.

Zakasłała – okruszki wpadły jej do tchawicy. Znów się pochyliła, by napić się kawy.

Skoro słyszał wszystko tak dokładnie, dlaczego ona – zadawał sobie to pytanie – nie zauważyła jego obecności, nie usłyszała odgłosów skradania się po schodach?

Bał się nawet oddychać, a nigdy do tej pory nie łaknął tak bardzo powietrza.

W końcu znalazł się na dole. Przez chwilę nie był w stanie się poruszyć, nawet jeśli oznaczało to, że za chwilę może do niego podejść. Leżał bezładnie niczym pusty worek zrzucony z góry.

Stąd, gdzie teraz się znajdował, miał przed sobą prostą drogę do drzwi. Wiedział, że nie dojdzie tam wyprostowany. Był zmęczony, wyczerpany dotychczasowym wysiłkiem. Zatem gdzie znajdzie podporę? W jaki sposób dotrze do drzwi?

Postanowił unieść się z podłogi. Oparł się o ścianę. Zaczął się obracać, przyciskając do niej

ręce. W ten sposób przesuwiał się do przodu; ściana go podtrzymywała.

Pośrodku znajdowała się przeszkoda, która uniemożliwiała mu kontakt ze ścianą. Był to wieszak, który w dolnej części przechodził w siedzenie. W wysokiej jego ścianie umieszczono lustro. Mebel nie stał pewnie na podłodze, jego proporcje zostały dobrane niewłaściwie. Durand obawiał się, że może go przewrócić.

Trzymając się mocno wieszaka, zrobił obrót całym ciałem i znalazł się po drugiej stronie mebla. Jednak wypuszczenie go z rąk było bardziej ryzykowne niż przytrzymanie się. Durand obawiał się, że gdy wypuści go z rąk, wieszak może zachwiać się i runąć na podłogę.

Oderwał więc od mebla jedną rękę, drugą go podtrzymywał, żeby zrównoważyć zmianę nacisku. Potem wypuścił go całkowicie. Wieszak zakołysał się lekko, nie wydając przy tym żadnego odgłosu, i wrócił w poprzednie położenie.

Gdy Durand szczęśliwie uwolnił się od mebla, skulił się, ukrywając się za jego wybrzuszenie. Zdawał sobie sprawę, że musi ruszyć dalej, że tylko to może go uratować.

Nagle, bez żadnych ostrzegawczych odgłosów, ona stanęła w drzwiach i spojrzała w kierunku schodów. Potem nawet weszła na nie, żeby lepiej słyszeć. Kiedy stwierdziła, że nic się nie dzieje, uspokojona odwróciła się i poszła z powrotem do kuchni.

Durand wyszarpnął z ust zmięty kawałek koszuli, na którym zacisnął zęby, żeby stłumić swój ciężki oddech. Materiał zaróżowił się.

Po kilku minutach Durand przyciskał usta do drzwi. Nie był to pocałunek, ale z pewnością wyglądało to tak samo.

Tak niewiele było przed nim. Czuł to. Nawet gdyby jego serce przestało bić, a ciało zamarło, w jakiś sposób byłby w stanie kontynuować to, co zaczął, osiągnąć swój cel. Żadne prawa natury nie były w stanie mu przeszkodzić.

Delikatnie przekreślił gałkę i czekał. Znieruchomiał. Nasłuchiwał, czy łagodny hałas dotarł do niej, czy znów wywabi ją z kuchni. Nie.

Niepewnym ruchem pociągnął za gałkę. Drzwi stanęły przed nim otworem.

Wyszedł na zewnątrz. Zatoczył się do przodu i oparł o poręcz balustrady. Pozwolił, żeby go podtrzymała.

Zszedł po schodach przed domem.

Słaniającym się krokiem przemierzył chodnik, znalazł się przy furtce. Tym razem słupek przy niej go podtrzymał. Gdyby nie to, rozbiłby o niego głowę.

Był ocalony.

Znów wrócił do życia.

Dziwny zapach wypełnił jego nos – świeżego powietrza.

Dziwne ciepło ogrzało jego głowę i kark – promieni słonecznych.

Znalazł się teraz na chodniku przy ulicy. Ruszył kołyszącym się krokiem, jego cień mu towarzyszył. Chwiał się pan, chwiał się jego cień. Jako pierwszy swój cel Durand obrał drzewo kilkanaście kroków od niego.

Szedł jak dziecko, które uczy się chodzić – bardzo wyrosnięte dziecko. Robił krótkie, mechaniczne kroki. Nie zginał kolan, wyrzucał stopy do przodu. Ręce wyciągnął przed siebie, dążył do najbliższego obiektu. Dopadł pnia drzewa. Objął go.

Począł.

Od tego drzewa do następnego.

A potem do następnego.

Ale nie było już następnych drzew. Pozostał sam z pustą przestrzenią.

Zbliżyły się dwie kobiety z koszami na ramionach. Uniósł do góry rękę, żeby je zatrzymać, poprosić o pomoc.

Zwinnie odskoczyły od niego. Pokręciły pogardliwie nosami.

– Obrzydliwe! O tak wczesnej porze?! – usłyszał, jak jedna powiedziała do drugiej.

– Pora dnia nie ma znaczenia dla pijaków! – odparła druga ze świętym oburzeniem.

Durand ukląkł na jedno kolano, ale po chwili wstał. Zatoczył kółko niczym ptak ze złamanym skrzydłem.

Mężczyzna, który przechodził obok, spojrzał badawczo na niego. Durand dostrzegł to i zrobił niepewny krok w jego kierunku.

– Może mi pan pomóc? Nie czuję się najlepiej.

Mężczyzna zatrzymał się. – Co się stało, przyjacielu? Co panu dolega?

– Czy jest tutaj w pobliżu jakiś lekarz? Muszę do niego pójść.

– Z tego co wiem, dwie ulice dalej. Właśnie idę w tamtym kierunku.

– Może mnie pan tam zaprowadzić? Chyba sam nie dojdę... – Mężczyzna rozdzielił się Durandowi w oczach, ale po sekundzie stał się jednością.

Zerknął niezdecydowanie na swój zegarek kieszonkowy.

– Już jestem spóźniony – mruknął z grymasem na twarzy – ale nie mogę odmówić. – Proszę się o mnie oprzeć. Zaprowadzę pana.

Posuwali się z trudem. Durand zawisł na ramieniu swojego wybawcy. Nagle Durand spojrzał do góry. Przyjrzał się temu, co zawsze widział.

– Jaki świat jest wspaniały! – westchnął. – Słońce wszystko oświetla... i jeszcze go tyle zostaje.

Mężczyzna przyjrzał mu się podejrzliwie, ale nic nie powiedział.

Zatrzymali się: dotarli na miejsce.

Inaczej niż we wszystkich domach w mieście, albo może inaczej niż we wszystkich domach lekarzy w mieście, wejście znajdowało się na pierwszym piętrze. Prowadziły tam schody. Był to nowy sposób budowania, który rozpowszechnił się we wszystkich większych miastach. Wszędzie tam wyrastały jak grzyby po deszczu domy z ciemnobrązowego kamienia, z niskim parterem, który nazywano „amerykańską suteroną”.

Gdyby budynek miał inną konstrukcję, Durand już byłby bezpieczny w środku.

Jednak dobry Samarytanin, który przyprowadził go tak daleko, głęboko wciągnął powietrze

do płuc i znów wyjął zegarek. Tym razem spojrzał na niego z prawdziwym niepokojem.

– Chciałbym pana zaprowadzić na górę, ale już kwadrans spóźniłem się na spotkanie – przyznał. – Myślę, że pan sobie poradzi... Proszę poczekać. Wejdę na górę i zadzwonię. Ktoś wyjdzie i panu pomoże...

Wgramolił się po schodach, wcisnął przycisk i zaraz był na dole.

– Nic się nie stanie, jeśli zostawię pana samego? – zapytał.

– Dziękuję – wysapał Durand. Przyłgął do ozdobnego cokołu. – Dziękuję. Tylko odpocznę.

Mężczyzna pobiegł ulicą w kierunku, skąd przyszli, okazując tym samym, że brak czasu nie był bezpodstawną wymówką.

Durand znów był sam, bezradny. Spojrzał w górę, w kierunku drzwi. Nikt nie podszedł, by je otworzyć. Jego wzrok zawędrował na sąsiednie okno, w którego lewym rogu umieszczono informację. Obaj jej nie zauważyli.

Doktor medycyny Richard Fraser Godziny przyjęć: 11-13, codziennie...

Dzwon w pobliskim kościele wybił półgodzinę. Wpół do jedenastej. Nagle poczuł, że z tyłu zacisnęły się na jego łokciach białe, delikatne dłonie. Po chwili stanęła przed nim, odcinając mu drogę do budynku.

– Lou! Lou, mój kochany. Co się stało? Co cię tutaj przyprowadziło? O czym myślałeś... Przed chwilą zauważyłam, że drzwi do domu są otwarte, że nie ma cię w łóżku. Biegałam po ulicach... i z sąsiedniej przecznicy zauważyłam, że stoisz tutaj... Lou, jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś mnie tak przestraszyć... ?

Poniewczasie w domu otworzyły się drzwi, ale nie widział tego, bo jej twarz zasłaniała mu widok na cały świat.

– Tak? – usłyszał kobiecy głos. – Czy czegoś sobie życzyście?

Bonny lekko odwróciła głowę, żeby powiedzieć: – Nie, niczego. To pomyłka.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a wraz z tym znikło życie.

– Na górę – wysapał. – Na górę. Tam ktoś... może mi pomóc.

– Słuchaj – rzekła delikatnie. – Słuchaj, przed tobą jest jedyna osoba, która może ci pomóc.

Obrócił się lekko, by spojrzeć na schody, po których nigdy nie wejdzie. Niezdecydowanym ruchem zrobił kolejny ćwierćobrót. Ona też się obróciła. Znów stała przed nim. Te obroty były kolejnymi krokami straszliwego walca śmierci.

– Na górę – błagał. – Pozwól mi pójść na górę. Do tych drzwi. Miej litość.

Jej głos wyrażał współczucie, ociekał miodem. – Chodź ze mną, mój kochany. Mój biedaku. Mój mężu.

Jej spojrzenie, jej dłonie były tak delikatne, że z trudem je poznawał.

– Możesz być zadowolona – lamentował cicho. – Swoje zrobiłaś. Daj mi tę ostatnią szansę. Nie zabieraj mi jej...

– Czy ty myślisz, że chcę cię skrzywdzić? Bardziej wierzysz obcej osobie niż mnie? Ani trochę nie wierzysz, że cię kocham? Tak bardzo w to wątpisz?

Zakłopotany pokręcił głową. Kiedy opuszczają cię siły fizyczne, tak samo tracisz władzę umysłową. Białe staje się czarne, czarne – białe. Ostatnie słowa wydają się prawdziwe.

– Czy ty mnie kochasz, Bonny? Mimo wszystko?

– Jak możesz o to pytać? – Jej wargi odszukały jego ust. Nigdy nie całowała go tak obojętnie. Było to muśnięcie bardziej delikatne niż gdyby motyl musnął go skrzydłem. – Zapytaj swojego serca – wyszeptała. – Zapytaj.

– Myślałem o tak strasznych rzeczach. Musiał to być zły sen, ale wydawał się tak rzeczywisty. Myślałem, że chcesz mnie usunąć ze swojej drogi...

– Pomyślałaś, że to ja spowodowałam twoją chorobę? – *Gra do końca*. Zrobiła krok do tyłu. Ten krok był mu potrzebny wcześniej. – Puściłam cię. Drzwi są nad tobą. Możesz wybrać, komu chcesz zaufać.

Kołyszącym krokiem przystąpił do niej. Położył głowę na jej piersi w niewysłowionym geście poddania się.

– Bonny, jestem tak zmęczony. Zabierz mnie do domu. – Jego oddech poruszył jej włosy. – Bonny, zaprowadź mnie do domu.

Sprowadziła go z pierwszego stopnia schodów. Pierwszego stopnia na drodze do wybawienia.

Zaciekawieni przechodnie na chodniku zatrzymywali się, by popatrzeć na wzruszającą scenę, nie wiedząc, o co chodzi.

Kiedy Bonny i Durand ruszyli z miejsca, ich zainteresowanie osłabło. Podążyli w swoich kierunkach. Ale zdążyła zawołać na jednego z najbliższych stojących mężczyzn, zanim ten zdążył odejść.

– Sir! Czy mógłby pan znaleźć nam dorożkę? Mój mąż jest chory i muszę jak najszybciej zawieźć go do domu.

Poruszyłaby nawet serce z kamienia. Mężczyzna uchylił kapelusza i pospieszył, żeby spełnić jej prośbę. Po chwili pojawiła się dorożka. Dorożkarz wymachiwał batem, a wysłany po nią mężczyzna stał na stopniu.

Dorożka zatrzymała się. Mężczyzna podtrzymał Duranda z jednego boku, a Bonny z ogromną siłą, którą dysponowała mimo niskiego wzrostu, podpierała go z drugiego. Ostrożnie wprowadzili go między sobą do dorożki. Posadzili wygodnie na siedzeniu. Nieznajomy musiał wejść do dorożki, stanąć za Durandem, a potem wysiąść z drugiej strony, gdy go usadowił.

Bonny usiadła obok Duranda, wyciągnęła rękę i położyła drżącą dłoń na plecach jej anonimowego pomocnika. Tym gestem chciała wyrazić swoją wdzięczność. – Dziękuję panu. Dziękuję bardzo. Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

– Trudno sobie wyobrazić mniejszą przysługę. – Spojrzał na nią ze współczuciem. – Niech Bóg ma was oboje w opiece.

– Modłę się o to – powiedziała pobożnie, gdy dorożka ruszyła.

Za nimi, na schodach prowadzących do domu lekarza, zatrzymał się jakiś mężczyzna. W

ręku trzymał teczkę. Patrzył obojętnym wzrokiem. Nic nie rozumiejąc z tego, co się stało, wzruszył ramionami i znów zaczął wchodzić po schodach. Wyciągnął klucz, by włożyć go do zamka.

Podczas ich krótkiego powrotu do domu była zatroskana jak nikt do tej pory.

– Kochanie, połóż głowę na moich kolanach. Może nie będziesz tak odczuwał, że dorożka podskakuje.

Wkrótce dotarli na miejsce. Jego długa udreka minęła, odeszła w niepamięć. Nie przeżywał żadnych rozterek – tak całkowite, zwodnicze było jego przekonanie, że go kocha.

Teraz to dorożkarz pomagał Bonny. Wyprowadzili Duranda z dorożki, zostawili przy furtce.

– Kochany, poczekaj tutaj chwilę. Przytrzymaj się słupka, dopóki nie znajdę pieniędzy, żeby zapłacić. Wysłałam z domu bez portmonetki; tak bardzo się o ciebie niepokoiłam.

Sama wbiegła do domu. Przez krótki moment wejście do niego było puste (utracił ją, na chwilę utracił ją), ale po chwili podbiegła do dorożkarza, zapłaciła mu i zaopiekowała się Durandem.

Weszli do przedsionka. Ostatnie promienie słoneczne padły na ich plecy. Znaleźli się w środku. Jej ręka zakreśliła półkole; zamknęły się drzwi za nim. Na zawsze? Po raz ostatni?

Przeszli przez ciemny korytarz, obok wieszaka. Znaleźli się przy schodach. Przebyli drogę, która wcześniej kosztowała go tyle wysiłku.

Jednak teraz miłość wzięła go w swoje objęcia. A może to już śmierć się zjawiała. Wtedy też człowiekowi jest wszystko jedno.

Ocieężałym krokiem wchodził po schodach. Jej siła była niesamowita, a woła, by mu pomóc – nieugięta.

Stanął na półpiętrze i przerywanym głosem poprosił: – Zatrzymajmy się tutaj na chwilę.

– Po co?

– Pozwól mi popatrzeć przez moment na nasz salon, zanim pójdziemy na górę. Może go już nigdy więcej nie zobaczę. Chcę mu powiedzieć do widzenia. – Drżącą dłonią, nad poręczą, wskazał w jego kierunku. – Spójrz, tam jest stół, przy którym siedzieliśmy razem przez tak wiele wieczorów, zanim... *to* się pojawiło. Spójrz, tam stoi lampa, ta sama lampa, o której wiedziałem... kiedy byłem młody i nieżonaty... że będzie oświetlała piękną twarz mojej żony. I oświetlała twoją, Bonny. Dziękuję jej za to. Bonny, może jej promienie już nigdy nie oświetlą cię dla mnie. – Jego palce zdawały się dotykać jej konturów. – Wszystkie lampy z domu, lampy miłości, odchodzą w zapomnienie. Nigdy już dla mnie nie rozbłyszczą. Żegnajcie...

– Chodź – nakazała nieśmiało.

Z powrotem w tym pokoju. Mary odzyskały swoje ciało.

Pomogła mu położyć się do łóżka. Uniosła jego nogi i zdjęła mu buty, a potem surdut. Nic więcej. Następnie przykryła go kocem niczym całunem.

– Lou, jest ci wygodnie? Czy nic cię nie uwiera? – Dotknęła jego czoła. – Twoja głupia wyprawa kosztowała cię wiele wysiłku.

Patrzył na nią dziwnym, błagalnym wzrokiem, jak ranny pies, który prosi o litość.

Odwrociła od niego głowę, ale po chwili w nieodpartym geście znów skierowała nań swoje spojrzenie.

– Mój kochany, dlaczego patrzysz na mnie w taki sposób? Co chcesz mi powiedzieć?

Skinął jednym palcem, żeby bardziej się pochyliła.

Schyliła lekko głowę, by lepiej słyszeć, co ma jej do powiedzenia.

Wyciągnął drżącą dłoń i dotknął jedwabistych, jasnych włosów grzywki, która opadła na jej gładkie, chłodne czoło.

Potem uniósł rękę i chwycił ją za łokieć, tak gwałtownie, jakby nagły przyptyw wymusił ten gest.

– Kocham cię, Bonny – wyszeptał gorączkowo. – Nikt tak nigdy nie kochał. Od samego początku do samego końca. Poza tym... Bonny, czy mnie słyszysz? Poza tym ona nigdy się nie skończy. Ja umrę, ale nie miłość.

Powoli, niepewnie przybliżyła do niego twarz, jakby zetknęła się z nowym doświadczeniem, nie wiedziała, jak się zachować. Coś nowego pojawiło się na jej obliczu. Nigdy nie było tak łagodne. Wydawało się, że widzi inną twarz, nigdy nie narodzoną. Wyzierała teraz spod maski, która ją ukrywała. Ukazywała się twarz, która powinna być jej, mogła być jej... ale nigdy nie była. To twarz duszy, zanim brud tego świata zmienił ją nie do poznania.

Świadomość tego docierała do niego powoli, przedzierała się przez emocje, których do tej pory nie doświadczał.

W jej oczach pojawiły się łzy. To nie było złudzenie – widział je.

– Lou, czy trochę miłości ci wystarczy?

– Każda jej ilość.

– Zatem *był* moment, w którym cię pokochałam.

Niewymuszony, spontaniczny pocałunek miał w sobie całą gorzką słodycz, nieopisaną tęsknotę miłości, która mogła się zdarzyć. Wiedział, jego serce wiedziało, że był to pierwszy prawdziwy pocałunek.

– To wystarczy – uśmiechnął się z zadowoleniem. – Tylko na to zawsze czekałem.

Chwycił jej dłoń, ścisnął ją. Po chwili zapadł w niespokojny sen, w chorobliwą nieświadomość.

Kiedy się obudził, resztki światła słonecznego opadały na zachodzie niczym biały popiół. Dzień chylił się ku końcowi. Durand wciąż ścisnął jej dłoń. Bonny siedziała przy nim, wpatrywała się w niego. Wydawało się, że przez tyle godzin nie poruszyła się, zносиła to nowe dla siebie doświadczenie – współczucie dla cierpienia innej osoby – bez sprzeciwu. Czuwała przy nim, widząc jedynie jego wykrzywioną śmiertelną chorobą twarz.

Puścił jej rękę. – Bonny – jęknął. – Daj mi teraz tego napoju. Jestem przygotowany. Myślę... że tak będzie lepiej...

Odruchowo cofnęła głowę. Przyjrzała mu się uważnie. Wreszcie ponownie pochyliła głowę.

– Dlaczego o to prosisz? Nie proponowałam ci.

– Cierpię – powiedział po prostu. – Dłużej nie wytrzymam. – Poruszył się w łóżku. – Jeśli nie z dobrego serca, to z litości...

– Później – wykręciła się. – Nie mów tak.

Jego twarz oblała się potem. Oddychał ze świstem. – Kiedy nie chciałem tego „lekarstwa”, nalegałaś, bym je wypił... A teraz, kiedy o nie proszę, odmawiasz mi... – Uniósł swoje ciało, ale zaraz potem znów opadł na łóżko. – Teraz, Bonny. Teraz. Nie wytrzymam dłużej. Teraz jest równie odpowiednia chwila jak każda inna. Dlaczego mam czekać kolejną noc, żeby mój stan się pogorszył? Och, Bonny, oszczędź mi tę noc! Jest tak długa... taka ciemna... taka samotna...

Wstała powoli. Obojętnie rozcierała zdrętwiałą dłoń. Potem, jeszcze bardziej ospale, podeszła do drzwi. Otworzyła je i odwróciła głowę, żeby spojrzeć na Duranda. Wyszła.

Nie było jej około dziesięciu minut. W tym czasie Durand cierpiał piekielne męki – płomienie obejmowały całe jego ciało.

Wkrótce otworzyły się drzwi. Wróciła. Niosła *to* w swoim ręku. Podeszła do Duranda i postawiła *to* na taborecie przy łóżku, ale tak, żeby nie mógł zbyt łatwo sięgnąć.

– Nie... Jeszcze nie... – powiedziała stłumionym głosem. – Niech jeszcze chwilę poczeka. Tak będzie lepiej.

Zapaliła lampę i podeszła do kominka, by wyrzucić zapałkę. Znieruchomiała i zaczęła przypatrywać się palenisku. Wiedział, że nie patrzy na to, co mogłaby zobaczyć. Zamyśliła się, przed jej oczami była pustka.

Natomiast Durand, w swojej zadumie, widział wszystko. Znów wszystko. Znów w weselny wieczór tańczył z nią walca... „Walc w promieniach słońca i miłości, w błękicie, w złocie, w najczystszej bieli. „Znów słyszał ich figlarną rozmowę: „Kto tam?” „Twój mąż”. Znów stanęła półnaga w drzwiach. „Wejdz, Lou... wejdz do pokoju swojej żony... „Znów spacerowali ramię przy ramieniu nadmorską promenadą w Biloxi. Bryza zerwała mu z głowy kapelusz. Śmiała się, gdy patrzyła, jak usiłuje go złapać.

Znów i znów, i znów... po raz ostatni.

Prawdziwe okrucieństwo śmierci nie tkwi w śmierci ciała, lecz w utracie wspomnień.

Jasne światło gorącej migoczącej gwiazdy rozblysło w jego głowie, przesłaniając upiorne, przedśmiertne majaczenia. Spojrzał na Bonny. Stała przy kominku, w wyciągniętym ręku trzymała jakąś żagiew. Nie był to kawałek drewna lub gałązka, lecz mocno zwinięty papier. Kiedy płomienie powoli doszły do jej palców, zręcznym ruchem chwyciła za spalony koniec i pozwoliła, żeby ogień strawił resztę papieru.

W końcu wyrzuciła go, wysunęła stopę i dokładnie rozdeptała popiół.

– Bonny, co robisz? – zapytał szeptem.

Nie odwróciła głowy, jakby nie miało dla niej znaczenia, czy Durand to widział. – Spaliłam papier.

– Jaki papier?

Mówiła bezbarwnym głosem: – Twoją polisę ubezpieczeniową... na życie... na dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Niepotrzebnie się trudziłaś. Mówiłem ci, że straciła ważność.

– Znow była ważna. Zastawiłam moją obrączkę i wyrównałam zaległości.

Zauważył, że nagle zasłoniła twarz rękami, jakby wciąż nie była w stanie znieść widoku płonącego dokumentu. Westchnął, ale zrobił to dość obojętnie.

– Biedna Bonny. Naprawdę tak bardzo chciałaś dostać te pieniądze? Mogłem... – Nie dokończył zdania.

Przez chwilę leżał nieruchomo.

– Najlepiej będzie, jak wypiję to teraz – rzekł wreszcie półgłosem.

Wyciągnął rękę, aż w końcu dosięgnął! szklanki. Zacisnął na niej dłoń, uniósł ją.

Rozdział 64

Nagle odwróciła się i szybko ruszyła w jego kierunku. Nie wiedział, że człowiek może poruszać się tak szybko, ale była przy tym tak zwinna, tak delikatna. Jej ręka błysnęła mu przed oczami niczym ognisty pocisk. Szklanka wysunęła się z jego uścisku i upadła na podłogę poza zasięgiem jego wzroku.

Wydawało się, że jej twarz rozmyła się jak twarz oglądana przez szybę, po której spływają krople deszczu. Chwyciła go konwulsyjnie, wcisnęła jego głowę w swoją delikatną pierś. Nie wiedział, że w jej uścisku może być tyle siły. Nigdy wcześniej nie kochała go na tyle, żeby w ten sposób wyrazić swoją miłość.

– Miłosierny Boże! – krzyknęła dziko. – Wybacz mi! Zatrzymaj to straszliwe nieszczęście! Cofnij czas! Przekreśl to, co się stało! Lou, mój Lou! Dopiero teraz to zrozumiałam! W końcu otworzyły mi się oczy! Co ja zrobiłam?!

Upadła przed nim na kolana, tak jak tej nocy w Biloxi, kiedy spotkali się po rozstaniu. Ale teraz było to co innego. Jak wystudiowane, fałszywe były wtedy jej usprawiedliwienia, jej pozy. Jak szczerze kajała się teraz w skrusze. Były to wyrzuty sumienia, których żadne jego słowa nie mogły uśmierzyć.

Szlochała spazmatycznie jak dziecko, płacz tłumił jej słowa. Przypuszczalnie był to szloch dziecka – nowo w niej narodzonego – płacz małej dziewczynki, która milczała przez dwadzieścia lat i dopiero teraz, poniewczasie, odzyskała głos.

– Musiałam zwariować... stracić rozum... Jak mogłam podchwycić ten pomysł? Ale kiedy byłam z nim, widziałam tylko jego, nigdy ciebie... Obudził we mnie to stare zło... Sprawił, że niegodziwość stała się czymś właściwym lub niewartym, by...

W błagalnym geście jej drżące palce dotykały jego twarzy – ust, opuszczonych powiek, jakby chciała przywrócić ich poprzedni wygląd. Nic – żadne nienasycone pocałunki, którymi go obsypywała, jej łzy kapiące na niego – nie mogło go uratować.

– Zabiłam cię! Zabiłam!

W końcu upadła twarzą w dół i zaczęła walić pięścią w podłogę, bezsilnie buntując się przeciwko losowi, który ją oszukał.

Nagle przestała płakać. Tak nagle, jakby strach ją sparaliżował. Ręka, która uderzała w podłogę, zawisała w powietrzu.

Uniosła głowę. Była rozgniewana, czujna, coś przemyśliwała. Nie wiedział co. Obróciła się i z ogromną, tajemniczą obawą spojrzała za siebie na okno.

– Nikt mi ciebie nie zabierze – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Nie utracę cię dla kogoś. Nie jest jeszcze za późno. Nie jest! Mam zamiar wziąć cię stąd tam, gdzie będziesz bezpieczny... Spiesz się. Zbieraj swoje rzeczy. Wyjdziemy razem. Mam siły za nas dwoje. Będziesz żył. Słyszysz mnie, Lou? Będziesz żył... jak dotąd.

Przesuwała się wzdłuż ściany, aż dotarła do okna. Wyjrzała na zewnątrz przez szczelinę

między zasłoną a ścianą. Skinęła do siebie, jakby zobaczyła to, czego się spodziewała.

– Co tam? – zapytał szeptem. – Kto jest na zewnątrz?

Nie odpowiedziała. Gwałtownie cofnęła głowę, jakby przestraszyła się, że ktoś może ją zauważyć z zewnątrz.

– Mogę zgasić lampę? – zapytał.

– Nie! – Przerazona dała mu znak ręką. – Na Boga, nie! Ja miałam to zrobić. Byłby to sygnał, że jest już... po wszystkim. Jedyna nasza szansa to wyjść teraz i zostawić wszystko tak, żeby się wydawało... że wciąż jesteśmy w środku.

Podbiegła do niego, ale nie zapomniała się obejrzeć i rzucić na okno spojrzenia pełnego obawy. Usiadła obok niego, jej suknia zafalowała. Uniosła jedną jego stopę, podczas gdy on zajmował się drugą.

– Szybko! Teraz drugi but! Dobrze, to wszystko. Nie mamy czasu na więcej.

Pomogła mu wstać z łóżka. Podtrzymywała go jak manekina lub ołowianego żołnierzyka, który przewróciłby się, gdyby wypuściła go z rąk.

– Oprzyj się o mnie, pomogę ci. Dobrze, już dobrze. Rusz nogami. Och, Lou, spróbuj. Poprzednio sam chodziłeś. Tym razem będziemy szli razem. Nasza miłość nam ucieka... na zawsze.

Uśmiechnął się do niej, gdy podłoga zaczęła przesuwać się mu pod stopami. Każdy jego krok wiązał się z ogromnym wysiłkiem i bólem.

– Nasza miłość – wyszeptał. – Nasza miłość nam ucieka. Dokąd zmierzamy?

– Na pociąg, gdziekolwiek. Musimy uciekać z tego domu...

Borykała się, jakby była samym duchem życia toczącym walkę z duchem śmierci, który chciał wziąć Duranda w swoje objęcia. Podtrzymywała go, gdy zataczał się do przodu i do tyłu. Robiła to z powodzeniem, kiedy wychodzili z pokoju i na korytarzu na piętrze. Jednak na schodach niewiele brakowało, by wypuściła go z rąk. Zachwiał się do przodu i omal nie runął głową w dół. Napięła się z całych sił, by odzyskać równowagę, którą nierozważnie stracili.

Ani jedno słowo nie wyrwało się jej z ust w tej przerażającej chwili. Z pewnością, gdyby Durand spadł ze schodów, trzymałaby się go kurczowo – runęłaby wraz z nim. Ale w jej ramionach objawiła się niespotykana do tej pory siła. Bonny powoli przyciągnęła go do siebie w desperackim uścisku. Znow odzyskali równowagę.

Potem skuleni przez chwilę odpoczywali. Ona oparła się plecami o poręcz, on wtulił głowę w jej pierś. Znalazła czas, by delikatnie odgarnąć mu włosy do tyłu. Wyszeptała: – Odwagi, kochany. Nie pozwolę ci upaść. Jest ci ciężko?

– Nie – mruknął słabnącym głosem, unosząc wzrok w stronę pochylonej nad nim twarzy Bonny – bo jesteś ze mną.

Znow ruszyli w dół schodów. Tym razem byli bardziej ostrożni. Drobili nogami niczym para przyciśniętych do siebie tancerzy. Po omacku wykonywali niepewne kroki baletowe.

Kiedy znaleźli się na dole schodów, stanęli na pierwszym stopniu, Bonny nagle zamarła. W

ciszy, gdy wstrzymali oddech, oboje to usłyszeli.

Było to ciche, niecierpliwe pukanie do drzwi frontowych – tajemnicze, ukradkowe. Miała je usłyszeć tylko jedna para uszu – osoby, która się tego spodziewała. Co najwyżej dwa palce, a może tylko jeden, stukały w drewno. Skrobały, drapały – można by powiedzieć, gdyż tak cichy był to odgłos.

Towarzyszył temu szczególny gwizd. Również bardzo cichy, ostrożny; tylko trochę głośniejszy niż gdyby oddech poruszał górną wargę. Był żalony, smutny jak dźwięk wydawany przez małą sówkę lub jak odgłos zagubionego nocnego wiatru usiłującego znaleźć drogę do środka.

Gwizdanie rozlegało się z przerwami. Czekają. Znow można było je usłyszeć. Czekają. Ponownie rozbrzmiało.

– Cii, tylko nie hałasuj. – Czuł, że mocno objęła go ramieniem. Instynktownie chciała go przed czymś ochronić. Przed czymś, co rozumiała, znała, natomiast on nie dostrzegał. – Do tyłu – wyszeptwała. – Będziemy musieli wyjść tylnymi drzwiami... Wstrzymaj oddech, kochany. Na miłość boską, nie hałasuj, bo... oboje zginiemy tu, gdzie stoimy.

Ostrożnie, przyciskając się do siebie, by tym razem zachować ciszę, tak jak przedtem usiłowali utrzymać równowagę, zeszli ze schodów i skradając się, dotarli do jadalni. Zatrzymała się tu na chwilę, aby sięgnąć po karafkę. Potrząsnęła nią, wyciągnęła szklany korek i zwilżyła wargi Duranda płynem. Jedną ręką wciąż go przytrzymywała. – Boję się dawać ci za dużo – westchnęła. – Jesteś tak wyczerpany.

– Moja miłość jest przy mnie – zapewnił, jakby mówił sam do siebie. – Nic mi się nie stanie.

Przeszli do nieoświetlonej kuchni za jadalnią. Zanurzyli się w błękitnej ciemności nocy, jednak przez szklaną szybę w drzwiach można było dostrzec ich cienie.

Usłyszał, że zasuw cicho szcęknęła pod jej po omacku poruszającymi się palcami. Drzwi otworzyły się do środka. Ich twarze owionął przyjemny chłód ucieczki.

Ostatnim dźwiękiem, który ich dobiegł przez cały dom od drzwi frontowych, był odgłos pukania. Znow rozległ się po krótkiej przerwie. Był teraz trochę bardziej pospieszny, natarczywy. A z nim dotarł do nich ten świst ze swoim sekretnym poleceniem, który zdawał się mówić: „Otwórz mi. Otwórz. Wiesz, kim jestem. Znasz mnie. Dlaczego zwlekasz?” Stał się bardziej ostry, natrętny, teraz, kiedy jego cierpliwość zaczęła się wyczerpywać.

Durand nie zapytał, kto to. Było tyle rzeczy w ich życiu, o które za późno było teraz pytać. Chciał – musiał – wiedzieć tylko jedno i to w końcu mu powiedziała: ona go kocha.

Wygramolili się na podwórze z tyłu domu, a potem przez furtkę wydostali się na dróżkę, która prowadziła do bocznej uliczki. Skręcili w ulicę równoległą do tej, która biegła przed ich domem.

– Na dworzec – nie przestawała powtarzać. – Na dworzec... Och, Lou, spróbuj. To tylko kilka krótkich ulic. Będziemy bezpieczni, jeśli tam dotrzemy. Tam zawsze ktoś jest, w dzień i w nocy... Są tam światła i nikt nie zrobi nam nic złego. Wsiądziemy do jakiegoś pociągu. Musi być

jakiś pociąg, dokądkolwiek...

Jakiś pociąg – powtarzało jego serce w rytm uderzeń – dokądkolwiek.

Naprzód, wciąż naprzód poruszały się chwiejnym krokiem dwie postacie. Oddech wiązał im w gardle. Zataczali się jak pijani, tak, pijani pragnieniem, by żyć i kochać w spokoju. Nikt ich nie widział, nikt im nie pomógł.

Dworzec, centralny punkt miasta, pojawił się przed nimi po drugiej stronie placu (powiedziała mu o tym, bo on sam tak daleko nie widział), kiedy ich siły się wyczerpały. Jej wola, jej ramiona nie były w stanie zrobić nic więcej. Durand upadł na ziemię przy jej boku.

Rozpaczliwie usiłowała go podnieść, ale tak osłabła, że jego bezwładne ciało przygięło ją do ziemi, jakby to on ciągnął ją w dół, a nie ona usiłowała go podnieść.

– Nie trać czasu – jęknął. – Nie mogę... Nie zrobię ani jednego kroku więcej.

Wyprostowała się z trudem i nerwowym ruchem chwyciła za głowę. Rozglądała się we wszystkie strony.

– Muszę cię zabrać z tego odkrytego terenu. Och, mój kochany, mój kochany, możemy zostać zauważeni, jeżeli pozostaniemy tu zbyt długo...

Pochyliła się i pocałunkiem dodała mu odwagi. Potem odbiegła od niego, pozostawiła go tam, gdzie leżał. Znikła w budynku stojącym przy placu, z lampą gazową nad wejściem i z napisem: „Umeblowane pokoje dla podróżnych”.

Po chwili znów się pojawiła. Ręką dawała komuś znaki, by się pospieszył. Bez zwłoki zaczęła biec w kierunku Duranda. Obiema rękami uniosła spódnice, by jej nie przeszkadzały. Za nią w drzwiach pojawił się mężczyzna w koszuli. Szamocząc się, wkładał surdut. Ruszył za nią.

– Tutaj! – krzyknęła. – Jest tutaj.

Mężczyzna stanął obok niej przy leżącym jak kłoda Durandzie.

– Niech mi pan pomoże zaprowadzić go do jednego z waszych pokoi.

Rosły, krępy mężczyzna zarzucił Duranda na ramiona i skierował się w stronę hotelu. Bonny biegła wokół niego, chciała mu pomóc, usiłowała unieść stopy Duranda.

– Nie, poradzę sobie – powiedział mężczyzna. – Niech pani tylko przytrzyma przede mną drzwi.

Rozgwieżdżone czarne niebo wirowało nad patrzącymi do góry oczami Duranda. Wydawało mu się, że jest bardzo blisko niego. Potem zastąpił je oświetlony gazowymi lampami sufit, który nachylił się i stopniowo zaczął tracić swój blask, gdy wnoszono Duranda po schodach. Mógł słyszeć delikatny tupot jej zwinnych stóp, który towarzyszył ciężkim, powolnym krokom mężczyzny. Naraz jej małe dłonie szybko uniosły jego zwisającą rękę. Poczul płomienny pocałunek jej aksamitnych ust.

– Przepraszam, że tak wysoko – rzekł mężczyzna – ale tylko to mam do dyspozycji.

– Nie ma znaczenia – odparła. – Wszystko jedno.

Weszli przez drzwi. Początkowo sufit był ciemny, ale stopniowo rozjaśniał matowym srebrem, gdy zapłonęły gazowe lampy. Ich cienie uniosły się na nim, zafalowały, zwały się i

znikły.

– Proszę pani, mogę położyć go do łóżka?

– Nie – jęknął cicho Durand. – Nie do łóżka. Łóżko oznacza umieranie. Łóżko oznacza śmierć. – Wzrokiem odszukał oczy Bonny, kiedy mężczyzna posadził go na fotelu, i uśmiechnął się.

– A ja nie umrę. Prawda, Bonny? – wyszeptał stanowczo.

– Nigdy! – potwierdziła zdecydowanie. – Nie pozwolę ci! – Zacisnęła swoje małe piąstki. W jej oczach mógł dostrzec iskierki oporu.

– Czy mogę sprowadzić doktora? – spytał mężczyzna.

– Na razie niczego nie potrzebujemy. Proszę zostawić nas samych. Później dam panu znać. Proszę, za przysługę. – Wcisnęła mu do ręki kilka monet. – Później się podpiszę w księdze meldunkowej.

Zamknęła za nim drzwi i biegiem wróciła do Duranda. Uklękła przy nim w błagalnej pozie.

– Louis, Louis, pamiętasz, że kiedyś pragnęłam pieniędzy, wspaniałych strojów, biżuterii? Dałabym teraz to wszystko, żebyś tylko znów odzyskał siły i stanął przede mną. Dałabym mój wygląd... – Zacisnęła palce na swoich gładkich policzkach i zaczęła je rozciągać, jakby chciała mu je przekazać. – ... co więcej mogłabym dać?

– Kieruj swoje prośby do Boga, nie do mnie – powiedział nieśmiało, łagodnie. – Chcę cię taką, jaka jesteś. Nie zmienilibym ciebie nawet za cenę życia. Nie marzę o kobiecie dobrej, szlachetnej. Pragnę mojej próżnej, samolubnej Bonny... To ciebie kocham, zarówno zło i dobro w tobie tkwiące, a nie przymioty, którymi powinny być obdarzone kobiety. Pamiętaj, żebyś się nie zmieniła, bo kocham cię taką, jaką cię znam. Gdyby Bóg potrafił kochać, zrozumiałby to.

Łzy z jej zawsze suchych do tej pory oczu lały się strumieniami. Były to łzy nagromadzone przez całe życie, które zaczęły płynąć ciurkiem w przyptywie żalu.

Drżącymi palcami dotknął jej załzawionych policzków. – Nie płacz już. Wypłakałaś oczy przez te kilka ostatnich minut. Chcę ci dać radość, nie smutek.

Wstrzymała oddech; stłumiła płacz. – Louis, miłość jest dla mnie czymś tak nowym. Jestem zakochana dopiero pół dnia. Pół dnia z dwudziestu trzech lat życia... Louis, czy zawsze tak jest? – zapytała jak zdumione dziecko. – Czy zawsze trzeba tak cierpieć, kochając?

Przypomniawszy sobie ich wspólne życie, minione teraz. – Tak, trzeba... ale warto. To właśnie jest miłość.

Zza zamkniętego okna dobiegło parskanie. Zdawało się, że jakaś olbrzymia bestia z łańcuchami na pysku prychnęła na ziemię.

– Co to? – zapytał niewyraźnie, lekko unosząc głowę.

– To pociąg. Przyjechał na dworzec albo jeździ gdzieś po bocznym torze.

Durand zacisnął ręce na oparciu krzesła i uniósł się bardziej.

– Bonny, on jest nasz, przyjechał po nas. Jakikolwiek pociąg, dokądkolwiek. Pomóż mi. Pomóż mi wydostać się stąd. Mogę to zrobić, mogę tam dojść...

Jej dotychczasowe burzliwe życie pełne było nagłych zmian decyzji przywykła do tego. Błyskawicznie wstała. Jego słowa nagle roznieciły w niej zapal.

– Dokądkolwiek. Nawet do Nowego Jorku. Będiesz mnie broniła, gdyby oni...

Objęła go ramionami, pomogła wstać z fotela. Znow miała się rozpocząć ich niekończąca się ucieczka. Mocno objęci zrobili krok w stronę drzwi, ale tylko jeden...

Upadł. Tym razem wszystko dobiegło końca; nie mogło być mowy o pomyłce. Upadek był spotkaniem ze śmiercią. Durand leżał nieruchomo bezwładnie. Nie bronił się, czekał. Patrzył rozpaczliwie na Bonny.

Szybko pochyliła się nad nim.

– Nie mamy czasu – wyszeptaly jego nieruchome usta. – Nic nie mów. Pocałuj mnie, w ten sposób pożegnaj się ze mną.

Pożegnalny pocałunek. Wydawało się, że dusze opuściły ich ciała i rozpaczliwie usiłowały połączyć się w jedność. Gdy to się nie udało, jedna z nich usunęła się w cień, druga pozostała w pełnym świetle.

Oderwała usta od jego warg, by zaczerpnąć powietrza. Na jego ustach malowało się niewysłowione zadowolenie.

– To jest moja nagroda – westchnął Zamknęły mu się oczy. To śmierć się zjawiała.

Przeszył ją dreszcz, jakby to ona konała, potrzęsnęła Durandem, chciała mu przywrócić siły żywotne które opuszczały go tym razem na zawsze. Przycisnęła go do siebie w desperackim uścisku, ale nie był to już on, tylko jakieś martwe ciało. Błagała go, wzywała go. Targowała się nawet ze śmiercią, chciała zyskać trochę czasu.

– Nie, poczekaj! Jeszcze jedną minutę! Daj mi jeszcze jedną minutę! Tylko jedną minutę, i pozwolę mu odejść! Boże! Jeszcze tylko minutę! Muszę mu coś powiedzieć!

Nic nie może się równać z żalem poganina nagle osieroconego, gdyż dla pogan życie pozagrobowe nie istnieje.

Rzuciła się na Duranda. Jej rozpuszczone włosy spłynęły na jego twarz, przykryły ją. Złociste włosy, które tak bardzo kochał, stały się teraz całunem.

Przyłożyła usta do jego ucha i szeptem przekazała mu informację, którą on tylko powinien usłyszeć.

– Kocham cię. Kocham cię. Czy mnie słyszysz? Gdzie jesteś? Przecież to zawsze chciałeś usłyszeć. Teraz nie chcesz?

W jej smutek wdarły się słabe, odległe odgłosy. Stłumione pukanie, a potem krzyki. W tym miejscu, w tej chwili? Jak to się stało? Być może długo żywione przez sąsiadów podejrzenia zaowocowały w końcu donosem; a może to zbrodnia popełniona dawno, bardzo dawno temu w Mobile znalazła swój finał. Za późno, za późno, gdyż ona zdążyła już umknąć, podobnie jak on bez wątpienia to uczynił.

– Otworzyć! Policja! Otworzyć drzwi! Czy słyszycie?!

Ich wołanie nie mogło wyrzeć żadnego wrażenia, ich groźby nie mogły przestraszyć, gdyż

ona była teraz więźniem kogoś innego. Umknęła im.

Lamentowała rozpaczliwie do niesłuchającego ucha Duranda: – Och, Louis, Louis!
Pokochałam cię zbyt późno. Zbyt późno cię pokochałam.

Pukanie, krzyki i smutek znikły. Pozostała tylko pustka.

– I to jest moja kara.

Milnie bezdźwięczna muzyka.

Tańczące postacie rozchodzą się, znikają.

Walc dobiegł końca.